

Karol May

W Podziemiach Mekki

W czyścú

Po południu droga prowadziła nas przez całkowicie bezludną, pustą, piaszczystą pustynię. Bahr bila Ma -morze bez wody; na takie określenie zasługiwała ta część pustyni, gdzie w głębokim piasku grzęzły nogi wielbłądów. Jechałem z szejkiem Beni Lamów, który służył nam za przewodnika, a Halef i Khutab Aga jechali przodem. Ostatni był milczący i zamknięty w sobie, wciąż jeszcze nie mógł otrząsnąć się z wydarzeń ostatnich dni. Tym bardziej rozmowni byli obaj szejkowie, którzy w krótkim czasie poczuli do siebie sympatię. Halef pilnie skorzystał ze sposobności, by swoją i moją osobę ukazać w odpowiednio korzystnym świetle. Ja brałem niewielki udział w tej rozmowie, wtrącałem tylko od czasu do czasu krótką uwagę. Niekiedy rzucałem także ostrzegawcze kutub, kiedy Halef zbyt przesadzał. Ale on nie dał się powstrzymać. Wskutek zbyt silnych przeżyć nie można było powstrzymać jego elokwencji. Od czasu do czasu zaglądałem do Munedziego, którego poleciłem troskliwej opiece Hanneh i jej syna. Wciąż jeszcze nie doszedł do siebie, leżał jak martwy na kocach, którymi wymościł siodło hedżina.

5

Pod wieczór pustynia straciła swój dotychczasowy wygląd. Jej gładka powierzchnia przeszła w lekkie fale, które w przyjemny sposób przerywały męczącą wzrok monotonię. W zapadlinie utworzonej pomiędzy dwiema takimi falami zatrzymaliśmy się, by rozbić obóz. Nazajutrz koło południa chcieliśmy dotrzeć do duaru Beni Lamów, więc nie musieliśmy oszczędzać wody. Jeszcze byliśmy zajęci pojeźniem zwierząt, gdy z miejsca, w którym urządziliśmy postój dla ślepeca, rozległ się ostry, przeciągły krzyk. 'Pdki krzyk wydaje człowiek tylko w największym strachu i śmiertelnym niebezpieczeństwie. Przekazałem buklak, z którego poilem należąca teraz do mnie kobyła Persa stojącemu najbliżej Haddedihiowi i pobiegłem do ślepeca. Kiedy tam dotarłem, ujrzałem Halefa, Abd el Daraka i Basz Nasira, których tam również przyciągnął ten potworny krzyk. Prawdopodobnie Munedzi oprzytomniał w chwili, gdy Hanneh i Kara Ben Halef zajęci byli ustawianiem kobiecego namiotu i dlatego nie pilnowali go. Wraz z przytomnością wróciło Munedziemmu wspomnienie zdrady Ghaniego. Stał przed nami wyprostowany, na jego zapadłej twarzy malowało się przerażenie, podczas gdy oczy pozbawione wyrazu wpały w pustkę. Ręce jego przy tym wykonywały koliste ruchy, jak gdyby szukały oparcia. Otoczyliśmy go w milczeniu, także Haddedihiowie i Beni Lamowie przerwali swoje zajęcia i w milczeniu spoglądali w naszą stronę. Nie trzeba było zbyt długo, by zrozumieć, jakie nieopisane rzeczy działy się teraz w duszy biednego ślepeca. Usłyszał nasze kroki i chyba sądził, że zbliża się jego mniemany dobroczyńca, ponieważ wyciągał do nas błagalnie ręce i po prostu krzychał.

- Abadilah! Abadilah!

Potem bojaźliwie nasłuchując pochylił głowę, jak gdyby oczekując skądś odpowiedzi. A że jej nie było, podniósł głos i zawołał jeszcze donośniej, a w krzyku tym wyrażał się szaleńczy strach.

- Abadilah, błagam cię w imię mojej miłości, błagam na litość Allacha... 6

- Munedzi, nie jesteś u Abadilaha, lecz u Haddedihiów i Beni Lamów, którzy są twoimi przyjaciółmi - przerwałem mu, bo uznałem, że już czas go uspokoić i wyprowadzić z błędu.

Gdy niewidomy usłyszał mój głos, ręce powoli mu opadły, z piersi wydobyło się westchnienie ulgi, potem powoli padł na kolana i zasłonił twarz dłońmi, a ciałem jego wstrząsał spazmatyczny cichy płacz. Po kilku minutach odsłonił oczy i skierował je w stronę, z której nadeszły moje słowa.

- Z twojego głosu poznaję, że jesteś effendim z Wadi Draa.

Powiedz, jesteś nim naprawdę?

- Tak, jestem nim.

- Więc proszę cię na wszystko, co dla ciebie święte, powiedz mi prawdę. Uczynisz to?

- 'Pak - rzekłem.

- Effendi, wiesz, że czasem mój duch ulatnia się i że wtedy przeżywam rzeczy, o których potem nie zawsze wiem, czy były prawdą, czy tylko wytworem mojej wyobraźni. 'Idki sen dopiero co miałem. Powiedz, czy chcesz mi wyjawić czystą prawdę bez względu na ból, jaki te słowa mogłyby wywołać w moim sercu?

- Daję ci moje słowo - rzekłem po prostu.

Ślepiec przyjął pozycję siedzącą. Potem skierował swoje niebieskie spojrzenie przed siebie i zaczął mówić, a w przerwach ciało jego przebiegały dreszcze, jak gdyby wstrząsany był wewnętrzną potajemną febrą.

- Miałem okropny sen. A może to nie był sen? Siedziałem na hedżinie i jechałem u boku mego obrońcy i z ciałem jego syna na trzecim wielbłądzie, oddalając się od was w głąb pustyni. Byliśmy w drodze około czterech godzin, gdy mój towarzysz nagle się zatrzymał i zapytał mnie, kogo uważam za złodzieja Kans el Adhai. Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że jego .
Dodałem, że uważam go także za mordercę żołnierzy, ale obiecałem zostać z nim, bo nadal uważam go za moją dobroczyńcę, którego nie wolno mi opuścić. Wtedy wybuchnął szyderczym śmiechem, ale nie odezwał się ani słowem. Chyba godzinę jeszcze trwała nasza podróż. Potem znowu się zatrzymaliśmy. Mój obrońca rozkazał mi zejść na ziemię i usiąść. A potem..., potem nastąpiła ta straszna, nieopisana i okropna rzecz. Poczułem nagle sznury na rękach i nogach. A kiedy nic jeszcze złego nie przydarzyło się, zapytałem Abadilaha, co chce ze mną zrobić, zaśmiał się krótko i wrogo. O effendi, był to śmiech, jakiego nigdy jeszcze u niego nie słyszałem, śmiech tak ostry, jak gdyby przeszywał mi duszę sztyltem. A potem rzekł jedno zdanie, a głos jego brzmiał jak głos szatana z piekła, że jestem szaleńcem, niesłychanym szaleńcem i kazał mi jechać do dżehennem! Potem nie słyszałem już nic poza biegiem pędzących zwierząt. Nastąpiła cisza, byłem sam na pustyni, sam z moją rozpaczą, sam z piekłem w sercu. Nie przypominam sobie szczegółów mego snu, wiem tylko, że pełen rozpaczliwie szarpałem więzy, ale nie mogłem się z nich uwolnić, aż wreszcie przestałem, zmęczony beznadziejnym wysiłkiem. Ale najgorsze dopiero było przede mną. Effendi, wiesz, co mówi nasza wiara o mękach potępieńców? W dżehennem stoi okropne drzewo sakkum, na jego gałęziach rosną diabelskie głowy. Potępieńcy muszą zjadać te ohydne owoce, które potem rozrywają ich wnętrzności. Och, wiem teraz, czym są te głowy diabelskie, bo wszystkie, wszystkie poczułem w swoich trzewiach. Są to rozpaczliwe myśli, które niby żmije zakradły się do mego wnętrza i zatopiły swoje jadowite zęby w mojej duszy. A wśród nich była myśl, która doprowadziła mnie do szaleństwa, myśl, że zostałem zdradzony przez tego jedynego, któremu ofiarowałem duszę niemal doszczętnie w wyniku oschłości ludzkiej. Effendi, czy możesz zrozumieć, co to znaczy i jaki piekielny ból sprawia nagła utrata treści całego zubożałego serca? Czy możesz to zrozumieć, jeśli to nawet był tylko sen?

Ślepiec urwał wyczerpany i opadł na koce. Nie udzieliłem mu odpowiedzi na jego ostatnie pytanie, chyba nawet nie mógłbym. Byliśmy wszyscy głęboko wzruszeni, z wnętrza pobliskiego, kobiecego namiotu usłyszeliśmy cichy płacz, Halef skubał i szarpał osiem cienkich nitek z prawej i dziewięć z lewej swego nosa, co oznaczało u niego wzruszenie. Abd el Darak i Khutab Aga spoglądali z głębokim współczuciem na ślepcę. 'I~n uniósł się znów na posłaniu i zapytał mnie drżącym ze wzruszenia głosem:

- Effendi, sądziłem, że to był sen, co prawda okropny, niesamowity, ale tylko sen. Effendi, proszę cię, błagam, powiedz, że tak było, że to naprawdę był jedynie sen, a będę cię błogosławił jeszcze w godzinie śmierci.

Co miałem począć? Okłamać ślepcę i zawieść jego zaufanie, kiedy tak wierzył w moją prawdomówność? Dałem mu słowo, musiałem więc go dotrzymać. Nie miałoby sensu ukrywanie przed nim tego, co się stało, wkrótce i tak nadejdzie czas, kiedy nie będzie możliwe ukrywanie tego przed nim. Tę też zacząłem powoli i możliwie oględnie.

- Munedzi, wierzysz w Allacha i w miłość Allacha, dlatego to, co ci...

Ślepiec przerwał mi niecierpliwie :

- Effendi, nie owijaj w bawełnę, powiedz krótko - śniłem czy przeżyłem to naprawdę?

Nie mogłem dłużej ukrywać przed nim prawdy, odparłem więc:

- Tivoja opowieść nie była snem, lecz prawdą.

Wówczas jakby złodowaciał. Zaciśnął pięści, aż paznokcie wbiły się w ciało, oczy pozbawione blasku utkwili w pustce, usta miał szeroko otwarte - wydawało się, że w Munedżim wszystko zamarło. Ale nie był martwy, gdyż z jego ust przez zaciśnięte wargi wydzierały się oderwane słowa.

- Moja... opowieść... nie... jest... snem... lecz... prawdą... prawdą... prawdą...

Po czym z przeraźliwym jękiem opadł na koce, zamknął oczy, kurczowo zaciśnięte pięści się rozluźniły.

Lecz trwało to tylko chwilę. Potem Munedżi zerwał się na nogi, jakby na sprężynie, wydał okrzyk jeszcze bardziej przeraźliwy i dziki i wybuchnął szyderczym śmiechem, ale nie odezwał się ani słowem. Chyba godzinę jeszcze trwała nasza podróż. Potem znowu się zatrzymaliśmy. Mój obrońca rozkazał mi zejść na ziemię i usiąść. A potem..., potem nastąpiła ta straszna, nieopisana i okropna rzecz. Poczulem nagie sznury na rękach i nogach. A kiedy nic jeszcze złego nie przeczuwając zapytałem Abadilaha, co chce ze mną zrobić, zaśmiał się krótko i wrogo. O effendi, był to śmiech, jakiego nigdy jeszcze u niego nie słyszałem, śmiech tak ostry, jak gdyby przeszywał mi duszę sztyltem. A potem rzekł jedno zdanie, a głos jego brzmiał jak głos szatana z piekła, że jestem szaleńcem, niesłuchanym szaleńcem i kazał mi jechać do dżehennem? Potem nie słyszałem już nic poza biegiem pędzących zwierząt. Nastąpiła cisza, byłem sam na pustyni, sam z moją rozpaczą, sam z piekłem w sercu. Nie przypominam sobie szczegółów mego snu, wiem tylko, że pełen rozpacz szarpałem więzy, ale nie mogłem się z nich uwolnić, aż wreszcie przestałem, zmęczony bezna-dziejnym wysiłkiem. Ale najgorsze dopiero było przede mną. Effendi, wiesz, co mówi nasza wiara o mękach potępieńców? W dżehennem stoi okropne drzewo sakkum, na jego gałęziach rosną diabelskie głowy. Potępieńcy muszą zjadać te ohydne owoce, które potem rozrywają ich wnętrzności. Och, wiem teraz, czym są te głowy diabelskie, bo wszystkie, wszystkie poczułem w swoich trzewiach. Są to rozpacz-liwe myśli, które niby żmije zakradły się do mego wnętrza i zatopiły swoje jadowite zęby w mojej duszy. A wśród nich była myśl, która doprowadziła mnie do szaleństwa, myśl, że zostałem zdradzony przez tego jedyne, któremu ofiarowałem duszę niemal doszczętnie wypaloną wskutek oschłości ludzkiej. Effendi, czy możesz zrozumieć, co to znaczy i jaki piekielny ból sprawia nagła utrata treści całego zubożonego serca? Czy możesz to zrozumieć, jeśli to nawet był tylko sen?

Ślepiec urwał wyczerpany i opadł na koce. Nie udzieliłem mu odpowiedzi na jego ostatnie pytanie, chyba nawet nie mógłbym. Byliśmy wszyscy głęboko wzruszeni, z wnętrza pobliskiego, kobiecego namiotu usłyszeliśmy cichy płacz, Halef skubał i szarpał osiem cienkich nitek z prawej i dziewięć z lewej swego nosa, co oznaczało u niego wzruszenie. Abd el Darak i Khutab Aga spoglądali z głębokim współ-czuciem na ślepca. Ten uniósł się znów na posłaniu i zapytał mnie drżącym ze wzruszenia głosem:

- Effendi, sądziłem, że to był sen, co prawda okropny, niesamowity, ale tylko sen. Effendi, proszę cię, błagam, powiedz, że tak było, że to naprawdę był jedynie sen, a będę cię błogosławił jeszcze w godzinie śmierci.

Co miałem począć? Okłamać ślepca i zawieść jego zaufanie, kiedy tak wierzył w moją prawdomówność? Dałem mu słowo, musiałem więc go dotrzymać. Nie miałoby sensu ukrywanie przed nim tego, co się stało, wkrótce i tak nadejdzie czas, kiedy nie będzie możliwe ukrywanie tego przed nim. Tę też zacząłem powoli i możliwie oględnie.

- Munedżi, wierzysz w Allacha i w miłość Allacha, dlatego to, co ci...

Ślepiec przerwał mi niecierpliwie :

- Effendi, nie owijaj w bawełnę, powiedz krótko - śniłem czy przeżyłem to naprawdę?

Nie mogłem dłużej ukrywać przed nim prawdy, odparłem więc:”

- ‘Ieoja opowieść nie była snem, lecz prawdą.

Wówczas jakby złodowaciał. Zaciśnął pięści, aż paznokcie wbiły się w ciało, oczy pozbawione blasku utkwili w pustce, usta miał szeroko otwarte - wydawało się, że w Munedżim wszystko zamarło. Ale nie był martwy, gdyż z jego ust przez zaciśnięte wargi wydierały się oderwane słowa.

- Moja... opowieść... nie... jest... snem... lecz... prawdą... prawdą... prawdą...

Po czym z przeraźliwym jękiem opadł na koce, zamknął oczy, kurczowo zaciśnięte pięści się rozluźniły.

Lecz trwało to tylko chwilę. Potem Munedżi zerwał się na nogi, jakby na sprężynie, wydał okrzyk jeszcze bardziej przeraźliwy i dziki niż ten po przebudzeniu, następnie ryknął całą siłą płuc:

- Zostawcie mnie... zostawcie mnie wszyscy, wszyscy... bo jestem potępiony... jestem napiętnowany przez Allacha... wierzyłem w miłość ludzką... miłość nie istnieje... miłość to kłamstwo... wielkie, wielkie kłamstwo... największe kłamstwo, jakie tylko może być... o Allachu... pozwól mi umrzeć... umrzeć...

Przy ostatnich słowach głos Munedżiego stawał się coraz słabszy. Kolana zaczęły mu drżeć i byłby upadł, gdybym nie podbiegł i nie chwycił go w ramiona. Potem powoli położyłem go na posłaniu i zbadałem puls. Był bardzo słaby, ale wyczuwalny. Biedny, pożałowania godny człowiek, potrzebował teraz spokoju, bezwzględnego spokoju. Dlatego poleciłem go opiece Kary Ben Halefa, i wszyscy ode-szliśmy.

Gdy byliśmy w takiej odległości, że ślepiec nie mógł nas usłyszeć, Basz Nasir zatrzymał się i z głębokim westchnieniem zwrócił się do mnie:

- Effendi, czy to nie jest okropne? Jakże żal mi tego biednego człowieka! Jakże dusza jego kochała tego Ghaniego, jeśli po wykryciu jego niegodziwości wpadła w najgłębsze otchłanie rozpacz! Jakże chętnie bym mu pomógł, gdybym mógł, by miłością i jeszcze raz miłością pozwolić mu zapomnieć o największym rozczarowaniu jego życia. Ale sam jeszcze mam tak mało doświadczenia w tej sztuce, jestem jeszcze nowicjuszem, effendi, pomów z nim, dowiedz mu...

- ‘I~raz to nie jest odpowiednia pora. Jego dusza jest jeszcze zbyt zraniona i rozbita. Istnieją sytuacje w życiu człowieka, a Munedżi właśnie się teraz znalazłw takiej sytuacji, kiedy ból szarpie i rozdziera duszę do najgłębszych głębi. Każde wtrącanie się, nawet jak najżyczliwsze, byłoby odebrane jak natarczywość.

- A nie mógłbyś przynajmniej... - zaczął Pers od nowa, lecz przerwał mu Halef.

- Niech ci wystarczy to, co powiedział sidi. Wiem, co ma na myśli.

Dusza Munedżiego podobna jest do pustej torby na daktylu, z dużą dziurą na dnie. Możesz wsadzić do tej torby tyle daktyli, ile tylko zechcesz, a i tak wypadną przez dziurę! Zostaw sidiemu czas, by mógł załatać tę dziurę. On to potrafi, o Khutabie Ago, tego możesz być pewny. Dobrze go znam.

‘I~n mały człowiek doprawdy trafił w sedno swoim dziwnym porównaniem. Co prawda przypisywał mi, jak zawsze, więcej możliwości, niż posiadałem, a w obecnej chwili naprawdę nie wiedziałem, jak mam załatać ową dziurę w torbie na daktylu.

Teraz także szejk Beni Lamów zwrócił się do mnie.

- Effendi, czy nie sądzisz, że ślepcowi w jego obecnym wyczerpaniu może zaszkodzić nieopisana burza, jaka rozpełtała się w jego duszy? Byłoby mi naprawdę bardzo żal, gdyby stał się łupem śmierci, po tym, kiedy już dwukrotnie w tak cudowny sposób ocalał.

- Uspokój się, o szejku! Właśnie to, że oparł się dwukrotnie śmierci, wskazuje, iż ciało jego jest dość mocne, by oprzeć się i dzisiejszemu niebezpieczeństwu. Nie mogę ci dowieść, ale głos wewnętrzny mówi mi, że sprowadzimy Munedżiego całego i zdrowego do Mekki. A moje przecucia rzadko mnie zawodziły. Tymczasem zapadła noc. Zjedliśmy kolację składającą się z kawałka baraniny i garści daktyli na deser. Potem zajrzałem na krótko do Munedżiego, który po wyczerpującym przeżyciu zapadł w głęboki sen. Kiedy zarządziłem wszystko, co dotyczyło jego wygody, sam udałem się na spoczynek. Assil Ben Rih, którego ostatnio trochę zaniedba-

łem, powitał mnie radosnym parsaniem. Wszeptałem mu zwykłą surę do ucha i używając szyi konia jako poduszki, osunąłem się wkrótce w ramiona boga snu. Zbudziłem się z dziwnym uczuciem, jak gdyby ktoś czule pogłaskał mnie po twarzy. Jeszcze w półśnie chwyciłem rękę, którą poznałem, kiedy starałem się przeniknąć oczami ciemność. Była to ręka Munedziego. Według położenia gwiazd była mniej więcej godzina przed północą. Jak ten ślepiec znalazł drogę do mnie popi z szeregi śpiących? Starzec nie dał mi czasu do namysłu, trzymając moją rękę, poprosił mnie szeptem i to nie jak oczekiwałem, głosem Ben Nura, lecz własnym, bym zaprowadził go poza obóz. Bez słowa uczyniłem zadość jego woli i zaprowadziłem go tak daleko od obozu, by nie było nas słychać. 'Iitaj usiedliśmy, przy czym ślepiec znowu trzymał mnie za rękę.

Długo milczał. Ciszy nocnej nie przerywało nic poza szybkim wyraźnym oddechem ślepeca. Wreszcie zapytał, a głos jego był dziwny i bojaźliwie drżący. Nigdy go u niego nie słyszałem.

- Effendi, która teraz godzina?

- Za godzinę będzie północ.

Munedzi milczał, jak gdyby musiał sobie uświadomić treść moich słów, potem rzekł z wahaniem:

- Za godzinę więc... początek nowego dnia!... Och, gdyby też... dla mnie... słońce... jeszcze raz... zaświeciło... tylko jeszcze... jeden jedyny raz...!

Znowu umilkł, ale tym razem na dłuższą chwilę. Wiedziałem do-brze, jakie słońce ma na myśli, ale się nie odezwałem, zresztą wcale nie spodziewałem się odpowiedzi, gdyż ciągnął dalej:

- Effendi... proszę cię... na Allacha... nie opuszczaj mnie...! Nie teraz... na całej kuli ziemskiej... nikogo prócz...prócz ciebie... tylko ciebie mam...!

Nie potrafię opisać stanu, w jakim się znalazłem. Nade mną niebo ze świecącymi gwiazdami, dokoła wzniosła cisza pustyni, obok mnie biedny, bezgranicznie nieszczęśliwy człowiek... nie byłem w stanie wydobyć z siebie słowa. Jediną moją odpowiedzią był mocny uścisk dłoni ślepeca.

- Effendi... dziękuję ci... dziękuję... tak bardzo... tak bardzo...!

Potem, tak szybko, że nie mogłem temu przeszkodzić, podniósł moją rękę do ust i pocałował ją. Ile ten człowiek musiał przejść, jak bardzo pragnął miłości, jeśli zwykły uścisk dłoni tak go wzruszył. Postanowiłem w tej chwili, nawet za cenę mego życia, odsłonić taje-mnicę, w której cieniu znajdował się Ghani i zwrócić ślepcowi utracony spokój deszy. Na razie jeszcze błądziłem po omacku, miałem jednak nadzieję, że od Munedziego otrzymam jakąś wskazówkę.

- Czy nie zechciałbyś opowiedzieć mi historii twojego życia? - rzekłem. - Może przyniesie to ulgę twojej duszy.

- Dziękuję ci za twoje współczucie, effendi. Zanim zaproponowałem ci, byś ze mną poszedł, byłem zdecydowany to uczynić. Coś wewnątrz nagliło mnie do tego. Może był to głos Ben Nura, który chce, bym wszystko powiedział, chociaż nie rozumiem, w jaki sposób mogłoby mi to pomóc.

- Miej ufność w Allachu, on wie najlepiej, jak doprowadzić wszystko do szczęśliwego zakończenia.

Wówczas to ślepiec nagłym ruchem wyrwał swoją dłoń z mojej i zawołał przerażony:

- O, effendi, tego nie powinieneś być powiedzieć, bo zmuszasz mnie tym do wyznania czegoś, przez co na pewno stracę twoje współ-czucie.

Domyśliłem się, co teraz nastąpi, starałem się jednak go uspokoić i rzekłem:

- Munedzi, cokolwiek masz mi do powiedzenia, bądź przekonany, że moje uczucia dla ciebie w najmniejszym stopniu nie ulegną zmianie.

- Ach, gdybym mógł w to uwierzyć, effendi, jaki szczęśliwy byłbym w moim nieszczęściu! Ale nie wolno mi już ukrywać przed tobą tego najgorszego, tego, co naprawdę najgorsze. Wiesz, effendi, że byłem chrześcijaninem. Ale widziałem u chrześcijan, z którymi miałem do czynienia, tyle cech niechrześcijańskich, doznałem od nich tyle złego, że zachwiało to moją wiarę w chrześcijaństwo. Kiedy po raz pierwszy ktoś odniósł się do mnie z miłością, był to wyznawca

islamu, więc uczyniłem ten krok, z chrześcijanina stałem się muzułmaninem. Ro-zumiesz, co mnie do tego skłoniło? Miłość, tylko miłość, której nie znalazłem w chrześcijaństwie, a teraz znalazłem w islamie, czy też sądziłem, że znalazłem. Mogę rzec, że wśród muzułmanów byłem najgorliwszy, choć nie ukrywam, że powodem mojej gorliwości był

13 wewnętrzny niepokój, który mnie mimo wszystko nie opuszczał, i który usiłowałem uspi~spełniając wszystkie obrzędy religijne. Daw-niej, będąc chrześcijaninem, uważałem je za fanatyzm. Możesz więc sobie wyobrazić, jak śmiertelnie oddziałuje na moje przekonania religijne świadomość, że się zawiodłem także na islamie? Sądziłem, że on mnie darzy miłością i to było jednym jedynym powodem mojego przejścia na inną wiarę. Teraz to upadło i tym samym runął islam z ołtarza, jaki zbudowałem mu w moim sercu. O, effendi, czemu nie zostawiłeś mnie na pustyni i nie dałeś zginąć! Ostatnie, największe rozczarowanie zostałoby mi oszczędzone! A teraz znalazłem się na innej, o wiele okropniejszej pustyni. Gdzie mam znaleźć wodę, by nie zginąć z pragnienia? Pytam cię, effendi, gdzie mam ją znaleźć?

Munedzi wykrzyknął ostatnie słowa tak głośno, że sądziłem, iż śpiący w obozie ludzie się zbudzą. Po chwili ciągnął dalej.

- Effendi, jesteś muzułmaninem i będziesz, nie, musisz być innego zdania niż ja. Muszę przyjąć w pokorze, jeśli odmówisz mi pomocnej dłoni jako podejrzanemu odszczepieńcowi. Wówczas nie wiem, co począć, będę pozostawiony na tej pustyni sam jeden... zupełnie sam... Ślepiec umilkł. Ja także się nie odzywałem przez dłuższy czas. Myślałem o swej drodze przez Llano Estacado. Była noc jak dziś. U mego boku znajdowało się dwóch ludzi, których wewnątrz podobne było do stanu ducha Munedziego; stracili Boga, jeden wskutek kary-godnego uporu, drugi pod naciskiem wielkiego cierpienia. Wówczas dane mi było odegrać niebagatelną rolę w ich życiu i skierować ich życie na nowe tory.

Czy i dziś mi się to uda? Munedzi nie był niewierzącym. Jego nieszczęście polegało na tym, że oderwał się od wszelkiej wiary, tak że teraz sam się sobie wydawał jak zabłąkany na pustyni, który co prawda widzi zbawczą oazę w dali, ale nie ma siły dotrzeć do niej. W życiu jego istniał martwy punkt, przez który nie mógł przebrnąć. Czy potrafię ten punkt znaleźć i usunąć? Jakże chętnie bym mu 14 powiedział, że jestem chrześcijaninem, ale miałem powody, by ukryć to przed ślepcem. Musiałem nadal grać rolę muzułmanina. Lecz czy mogłem jako taki powiedzieć mu, że popełnił ogromny błąd przecho-dząc na islam? Czy mogłem to uczynić, nie zdradzając samego siebie? A przecież tak chętnie bym mu dopomógł! Ogarnęło mnie współczu-cie dla tego nieszczęśliwego człowieka.

Ująłem znów jego rękę, którą przedtem cofnął i rzekłem:

- Nie cofam swej ręki, lecz podaję ci po raz drugi. Nie uważam, żejesteś odszczepieńcem, którego należy unikać, lecz nieszczęśliwym bratem, potrzebującym mojej pomocy. Powiedziałeś mi kiedyś, że rodzeństwo cię nienawidziło. Więc przyjmij mnie na ich miejscejako swego brata. Pragnę wynagrodzić ci ból i krzywdę, jakich doznałeś. Czy się zgadzasz?

Wówczas Munedzi podał mi drugą rękę i zapytał z wahaniem:

- Chcesz być moim bratem? Naprawdę? I pytasz mnie jeszcze, czy się zgadzam? Byłbym rad, gdybyś mnie nie odpędził od siebie, gdybyś pozwolił mi zostać. Nie śmiałybym pragnąć niczego więcej. A teraz znalazłem brata ... brata...!

- Mam przeczucie, że znajdziesz coś więcej niż brata, odnajdziesz spokój serca. Lecz musisz sam się do tego przyczynić, musisz modlić się o tę łaskę!

- Mówisz, modlić się? - zawołał Munedzi z udreką. - Ach, gdybym mógł! I gdybym wiedział, jak mam się modlić! Czy mam modlić się „Ojczy nasz, któryś jest w niebie, święć się imię ‘Iwoje!’” Tę modlitwę utraciłem, kiedy odwróciłem się od chrześcijaństwa. Czy też mam mówić „W imię Boga Miłosiernego, Litościwego!” ‘Pdk nie mogę się już modlić, od dziś już nie! Jak więc mam się inaczej modlić, by moje błaganie dotarło do tronu Allacha i doznało łaski?

- Módl się więc tak, jak ci serce wskaże! Allah usłyszy twoją modlitwę i przyjmie ją miłosiernie, nawet jeśli nie będzie miała zwyczajowej formy. Czy Isa Ben Marjam, którego wiarę kiedyś

wyzna-waleś, nie powiedział: „Proście, a otrzymacie, szukajcie, a znajdziecie, pukajcie, a będzie wam otworzone?” Szukaj Allacha prostym poczciwym sercem, a on pozwoli ci znaleźć do siebie drogę i da ci spokój, który utraciłeś.

- Pokój! O, gdybyś się nie mylił, effendi! Jakże mocno strzegłbym tego pokoju, by mi go znowu nie skradziono!
- Skradziono? Czy naprawdę sądzisz, Munedzi, że człowiekowi można skraść pokój jak mieszek złota? Czy naprawdę jesteś przekonany, że on sam przy tym nie ponosi winy? Czy też pokój nosi się w kieszeni u pasa, tak że pierwszy lepszy człowiek może go ukraść? Nie, Munedzi, pokój to coś wewnętrznego, tak zespolonego z jednostką, że żaden złodziej, nawet najsprytniejszy, nie zdoła go ukraść.
- Czy mówiąc o człowieku, który pokój beztrudno nosi w kieszeni i dlatego może go łatwo stracić, masz mnie na myśli, effendi? Gdybyś znał moją historię albo gdybyś przeżył i doświadczył tego co ja, nie oceniałbyś mnie tak nisko.
- Nie chciałem cię urazić, mówiłem ogólnikowo. Lecz wiem, choć nie znam twojej historii, że nie jesteś całkiem bez winy w nieszczęściu, które cię spotkało.
- Jak możesz tak twierdzić z całą pewnością? Wcale mnie nie znasz, nie wiesz, jakie stanowisko zajmowałem w moim minionym życiu.
- Pod tym względem nie jestem tak nieświadomy, jak sądzisz - uśmiechnąłem się. - Myślę, że jesteś perskim uczonym narodowości rosyjskiej, jeśli nie profesorem słynnej uczelni w ‘I~heranie.
- Maszallah! - zawołał Munedzi zaskoczony. - Naprawdę to wiesz! Gdzie o mnie słyszałeś?
- Nic o tobie nie słyszałem, sam doszedłem do tego po zastanowieniu. Zapytałem cię przecież, czy jesteś Europejczykiem, a ty nie zaprzeczyłaś. Resztę bez trudu dało się wywnioskować. Nie mogłeś być dyplomata, bo jako taki niewątpliwie przejrzałbyś Ghaniego, swego mniemanego dobroczyńcę. Pozostaje tylko jedno przypuszczenie! Wiem, że szach Nassredin jest zwolennikiem wykształcenia

16 europejskiego i, że sprowadził nauczycieli dla swoich szkół. Jaki kraj mógłby wchodzić w rachubę? Oczywiście zaprzyjaźniona Rosja. Inne kraje europejskie raczej nie, gdyż szejk poznał je dopiero podczas swych późniejszych podróży zagranicznych. Dziwi mnie tylko, że jako perski nauczyciel mogłeś się wzbogacić. Powiedziałeś, że przybywając do Mekki byłeś człowiekiem zamożnym. A wydaje mi się, że na gromadzenie bogactw perska katedra nie jest właściwym miejscem, mimo że, jak sądzę, szach nieźle opłaca swych zachodnich profesorów.

- Effendi, słyszę ze zdumieniem, że doskonale orientujesz się w warunkach perskich. Szach płaci dobrze, ale bogactwa się przy tym nie zdobędzie. To, co posiadałem, zdobyłem nie moim zawodem, lecz odziedziczyłem po ojcu, hrabim Wernilowie, bogatym rosyjskim posiadaczem ziemskim, ze starego rodu. Majątek ojciec pozostawił nam, swoim synom. I tym samym rozpoczyna się historia mojego życia.

Ojciec i bracia nie lubili mnie. Byli poglądów, jak to się mówi, feudalnych i to w takim stopniu, który moim zdaniem, graniczył z przesadą. I dlatego budziłem ich wielką niechęć, kiedy w ciągu roku spostrzegli, że ja, najmłodszy w rodzinie, okazywałem skłonności, które były zaprzeczeniem tej rodzinnej tradycji. Effendi, czy słyszałeś coś o Lwie Tołstoj i jego pismach? Muszę przyznać, że sposób jego pojmowania świata wywarł pewien wpływ na moje życie. Postanowiłem poświęcić się studiom. Już to poróżniło mnie z rodziną, która w swym najwyższym konserwatyzmie widziała we mnie odszczepienca, zdrajcę świętych tradycji jej stanu. Effendi, nie chcę twierdzić, że mój proces kształcenia był najdoskonalszy. My, Rosjanie, jeśli idzie o wykształcenie, pozostajemy zacofani w porównaniu z innymi krajami europejskimi, ale mogę zaświadczyć, że podchodziłem do wszystkich, także najważniejszych i decydujących zagadnień dotyczących mojej

ojczyzny z szeroko otwartym, wrażliwym sercem. Zwróciłem swe zainteresowania w kiei unku historii. I teraz doszło do całkowitego zerwania z rodziną. Studia historii i powiązania jej z ekonomią

2 - *W podziemiach Mekki*

mojego kraju rozbudziły we mnie dręczące niezadowolenie z paso-żytniczego życia, które wiodłem jako członek uprzywilejowanej mniejszości. Pragnąłem stać się pożytecznym, co doprowadziło mnie do rezygnacji ze swego dotychczasowego trybu życia. Po ukończeniu studiów w stosunkowo młodym wieku otrzymałem katedrę na uniwersytecie w Petersburgu. Użyłem swych wpływów, by pisemnie i słownie przedstawiać moje poglądy, jakie wyznawałem od lat młodzieńczych.

Wstawiałem się za wszystkim, co uważałem za godne mojego poparcia, zwłaszcza za równouprawieniem narodów i przeciw uciskowi chłopów. Okazałem też swoje współczucie Polakom, otwarcie wystąpiłem przeciwko planom całkowitej rusyfikacji polskich prowincji. Mówiono, że posiadam doskonały dar wymowy, toteż odnosiłem dość znaczne sukcesy. Chyba rozumiesz, effendi, że ta forma mojej działalności dołała oliwy do ognia nienawiści, jaką prześladowała mnie moja rodzina. Jestem przekonany, że gdyby oj-ciec jeszcze żył, wydziedziczyłby mnie. ‘Pakjednak, będąc w posiadaniu dużego dziedzictwa, szybko przebolełem to, że bracia zerwali ze mną wszelkie stosunki, ożeniłem się z dziewczyną ubogą, lecz należąca do petersburskiej szlachty. Sądziłem, że dzieli moje poglądy. Wówczas, po krótkim okresie szczęścia, spadło na mnie nieszczęście.

Powodem był zamach nihilisty Dymitrija Karakozowa na cara Aleksandra II. Stronnicy cara, do których należeli także moi bracia zajmujący zna-czne stanowiska, oskarżyli mnie, swego niebezpiecznego przeciwni-ka, o udział w nieudanym zamachu. Jak udało im się tego dokonać, jest dla mnie do dziś zagadką, ponieważ nigdy nie miałem nic wspól-nego z nihilistami. Faktem jest, że groziło mi aresztowanie i byłbym nic nie przeczując znalazł się w więzieniu, gdyby nie ostrzegł mnie pewien przyjaciel. Upłynniłem więc większą część mego majątku i zapytałem swoją młodą mażonkę, czy zechce mi towarzyszyć. ‘I~raz dopiero poznałem jej prawdziwy charakter. Miłość jej to było udawa-nie i wyrachowanie. Powiedziała mi otwarcie, że wyszła za mnie, by dzielić ze mną blaski i zaszczyty, a nie wygnanie. Muriedzi urwał. Wspomnienie przeszłości wyczerpało go. Przesu-nął ręką po czole, jak gdyby chcąc spłoszyć wszystkie przykre myśli, potem ciągnął dalej.

- Pomiędzy Rosją a Persją panowało wówczas pewne napięcie z powodu kwestii turkiestańskiej.

Sądziłem więc, że najprędzej w Persji znajdę azyl i ochronę przed prześladowaniami, zwłaszcza że już od dawna pragnąłem poznać Wschód. Nie zawiodłem się. Nie wiem, w jaki sposób, ale imię moje dotarło aż do dworów Teheranie i zostałem przez szacha przyjęty na audiencji.

Odniósł się do mnie życzliwie i jak słusznie odgadłeś, powołał na profesora tamtejszej słynnej uczelni. Możesz sobie wyobrazić, że przychylnie przyjęcie, jakiego pogardzany chrześcijanin doznał u prawowiernych muzułmanów, nie pozostało bez wpływu na moje poglądy religijne.

Wolny czas, jaki pozostawiał mi mój zawód, poświęcałem z największą gorliwością studiowaniu islamu. Nie żądano ode mnie, co w pełni doceniałem, bym przyjął państwową wiarę Persji. Odwdzięczyłem się za tę przychylność w ten sposób, że wszystkie moje siły i całą wiedzę poświęciłem krajowi, który mi okazał taką gościnność. Bolało mnie, że obce narodowości prowa-dziły na smyczy ten utalentowany naród, który nie miał siły się wyzwolić, toteż używałem swego rosnącego z dnia na dzień wpływu na szacha, by przekonać go o konieczności, ale także o możliwości podniesienia ojczyzny z tak niegodnego położenia. Wiesz może, że szach podejmował rozliczne podróże, podczas których badał urządzenia europejskie i, że skutkiem tego był cały szereg znanych ulepszeń. Między innymi ustanowiono tolerancję wobec wszystkich społeczności wyznaniowych, z wyjątkiem babi. Mo-gę powiedzieć, że sam przyczyniłem się do wielu tych ulepszeń, cho-ciaż musiałem przyznać, że im Persja stawała się samodzielniejsza, tym interesy polityczne Rosji musiały doznać uszczerbku. W owym czasie poznałem Abadilaha el Warakę, który przybył na dwór szacha jako wielki szarif Mekki.

Wprawdzie stwierdziłeś, że nie marn naj-mniejszych zdolności dyplomatycznych, ale nie jestem

jednak tak 19 niedoświadczony, bym nie spostrzegł wkrótce, jakie cele miało to poselstwo. Wiesz może, że Persja wielokrotnie dążyła do posiadania Bagdadu i świętych miast Kербela i Mesched Ali. Zatargi wielkiego szarifa Mekki z Portą są powszechnie znane. Właśnie wtedy szach znowu skierował pożądliwie swój wzrok poza granice i nie ulegało dla mnie wątpliwości, że poselstwo Mekki dąży do zawarcia sojuszu z szachem. Wielki szarif pragnął swoim wpływem na wiernych pod względem wyznaniowym poprzeć Persję pośrednio, podczas gdy kroki rządu perskiego przeciwko Porcie miały ją powstrzymać od zajmowania się sprawami mekkańczyków. Chyba nie zaprzeczysz, effendi, że moje przypuszczenia były słuszne?

Ja sam co prawda w tym punkcie nie zgadzałem się z polityką perską i nie zawahałem się użyć w tym względzie mego wpływu. To jednak nie przeszkadzało ani Abadilahowi, ani mnie w utrzymaniu przyjaznych stosunków. Jak na warunki wschodnie jest to wybitnie wykształcony człowiek i posiada obszerną wiedzę, jeśli chodzi o Koran i jego wykładnię. Nic więc dziwnego, że szukałem jego towarzystwa i, że czułem się z nim dobrze. Wkrótce też miałem się przekonać, że był mi szczerym przyjacielem. Jeśli sądziłem, że moi rosyjscy wrogowie o mnie zapomnieli, to niestety się łudziłem. Moje wpływowe stanowisko w Teheranie było im od dawna solą w oku. Okrężną drogą przez Abadilaha, który jako poseł w wielu wypadkach miał większy wgląd w rozmaite sprawy, dowiedziałem się o knowaniach moich przeciwników. Mówiłem już, że w Persji wszystkie społeczności wyznaniowe były tolerowane, prócz babich, którzy wskutek znanego zamachu na szacha w roku 1852 ściągnęli na siebie okrutne prześladowania. Co prawda starałem się o złagodzenie surowych paragrafów mających na celu całkowite zniszczenie babich, jednak nic nie wskórałem. Otóż dowiedziałem się, przez Abadilaha, że moi rosyjscy wrogowie wykorzystali mój humanitarny krok jako pretekst, by potajemnie kopać pode mną dołki i dowieść, że spiskuję z babi. Abadilah ostrzegł mnie i doradzał, bym się zawczasu ukrył. Posunął się nawet

20 do tego, że zaofiarował mi schronienie w swoim domu w Mekce. Choć propozycja ta bardzo mnie kusila - jako obeznanemu z islamem nie było mi trudno występować jako muzułmanin nie budząc podejrzeń - lecz świadom swojej niewinności nie czułem się zagrożony i zlekceważyłem ostrzeżenia przyjaciela. Nie miałem pojęcia, jak bardzo pozycja moja była zagrożona.

Zbudzenie ze snu, w jakim pograżyła mnie moja beztroska, nastąpiło już wkrótce. A było ono straszne! Ciemną nocą do mego domu włamało się pięciu zamaskowanych ludzi i wyrwało mnie z łóżka. Zawiązali mi oczy i skrupowawszy zabrali. Dokąd mnie wzięli, nie mogłem wywnioskować, byłem na pół żywy z przerażenia. Kiedy zdołałem znów trzeźwo myśleć, znalazłem się w ciemnym lochu, zupełnie sam! I wówczas z przerażającą jasnością zrozumiałem, co chciano ze mną zrobić. Moi wrogowie znowu odnieśli nade mną zwycięstwo. Zacząłem się domyślać, jak tego dokonali, przypomniałem sobie ostrzeżenie mojego przyjaciela, z którego ust dowiedziałem się potem całej prawdy. Chrześcijańskim knowaczom udało się ich diabelska sztuka, przekonali perską policję, że jestem osobą zagrażającą bezpieczeństwu państwa. I oto mogłem zniknąć bez śladu! Znałem dostatecznie dobrze perski sposób wymierzania sprawiedliwości, by nie pojąć, że jestem zgubiony, jeśli jakiś anioł nie przyjdzie mi na ratunek. Dręczące oczekiwanie w tym okropnym lochu wydawało się trwać wiecznie, w istocie trwało około trzech godzin. Nie umiem ci opisać, effendi, co w tym czasie odczuwałem. Wiem tyle tylko, że szalałem jak obłąkany. Przeklinałem Boga, ludzi i samego siebie, aż wyczerpany padłem na brudne kamienne płyty piwnicy. Wtedy usłyszałem, że klucz zabrzączał w zamku, drzwi się

otwarły i wszedł mój anioł, mój zbawca, mój przyjaciel Abadilah, z latarką w ręku. Nie słuchając moich słów zaskoczenia na jego niespodziewany widok, rzekł spiesznie:

- Teraz żadnych wyjaśnień! Musisz stąd uciec, natychmiast.

21

Dziękuj Allahowi, nie mnie, że jeszcze w ostatniej chwili dowiedziałem się o tym zamachu!

Po czym szybko uwolnił mnie z więzów i pociągnął na górę po ciemnych wąskich schodkach piwnicznych i przez długi ciemny korytarz na zewnątrz.

Potem weszliśmy w ciemny zaułek, gdzie służący Abadilaha czekał z trzema końmi. Skoczyliśmy na siodła i pomknęliśmy niczym wiatr przez wyludnione ulice. Wszystko trwało parę chwil. W godzinę po opuszczeniu miasta mój zbawca się zatrzymał i wszystko mi wyjaśnił. Dowiedział się, ale nie chciał mi powiedzieć jak, ponieważ przyrzekł milczenie pewnej osobie, że tej nocy mam zostać unieszkodliwiony i natychmiast podjął odpowiednie kroki, by mnie uratować. Po pierwsze przekupił wielką sumą dozorcę więzienia, który natychmiast po tym uciekł z miasta. Następnie trzeba było zdobyć konie i potrzebny bagaż, to zadanie powierzył słuzącemu. Abadilah sam wziął na siebie część najtrudniejszą i najbardziej niebezpieczną, moje ocalenie. Ile przy tym ryzykował, dopiero później sobie uświadomiłem. Bo gdyby podejrzenie, że pomógł mi uciec, padło na niego, byłby stracił swoje stanowisko na dworze w Teheranie.

Effendi, teraz rozumiesz, że mogłem twierdzić, iż Abadilah był jedynym człowiekiem, który okazał mi w życiu miłość? I, że moje miejsce było u boku mego dobroczyńcy mimo wszystkiego, czego się o nim złego dowiedziałem?

Nic mu nie odpowiedziałem, prosiłem tylko, żeby opowiadał dalej.

- Abadilah znowu zaproponował mi, abym zamieszkał u niego w Mekce. Możesz sobie wyobrazić, effendi, że teraz z radością się na to zgodziłem. Co prawda nie mógł mi towarzyszyć, obowiązki zatrzymywały go w Persji, a mnie potrzebna była jego pomoc w innej sprawie. Chodziło bowiem o uratowanie nie tylko mnie, lecz także mojego majątku złożonego w cesarskim banku. Jeśli się go od razu nie podejmie, będzie na zawsze stracony. Kiesa państwowa i kieszenie chciwych urzędników pochłonęłyby go bezpowrotnie. Okazało się, że 22 przezorny Abadilah i o tym pomyślał. Przyniósł ze sobą papier i atrament, nawet moją pieczęć. Jak tego dokonał, że znalazła się w jego rękach, leżała bowiem u mnie w domu na biurku, nie mogę pojąć. Kazał mi wystawić upoważnienie, na podstawie którego bank wyda mu mój majątek. Jeszcze tego samego ranka, zaraz po otwarciu banku, miał podjąć pieniądze. Imię doręczyciela nie było w upoważnieniu podane, by nie narażać go na niebezpieczeństwo. 'Pak więc przynajmniej uratuję mój majątek, myślałem, jeśli już dom był stracony. Potem pożegnaliśmy się. Przerwał moje podziękowania krótkim, niech Allah ma cię w swojej opiece i pojechał z powrotem do miasta, podczas gdy my ruszyliśmy w długą i uciążliwą drogę do Mekki.

Muszę ci powiedzieć, effendi, że mój zamiar, aby występować jako muzulmanin, nie przyszedł mi z trudnością. Podczas długiej podróży miałem dość czasu, by zastanowić się nad moim przyszłym stosunkiem do chrześcijaństwa. Od tak zwanych chrześcijan doznałem tyle złego, że sądziłem, iż niechęć do nich przeniosłem na cały świat chrześcijański. Czy miałem rację, teraz, po ostatnich wypadkach, zaczynam wątpić, w każdym razie wówczas sądziłem, że postępuję słusznie. I z każdym krokiem, który zbliżał mnie do Mekki, wzrastało moje przekonanie, że drzewo, które rodzi tak złe owoce, samo jest zgniłe i zmurszałe. Prócz tego może wdzięczność wobec mego dobroczyńcy SpOwOdOwała, że oStatnie więzy, ~akie mnie łączyły z chiześcijafi-stwem, zerwałem i postanowiłem przyjąć wiarę tego jedynego czło-wieka, który okazał mi serce i bezinteresowną przyjaźń. Ślepiec skierował wzrok w dal, jakby się pogrążył w rozmyślaniach, zanim zaczął mówić dalej.

- Zmiana wiary nie sprawiła mi trudności. Po wieloletnim pobycie w Persji najbliższą byłaby wiara szyitów. Ale mój dobroczyńca był sunnitą, zrozumiałe więc, że i ja przeszedłem na sunnę. Może wskutek tego zwierzenia wydam ci się bezwolnym, ale powiadam ci, effendi, stałbym się nawet buddystą, gdyby mój dobroczyńca tego ode mnie

23 oczekiwał. Czy możesz wczuć się w tego rodzaju stan duszy?

- Owszem - odparłem krótko.

- Spędziłem spokojny miesiąc w domu mego wybawcy, kiedy ten powrócił. Przywiózł mi złożony w banku majątek. Wyplacono mu go co do ostatniej monety, mogłem więc teraz znowu występować odpo-wiednio do mego stanu. Wkrótce znany byłem w tej dzielnicy miasta jako bogaty Pers. Wprawdzie nie trwało to długo. Mówiłem ci już, że mój opiekun jest głównym nadzorcą dzielnicy. W Mekce nie wolno pielgrzymom mieszkać tam, gdzie zechcą, lecz przydziela im się dziel-nice dla nich tylko przeznaczone. 'Izak więc jest dzielnica Turków, Persów, Afgańczyków, Hindusów i tak dalej. Mój opiekun jest nad-zorcą dzielnicy' Iizrków. Urząd ten sprawia, że wielu obcych pielgrzy-mów przychodzi do domu mego dobroczyńcy. Kiedy pewnego wie-czoru wróciłem z modłów, okazało się, że w moim pokoju było włamanie. Skrzynia z wieloma woreczkami tumanów zniknęła, zosta-łem biedakiem. Zgłosiłem memu opiekunowi tę kradzież i Abadi-lah nakazał przeprowadzić dokładne poszukiwania, jednak bezskute-cznie. Sądził, że sprawcami są tureccy pielgrzymi, którzy tego popo-łudnia zgłosili się do niego, ale nie udało się ich odnaleźć. Widocznie zaraz po dokonaniu kradzieży opuścili miasto. Nie powiem, że utrata majątku jakoś szczególnie mnie zmartwiła. Przywykłem już do spada-jących na mnie nieszczęść. Gorzkie było tylko to, że nie mogłem, tak jak dotąd, płacić za usługi świadczone mi w domu mego opiekuna. Poza tym dobra ziemskie miały dla mnie niewielką wartość, tym mniejszą, że choroba, która już w 'I~heranie bardzo się zaostrzyła, wkrótce zamieniła się w całkowitą ślepotę. Cóż mogły mi pomóc tysiące woreczków tumanów! Oddałbym je z radością, zwłaszcza że posiadałem coś, co było mi droższe od całego złota świata. Przyjaźń mego opiekuna, który pozostawił mnie u siebie, choć z bogatego Persa stałem się ubogim Persem. Przyjaźń ta była dla mnie najwię-kszym bogactwem. Doszło do tego jeszcze coś. Im bardziej oczy moje traciły Światło dnia, tym szerzej otwierały się moje oczy wewnętrzne 24 na światło promieniejące z mego przewodnika Ben Nura. W jego świetle dane mi było dojrzeć rzeczy, o których wiedza dostępna jest tylko niewielu ludziom, ponieważ serca ich są zajęte dobrami doczes-nyimi, a oczy zaślepione blaskiem złota, za którym bez przerwy się uganiają. Effendi, jest to dhzga, wielokrotnie spleciona nitka, która od chrześcijańskiego Rosjanina prowadzi do mahometańskiego mek-kańczyka, droga długa, ciągnąca się mozolnie sześćdziesiąt lat. Czyż możesz mieć mi za złe, że teraz pragnę spokoju? Czy naprawdę, effendi, nie opuścisz mnie teraz, kiedy zostałem zdradzony przez mego dotychczasowego opiekuna? Mam jeszcze jedną prośbę. Wiem, wiem, że nie masz dobrego zdania o Abadilahu. Nie poznałeś go nigdy z jego lepszej strony, tak jak ja, i może nie uwierzysz we wszystko, co ci opowiedziałem o ówczesnej bezinteresowności mego przyjaciela. Effendi, możesz o nim sądzić, co zechcesz. Ale proszę, pozostaw mi wiarę w dawną, czystą dobroć mego opiekuna! To takie piękne wie-rzyć w dobro człowieka. To takie piękne... takie piękne...! Ślepiec urwał wyczerpany. Podczas tej długiej opowieści nie puścił mejej ręki. Biedny człowiek! Nie miał pojęcia, że ślepotą jego oczu nie była jedyna. Był ślepy podwójnie, ba, potrójnie! Czy wolno mi było ze względu na jego równowagę duchową pozostawiać go w tej szczę-śliwej niewiedzy? Nie, nie i jeszcze raz nie! W wypadku duchowej ślepoty takiej jak jego, istniał tylko jeden jedyny sposób wyleczenia go, a mianowicie bezwzględna szczerłość! Wcześniej czy później musi się dowiedzieć smutnej prawdy! Czyż nie lepiej było natychmiast przystąpić do operacji? Bezlitosnej, bezwzględnej? Dlatego, kiedy Munedzi skończył, by nadać moim słowom większe znaczenie, milczałem dłuższy czas. Potem zacząłem powoli, podkre-ślając każde słowo.

- Munedzi, opowiedziałeś mi smutną historię. Mógłbym płakać nad nią, lecz także płakać nad tobą, biedny ślepy człowieku! Muszę ci powiedzieć, Munedzi, że ślepy człowiek godny jest współi;zucia. Jeśli jednak istnieje możliwość uleczenia jego ślepoty, a niewidomy broni 25 się, zaciskając z całą siłą oczy, ponieważ nie chce się nauczyć widzieć, wówczas współczucie zamienia się w pogardę. A twoją ślepotę tak łatwo wyleczyć! Dziecko mogłoby cię wyleczyć. Munedzi, czy nie potrafisz zrozumieć, że twoja historia od początku, kiedy ukazuje się twój

obrońca, jest bajką? Nie, nie bajką, lecz jednym wielkim oszu-stwem, wymyślonym przez skończonego łajdaka, tak wielkim oszu-stwem, że aż dziwne, iż ty, człowiek niby to doświadczony, nie przej-rzałeś tego od pierwszego wejrzenia...?

Munedzi zrobił gwałtowny ruch, jak gdyby chciał mi przerwać, nie dałem mu jednak dojść do słowa i ciągnąłem dalej.

- Nie przerywaj mi, Munedzi! Chyba rozumiesz, że nie mówiłbym w taki sposób, gdybym nie miał ku temu dokładnie przemyślanych powodów. Ghani od początku nie był twoim obrońcą, lecz twoim wrogiem działający z dobrze przemyślaną przebiegłością. Był twoim największym wrogiem! Sam przecież mówisz, że byłeś przeciwnikiem ówczesnej polityki perskiej. Więc tym samym byłeś jego przeciwni-kiem, ponieważ on ją popierał. A ty byłeś niebezpiecznym przeciwni-kiem, ponieważ miałeś wpływ na szachinszacha. Toteż należało cię usunąć. Oszczerstwem przeciwko tobie nic by nie wskórał, bo władca miał dla ciebie zbyt wiele szacunku. Musiał więc działać inaczej. Poza tym chodziło nie tylko o twoją osobę, lecz także o twój wielki majątek. Ghani chciał za jednym zamachem upiec trzy pieczenie na jednym ogniu.

- 'I~zy pieczenie... nie rozumiem cię...

- A przecież zamiar tego łajdaka tak łatwo przejrzeć. Byłeś czło-wiekiem wielce elokwentnym. Jakież byłoby to chwalebne, gdyby udało mu się ciebie, który i tak skłaniałeś się ku islamowi, zjednać dla swej wiary! Jaki zaszczyt przyniosłoby mu to w jego rodzinnym mie-ście i jaką siłę islam zyskałby dzięki tobie!

- Wciąż jeszcze nie rozumiem...

- Zaraz zrozumiesz. A więc; ze względów politycznych należało cię usunąć, twój majątek miał przypaść Ghaniemu, a ty sam byłeś dlań

26 cennym łupem, cenniejszym, niż on sam wówczas przypuszczał. Osiągnąć ten potrój ny cel mógł ów oszust tylko wówczas, gdyby udało mu się cichaczem wywieźć ciebie z kraju i gdybyś ty sam dopomógł mu w jego zamiarach. Powiedz mi tylko jeszcze jedno, Munedzi, czy opowiedziałeś Ghaniemu historię swego życia?

- 'Pdk. Nie widziałem powodu ukrycia jej przed nim, kiedy mnie o to zapytał.

- Thk też sobie pomyślałem. Czy nie zauważyłeś nigdy podobień-stwa fatalnych wydarzeń w twoim życiu? Raz było to wymyślone przez twoich wrogów powiązanie z rosyjskimi nihilistami, co wypędziło cię z ojczyzny, a drugi raz twój mniemany związek z wyklętą sektą babi, który miał być powodem twojego nieszczęścia. Czy wciąż jeszcze nie zdajesz sobie sprawy, jak podejrzana jest ta historia z babi? Ghani zręcznie wykorzystał usłyszane od ciebie wiadomości, wbił ci ćwieka w głowę bajeczką o zemście ze strony twych rosyjskich wrogów. Tó była jego pierwsza próba zastraszenia cię, ale minęła się z celem, bo czułeś się pewny mając czyste sumienie. Tym celniejsza była druga próba. Ghani upozorował napad, tak że musiałeś dojść do przekona-nia, iż twoim wrogom udało się narazić twoje iycie na największe niebezpieczeństwo. Wiesz sam najlepiej, jak dobrze wszystko się udało. Siedziałeś złamany w pułapce, a Ghani ukazał się jako wybawca i wysłał cię tam, gdzie chciał cię mieć, do Mekki. Zamaskowani ludzie to byli jego opłaceni pomocnicy, a historia z przekupieniem dozorca więziennego istną bujdą. Służący, który miał cię zawieźć do Mekki, był oczywiście we wszystko wtajemniczony.

Ręka Munedziego, którą trzymałem, mocno drżała, nie odezwał się jednak, chociaż moje słowa musiały działać jak uderzenia młotem.

- Jeszcze nie skończyłem. Dwie rzeczy udały się Ghaniemu.

Udało mu się ciebie oddalić i miał cię w swojej mocy. 'I~raz chodziło jeszcze o twój majątek. Powiadasz, że nie masz pojęcia, w jaki sposób twój obrońca zdoół iwoją pieczęć. A przecież nie ma w tym nic tajemniczego. Podczas kiedy jego wspólnicy zajmowali się tobą, on 27 sam spokojnie poszedł do twojego gabinetu i zabrał pieczęć z biurka, ponieważ bez pieczęci bank by nie uznał upoważnienia, które Ghani kazał ci wystawić. Nie mógł jednak z miejsca zawładnąć pieniędzmi. Musiały na razie trafić do twoich rąk, gdyż wcześniej mogłeś nabrać podejrzania, czy istotnie skradziono mu je podczas podróży. Ale kiedy już je miałeś, nie były ani chwili pewne. I

Ghani nie wahał się już długo, aby po nie sięgnąć. Muszę ci jeszcze powiedzieć, że obcy pielgrzymi to bardzo licha wymówka twego mniemanego dobroczyńcy.

‘I~raz opuścił Munedźiego bezruch, z jakim mnie dotąd shxchał.

- Przestań, effendi, przestań! To zbyt okropne, co mówisz! Na pewno się mylisz, musisz, musisz się mylić!

- Nie myślę się, Munedźi! Proszę cię, nie zaciskaj oczu przed słońcem!

- Więc nie jestem... nie jestem wyklęty przez szacha!... I to wszystko... wszystko... naprawdę jest tylko potwornym oszczerstwem...?

- ‘Pdk jest. Powiedz szczerze, czy w Mekce pr~ez wszystkie te lata mogłeś choć jeden jedyny raz bez przeszkód ro~mawiać z kimkolwiek bez świadków? Albo był przy tym Ghani, albo cię zamykano.

- Powiadał, że to konieczne, bo moi wrogowie są potężni i ręce ich sięgają daleko. A kiedy nie jestem zamknięty lub kiedy on sam nie jest ze mną, nie mógłby mnie obronić.

- Bzdura! Wymagało tego nie twoje, lecz jego bezpieczeństwo.

Przecież mogło się zdarzyć, że jakiś perski pielgrzym, który widział cię w ‘I~heranie, poznałby cię i uświadomił prawdziwy stan rzeczy. ‘I~mu należało za wszelką cenę zapobiec. Z tego też powodu zabrał cię ze sobą w tę uciążliwą, daleką podróż do Meszched Ali, chociaż przy swym kalectwie byłeś mu jedynie zawadą. Nie powinienes być pozostawać sam w Mekce! I nie myśl, że żyłeś na jego łasce! Ani przez chwilę nie byłeś tym, który coś otrzymuje, to ty byłeś dawcą, tylko ty. Wiem od Basz Nasira, że twój dobroczyńca w Meszched Ali otrzymał niejednokrotnie złotą monetę albo jakiś dar od ludzi, z którymi 28 wolno ci było obcować i którzy byli słuchaczami twojej historii. Zainkasował więc dużo pieniędzy. Sądzisz, że złotodajne źródło w mniejszym stopniu wykorzystywał w Mekce? Jestem przekonany, że Abadilah dopiero dzięki tobie stał się ghanim.

- Maszallah!... Tego... tego nie wiedziałem!

- I ‘ak, byłeś wykorzystywany w najbezczelniejszy sposób, aż się z nim zetknęliśmy i zdemaskowaliśmy go jako zbrodniarza. Wtedy ukazał ci swoje prawdziwe oblicze i w obawie, że go wydasz ukoronował swoje dzieło, pozostawiając cię na pewną zagładę. Czy po tym wszystkim, co ci powiedziałem, wciąż jeszcze uważasz go za swego dobroczyńcę?

Munedźi przez chwilę nic nie mówił, potem rzekł wolno:

- Effendi, jeśli mam uwierzyć w to, że tak istotnie było, jak mówisz, dusza moja pragnie płakać...

Ale jeszcze nie jestem przekonany. Podane przez ciebie powody to tylko przypuszczenia, effendi, potrzebne mi są dowody?

Niewiarygodne! ‘I~n niepoprawny marzyciel domagał się jeszcze dowodów, podczas gdy każdy rozsądny człowiek byłby już całkowicie przekonany. Byłoby to śmiechu warte, gdyby nie to, że Munedźi właśnie dlatego wydawał się podwójnie wzruszający, bo sięgnął po ostatnie źdźbło słomy, którego chciał się uchwycić.

- Żądasz ode mnie dowodów? Dowodów? Co wyobrażasz sobie jako dowody? Czy mam ci pokazać własnoręcznie podpisane przez szachin-szacha zaświadczenie, w którym cię wyraźnie zapewnia, że nie cofnął ci swojej miłości? Czy też mam za pomocą telegrafu, którego na pustyni niestety nie ma, żądać potwierdzenia, że perska policja nie interesowała się wcale twoją osobą?

- Wybacz mi, effendi! Ale trudno, ach, jak trudno uwierzyć w tę okropność. Przecież Abadillah uchodził za niezwykle pobożnego człowieka, za najpobożniejszego w całej Mekce.

- Możliwe! Lecz czy ta pobożność przeszkodziła mu skraść Kans el Adhai? A może sam wpadł mu w ręce, kiedy tak okrutnie wydał cię

29 na śmierć pozostawiając na pustyni? Czy nie sądzisz, że człowiek, który może popełnić tak haniebne czyny, zdolny jest także do popełnienia innych zbrodni? Poczekaj, aż dojedziemy do Mekki! Mam nadzieję, że tam znajdę to, co nazywasz dowodami. Ale to nasunęło mi pewne pytanie. Znasz w Mekce komnatę, w której leżą trzy dywany do modlitwy, dwa czerwone i jeden niebieski, przy czym ten ostatni ozdobiony jest złotymi wersetami Koranu? Ślepiec milczał przez chwilę, potem rzekł z całą powagą.

- Nie. Skąd przyszło ci do głowy to pytanie?

Dziwna sprawa! Munedzi sam, co prawda głosem Ben Nura, zwrócił moją uwagę na tę komnatę, a teraz twierdzi, że jej nie zna. Postanowiłem na razie nic jeszcze nie wyjaśniać.

- Poźniej ci powiem. Prawdopodobnie ma to jakiś związek z dowodami, których ode mnie żądasz.

‘I~raz chciałbym dowiedzieć się czegoś bliższego o życiu i zwyczajach Ghaniego. Czy on często wycho-dził?

- Nie. Kiedy przebywa w Mekce, jest prawie zawsze w domu.

Wprawdzie często robi wypadki w okolice miasta i do Dżiddy, ale nie dłużej niż na jeden lub dwa dni.

- Czy wyjeżdża na te wypadki sam, czy w asyście?

- Przeważnie sam. Czasem jeździł z nim jego syn Ben Abadilah, który umarł na pustyni.

Tb mnie zainteresowało. Co robił Ghani tak często poza miastem?

Poza tym było to dla jednego lub dwóch jeźdźców dość niebezpieczne. Przecież do niedawna jeszcze pustynne plemiona atakowały nawet duże i dość dobrze uzbrojone karawany pielgrzymów i to nawet w bezpośredniej bliskości Świętego Miasta.

- Czy Abadilah nie obawiał się grabieżców?

- Och, on posiada cudownego rumaka, dar wielkiego szarifa, którego jest ulubiecem. Poza tym zna pustynię jak kieszenie własnego burnusa.

W to ostatnie uwierzyłem mu bez zastrzeżeń. Tylko znakomity 30 znawca pustyni mógł, jak Abadilah, ważyć się opuścić zwykły szlak karawan i wyruszyć drogą wśród bezwodnej pustyni.

- A więc w domu prowadził bardzo odosobnione życie?

- I’ak. Powiedziałem już, że uchodzi za bardzo pobożnego. Bardzo ściśle przestrzega przepisów Koranu. Nigdy nie opuszcza obmywania czy modlitwy. By mu nie przeszkadzano w obrzędach, kazał wybudować w ogrodzie własny dom modlitwy, w którym często pogrążony w modłach spędza całe godziny. Wtedy nikomu nie wolno mu przeszkadzać, bo Abadilah mówi, że to wielki grzech przerywać mu rozmowę z Allahem.

Ghani pogrążony całymi godzinami w modłach? Nie mogłem w to uwierzyć.

- Czy byłeś choć raz w tym domu modlitwy?

- Nie. Ghani surowo zabronił wszystkim, także mnie, tam wcho-dzić. Powiada, że to wyłącznie jego świątynia.

Nastawiłem uszu. To, że Abadilah kazał sobie wybudować własny dom modłów, wydało mi się dziwne, ale jeszcze nie podejrzane. Ale że zabronił tam wstępu wszystkim, to mnie zaskoczyło. A więc zapewne miał coś do ukrycia, czego nikt nie śmiał się dowiedzieć. A jeśli to była owa komnata z trzema dywanami do modłów? Wówczas nie byłoby wcale trudno znaleźć rozwiązanie zagadki, o której mówił Ben Nur. Nic o tym nie powiedziałem Munedziemu, ale postanowiłem zwrócić baczność uwagę na ten szczególny dom. Na razie jeszcze było do tego daleko. Musiałem się zająć starym ociemniałym człowiekiem, który tu przede mną siedział. I wtedy do głowy przyszła mi nagle myśl, która w pierwszej chwili wydała mi się niesamowitą, ale może właśnie dlatego podwójnie kuszącą. Czy nie byłoby możliwe przywrócić wzrok temu ślepcowi? Od początku przypuszczałem, że jego ślepotą jest skutkiem nadmiernego używania tytoniu. Nie wiadomo tylko, czy zatrucie nie było już zbyt silne, by uleczenie stało się możliwe. Ale można było spróbować, gdyż nie był on całkowicie ślepy. Munedzi kiedyś powiedział, że przedmioty bardzo bliskie rozpoznaje jako 31 cienie o zamglonych zarysach. Może więc jednak było możliwe zahamowanie, w ostatnim stadium rozwoju, choroby oczu i prawie zani-kłemu nienowowi ocznemu dodanie nowych sił? Czy taki sukces nie byłby cudownym ukoronowaniem procesu uzdrowienia, jaki łaska Boża w duszy biedaka doprowadziłaby do szczęśliwego końca? Myśl ta po prostu mnie uskrzydliła i nie zawahałem się ją zreali-zować.

- Munedzi - rzekłem nagle - czy nie chciałbyś odzyskać wzro-ku?

Ślepiec drgnął. Nie spodziewał się takiego pytania.

- Co masz na myśli?

- 'Ib, że może, ale tylko może, mógłbyś odzyskać wzrok, gdybyś był gotów uczynić to, czego od ciebie zażadam.
- Effendi, gdyby to powiedział ktoś inny, roześmiałbym mu się w twarz lub pomyślałbym, że kpi sobie ze mnie. U ciebie to jednak wykluczone. Dlatego pytam, czego ode mnie żadasz?
- Zanim zadam ci następne pytanie, Munedzi, powiedz, czy uwa-żasz, że nasze spotkanie na pustyni było czystym przypadkiem?
- Nie. Wiem, że wszystko przeznaczone jest ludziom przez kismet.
- 'Iiikże ja nie wierzę w przypadek. Sądzisz, że to przyjazny czy też wrogi kismet sprawił, że mnie spotkałeś?
- Jak możesz pytać, effendi? Bez ciebie byłbym zginął.
- Tb chciałem wiedzieć. A teraz posłuchaj ! Ja także nie wierzę, że to przypadek, iż wpadło mi na myśl, że twoją ślepotę spowodowało zbyt nadmierne palenie tytoniu. Nie umiem ci tego wytłumaczyć tak, jak to czuję, jest to jakby niejasne uczucie, przeczucie, że mógłbym ci pomóc. I dlatego proszę cię, przestań palić!
- Effendi, czy wiesz, czego ode mnie wymagasz? Palenie stało się moim zwyczajem, to jedyna przyjemność, jaka mi w życiu pozostała. I trudno by mi było spełnić twoją prośbę.
- Wiem. Ale spełnienie tej prośby dotyczy nie mojego, a twojego dobra. Co prawda, jeśli złożysz tę ofiarę, nie będę ci mógł nic przyrzec

32 na pewno, mogę tylko rzucić na szalę przypuszczenie. Ale mimo to proszę cię, spełnij moje życzenie, złóż Allahowi tę ofiarę. A jeśli nie spełni twej prośby, to tym bardziej spodoba mu się ten akt skruchy.

- Skruchy...?
- 'Pdk, skruchy za wielki grzech, jaki popełniłeś. Powiedziałem ci już, że żaden człowiek nie może utracić spokoju swego serca bez własnej winy. Wiem teraz, Munedzi, że nigdy nie znałeś spokoju, którego utrata tak cię unieszczęśliwia.
- Powiadasz... że... nigdy nie posiadałem... spokoju?
- Nie - odparłem twardo. - Przypominasz sobie, o Munedzi, że zadałeś mi kiedyś pytanie, czy potrafię kochać? Odpowiedź moja nie zadowolila cię. 'I~raz natomiast ja cię pytam. Twierdzisz, że umiesz kochać? Czy aby naprawdę? Nie musisz mi odpowiadać, znam na to odpowiedź. Nie kochasz i nigdy nie kochałeś.

Mówiłem specjalnie surowo, prawie ostro, ponieważ uważałem za konieczne uwolnienie go od tkwiącej w nim zarozumiałości. Jeśli ten człowiek miał ozdrowieć, musiał zatopić w sobie wzrok, nawet gdyby ta uzyskana tym sposobem wiedza o samym sobie sprawila mu b61. Istotnie, moje słowa zdawały się dotknąć go boleśnie, ponieważ usi-łował cofnąć swoją dłoń z mojej, ja jednak mocno ją trzymałem.

- Munedzi, posłuchaj, posiadasz serce pełne skarbów. Wszystko piękno i dobro, które tam tkwi, wraz z sercem ofiarowałaś ludzkości. Ale czyniąc to jedną ręką, wyciągałeś zarazem drugą

żądając w zamian nagrody w postaci wzajemności, niby właściciel kawiarni, który jedną ręką podaje filiżankę pachnącej kawy, a drugą przyjmuje pieniądze. A kiedy ludzie przyjmowali z twojej prawej ręki kawę, ale lewą, żądającą zapłaty, odtręcali, wówczas obrażony, cofałeś obie ręce.

Darowałaś natomiast jednemu, jednemu człowiekowi swoją duszę, należąca do całej ludzkości. I tego jednego człowieka obdarzyłeś taką czcią, na jaką człowiek nigdy nie może sobie zasłużyć. I dziwisz się, że Allah cofnął swoją dłoń, pozwalając i spokojnie przyglądając się, jak w osobie uwielbianego opiekuna musiałeś przeżyć największe

3 - *W podziemiach Mekki 33*

rozczarowanie twojego życia? Czy miłość twoja była naprawdę jedną, niepodzielną, boską iskrą płonąca nad całym światem? Czy też jedynie ubóstwianiem, kultem idola, ku czci jednego

jedynego człowieka? A, że ten jeden okazał się później człowiekiem złym, nie ma nic do rzeczy. Grzech twój byłby taki sam, gdybyś obdarzył miłością najbardziej godnego i zasłużonego ze wszystkich. Gdyby była w tobie miłość prawdziwa, nie tylko byś nią obdarzał, lecz też nią żył, i nie zwątpiłbyś w Allacha. Ponieważ prawdziwa miłość niczego się nie spodziewa i niczego nie pragnie, jak mówi Biblia chrześcijan. Miłość, która wlaś-nie dlatego nie zna rozczarowań, gdyż tylko ona prowadzi do Boga. Bóg sam jest miłością i w Bogu jest pokój. Rozumiesz teraz, czemu twierdzę, że nigdy nie było w tobie miłości i pokoju? Ponieważ jedno i drugie jest ze sobą nierozzerwalnie powiązane. Munedzi szachał uważnie. Teraz siedział długo zatopiony w sobie. Co działo się w jego duszy? Czy z fermentu wewnętrznego wyklaruje się zrozumienie? Wreszcie przerwał milczenie i zaczął mówić po cichu.

- Bóg jest miłością... i Bóg jest pokojem... Effendi, sło va tve mają gorzki smak. Mógłbym gniewać się na ciebie, a jednak nie mogę, czuję bowiem, że masz rację, całkowitą rację. I twoje porównanie z właści-cielem kawiarni jest słuszne. Ku mojemu wielkiemu bólowi rozumiem teraz, jak wielka, jak niesłychanie wielka była moja pycha, nigdy bowiem nie przekroczyłem początków obdarowywania miłością. 'I~raz wiem, że ta pycha rzuciła mnie w stronę Ghaniego, to on osobiście jest winą, w którą nie chciałem uwierzyć, a co teraz tak przeraźliwie jasno widzę. I dlatego moim przyszłym zadaniem życiowym, jeśli Allah podaruje mi jeszcze niezbędne lata, będzie ten grzech wyma-zać. Muszę szukać prawdziwej miłości, o której mówiłeś w tak pod-niosłych słowach, a która była dla mnie księgą zamkniętą na siedem pieczęci. Tbbe, effendi, zawdzięczam to późne poznanie, takjakwiele innych rzeczy. Jak mam ci to wynagrodzić, nie wiem. Jestem ubogim, ślepym człowiekiem, zdanym jedynie na twoją dobroć. Pragnę

34 jednak spróbować. A pierwszym znakiem mojej wdzięczności niech będzie spełnienie twojej prośby. W przyszłości zrezygnuję z palenia tytoniu. Oby Allah sprawił, że nadejdzie dziefi, kiedy będę mógł podziękować ci w całkiem innym sposob.

Bogu dzięki! - omal nie wykrzyknąłem tych słów. Ostre cięcie, jakiego dokonałem na chorej części jego duszy, udało się. I to lepiej nawet, niż śmiałem się spodziewać. Byłoby mi ogromnie przykro, gdyby ta szlachetna, poszukująca Boga dusza przeniosła naturalną i zrozumiałą niechęć do sprawiającego ból noża na mnie, lekarza. Nie uczynił tego i chwala mu za to. Niewielu ludzi potrafi wysłuchać upokarzającą prawdę z ust innych, nie czując się przy tym głęboko dotkniętym w swojej dumie.

Dlatego też mocno uścisnąłem dłofi ślepeca i rzekłem:

- Nie wspominaj o wdzięczności, Munedzi! Ale podziękuj Alla-chowi, że za moim pośrednictwem rozjaśnił twój umysł. Poznając swoją prawdziwą wartość, sam się wyzwoliłeś. Nie muszę ci mówić, kim jest wróg, który trzymał cię w mocniejszych okowach niż sam Ghani, twój mniemany opiekun. Tb dobrze, że go rozpoznałeś! W ten sposób uczyniłeś pierwszy krok, który poprowadzi cię ku nowemu dniu, ku światłu. Powiedziałeś dziś, nie, to było wczoraj, ponieważ dawno minęła północ, że skazany na śmierć i zgubę czułeś w sobie całe piekło przerażenia. Ale to był błąd, na szczęście, Munedzi! Nie wie-działeś, że jeszcze istniała dla ciebie nadzieja. Piekło bowiem nie zna nadziei, inaczej nie byłoby piekłem. Dlatego bądź dobrej myśli! Ió, co teraz tak boleśnie gnębi twoją chorą duszę, nie jest pozbawioną wszelkiej nadziei nocą piekielną, ale oczyszczającym płomieniem czyścica. Gwiazdy zbladły, na skraju pustyni ukazują się zorza nowego dnia. Udajmy się na spoczynek, Munedzi, abyśmy żeścy i z nowymi siłami mogli spojrzeć w jej promienne oblicze. Niech Allah obdarzy cię światłem, dziefi dobry!

Niebo i piekło

- Bądź pozdrowiona Mekko el Mukarrame! Święta Mekko! Lab-bel~ Labbek, jestem tu, jestem tu! 'Pak wita zmęczony pielgrzym miasto proroka, kiedy po długiej, pełnej trudów i niebezpieczeństw drodze ujrzy z dala sześć minaretów i sto pięćdziesiąt dwie miniaturowe kopuły el Haram, głównego meczetu. Zawiera bowiem to miasto cel jego myśli, tęsknotę jego marzeń, największy skarb islamu, BeitAllah, dom Boży, świętą Kaabę. Płacząc i szlochając rzuca się on w swojej

pokrytej kurzem pielgrzy-miej szacie w brud ulicy i cahzej ziemię, po której chodził prorok. Potem unosi rozpostarte dłonie do góry i odmawia modlitwę przepi-saną na tę chwilę.

OAllachu! Tam jest twoja twierdza obronna, tam jest twoja świętość~ Kto tam wejdzie, jest ocalony O powstrzymuj z dala od mojego ciała i krwi, od moich kości i skóry ogień piekielny! Błagam cię o to, jesteś bowiem Allaechem, miłosiernym, dobrym, z nikim nieporównywalnym. Miej litość nad naszym Panem, Mahometem, twoim prorokiem i nad jego następcami, nad jednym i nad wszystkimi!

Potem wstaje z klęczek i z nigdy dotąd nie znanym uczuciem 36 w piersi, przebywa modląc się ostatni kawałek drogi, która go dzieli od Mekki i jej świętych miejsc, aby potem niezwłocznie odbyć pier-wsze rytualne obejście.

Mekka! Oto leżała przede mną, zakazana, niebezpieczna, która już raz omal nie doprowadziła mnie do zguby. Jak dzisiaj, po dwu-dziesięciu latach przyjmie obcego przybysza w swoich murach? 'I~raz, po wieloletnich przygotowaniach, po zapoznaniu się ze zwyczajami i tradycjami islamu, uświadomiłem sobie jakim niebezpiecznym przed-sięwzięciem, jaką lekkomyślnością z mojej strony było wówczas wstą-pienie do tego miasta! Po prostu nieodpowiedzialna lekkomyślność!

Byłem dopiero krótki czas na Wschodzie i powinienem był powie-dzieć sobie, że nie mogę uchodzić za prawdziwego muzułmanina, a odwiedzenie tego miasta oznacza grę ze śmiercią. Niewtajemniczony nie ma pojęcia, jakiego ogromu pilności i najostrożniejszego zmysłu obsenwacji wymaga zdobycie potrzebnych do tego wiadomości. By przytoczyć jeden z wielu przykładów, do których prawowierny muzuł-manin przykłada szczególną wagę, a Europejczyk musi znać, jeśli nie chce od razu wzbudzić sprzeciwu lub podejrzania: chodzi mianowicie o wypicie szklanki wody. Dla mieszkańca Zachodu to najzwyczajniejsza rzecz, ale muzułmanin musi tu wziąć pod uwagę co najmniej pięć przepisów. Po pierwsze, prawdziwy wierny musi tak mocno ująć szklanekę, jak gdyby chciał pięściami udusić śmiertelnego wroga. Za-nim podniesie napój do ust, powinien powiedzieć: - Bismillahi

-rachmani -rachim. Po trzecie, musi wypić całą szklanekę nie odry-wając jej od ust, a potem wydać pomruk oznaczający zadowolenie. Odstawiając zaś szklanekę musi zawołać - Hamdulillah! 'I~n wyraz wdzięczności jest zrozumiały, jeśli się weźmie pod uwagę, co oznacza napój taki jak woda na upalnej pustyni. I j eśli w koficu, jakiś towarzysz podróży lub inny człowiek wypowie słowo, „na zdrowie! „, powinien odpowiedzieć, „niech Bóg ci błogosławi!” Nie są to jeszcze wszystkie przepisy, których należy przestrzegać podczas picia. Życzliwy czytelnik zrozumie więc mnie, jeśli powiem, że na widok 37 leżącego przede mną świętego miasta Mekki miałem uczucia bardzo mieszane. Sądziłem co prawda, że uczyniłem wszystko, co leżało w mocy ludzkiej, by zabezpieczyć się przed zdemaskowaniem, ale mimo to nie byłem jeszcze całkiem bezpieczny. Chciałbym poznać człowie-ka, który potrafiłby przewidzieć wszystko z góry! Poza tym istniała pozycja, którą musiałem uwzględnić w moich kalkulacjach: Ghani! Co prawda nie obawiałem się go, sądziłem raczej, że mam go w ręku. Wyobrażałem sobie, że podczas nieprzyjacielskiego spotkania za-przeciży, jakoby skradł Kans el fYdhai, ale posiadałem dowód, o którym nie wiedział - Munedźiego. Z całą pewnością myślał, że człowiek ów już od dawna stał się łupem szakali pustynnych. Dlatego mogłem spokojnie i pełen dobrych myśli patrzeć w przyszłość. Mój pierwszy pobyt w Mekce był tak krótki, że oszczędziłem sobie opisu świętych miejsc. Teraz miałem to nadrobić. Największa świę-tość islamu, święta Kaaba, unosi się pośród rozległego ogrodzenia mającego kształt prostokąta mniej więcej dwustu pięćdziesięciu kro-ków długości i dwustu szerokości. Stronę wschodnią tworzą cztery rzędy kolumn, podczas gdy pozostałe strony mają tylko trzy. Dach składa się z trzech rzędów małych kopuł pokrytych gipsem i pobielo-nych. Kolumny mają mniej więcej siedem metrów wysokości i półtora metra średnicy, cztery piąte z nich są z marmuru, reszta z granitu, jaki wydobywa się w pobliżu Mekki.

Kilka bardzo pięknych kolumn z czerwonego porfiru stanowi wyjątek i podobno zostały przywiezione z Egiptu. Pośród tych setek kolumn nie ma dwóch o takich samych kapitelach lub cokołach. Pierwsze ukazują przeważnie złą saraceńską robotę, kilka należało dawniej do innych budynków i zostały przez niezręcznych rzemieślników wstawione odwrotnie, tak że części górne znajdują się na dole. Na niektórych cokołach znać dobrą grecką robotę. Bruk składa się z ułożonych zwyczajnie kamieni. Pośrodku tego placu otoczonego prostokątem z kolumn wznosi się Kaaba. 'Iworzy masywną budowlę mniej więcej pięćdziesięciometrowej długości i dwunastometrowej szerokości, wysokość wynosi 38 dwanaście do trzynastu metrów. Dach jest płaski, co nadaje Kaabie kształt kostki. Jedyne wejście do środka znajduje się od strony wschodniej, mniej więcej dwa metry nad ziemią, oba skrzydła drzwi wyłożone są połączanymi płytami ze srebra. Wierni dostają się do tego wejścia po drewnianej drabinie poruszającej się na czterech dużych kołach, która zazwyczaj stoi w pobliżu studni Sem-Sem. Cała budowla pokryta jest ogromnym woalem z czarnego jedwabiu, kisua, co nadaje jej dziwny, przypominający śmierć wygląd. Pokrycie to zmieniane jest za każdym razem, kiedy na tronie zasiada nowy sułtan. Wnętrze tej słynnej świątyni jest niezwykle proste i nie odpowiada spodziewanym oczekiwaniom. Podłogę tworzą marmurowe płyty o różnych barwach podobne do szachownicy. 'Ihkże ściany wyłożone są marmurowymi płytami o nieregularnych kształtach i w wielu miejscach widać na nich długie napisy. Górne części murów i sufit obciążone są czerwoną adamaszką, o rozsianych na nim złotych kwiatkach. 'I~n adamaszek zaczyna się mniej więcej dwa metry nad ziemią, by nie mogły go dotykać ręce pielgrzymów. Pod sufitem umieszczono, jako podpory, trzy poprzeczne belki, których trzy kolumny z drzewa aquila pokryte rzeźbami służą jako dźwigary. W jednym kącie są małe drzwi zwane furką skruhey, prowadzą one do schodów, którymi można dostać się na dach, ale rzadko się je otwiera. W drugim kącie stoi rodzaj kufra, w którym przechowuje się klucze do Kaaby. Na wysokości trzech metrów umocowane są między kolumnami metalowe drągi, na których wiszą liczne lampy. Jest to cały martwy inwentarz świętej Kaaby. Żywy składa się z... setek tysięcy pcheł, które wśród fałd kisua i adamszkiowego pokrycia cieszą się bezpiecznym istnieniem, ponieważ nikomu nie wpadłoby do głowy urządzić na nie polowanie. Bo przecież podczas hadżdżu zabrania się każdemu pobożnemu pielgrzymowi zabijać zwierzęta, a nawet nie wolno zmuszać ich do ucieczki. Ten przepis sięga tak daleko, że nie wolno drapać się palcami tylko płaską dłonią, bo inaczej mogłoby przydarzyć się nieszczęście, zabicie pasożyta. Niech Allah tysiącrotnie błogosławi proroka za 39 ten ludzki przepis!

Niedaleko drzwi, w południowo-wschodnim kącie Kaaby wprawiony jest w mur słynny Czarny Kamień, który aniołowie przynieśli Abrahamowi, gdy budował świątynię. T~n kamień stanowiący od najdawniejszych czasów przedmiot czci Arabów, ma kształt nieregularnego owalu o przekroju około dwudziestu centymetrów i wygląda, jak gdyby był rozbitym mocnym uderzeniem na kawałki, które zebrano i dokładnie skleiono zaprawą murarską. Jest ciemnobrązowy, prawie czarny, i otoczony złotym pierścieniem. Kamień jest od wielu lat tak wygładzony przez miliony pocałunków, że trudno ustalić jego składniki mineralne. Niektórzy sądzą, że jest to kawałek lawy, ale prawdopodobnie jest to aerolit.

W zachodniej stronie muru znajduje się inny kamień, któremu pielgrzymi też oddają cześć, jest to el Mustaszab, kamień modlitwy. Wiernym nie wolno go jednak całować, tylko dotykać ręką. Na dole we wschodniej stronie muru podłoga jest trochę wklęsła i wyłożona marmurem. Jest to miejsce wymieszania, el Madżem, ponieważ tam Abraham i jego syn Ismail mieszały glinę potrzebną im do budowy. Miejsce to zwane jest także Mekam Dżibrail, miejscem Gabriela, ponieważ archanioł przekazał tam prorokowi Mahometowi nakaz odmawiania pięciu modlitw dziennie. U stóp północnego muru dwie zielone płyty kamienne wskazują pośrodku bardzo pięknego bruku mozaikowego miejsce grobów Ismaila i jego matki Hagar. Uchodzi za czyn wielce chwalebny pomodlić się tutaj. 'Ihn podwójny grób otoczony jest półkolistym murem, el Hatim. Według przekazów miejsce to należało kiedyś do Kaaby, ale podczas przebudowy zostało

wydzielone. Jakkolwiek bądź, modlitwy odmawiane w el Hatim uchodzą za równie ważne, jakby je odmawiano wewnątrz Kaby. Dlatego też pielgrzym, który nie mógł dostać się do świątyni, ale pomodlił się w el Hatim, może z czystym sumieniem przysiąc, że modlił się, w domu Bożym. Do Kaaby przylegają liczne budynki boczne. Są to cztery mekamy, 40 czyli miejsca, gdzie stoją imami czterech prawowiernych sekt: hanifi-tów, szafaitów, hanbalitów i malekitów, kiedy odmawiają modlitwy. Niewielkie altany otwarte są na wszystkie cztery strony. Mekam el Szafei zawiera jednocześnie studnię Sem- Sem. Jest masywniej zbudowany niż pozostałe mekamy, a komnata, w której znajduje się studnia, jest bogato zdobiona różnokolorowym marmurem. Pielgrzymi, którzy chcą się napić bardzo gorzkiej wody z tego źródła Hagar, podają swoje miski przez zakratowane okno, ponieważ otwór studni jest otoczony niemal dwumetrowej wysokości murem, na którym stoją słudzy studni czerpiący wodę skórzanymi wiadrami. Na południowy wschód od Sem- Sem widać dwa małe kwadratowe budynki z kopułami, których ciężka konstrukcja jest przeciwieństwem lekkiej delikatnej budowy mekamów. Te kobbateiny, pomieszczenia, w których przechowuje się przekazane przez pobożnych mużłmanów książki oraz darowane przez Konstantynopol zegary i chronometry.

Pomiędzy Kaabą a Bab es Ssalam, wrotami powitalnymi, położony jest el Mekam Ibrahim, siedziba Abrahama, lekki domek spoczywający na sześciu słupach. Tutaj przechowuje się kamień, na którym stał Abraham, kiedy budował mury świątyni. Tutaj mekam uchodzi za święty i zawsze klęczą przed nim wierni, którzy błagają Abrahama o wstawienie u Allacha, ponieważ Abraham uważany jest przez mużłmanów za poprzednika Mahometa. Samo Bab es Ssalam jest to półokrągły łuk, nie należy jednak mylić tego łuku z wielką główną bramą meczetu, noszącą tę samą nazwę. Hadzi, który po raz pierwszy odwiedza BeitAllah, musi przejść przez obie bramy powitalne, a kiedy przechodzi przez drugą, musi wyrzec te słowa: O Allah, spraw, aby ten wstęp był dla mnie pomyślny! Obok el Mekam Ibrahim stoi mimbar, zbudowana z białego marmuru i ozdobiona rzeźbami kazalnica, nad którą wznosi się rodzaj baldachimu z polowanego metalu. El Haram, meczet, ma dziewiętnaście bardzo nieregularnie rozmieszczonych drzwi wejściowych. Nigdy nie są zamykane i mieszkańcy 41 Świętego Miasta chwalą się przed obcymi, że Kaaba zawsze, w dzień i w nocy, przyjmuje wiernych.

Historia Beit Allah gubi się w mrokach czasów, lecz przekazy mówią o nie mniej niż dziesięciokrotnej budowie i przebudowie. Allah postanowił zbudować dla ludzi świątynię już na dwa tysiące lat przed stworzeniem świata. Tutaj niebiańska świątynia stworzona przez Allacha składała się z czterech słupów z jaspisu i miała dach z rubinów. Kiedy była gotowa, natychmiast otoczyli ją aniołowie i wołali:

„Niech będzie uwielbiony Allah! Nie ma Boga nad Allacha!” - Następnie odprawili modły, które wierni odprawiają do dziś. Druga świątynia stała za czasów Adama i znikła, gdy Adam umarł. Później Allah nakazał Abrahamowi i jego synowi Ismailowi zbudować na tym miejscu trzecią świątynię. Anioł Dżibrail przyniósł Hadzar el Aswad, Czarny Kamień, który Abraham umieścił tam, gdzie zaczyna się tawaf. Anioł nauczył też patriarchę wszystkich rytuałów, jakich pielgrzymi powinni przestrzegać. Kiedy Abraham ukończył budowę świętej Kaaby, wspinał się na rozkaz Allacha na Dżebel Sabir, aby stamtąd oznajmić całemu światu, że ludzie powinni odwiedzać święte miejsce. I wszyscy mieszkańcy Ziemi usłyszeli go. Później, gdy za czasów Mahometa Kaabę dotknęła powódź, która spowodowała, że duża część murów runęła, koreiszyci, do których należał Mahomet, odbudowywali świątynię. Kiedy rozpoczynali odbudowę, prorok miał dwadzieścia pięć lat. Załagodził spór, który wybuchł pomiędzy różnymi plemionami z powodu Czarnego Kamienia, kładąc go na dywanie, na którym cała starszyzna musiała wspólnie położyć ręce, podnieść go i ułożyć na miejscu, gdzie się teraz znajduje. Potem Kaaba, którą nawiedzały pożary i wojny, była na nowo budowana i przebudowywana, aż wreszcie po ucieczce Mahometa z Mekki do Medyny, co dało początek erze mahometafiskiej, otrzymała swój obecny kształt.

Należałoby sądzić, że świętość tego miejsca, które cieszy się niesłychaną czcią wiernych, udzieli się chociażby trochę mieszkańcom 42 Mekki. 'Ihk jednak się nie stało. Oni, tak dumnie nazywający się sąsiadami Allacha, są o wiele bardziej zdeprawowani niż mieszkańcy innych miast Wschodu. Istnieje także przysłowie, które mówi, że w obu ~świętych miastach, Mekce i Medynie, mieszka diabeł. Jak to jest możliwe, trudno zrozumieć, bo podobno dobre uczynki w Mekce nagradzane są w niebie tysiącrotnie. Co prawda Omar także twierdził, że jeden grzech popełniony w Świętym Mieście doznaje siedemdziesięciokrotnej kary. Jakkolwiek jest, pielgrzymom na ogół zabrania się przebywania w Mekce dłużej, niż tego wymaga rytuał religijny. I to ze słusznych powodów, ponieważ podczas wielkich emocji następuje bardzo szybko kontrreakcja. Muzułmanin, który po raz pierwszy widzi Beit Allah, doznaje głębokiego wzruszenia, a mija świątynię obojętnie, kiedy widuje ją codziennie przez wiele miesięcy. A cóż dopiero mutawwif, przewodnicy, którzy podczas okresu pielgrzymek nawołują wszystkich, aby przestrzegali najdrobniejszych form. Oni należą do ostatnich, którzy w życiu prywatnym przestrzegają tych

form. „Niech Ailach mi wybaczy, ale mam dość wielkiego meczetu „, powiadają i nawet mimo znacznie mniejszej nagrody w niebie odmawiają swoje codzienne modły w domu zamiast ze wspólnotą w meczecie.

Mekkańczyk jest skąpy i zarazem rozrzutny. Z tym, co łatwo mu przychodzi, obchodzi się lekkomyślnie. Zapłaty, roczne wynagrodzenia i podarki wszelkiego rodzaju dostarczają mu wielu środków i dlatego prowadzi życie próżniacze. Wydatki na wesela, obrzędy religijne, gospodarstwo domowe są wysokie. Mieszkanie urządzają z możliwie największym przepychem. Często świętuje, a przyjęcia, jakie urządzają kobiety, kosztują wiele. Obywatel Mekki często zaciąga pożyczki, które ma nadzieję spłacić z zysków uzyskanych w czasie pielgrzymek. Jeśli jest zręczny i ma szczęście, wszystko się udaje, zwłaszcza gdy zdarzy mu się okazja wykorzystać bogatego pielgrzyma. Jeśli tak się nie trafi, znajdzie się w bardzo złej sytuacji, ponieważ za pożyczone pieniądze musi płacić pięćdziesiąt procent od stu. Rzuca 43 się w oczy próżniactwo mekkaficzików. Uważają się za kwiat, za elitę ludzkości i chwalą się przy każdej okazji swym świętym pochodzeniem. Przy tym nie brak im pewnej dobroduszości. Są uprzejmi, mają poczucie honoru, cechuje ich odwaga, przywiązanie do rodziny i miłość do ojczyzny.

Nasze odwiedziny u Beni Lamów zajęły nam więcej czasu, niż początkowo przewidywaliśmy. Wciąż od nowa Abd el Darak znajdował pretekst, by przesunąć czas odjazdu. Właściwie chętnie godziliśmy się na gościnność tych zacnych ludzi, ponieważ widzieliśmy, jaką radość sprawiamy im naszym pobylem. Wreszcie jednak nie mogliśmy dłużej odkładać naszego odjazdu, jeśli mieliśmy dotrzeć do Mekki jakiś czas przed przybyciem wielkich karawan pielgrzymów. Sądziłem, że Pers Khutab Aga teraz się z nami rozstanie, by ze swym odzyskanym skarbem, który szejik Beni Lamów mu zwrócił, udać się w podróż powrotną. Lecz na dzień przed ostatecznie postanowionym odjazdem przyszedł do mnie i rzekł:

- Effendi, mam prośbę i mam nadzieję, że ją spełnisz. Weź mnie ze sobą do Mekki.

Prawdę mówiąc, mimo że bardzo Persa polubiłem, nie było mi to na rękę. Myślałem o Ghanim, który nam wszystkim groził zemstą. Jego, szyitę, nie posądzałem o zbytnią przezorność i rozsądek, które w Mekce, miejscu największego fanatyzmu religijnego, były konieczne.

- Chętnie bym spełnił twoją prośbę, - odparłem - ale weź pod uwagę, że narażasz się na największe niebezpieczeństwo. Basz Nasir uśmiechnął się tylko.

- A czy ty, chrześcijanin, nie narażasz się na jeszcze większe niebezpieczeństwo, effendi? Czemu nie wolno mi odwiedzić Mekki, która i dla nas, szyitów, jest wielką świętością? Wielu moich współ-wyznawców rokrocznie pielgrzymuje tam i nie dzieje im się żadna i krzywda, jeśli nie zachowują się wyzywająco.

-Jesteś tego pewien? Sądzę, że ty masz szczególny powód trzymać 44 się z daleka od Mekki, a ten powód to Ghani.

- Po tym, co zaszło, już się go nie obawiam, effendi. Mam niezło-mną wolę udać się z wami i jeśli mi nie pozwolisz, będę jechał za karawaną sam jeden.

Na to w żadnym razie nie mogłem pozwolić, toteż ku wielkiej radości Persa, zgodziłem się. Dla Munedziego poprosiłem szejka Beni Lamów o tachtzrewan do dalszej podróży. Zresztą podczas naszego dwutygodniowego pobytu u gościnnych przyjaciół doszedł częściowo do zdrowia. Nazajutrz po naszej nocnej rozmowie wziąłem go na leczenie. Choć nie składałem egzaminu jako okulista, sądziłem, że w tym wypadku idę w dobrym kierunku. Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że sam zakaz palenia to jeszcze nie wszystko, na początku musiałem się nawet liczyć z tym, że przyzwyczajony do palenia organizm ślepcy odczuje kurację bar-dzo niekorzystnie. Musiałem temu zapobiec, zalecając ślepcowi obfi-te i wzmacniające pożywienie. Co prawda nie było to dla mnie takie łatwe - jako że nigdy nie miał on apetytu - przekonać go, że zalecenie to jest konieczne i skłonić, by regularnie jadał posiłki. Ale to, czego mnie się nie udało, potrafiła Hanneh, którą mianowałem pielęgniarką. Miłe słowa z jej ust wystarczyły, by ślepiec odważnie, choć z trudem, połknął podaną mu strawę. Nie wiem, czy jakiś okuli-sta zgodziłby się z naszą kuracją, ale nie znałem lepszej, i ta... zadzia-łała, na razie co prawda tylko jeśli chodzi o ogólny stan zdrowia. Nabierał ciała. Jego dawne oblicze podobne do trupa nabierało kolo-rów. A po upływie tygodnia uznałem, że pokonał cielesny stan kryty-czny. Dawny, stały brak apetytu przeszedł w istny wilczy apetyt, tak że nie mógł się już doczekać czasu posiłku. Jednocześnie stwierdziłem pierwsze korzystne objawy w jego oczach. Dotychczasowa czarna zasłona, która pozwalała mu widzieć najbliższe przedmioty tylko w słabych zarysach, przybrała barwę czerwoną. Żrt,nice znów zaczęły reagować na światło słoneczne, tak że w ciągu dnia r.msiałem chronić oczy ślepcy opaską, którą dopiero wieczorem, po zapadnięciu 45 zmroku, wolno mu było zdjąć. Poza tym zaleciłem, chcąc zapobiec zapaleniu spojówek, by Hanneh kładła mu co dwie godziny wilgotny okład na oczy. Wiedziałem, że moja kuracja była bardzo amatorska. Lekarz europejski na pewno pokiwałby głową z powątpiewaniem. Wiedziałem także, że w wypadkach takich i podobnych chorobach oczu zalecano zastrzyki strychniny. Ale skąd w środku pustyni wziąć strychninę? Miałem nadzieję, że się bez tego obejdzie. Chory poza zatruciem nikotyną miał silny organizm, więc spodziewałem się, że to zrekompensuje niedostatki mojego leczenia.

Ślepiec przyjmował wszelkie dowody sympatii z gorącą wdzięczno-ścią. Jak gdyby ogarnęło go dobroczynne znużenie, któremu poddał się bez oporu. Spostrzegłem, że okresy, kiedy jego dusza była nieobe-cna w ciele, nie zdarzały się tak często jak dawniej i uważałem to za dobry objaw. Szczególnie zadowolony, wręcz szczęśliwy wydawał się w pobliżu Hanneh, swojej pielęgniarki. Kiedy mówiła, nasłuchiwał, skąd docho-dzi jej głos, a kiedy jej łagodna dłoń troszczyła się o niego, na twarzy jego malował się blask szczęścia. Pod względem psychologicznym jego uczucie zadowolenia było zupełnie zrozumiałe. 'Pak długo musiał obywać się bez czulej troski kobiecego serca, że teraz odczuwał to jako coś zupełnie nowego i poddawał się jej jako dobrodziejstwu czy też łaskawemu darowi Allacha. Ja sam uważałem troskę o ślepcę za pewnego rodzaju misję, nakaz opatrności, która nas ze sobą zetknęła i z całą sumiennością usiłowałem zrobić wszystko; co w mojej mocy. I kiedy w dwa dni po wyruszeniu od Beni Lamów podszedłem do ślepcy, by zdjąć mu opaskę, ogarnęło mnie nieopisane uczucie szczę-ścia, gdy Munedzi nagle zawołał:

- Allachu, zniknęła czerwona zasłona i wydaje mi się... że... nie, że naprawdę cię widzę, co prawda niewyraźnie, jakby przez jasny abażur, widzę twoją postać, twój haik i... o Allachu..., Allachu, chyba widzę nawet twoje oczy, twoje oczy...

W tej chwili najchętniej uściskałbym Munedziego i rozplakał się z 46 radości, rozplakał się jak dziecko uszczęśliwione, że spełniło się naj-tajniejsze marzenie jego życia. I jestem pewien, że mój Halef i Heddedihnowie czuli podobnie. Bo aż rzucało się w oczy, z jaką troskliwością odnosili się do ozdrowieńca i jak robili wszystko, by ułatwić mu niedogodności podróży. Obcy, znaleziony na pustyni człowiek stał się ośrodkiem, dokoła którego toczyło się życie całego obozu. Kiedyśmy

wyruszali, dostawał wielbłąda, który miał najłżejszy chód, kiedy się zatrzymywaliśmy, urządzano mu legowisko w najbar-dziej ocienionym miejscu, a nawet czas jazdy dostosowywany był do jego każdorazowego samopoczucia. Pewnego razu Halef nie mógł się powstrzymać od uwagi.

- Sidi, czy wiesz, kto jest dowódcą naszej karawany? Nie ty i nie ja, a także nie Hanneh, miła władczyni kobiecego namiotu... Czemu się śmiejesz, sidi? Może nie wierzysz? Nie widzisz, że moi Haddedi-h-nowie jakby mieli oczy i uszy tylko dla Munedźiego?' Ihkże Hanneh, niezbędną uzupełnienie mojego ziemskiego bytowania, jest, odkąd wyjechaliśmy od Beni Lamów, w ogóle dla mnie niedostępna. Powia-da, że nie ma dla mnie czasu! Czy możesz sobie coś takiego wyobrazić? Dla mnie, jej Halefa, nie ma czasu, ponieważ ma pełne ręce roboty z Munedżim. Ale nie jestem zazdrosny, nie, na Allacha, nie, bo wiem, że po powrocie do domu zyskamy tym większą sławę. Bo we wszy-stkich namiotach będą opowiadać o obu niezrównanych bohaterach, co to wyrwali ze szponów śmierci człowieka, którego na wpół już połknęła i posiadli niesłychaną umiejętność oczyszczenia okna duszy ośleplemu, tak że teraz może, wesóły i pogodny, wyglądać przez nie na świat Boży. I we wszystkich duarach i oazach, na całej ziemi i jeszcze dalej będą wymieniać twoje imię, a przy tym i mnie nie zapomną, twojego niepokonanego obrofcę i przyjaciela Hadźiego Halefa Omara Ben Hadźiego Abula Abbasa Ibn Hadźiego Dawuhda el- Gossaraha!

Przy pożegnaniu przyrzekliśmy Abd el Darakowi tak urządzić podróż powrotną, by łąki Beni Lamów znalazły się na naszej drodze.

47

Czternaście dni później dotarliśmy pod es Sufeine do traktu pielgrzy-mów, prowadzącego z Damaszku do Mekki i znowu po czternastu dniach, około południa, za ostatnim zakrętem wijącej się zakolami doliny zatrzymaliśmy nasze zwierzęta. Osiągnęliśmy nasz cel, ujrze-liśmy przed sobą Mekkę.

Już podczas ostatnich dni ogarnęło Haddedi-hnow pewne podnie-cenie, każdy krok bowiem przybliżał ich do upragnionego celu. Nie-wielu z nich było już w Mekce, ale i tym kilku udzielił się od nowa ogólny religijny entuzjizm. Na widok Świętego Miasta, tylu minare-tów i kopuł oraz Kaaby, której górna część wyrastała z gmatwaniny domów, wszyscy muzułmanie zsiadli ze zwierząt. Również Hanneh kazała się zdjąć ze swego tachtirewanu. Poza Munedżim, który jako jedyny, pozostał na swoim zwierzęciu; cała reszta stała lub padła na kolana z twarzą zwróconą w stronę Mekki i wołała z rozpostartymi lub skrzyżowanymi na piersiach ramionami.

- 'Iii jestem, o Boże! Tu jestem!

Wielu łzy płynęły po policzkach, a oczy lśniły i jak zaczarowane spoczywały na Świętym Mieście. Muszę przyznać, że sam byłem głę-boko poruszony bliskością tego wybuchu pobożności. Godzina, kiedy człowiek odczuwa to, co najwznieślej i najgłębsze, co może dać mu wiara, jest to chwila święta. I nawet innowierca i świadek tego zdarze-nia nie może nie poddać się temu podniosłemu nastrojowi, jeśli nie jest pozbawionym wszelkiej wiary człowiekiem, a śmiem twierdzić, że nie jestem człowiekiem pozbawionym wszelkich uczuć. Kiedy minęło pierwsze uniesienie religijne i Haddedi-hnowie zno-wu zaczęli wsiadać na swoje zwierzęta, w miejscu, w którym się właśnie znajdowali zatrzymał ich głos z góry. Był to głos Munedźiego, a jednocześnie nie jego. Znałem ten głos, dokładnie zabrzmiał tak jak wtedy, gdy Ben Nur owej pamiętnej nocy na pustyni oznajmił nam o wydarzeniach nad Sseczme, w miejscu objawienia. Munedźi odsunął zasłony i siedział na oczach wszystkich, wyprostowany, oparłszy na poduszkach głowę, z opaską i prawą rękę skierowaną w stronę Mekki, 48 a słowa wydobywały się powoli i z trudem z jego ust.

- W imię Boga Miłosiernego, Litościwego. Przasięgam na to miasto, na święty obszar Mekki, a tyjesteś mieszkańcem tego miasta, i na rodziciela, i na to, co on zrodził, zaprawdę, stworzyliśmy człowie-ka w udęcie! Czy on sądzi, że nikt nie będzie miał nad nim władzy? Czy nie daliśmy mu dwoje oczu, jednego języka i dwóch warg? I czy nie poprowadziliśmy go na rozstajne drogi? Lecz on nie próbował wejść na drogę stromą. A co to jest droga stroma? To uwolnienie niewolnika albo nakarmienie w dniu głodu sieroty spośród krewnych albo biedaka znajdującego

się w nędzy. A także, być pośród tych, którzy wierzą, zachęcają się wzajemnie do cierpliwości, zachęcają się wzajemnie do miłosierdzia. 'Ib towarzysze prawicy. Lecz ci, którzy nie uwierzyli w nasze znaki, to towarzysze lewicy. Nad nimi będzie ogień okrywający jak sklepienie.

Była to dziewięćdziesiąta sura Koranu. Munedzi urwał. Nastąpiła głucha cisza, choć dopiero co panował ożywiony gwar. Wszyscy spo-giędali wzrokiem pełnym czci i zdumienia na starca, którego głos brzmiał jakby z zaświatów. Co jeszcze usłyszymy? Nie czekaliśmy długo, ponieważ Munedzi ciągnął dalej przejmującym głosem, wycią-gając ku nam ramiona, jakby nas chciał pozdrowić w imieniu Allaha.

- Bądźcie pozdrowieni pobożni pielgrzymi zdążający do Mekki!

Mam was pozdrowić w imieniu Allaha. Pukacie z utęsknieniem zmęczeni i pokryci pyłem drogi do bram tego miasta i czekacie na przyjazne Ssalam. Czy go doznacie? Już doznaliście ode mnie, bo ja, wysłannik Allaha, powitałem was. Jako hadzi przybyliście tu, poboż-ni pielgrzymi. Ale czy tylko jako hadzi? Czy nie jesteście czymś więcej?

Czymś dużo więcej? Czyż nie jesteście wszystkimi pielgrzymami tej ziemi, których celem jest inna Mekka, celem o wiele wyższymi i bardziej świętym niż to miasto, które jest tylko przenośnią w oczach Allaha? A Mekka, jaką mam na myśli, to zaświaty, do których odbywacie pielgrzymkę, by tam prosić o prawo zamieszkania. W wyższym i prawdziwym sensie obwieszczam wam z całego serca raz

4 - W podziemiach Mekki 49

jeszcze pozdrowienie Allaha: - Ssalam, ssalam! Munedzi opuścił ramiona na kolana i znowu skierował twarz w stronę miasta, nim zaczął mówić dalej.

- A teraz niech oczy wasze spoczną na celu waszej wędrówki! Co widzicie? Widzicie cudowne zaludnione miasto, którego minarety, jak palce wiernych i pobożnych ludzi wskazują niebo i widzicie nagie jałowe i pozbawione wody góry, które wkrótce zamienią się w bez-plodną pustynię, zamieszkaną jedynie przez niespokojnych dzikich Beduinów, postrach pokojowo usposobionych pielgrzymów. Po jed-nej stronie siedziba spokoju, w której gości pokój i tęsknota pielgrzy-mów oraz nieustanne wielbienie Boga przez wiernych, po drugiej zaś zguba czyhająca na nic nie przeczuwającego pielgrzyma ze strony żadnego krwi i łupu grabieżcy. Powiedzcie, pielgrzymi tej ziemi, czy nie widzicie w tym, co dostrzega wasze oko, obrazu zaświatów? Niedawno pokazałem wam el- Halak i bramę prowadzącą do es Ssa'adet tuż obok siebie, otchłań zguby, co w waszym języku nazywa się dze-hennem, czyli piekłem i bramę do wiecznej szczęśliwości, co w waszym mizernym ludzkim określeniu nosi nazwę džennet, czyli raj: Przezor-nie pokazałem wam tylko zewnętrzne zarysy obu tych miejsc. Aby bowiem przeniknąć ciemności panujące w el- Halak i lśniąca jasność, jaka panuje nad nami w es Ssa'adet, na to wasze ludzkie oko jest o wiele za słabe.

Samo poznanie tego, co czeka w zaświatach, można przekazać tylko za pośrednictwem szeregu słabych obrazów, które mają przybli-żyć te procesy w godzinie śmierci. Gdybyś chciał odsłonić zasłonę, która ukrywa przed tobą twój los w zaświatach, wówczas zawiodłaby wszelka mowa ludzka, która obliczona jest tylko na tę małą ziemię, ale nie na nieskończoność. Zbierz wszystkie okropności tego świata i wyciągnij ze słownika twojej mowy wszystkie określenia, które znajdziesz tam na najgorsze cierpienia ciała i najpotworniejsze męki duszy, wówczas długo jeszcze nie otrzymasz trafnej miary, którą mógłbyś zmierzyć okropne el- Halak, otchłań zguby. I podobnie mowa najbardziej wymownych mędrców podobna byłaby do bełkotu dziecka, gdyby miała odwagę opisać rozkosze, jakimi cieszą się w niebie błogosławieni.

Pojmujesz teraz pielgrzymie, że mówiąc ci o zaświatach posługuję się jedynie obrazami, abyś był w stanie mnie zrozumieć. Któż jednak może wymagać od obrazu, by odpowiadał w szczegółach wzorowi? Jeśli porównuję Mekkę z zaświatami, jest to tylko obraz, a kiedy słyszysz o dze-hennem, że płyną tam strumienie, które tak cuchną, że potępieni mimo palącego ich pragnienia nie mogą

napię się wody lub, że z drzewa sakkum muszą zjadać głowy diabłów, które rozdzierają ich trzewia, czy możesz dopatrywać się w tym czegoś innego niż tylko parabolę? I jeśli ci powiadają, że w raju stoi drzewo tuba, drzewo błogosławieństwa, w którego gałęziach tkwi wszystko, co potrzebne jest do szczęśliwości i z którego korzeni wytryskają rajskie rzeki, gdzie płynie mleko, wino, kawa, miód, przyjmujesz to wszystko za prawdę, a przecież jest to tylko dostosowane do twego pojmowania. Wszystkie te pojęciowe rzeczy nie istnieją oczywiście w zaświatach, a jednak istnieją w wyższym, o wiele prawdziwszym sensie, niż związany z ziemskimi zjawiskami człowiek może sobie wyobrazić. Jaką nazwą należałoby określić człowieka, który daje się uwieść niedoskonałościom tych obrazów, aby wątpić w zaświaty albo w ogóle zaprzeczać ich istnieniu? O głupoto głupców! Ponieważ obraz nie odpowiada jego wydelikacjom zmysłom, odrzuca rzecz samą i zaprzecza jej istnieniu! Głupiec, pożałowania godny głupiec, zbyt leniwy, by się zastanawiał, lub też nasycony swoim wyższym wykształceniem nie zadaje sobie trudu, by wniknąć w głębszy sens tych bajek i sądzi, że może się z nich śmiać! Jeśli twierdzą, że święta studnia Sem-Sem stanowi nie tylko źródło cielesnego, ale także duchowego dobra mekkańczyków, każdy ten obraz rozumie, ponieważ wie, że woda z Sem-Sem była pierwszym załącznikiem ludzkiego osiedla, zwanego obecnie Mekką. Jeśli jednak opowiem, że w dzennet znajduje się wielka studnia Hawuth Kauser, z której może się napić jednocześnie 51 sto tysięcy błogosławionych, a woda jej jest biała jak mleko, zapach cudowniejszy niż piżmo i mirra, a na jej skraju stoją miliony złotych kubków, wysadzanych diamentami, to on tego obrazu nie zrozumie, lecz z szyderczym uśmiechem spróbuje dowieść mi przy pomocy swej nauki, że na ziemi i ponad nią nie ma miejsca, gdzie znajduje się taka studnia. Równie szybko załatwia się z piekłem, stwierdzając niesłychanie zarozumiałym ruchem, że chociaż wszechświat został we wszystkich swych częściach zbadany, nawet najdoskonalszą lunetą nie odkryto miejsca, które odpowiadałoby opisowi dżehennem. Chcieć przebadać dokładnie wszechświat! Wszystkie jego części! Ile w tym zarozumiałości! A przecież nauka, która twierdzi, że wskutek zbadań kosmosu wspięła się na wyżyny ludzkiego poznania, nie osiągnęła nawet połowy drogi wzwyż, ponieważ przeoczyła obszary i drogi niesłychanej wielkości i wymiarów. Powinna ona wreszcie zaprzestać przeszukiwania, szukania za pomocą sekstantu i lunety na ziemi i we wszechświecie miejsca błogości i wiecznego ognia. Powinna raczej skierować tę swoją lunetę do wnętrza duszy, a wtedy odkryje strumyki i jeziora, góry i morza, otchłania i wyżyny, rośliny i minerały, o których istnieniu przedtem nie miała pojęcia. Co prawda nie wolno jej przy tym używać zwykłej calówki i pionu murarskiego, barometru i termometru, musi podejść do tego zadania z zupełnie innymi, subtelniejszymi narzędziami. Wówczas odkryje, że tak zwane bajki nie są bajkami, lecz szczerą prawdą. Wtedy natrafi także na cuchnące strumienie i ogniste rzeki dżehennem i na drzewo tuba, a także na wielką rajską studnię Hawuth Kauser, z której żywych niewyczerpanych źródeł błogosławieni upajają się niewypowiedzianymi rozkoszami. A czymże, o pielgrzymie tej małej Ziemi, czym są te studnie i te rajskie wody? Są to niewyczerpane strumienie miłości, które wypełniają dusze błogosławionych, ponieważ na Ziemi żyli w miłości i wyczerpali swe siły w miłości Boga i bliźniego. I teraz także pojmiesz istotę el-Halak, otchłani zguby, w której potępieni giną z pragnienia nad zatrutymi rzekami samolubstwa i bezduszości, i których złe 52 duchy wloką przez ogniste rzeki nienawiści i bezbożności, ponieważ w tym życiu odwrócili swe serca od miłości, a zwrócili się do samolubstwa niszczącego wszelkie szlachetne uczucia. O wielkie, okrutne, godne uwielbienia prawo odwetu! Okrutne w zastosowaniu do złych, godne uwielbienia w swym zastosowaniu wobec dobrych! Jakże jasna, zrozumiała jest dla wierzących najwyższa zasada karzącej sprawiedliwości Bożej - ukarany zostaje tym, czym zgrzeszył! O wiele to jaśniejsze niż wygodna wymówka niewiernych, którzy chowają się za Bożym miłosierdziem i zaprzeczają karze potępienia, mówiąc, że jest ona sprzeczna z nieskoficzoną miłością Boga, ze stworzeniem piekła, i że i błogosławieni w niebie mieliby zakłócone zażywanie rozkoszy, gdyby wiedzieli, że istnieje miejsce, gdzie istoty rozumne, podobne do nich cierpią karę potępienia. I nie spoczęliby oni w swej miłości, dopóki nie zmieniliby otchłani zguby w miejsce rozkoszy. Jakże wygodne słowa, a jakie błędne myśli! Popatrz na Mekkę! Może zaprzeczyło

Boskiej dobroci i mądrości to, że obok oazy stworzyła okropną, przerażającą pustynię? A czy pobożnym pielgrzymom w ich modłach ku czci Allacha przeszkadza świadomość, że może jednocześnie na pobliskiej pustyni inni pielgrzymi umierają z pragnienia? Czy błogosławiona woda Sem- Sem ma siłę przemienić okropności pustyni w miły widok przepięknej oazy, a dzikich Beduinów w bogo-bojnych muzułmanów?

'Thka tania wymówka to tylko szyld, za którym ukrywają strach przed zaświatem, jeśli można u nich w ogóle mówić o strachu. Bo w istocie piekło dla nich straciło swoją okropność. Nie wierzą w cuchnące strumienie, w ogniste rzeki i diabelskie głowy, bo nie rozumieją ich głębszego znaczenia. A kiedy się ich ostrzega przed odejściem od Boga i przed otchłanią nienawiści, do których wrzucają swoje dusze, nie odczuwają przerażenia kryjącego się w tych słowach. Jakże by mogli! Przez całe życie znajdowali się w tej otchłani i całkiem dobrze się tam wzięli. Najwyżej kręcą głową, nic nie rozumiejąc i mówią ze zdziwieniem - nie rozumiem, dlaczego odejście od Boga miałoby 53 dla mojej duszy być tak wielkim nieszczęściem. Nie mogę powiedzieć~, że teraz to czuję. Smakuje mi jedzenie, picie, śpię spokojnie i mocno, nie uskarżam się na swoje zdrowie. Dajcie mi spokój z udrękami duszy. Wcale ich nie czuję. Nieszczęśliwcy! Ich dobre cielesne samopoczucie i tym samym nasycone dusze podobne są do grubej skóry i jeszcze grubszej warstwy tłuszczu hipopotama odpornego na wszelkie ukąszenia much czy innych owadów, a nawet na rany spowodowane strzałą lub włócznią, i tylko celna kula w oko lub za ucho zdoła wypłoszyć jego duszę z gnuśnego cielska.

Jeśli jednak kiedyś to się zdarzy, a ta godzina nadejdzie i anioł śmierci śmiertelną strzałą trafi niezawodnie w serce żyjącego, wtedy skończy się czas jego samoułudy. Wówczas dusza pozbędzie się ciała niby bezużytecznego balastu, a tym samym wymknie się z zasięgu jego życzeń, żądz i samolubnych dążeń, w których okowach tkwił tak długo. Ale za to coś innego ukaże się przed oczyma naszej duszy. Coś olbrzymiego! Siły i działania duszy nie będą już zajęte i podzielone na jedzenie i picie, spanie i spacerowanie i wszelkie czynności związane z ludzkim istnieniem. Nie, całe myślenie i czucie, pragnienie i pożądanie wszystko to wyzwoli się z więzów duszy i stopi się w jedno jedyne, nieodparte uczucie i wszelkie wielokształtne i często przeczące sobie potrzeby ciała i duszy, składające się na człowieka, zostaną odsunięte przez gwałtowną potrzebę, pragnienie duszy pożądaną miłości, która jest największą siłą w niebie i na ziemi. Wówczas biada temu, kto w życiu nie dbał o miłość, może nawet jej się wyrzekł, ponieważ wołał nienawiść, zaprzeczenie miłości! Wzgardzona miłość nie musi wcale wrzucać jego duszy do el- I-Ialak, ponieważ już od dawna się tam znajdowała, ponieważ jego samego ukrywa w swym wnętrzu. Ziejąca pustka serca, wywołana samolubstwem, które wytwarza nie-przeniknione ciemności poprzez świadome odwrócenie się od światła miłości, skutek czego wszelkie szlachetne odczucia duszy stłumione były w zarodku. Powiedz, czy musisz jeszcze szukać geograficznego miejsca dla piekła? Czy też może sądzisz, że także dusza zna stopnie 54 długości i szerokości, z których pomocą istnienie i położenie ponad-zmysłowych obrazów można dokładnie ustalić? Pokazałem ci, że miejsca objawienia powinieneś szukać we własnej duszy. Czy jeszcze wątpisz, że także dżehennem i dżennet są obszarami, które znajdziesz nie gdzie indziej tylko we własnej duszy?

Ponadzmysłowe obszary? Zakpi sobie może jakiś niewierny. Piekło, obszar wyłącznie ponadzmysłowy? I człowiek ma się czegoś takiego obawiać? Śmiechu warte. Śmiechu warta, o szyderco, jest tylko twoja niewiedza. Może myślisz, że tylko ów ogień, który fizyk nazywa chemicznym związkami jakiegoś ciała z tlenem wskutek wytwarzanego ciepła i światła, może powodować cierpienie? Czyż nie może istnieć inny ogień, dręczący potępieńców mękami, których siły nie można w najmniejszym stopniu porównać z bblem spowodowanym zwykłym ogniem? Powiadam ci, kiedy dusza twoja oddzieli się od ciała, kiedy oko twoje przestanie rozglądać się za uciechami i rozkoszami zmysłowymi, kiedy ucho twoje już nie usłyszy nęcących głosów i kuszenia tego świata, kiedy twoje ciało i wszystkie zmysły nie będą już skierowane na zaspokajanie pożądań cielesnych, słowem, gdy twoja dusza zostanie naga, zupełnie naga; wtedy usłyszysz z pełnym zdziwienia niepokojem najpierwocichy, potem corazsilniejszy i potężniejszy głos, którego brzmienie

będzie się układać w litery, a litery w słowa, w wołanie, w którym pragnienie i nigdy nie zaspokojona potrzeba duszy objawi się z siłą trąby. A to tęskne wołanie duszy, nieskoficzenie często wykrzykiwane w ziejącą pustkę, brzmi. „-Boże... Boże... Boże...!”

I dusza rozpostrze swe skrzydła i będzie chciała lecieć śladem tego wołania, lecz jej skrzydła opadną słabe i oklapłe jak żagle bez wiatru, a przepotężny krzyk duszy przebrzmi nie usłyszany i nigdy ona nie zazna spełnienia. Nigdy! ‘ha dusza nie zaznała miłości, dawno wyrzekła się miłości, a tym samym Boga, ponieważ Bóg to miłość. Wielka pielgrzymka skoficzyła się, czas przygotował się skoficzył. K~niec, który dla reszty ludzi mogących się j jeszcze oczyścić nadejdzie dopiero 55 po Dniu Sądu Ostatecznego, dla niego już się rozpoczął. Na przykładzie Khutaba Agi pokazałem ci, że okazał się on godny oczyszczenia, ponieważ myśli ostatniego dnia, zanim stanął on przed miejscem objawienia, były pełne miłości, miłości do wroga. Jak jednak człowiek może być zdolny do oczyszczenia, jeśli całe jego życie skła~dało się z nienawiści, obłudy i jeszcze raz nienawiści? Jak można mu użyczyć czasu próby, jemu, który nigdy, ale to przenigdy nie podążył za głosem miłości? Otchłafi bez reszty go pochłonie i nie ujdzie karze potępienia.

Uświadomienie sobie, że chybił celu, będzie paliło i dręczyło jego duszę, a myśl, że tak łatwo mógł zmienić to, co ludzie tu na ziemi nazywają kismet, będzie szarpać i rozdzierać jego trzewia palącymi cęgami skruchy bardziej, niż byłyby w stanie to uczynić zęby stu tysięcy diabelskich głów. ‘Pakże samolubstwo i egoizm, jedyne, co usiłował zaspokoić na ziemi, nie przyniesie mu ulgi. Cechy te zabiły w jego wnętrzu wszelkie szlachetne porywy, żywiły i pielęgnowały wstrętne namiętności, które teraz, wyzwolone z ciała, wydzielają odór rozpa~du, tak że duszę potępionego ogarnia nieopisany wstręt do siebie samej. Tylko człowiek całkowicie, ale to całkowicie nastawiony na ziemskie namiętności i porywy, nie mający pojęcia o tym, co oznaczają cierpienia i męki duszy, może myśleć o tych sprawach nie odczuwając dreszczu grozy i nie blednąc.

Czy mam ci jeszcze przytoczy~ dowody rozsądku i słuszności, dla~czego istnieje piekło, dlaczego musi istnieć? Czy też powinienem ci, jak filozof, ze ścisłym zastosowaniem zasad logiki podać powody, które przemawiają za džennet? Nie, i jeszcze raz nie! Niewierzący i tak ich nie przyjmie do wiadomości, ponieważ na każdy dowód znajdzie furtkę, przez którą wymknie mu się niewygodne dla niego przyznanie racji. A wierzący nie wymaga dowodów. Jego wiara wystarcza mu za dowód. Wie, choć nie wyliczę mu poszczególnych dowodów, że za~światy to szczerą prawdą. Serce jego powiada mu jasno i wyraźnie to samo, co niewierzący usłyszałby, gdyby potrafił słuchać głosu swego 56 serca.

Czyś odczuł kiedyś rozkosz, jaką pozostawia w sercu świadomość dobrego uczynku miłosierdzia? I czy przy tym nie nasunęła ci się myśl, że chciałbyś zawsze czuć się tak szczęśliwy? Podobne też, tyle że nieskoficzenie bardziej uszczęśliwiający, są na pewno rajskie rozko~sze. Czemu to całe dobro i piękno, czemu ta najpiękniejsza i najświęt~sza siła duszy, miłość, miałyby się wyczerpać w tym nędznym ziemskim bytowaniu? Czemu nie miałyby dalej istnieć w zaświatach? Wymiefi mi jeden, rozsądny powód, dlaczego B6g miałby być tak okrutny, by zburzyć w tobie to uczucie szczęścia i nie rozwinąć go w sposób j jeszcze bardziej cudowny? A może nigdy nie poczułeś kolca, jaki wbił się w twoją duszę po złym uczynku, uczynku pozbawionym miłości i stano~wiącym jej przeciwieństwo? Czy sądzisz, że mowa nadaremnie i bez powodu przekuła wyrazy w męki piekielne duszy? Teraz wyobraź sobie człowieka, który przez całe życie, nie bacząc na kolec tkwiący w jego sercu, popełniał zbrodnię za zbrodnią i powiedz mi, jak jego wyjałowiona wskutek nienawiści i mściwości dusza będzie mogła przekroczyć mosty nad otchłanią, która dzieli ją od nieskoficzenie dalekich światów, od promiennego świata panującej miłości? Czy możesz sobie wyobrazić, że taki most jest pod względem psychologi~cznym możliwy? Nie! Odstęp jest zbyt wielki, odległość równa się nieskoficzonoci, ponieważ światło i ciemność to dwa wykluczające się pojęcia.

Zobaczycie i przeżyjecie w Mekce dziwne rzeczy. Wyda się wam, że całe rozkosze niebiańskie wlewają się w ludzką pierś. Jednak spotkacie też kogoś, kto nosi w piersi tysiące diabłów dzhennem. Mówię jak zawsze w przenośni. Ale będzie wam łatwo zrozumieć tę przenośnię,

jesteście wiernymi i wkrótce będziecie się nazywali gość-mi Allacha. ‘Pdm powinniście znaleźć wytłumaczenie obrazu, lecz zmartwiłoby mnie, gdybyście nie ujrzeli w tej przenośni nic poza przygodą, wartą tego, by o niej opowiedzieć w swych ojczystych namiotach. Jedźcie więc do Mekki w waszych białych szatach 57 pielgrzymich! I baczcie, by nie zostały zbrukane! Jeszcze raz pozdra-wiam was wszystkich Ssalam. A więc ruszajcie do domu Bożego, do BeitAllah! Munedzi umilkł i opadł z powrotem na legowisko. Nie przesadzę, jeśli nazwę uczucie, jakie wzbudziło w nas to kazanie, czymś w rodzaju świętego przerażenia. W milczeniu dosiedliśmy naszych zwierząt i w milczeniu poganiałiśmy je w kierunku Świętego Miasta. Nie rozległ się ani jeden radosny pełen nadziei okrzyk. Nawet Halef, zawsze taki rozmowny, jechał obok mnie zatopiony w myślach. Największe wra-żenie jednak wydawały się wyrzec słowa Munedziego na Khutabie Adze, który w milczeniu, z opuszczoną nisko na piersi głową, siedział na swoim wielbłądzie. Co się działo w jego wnętrzu, nie było dla mnie zagadką, bo to, cośmy usłyszeli przed chwilą, było ściśle powiązane z jego przeżyciem sprzed niespełna miesiąca, które skierowało jego życie na nowe tory. Każdy człowiek przeżywa co najmniej raz taką godzinę poważnej kontemplacji. Chwała mu, jeśli oddaje jej się z całą, należną powagą!

W Świętym Mieście

Kiedyśmy prawie dotarli do przedmieścia Maabideh, kazałem opu-ścić zasłony tachtirewanu, w którym siedział Munedzi. Żaden prze-chodzący drogą Mekkańczyk nie powinien był go ujrzeć. Gdyby obe-čność tak znanej w mieście osobistości doszła do uszu Ghaniego, straciłbym najlepszy atut, który miałem w ręku przeciw niemu. Miną-wszy pałac dawnego wielkiego szarifa, skręciliśmy w el Ma’la, główną ulicę górnego miasta. Przy grobie Abu’Pdleba rozwidła się brukowana ulica pomiędzy cmentarzem el Ma’la, na którym znajduje się grób Chadżidży, ulubionej żony Mahometa, a północnym zboczem Dżebel Hindi. Ulica ta prowadzi na zachód, potem przechodzi w ulicę w kierunku Dżidży. Gdyby już była pora wielkiego hadżdżu, musieliby-śmy skręcić w tę ulicę, by dotrzeć do obozowiska syryjskich pielgrzy-mów, które wyznacza się przybyłym z północy karawanom, ponieważ w przepelnionym obcymi przybyszami mieście, naszych pięćdziesięciu Haddediłnow nie znalazłoby schronienia. ‘Idk jednak była nadzieja, że w jakimś większym domostwie znajdziemy dość miejsca, by nie trzeba było się rozstawać. Zależało mi na tym, by moi Haddediłnowie pozostali wszyscy razem, ponieważ w Mekce, w przeciwieństwie do 59 innych miast Wschodu, nie ma gospód w zwykłym sensie karawanse-rajów. Natomiast podczas miesiący pielgrzymek prawie każdy mek-kańczyk, czy to zamieszkujący cały dom, czy tylko piętro, jest oberży-stą, więc i dla nas wchodził w grę jedynie dom prywatny. Jechaliśmy więc prowadzącą na południe główną ulicą. Kiedy mie-liśmy za sobą pierwsze domy dzielnicy en Naka, spotkaliśmy starego człowieka o wyglądzie budzącym zaufanie. Zatrzymałem Assil Ben Riha i rzekłem, przykładając prawą rękę do piersi.

- Pokój z tobą, ojcze! Jesteśmy zdrożonymi pielgrzymami z dale-kiego Dżesire. Czy mógłbyś może zaprowadzić nas do gospody dosta-tecznie obszernej dla nas i dla naszych zwierząt? Ten krótki sposób prezentacji nie był jednak w smak mojemu Halefowi. Podjechał tak blisko do starego, że ten cofnął się o krok, przestraszony i uzupełnił niedostateczną w jego pojęciu prezentację, przy czym ramionami wykonywał dziwne energiczne ruchy.

- ‘Pdk, jesteśmy pielgrzymami z Dżesire, ale w tym błogosławio-nym przez Allacha i jego proroka mieście nie tacy nieznani, jak sądzisz. T~n effendi j už raz zaszczycił Mekkę blaskiem swej obecności. ‘Ihkże ja i kilku tych odważnych wojowników już kroczyliśmy śladami proroka. Nogi naszych hudżunów przemierzyły całą ziemię, a sława naszych czynów dotarła do wszystkich krajów, nawet do tych, które dopiero zostaną odkryte. Ten effendi z dalekiego Wadi Draa jest największym uczonym, z najslawniejszego uniwersytetu Maghrebu i przybywa do Mekki, by sprawdzić, czy mądrość tutejszych profesorów może porównać ze swoją. Imię tej sławnej osobistości jest dłuższe niż najdłuższy wąż, i gdybym chciał wymienić je od głowy do koniuszka ogona, garnek twojej pamięci byłbyjuż wypełniony i dawno przelałby się. Tbęż

oszczędzę ci całej długości tego imienia i podam tylko koniuszek ogona. Brzmi on: Hadzi Akil Szatir el- Medżarrib Ben Hadzi Thki Abu Fadl el Mukaram. Zapamiętaj sobie dobrze to imię, i jeśli pozostanie ci jeszcze trochę miejsca w pamięci, możesz tam także wepchnąć moje imię. Jestem Hadzi Halef Omar Ben Hadzi 60 Abul Abbas Ibn Hadzi Dawhud el- Gossarah, szejek słynnych Hadde-dihnów z wielkiego szczepu Szammarów.

Starzec stojąc bez ruchu słuchał tego potoku słów. 'I~raz jednak spojrział badawczo na naszych towarzyszy i nasze zwierzęta. Widocznie badanie wypadło zadowolająco, gdyż skłonił się i rzekł w odpowie-dzi:

- Sława twego imienia, o szejku i wieści o twoich czynach dawno do nas dotarły. Nasze kobiety i córki chwalą was, a nasi mężczyźni i synowie chwalą doskonałość waszych bohaterskich czynów. Wiado-mość o cudownej mądrości tego effendiego już przed stu laty dotarła do nas i wszystkie nasze szkoły od dawna pragną z utęsknieniem ujrzeć jego oblicze i usłyszeć mądrość jego głosu. Dla tak słynnych i wytwornych pielgrzymów stosowne jest jedynie najwytworniejsze i najpiękniejsze mieszkanie. Jestem szczęśliwy, że mogę wam takie ofiarować. Bądźcie tak dobrzy i jedźcie ze mną, a wkrótce będziecie w posiadaniu domu, z którym nawet pałac wielkiego szarifa, oby Allah dał mu sto lat życia, nie da się porównać. Po tych słowach wypowiedzianych z niewzruszoną powagą stary ponownie się skłonił, a był to ukłon jeszcze bardziej unizony niż za pierwszym razem, i ruszył przed nami w postawie, jak gdyby właśnie złożył nam w darze całe skarby Beit Allah zebrane z darów pielgrzy-mów. Dobrze, że po ostatnich słowach odważył się, by ruszyć w drogę, bo dzięki temu nie zobaczył przynajmniej wyrazu bezgranicznego zaskoczenia na twarzy Halefa. 'I~n stary potrafił jeszcze bardziej błagować niż on sam. A może cała ta odpowiedź była po prostu kpina? Ale wyglądał przy tym tak poważnie i dostojnie! Halef nie mógł się w nim rozeznac i pociągając swoje zwierzę rzucił niepewne, pytające spojrzenie na idącego przed nami starca, tak że z trudem powstrzymywałem śmiech. Podczas wędrówki przez ulice milczał, nie odzywał się ani słowem. Tylko od czasu do czasu słyszałem, że mruży coś pod nosem. Widocznie nie mógł sobie poradzić ze słowami. Ja także milczałem, ale w głębi duszy uważałem, że zasłużył 61 na tę nauczkę, była to kara za jego przesadę.

Sam byłem trochę ciekaw przyrzeczonego nam mieszkania, kiedy mijaliśmy dwa stojące obok siebie pałace obecnego wielkiego szarifa i jego zmarłego starszego brata Abdallaha o wspaniałych fasadach, pomyślałem o tym co powiedział stary. Jeżeli nasze schronienie nie dało się nawet porównać z pałacem wielkiego szarifa, to na widok tego ostatniego poczułem strach o moją sakiewkę.

Około trzystu kroków dalej przewodnik nasz skręcił w boczną uliczkę, gdzie znajdują się święte czarne kamienie, z których jeden podobno pozdrowił Mahometa, podczas gdy inny nosi ślad jego łokcia. W tym zaułku położony jest dom proroka, który sprawia jednak niepozorne wrażenie, a w porównaniu z resztą domów na tej ulicy wydaje się suterena. Powodem jest nawiedzająca tę okolicę co jakiś czas powódź. Przynosi ze sobą masy mułu, tak że poziom ulicy powoli się podnosi. Wielokrotnie czyniono starania i ciągle uprzęta-no muł, ale nie udało się przywrócić dawnego wyglądu starym ulicom. Nowe budowle miały wyższe fundamety, a więc święte miejsca, które chciano pozostawić w stanie poprzednim, wśród okazałych domów dostojnych mekkańczyków jakby się zapadły w ziemię. Powódzie? I to w Mekce? W kraju suszy i braku wody? To chyba niemożliwe? Niestety, mekkańczycy mają strasznego wroga zagra-żającego ich życiu i mieniu, a jest to powódź. Kiedy na wschód od akki padają deszcze, szybko tworzące się strumienie pędzą po obniżającej się równinie w stronę morza. Ponieważ wąska dolina Mekki znajduje się właśnie na drodze tej spływającej wody deszczowej, powódź jest klęską. Zabiera stąd wszystko, co tylko napotka. Od dawien dawna poszczególni władcy Mekki usiłowali uchronić miasto, a przede wszy-stkim święte miejsca, budując zapory. Mimo to kronikarze wymienia-ją bardzo liczne powódzie, w których domy, ludzie i zwierzęta padały ofiarą, a meczety stały w wodzie sięgającej metra wysokości. W dodat-ku większość panów Mekki nie miała zmysłu do budowy wielkich dzieł

pokoju, cała ich obrona polegała na spokojnym oczekiwaniu, aż woda opadnie, następnie swoim przykładem zachęcali ludność do udziału w oczyszczaniu ulic i świętych miejsc. Od tamtych czasów co prawda stosunki nieco się poprawiły, ale odwieczny wróg czyha wciąż jeszcze i daje się czasem mekkaficzkom we znaki.

Po prawej stronie ulicy minęliśmy Maulid Sittana Fatimah, miejsce urodzenia córki proroka. Jeszcze kilka kroków i byliśmy u celu. Nasz przewodnik zastukał do bramy wytwornie wyglądającego domu i po krótkim czasie nam otworzono. Mężczyzna, około czterdziestu lat, jak się potem okazało zarządca, zapytał, czego chcemy, a kiedy się okazało, że mamy zamiar wynająć dom lub przynajmniej jego część, był bardzo zadowolony. Pierwsze i drugie piętro nie wchodziło w rachubę. Było to stałe mieszkanie właściciela i jego rodziny, kiedy przebywali w domu. 'I-ras akurat byli nieobecni. Jak wielu dostojnych mekkaficzków, także właściciel tego domu posiadał w Paif letnie mieszkanie, gdzie spędzał upalne miesiące wraz ze swym harem i służbą. Było to dla nas bardzo pomyślną okolicznością, nieskrepowanie bowiem mogliśmy się poruszać, nie przeszkadzając reszcie mieszkańcom domu. Nie potrzeba chyba dodawać, że było to szczególnie dogodnie zwłaszcza dla mnie, chrześcijanina, po-nieważ nie musiałem obawiać się żadnych uprzykrzonych obserwatorów, pomijając zarządcę.

Obrzucając nas potokiem słów ten gadatliwy człowiek oświadczył, że cały parter wraz z tworzącym tyły domu wielkim podwórzem i licznymi bocznymi budynkami jest do naszej dyspozycji, po czym zaprosił nas do obejrzenia go. Zsiadłem z konia i poprosiłem, aby Halef mi towarzyszył. Przez bramę weszliśmy do hallu, który jak we wszystkich wytwornych domach wyłożony był tubtabeyn, czymś w rodzaju cementu. Wzdłuż obu ścian leżały poduszki na drewnianych ławach, osłonięte zwisającymi pokrowcami. Po dwoje drzwi za zasłonami o pięknych barwach prowadziło do obszernych, wygodnie urządzonej poduszkami i dywanikami pomieszczeń. Drzwi w głębi hallu obok schodów na górne piętra, prowadziły na podwórze, które 63 wraz z bocznymi budynkami było dostatecznie duże, by pomieścić Haddedihnow wraz z ich zwierzętami. Zarządca objaśnił, że z pomocą dragów i dużych płacht płótna można pokryć dachem całe podwórze, tak że nie tylko nocą, ale i podczas upalnych godzin południowych można tam przebywać. Wąską uliczką między sąsiednim domem a naszym podwórzem mieliśmy wygodne przejście na ulicę. Byłem zadowolony z tego, co ujrzałem, a kiedy zapytałem o cenę, uznałem, że nie jest zbyt wygórowana, biorąc pod uwagę położenie w centrum miasta i bliskość świętych miejsc. Co prawda gdyby już był początek sezonu pielgrzymek, cena nie byłaby tak niska.

Wróciliśmy do domu, gdzie tymczasem wszyscy mieszkańcy tej ulicy zebrali się, by obejrzeć niezwykle o tej porze widok karawany. Wkrótce wszystko uzgodniliśmy z zarządcą i zabraliśmy się do urządzania się jak najwygodniej w naszym nowym domu. Wielbłądy i konie wprowadzono przez zaułek na podwórze, gdzie Halef wydał odpowiednie zarządzenia, jak je umieścić, a Kara Ben Halef i Omar Ben Sadek zajęli się rozlokowaniem Haddedihnow w rozmaitych pomieszczeniach. Cztery pokoje parterowe podzieliłem tak, że jeden przypadł Hanneh, drugi Halefowi i jego synowi, trzeci Munedziem i Persowi, wreszcie czwarty mnie. Duży hall miał być wspólnym pomieszczeniem, a zarazem jadalnią i łączyć frontową budowlę z tylnymi. Dwóch Haddedihnow miało być stale na posterunku i szczególnie uważać, by nikt obcy nie miał dostępu do Munedziego. Nasz stary dostojny przewodnik okazał się szejkiem mutawwifich, naczelnym przewodnikiem obcokrajowców. Mutawwif mianowicie tworzą prawdziwy cech. Każda narodowość ma swych własnych przewodników, którzy podlegają jednemu szejkowi. I'ak więc jest szejk Tiirków, Egipcjan, Maghrebijczyków, Hindusów itd. Nad nimi jednak jest mistrz cechowy, szejk szejków. On rozstrzyga w wypadkach spornych, które dość często powstają pomiędzy grupami cechowymi. Gdyby ktoś, kto nie należy do cechu, odważył się za pieniądze, tak jak mutawwif, ofiarować pielgrzymom swoje usługi, członkowie cechu jak 64 jeden mąż wystąpiliby przeciwko niemu. Biada także pielgrzymowi, który by skorzystał z usług takiego partacza. Nam się udało, że trafiliśmy na właściwego człowieka. Stary uczepił się nas jak rzep psiego ogona, a pozbyliśmy się go dopiero wówczas, kiedy opuszczaliśmy Mekkę. Załatwiał nam wszystko: żywność, namioty i

drewno na opał w czasie pielgrzymki na górę Arafat, zwaną przez Arabów Dżebel er Rahme, Górą Miłosierdzia oraz na tak zwaną małą pielgrzymkę do el Umrah. Wiedziałem co prawda, że stary przy tym wszystkim ma niemały zysk, ale w Mekce nie dało się tego uniknąć, a przy tym wskutek swych groteskowych blagierstw budził ogólną wesołość. Kiedyśmy się oczyścili z najgorszego kurzu po podróży i spożyliśmy obfity posiłek składający się z makaronu posypanego cukrem, wyruszyliśmy, by zadośćuczynić pierwszemu przepisowi obowiązującemu na pielgrzymce, 'Pdwa'f el Kudum. Munedżiego i dwóch Haddedihnow, pozostali na straży. 'I~kże ja jako chrześcijanin ani myślałem brać udział w rytuałach mahometańskich. Wobec naszego mutawwifa miałem dość wiarygodnych wymówek, byłem uczonym effendim, który przybył do Mekki w sprawach naukowych i dawno już wypełniłem obowiązki hadżdzu.

Uszliśmy kilka kroków i znaleźliśmy się na szerokiej ulicy prowadzącej z es Szafa do el Merwa, a przed nami znajdowała się brama powitania, Bab es Ssalam. Podczas gdy reszta pod przewodnictwem mutawwifa pozostała, by dokonać swych wstępnych obrzędów, poszedłem sam po schodach przez bramę na dziedziniec meczetu i przez ten dziedziniec w kierunku Kaaby. Właśnie dotarłem do drugiej bramy, prowadzącej do wykładanego marmurem, owalnego dziedzińca Kaaby i chciałem go przejść, gdy wpadłem na człowieka, który z Mekam Ibrahim pospiesznie skręcił za róg i na mój widok błyskawicznie się cofnął. Był to Ghani. Przez pięć sekund staliśmy mierząc się wzrokiem, potem ręce jego zacisnęły się w pięści, a twarz wykrzywiła się w okropnym grymasie. Sądziłem, że jeszcze chwila, a rzuci się na mnie, ale nie. Zreflektował się i rzucając przekleństwo, szybko mnie

5 - *W podziemiach Mekki 65*

minął. Mekka, co prawda nie święta, powitała swego gościa przekleństwem.

Spotkanie z Ghanim obudziło we mnie chęć ujrzenia jego domostwa przynajmniej z zewnątrz.

'Ibteż opuściłem meczet przez Bab el Wida i skierowałem się do dzielnicy el Mesfalah. Tworzy ona z dzielnicą Bab el Umrah dolne miasto i wypełnia najgłębszą zapadlinę doliny Mekki, podczas gdy druga z wymienionych dzielnic przylega do krańców Dżebel Omar oraz Dżebel Hindi i dlatego położona jest wyżej.

O dom Abadilaha nietrudno było się dopytać. Tworzył róg dwbch stykających się pod kątem prostym ulic, ciągnących się od północy i wschodu, na południe. Był to duży budynek i mimo różnych przystosowanych do nowoczesnego gustu zmian robił wrażenie, jak gdyby jui oglądał wiele stuleci. Stał cofnięty do wnętrza obszernego podwórza, które wskutek wysokiego kamiennego muru nie rzucało się w oczy. Ze wzrokiem skierowanym na ten dom szedłem ulicą ciągnącą się od wschodu. Spostrzegłem, że do domu przylega duży ogród pełen drzew owocowych, przechodzący w cały szereg ogrodów warzywnych, ciągnących się aż do stóp Dżebel Abu Kubes i pokrywających j jeszcze część jego zboczy. Gdybym, tak jak planowałem, chciał złożyć domowi Ghaniego potajemną wizytę, musiałbym przedtem poznać dokładnie całą okolicę. Toteż wspiałem się na kawałek Dżebel Abu Kubes i dotarłem pod wielką odnowioną przez Othmana paszę twierdzę Qal-'at Dżijad. W miejscu, gdzie nie byłem widoczny ani z góry ani z dołu, usiadłem i spoglądałem na Święte Miasto.

Leżało przede mną w porażającym świetle słońca miasto, do którego tęskniły miliony.

Wymarzony cel każdego pobożnego pielgrzymy, ale też czyhającego na zyski handlarza, który wybrał sobie jako przedmiot wyzysku pobożność szczodrych muzułmanów. Tłitaj zbiegały się nici całego świata mahometańskiego. Mekka jest sercem islarnu. Jak w tysiącach i setkach tysięcy żył skupiają się tu podcza~ wielkiego hadżdzu soki i siły tego olbrzymiego ciała i przepompowują 66 do tysięcy i setek tysięcy arterii nowe życie i nową świeżą krew aż do ostatnich czubków jego szeroko rozgałęzionej sieci nerwów. Mimo to nie mogę powiedzieć, że teraz, kiedy dane mi było

słuchać pulsowania tego serca, wypełniało mnie jakieś wzniosłe uczucie. By-łem w najświetniejszych miastach Wschodu, stałem na kopule Dżebel es Salehije, pod Damaszkiem i mój zachwycony wzrok wędrował po leżącym u mych stóp ziemskim raju, w którego środku meczet Omaj-jadów unosi ku niebu swoje minarety. Stojąc na galerii wieży Galata patrzyłem z zawrotnej wysokości na Sztambuł, zwany także Dair i Sa'adet, który ze swymi ogrodami, meczetami i wieżami amfiteatralnie unosi się z morza jak bajka z tysiąca i jednej nocy. Siedziałem na Dżebel Mokattam oczarowany widokiem bajecznie pięknego Kairu w świetle zachodzącego słońca, urokiem jego wspaniałej przeszłości. Patrzyłem z podziwem, a zarazem ze smutkiem z mostu pontonowego przerzuconego nad Tygrysem z powrotem na Bagdad - Miasto Zbawienia, dawną rezydencję Haruna ar Raszida, które leżało przede mną w blasku słońca w całej swej wspaniałości i przepychu, a zarazem ze wszystkimi rozpoznawalnymi oznakami rozkładu. Ale nigdy nie miałem takiego uczucia jak teraz, uczucia, które prawie mógłbym nazwać przerażeniem. Położona między nieurodzajnymi, gołymi wzgórzami dolina Mekki budziła we mnie obraz rozkopanego grobowca, a samo Święte Miasto wydawało mi się jak trup wysuszony wskutek spiekoty. Ten obraz spotęgował się przez Kaabę, która ze swym czarnym jedwabnym pokryciem wyglądała zupełnie jak sarkofag przykryty czarnym całunem, wznoszący się pośrodku tego grobowca. I dziwna rzecz? Podczas gdy zarysował się przede mną obraz grobu, wpadły mi na myśl słowa zbawiciela na temat grobów pobielanych, które z zewnątrz wyglądają pięknie, lecz wewnątrz pełne są kości trupich i wszelkiego plugastwa. I pomyślałem, że podczas moich licznych podróży po Wschodzie i wśród głęboko wierzącej ludności doznałem więcej złego niż dobrego i to właśnie ze strony tych, którzy stale mieli na ustach słowa Koranu. W czym tkwi wina? W czym 67 przyczyna, która sprawia, że ośrodek życia mahometańskiego i kultury islamskiej wygląda jak trup? Brak tu ożywczej siły, brak wody. Wszyscy mahometanie są złymi inżynierami. Nie potrafią ujarzmić siły natury, podporządkować ich wyższemu celom. Kismet jest hamulcem, który cofnął ich w kulturze o kilka stuleci. Niech się dzieje wola Allacha, jest to stałe powiedzenie, wyrażające akceptację tego, co nieuniknione. Wciąż powtarzające się powodzie dostarczyłyby dość wody, by całą dolinę zamienił w kwitnącą oazę. Ale przez wszystkie stulecia żadnemu kalifowi nie przyszło do głowy, by przez założenie sieci kanałów wodnych zatrzymać błogosławieństwo nieba i zamienić je w brzęczące złoto. Czy kiedyś nadejdzie jakiś zdolny inżynier, który pozna się na tej sztuce i czy kiedyś zjawi się wielki nowator, który zdoła do łaknących rowów i wysuszonej pustki islamu wprowadzić życiodajną wodę, dobrotliwą, uszczęśliwiającą potęgę...miłości? Widok udręczonego skwarem słońca miasta, po prostu sprawiał mi ból i skierowałem uwagę na cel, który mnie tu przywiódł. Wziąłem do ręki lunetę i nakierowałem ją na dom Ghaniego. Z mojego stanowiska widać było tylko stronę od podwórza, tam nic szczególnego nie zauważyłem, puste płaszczyzny poprzerywane nielicznymi zakratowanymi oknami z wyjściem do ogrodu. Przeszukałem ogród. Istotnie był tam wspomniany przez Munedżiego pawilon modlitwy. Ładny, utrzymany w stylu mauretańskim domek. Rzuciło mi się w oczy, że miał jedynie ślepe okna. Niezbędne światło musiało więc pochodzić z innego źródła, prawdopodobnie z góry, gdzie delikatna mała kopuła wieńczyła budynek. Dlaczego Ghani budując ten domek nie kazał tam umieścić prawdziwych okien? Czy nie chciał, by go obserwowano, kiedy się znajdował we wnętrzu? Nie wyobrażałem sobie innego powodu i postanowiłem możliwie jak najprędzej złożyć tam wizytę. Nie było to aż tak trudne. Mur stanowił najmniejszą przeszkodę, pawilon stał pośrodku obszernego ogrodu, a więc w dość dużej odległości od domu. Jeśli uua mi się wywiedzieć, o jakiej porze Ghani wychodzi ze swego mieszkania na dłużej, będę niemal pewny, że mnie 68 nie wykryje, wiedziałem bowiem od Munedżiego, że reszcie mieszkańców zabroniony był wstęp do pawilonu. Bardzo chciałem zobaczyć przez lunetę kogoś z mieszkańców domu, może nawet samego Ghaniego. Ale czekałem daremnie. Po godzinie wróciłem do domu, gdzie Haddedihowie, zajmowali się przygotowaniem wieczery. Odszukałem Halefa i omówiłem z nim plan, jaki przyszedł mi do głowy w drodze powrotnej. Dwóch Haddedihow powinno zamieszkać poblizu domu Ghaniego i od razu dać mi znać, jeśli zauważą coś ważnego. Mieli mnie zawiadomić, gdyby

Ghani opuścił miasto. Co wtedy zrobić, jeszcze nie wiedziałem, zależałoby to od różnych okoliczności. W każdym razie ryzykowne było zakraść się w celu zbadania pawilonu, gdy Ghani był w pobliżu. Nie mam zamiaru wprowadzać czytelników we wszystkie szczegóły dotyczące naszego pobytu w Mekce. Dość, jeśli powiem, że mój obecny pobyt w tym Świętym Mieście bardzo pogłębił i rozszerzył moje wiadomości na temat islamu. Widziałem wewnątrz Kaaby, które rzadko otwiera się przed pielgrzymami, na górze Arafat wysłuchałem kazania, które imam, naśladując proroka, wygłosił siedząc na droma-derze, w dolinie Muna brałem udział w kamieniowaniu wielkiego diabła i sumiennie wypilem swoją filiżankę kawy w namiocie w el Umrah, dokąd pielgrzymi udają się na małą pielgrzymkę. Ale słuchałem także w kolumnowych halach głównego meczetu wykładów profesorów i z niejednym mądrym ulemą nawiązałem uczoną dysputę na temat spornych miejsc w Koranie. Już przedtem wspominałem, że urządziłem się tak, by nie brać udziału w obrzędach religijnych. Jako słynny taleb z dalekiego Maghrebu, który był już w Mekce, nie czułem się do tego zobowiązany, a moje zachowanie, tak przynajmniej sądzę, nie mogło budzić zgorszenia.

Mniej zadowolony byłem z Persa. Już trzeciego dnia przyszedł do mnie podniecony i rzekł.

- Effendi, muszę c tobą porozmawiać. Widziałem rzeczy, których nie mogę strawić. Może wiesz, że chociaż wielki hadżdż jeszcze się nie

69 zaczął, ale już zjawili się pojedynczy pielgrzymi z Persji. Zapewne nie wiesz, jak nieprzyjaźnie ich tu traktują. Obrzuca się ich wyzwiskami, a przeklęty adżami należy do najłagodniejszych, zwłaszcza ubodzy spośród nich są traktowani z lekceważeniem. Odpycha się ich, gdzie się tylko da, pluje w ich kierunku zupełnie niedwuznacznie. Słowem, nawet psa nie traktuje się gorzej. Wobec mnie są uprzedzająco grzeczni, ale i tak usłyszałem dość dużo niemiłych uwag. Ja co prawda nic sobie z tego nie robię, ale moi biedni ziomkowie? I'ak mi ich żal. Co mam począć, effendi? I czy mógłbym w jakiś sposób im pomóc? Nie rozumiem zachowania się sunnitów wobec nas, szyitów. Przecież w gruncie rzeczy mamy tę samą wiarę, a różnica w pojmowaniu prawa kalifa co do dziedziczenia władzy chyba nie może usprawiedliwiać nienawiści wobec nas.

Nie mogłem odmówić mu słuszności, jednak powiedziałem.

- Khutabie Ago, to, co mówisz, jest z twego punktu widzenia słuszne. Niestety, istnieje jeszcze inny punkt widzenia.

- Inny punkt widzenia? Jaki?

- Jeszcze pytasz? A jak traktują sunnitów wyznawcy twojej wiary, kiedy odważą się znaleźć w pobliżu waszych świętych miast Kerbela i Meszcccched Ali? Czy sunnita nie jest narażony na najgorsze obelgi, kiedy tylko przypadkiem przetnie ścieżkę szyickiej karawany pogrzebowej, znajdującej się w drodze do Kerbeli? I jak często sunnickie świętości, na przykład w Medynie, bywają bezczeszczone przez szyickich pielgrzymów? Tylko dlatego, że są tam groby obu kalifów, którzy byli rywalami Alego! Czy wiesz, że w Szirazie uchodzi za bohatera ten

kto może się pochwalić, iż opaskudził groby Abu Bakra i Omara w Medynie? I dziwisz się, że wy tutaj, w centrum sunnickiej tradycji, traktowani jesteście z pogardą? Już u Beni Lamów powiedziałem ci z góry, co cię tutaj czeka, ale nie chciałeś mi wierzyć. Pers popatrzył zawstydzony na ziemię, po chwili rzekł przygnębiony.

- Effendi, to, co mówisz, sprawia mi ból. Tym bardziej, że nie mogę ci nic na to odpowiedzieć.

Wiem tylko jedno. Jeśli w islamie nie można znaleźć miłości, a coraz bardziej jestem o tym przekonany, to

‘t

nie potrafię już być z radością muzułmaninem.

I odszedł zmartwiony.

Było mi przykro. Ale nie mogłem mu pomóc, musiał sam uporać się z fermentem w swojej duszy. Cóż mogłem mu powiedzieć na pociechę? Najwyżej, że i w chrześcijaństwie są rozłamy, często

zwalczające się jak najostrzej i także dziś ludzie stają przeciwko sobie jako nieprzejednani przeciwnicy.

Ale ta uwaga raczej by zaszkodziła, niż pomogła. A więc lepiej było zachować milczenie.

1' d'kze Munedzi toczył wewnętrzne walki. W dzień po naszym przybyciu tutaj posłałem mu niebieskie okulary, ponieważ uznałem, że jego wzrok na tyle się polepszył, ale w ciągu dnia oczy wymagały ochrony, a tę mogły dać okulary. Kiedy ósmego dnia płacząc ze szczęścia zapewnił, że dokładnie widzi rysy mojej twarzy, także moja radość była niewymowna. Oczywiście podzieliłem się tą radosną no-winą z Haddedihami i z trudem udało mi się ich powstrzymać, aby swej radości nie rozgłaszali na wszystkich rogach ulic. Wdzięczność starca wobec mnie jeszcze wzrosła, a jednak w jego zachowaniu w stosunku do mnie zaszła wyraźna zmiana. Miałem uczucie, że moja obecność budzi w nim lekkie zmieszanie, zdawało mi się, że moje słowa i dobrotliwy ton sprawiają mu czasami wewnętrzne cierpienie, tak że czułem ulgę, kiedy od niego wychodziłem. Co prawda nie przyszło mi na myśl, że mogło to oznaczać zmianę jego stosunku do mnie. Wiedziałem, że toczy ciężkie walki wewnętrzne. Wyrzeczenie się i odejście od chrześcijaństwa, wracały jak wyrzuty. Języczek wagi, na której ważył islam i chrześcijaństwo, przechylał się stanowczo w stronę tego drugiego. A wówczas zjawiłem się ja, mniemany wierzący muzułmanin i wdzięczność, którą jego zdaniem, był mi dłużny, przechylała wagę na stronę przeciwną. Mógłbym po prostu skrócić tę jego walkę i dać się poznać jako chrześcijanin, ale uznałem, że będzie lepiej, jeśli ten szlachetny duch samodzielnie, bez niczyjego wpływu, bez kierowania się osobistymi względami, zadecyduje o sobie. Tę też ani trochę nie czułem się urażony, kiedy zauważyłem, że Munedzi z dnia na dzień coraz bardziej zaprzyjaźniał się ze swym współlokato-rem Basz Nasirem. W nim właśnie znalazł pokrewną duszę w poszu-kiwaniu prawdy. Było mi to nawet miłe, tylko usilnie napominałem Persa, by nie wspominał Munedziem, jaka jest moja prawdziwa wiara.

Tirzecim sprzymierzeńcem była Hanneh, która w dalszym ciągu po macierzyfisku troszczyła się o Munedziego i jak Halef mówił z uśmiechem, stała mu się niezbędną. 'Pdk więc na zewnątrz wszystko układało się dobrze. Rekonwalescencja Munedziego i jego przymusowe osamotnienie były względnie przyjemne, i tylko wyrobione oko mogło poznać, że w piersi Rosjanina burzył się wulkan i że między nim a mną stał nie wypowiedziany, ale wyraźnie odczuwalny znak zapytania. Dzień za dniem mijał jak w locie. Nie brakowało urozmaiceń i prawie zapominałem o Ghanim i niebezpieczeństwie zagrażającym z jego strony, tym bardziej, że pilnujący go Haddedihamowie nie meldowali nic szczególnego.

Ale rankiem szesnastego dnia naszego pobytu w Mekce zbudzono mnie. Jeden z dwu Haddedihamów, których wysłałem, by śledzili poczynania Ghaniego, stanął przede mną.

- Sidi, Abadilah, którego mamy obserwować, właśnie odjechał.

- Dokąd?

- Nie wiem, ale wyglądało na to, że zanoszą się na dłuższą wyprawę.

Od razu udałem się do pokoju, gdzie spiali Halef z synem i obudzony ich powiadomiłem, że chcę zwiedzić dom Ghaniego. Kara Ben Halef milczał, tym bardziej ożywiony wydawał się jego ojciec.

-Hamdulillah! Nareszcie, nareszcie znów jakaś przygoda! Powiadamy ci, sidi, już ~lłużej bym nie wytrzymał. 'Il; dziesięć tysięcy pokłónów wykreciły i usztywniły mi plecy, a sto tysięcy pielgrzymich

72 modlitw są temu winne, że prawie odzwyczaiłem się od mbwienia. Nie śmiej się, sidi, to prawda. Skąd możesz wiedzieć, co się we mnie dzieje? Ij~ś sobie sprawę bardzo ułatwił, podczas gdy ja każdy pokłón czuję jeszcze w swoich członkach. Chwałę sobie koński grzbiet i kołyszający się krok dżemmela. Allah to wie.

Powiadaliśmy jeszcze Hanneh, Persa i wyszliśmy. Był rześki poranek. W nocy padał deszcz i powietrze było balsami-cznie chłodne. Wkrótce dotarliśmy do domu Abadilaha. Skreśliśmy na lewo i przemykaliśmy pomiędzy warzywnikami w stronę kamien-nego muru zamykającego ogród. Nasze przedsięwzięcie było o tyle ułatwione, że panowała wczesna godzina i nigdzie nie widać

było żywej duszy. Kilka chwytów, podrzut i szczęśliwie wylądowaliśmy po tamtej stronie, potem przesuwalismy się pod ochroną dość gęsto rosnących drzew w stronę pawilonu. Kara Ben Halef musiał podczoł-gać się aż do samego domu i ukryty za pniami drzew uważać, czy ze strony domu nie zagraża nam niebezpieczeństwo.

Od strony, z której przybyliśmy, nie potrzebowaliśmy straży.

‘I~raz mogliśmy obaj, Halef i ja, zabrać się do zbadania pawilonu. Drzwi nie były przy ziemi, lecz o kilka kamiennych stopni wyżej i jak przypuszczałem, zamknięte na zamek. Przewidziałem jednak taki wypadek i za pomocą drutu, który skręciłem i użyłem jako w5rtrycha oraz noża, wkrótce otworzyłem prosty zamek. Nacisnąłem klamkę i wraz z Halefem znaleźliśmy się w środku.

3

Na razie nic nie można było rozróżniE. Panowała całkowita cie-mność, tylko parę słabych promieni padało z góry przez kilka pozo-i. stawionych w kopule otworów. Miałem jednak nadzieję, że wkrótce będzie jasno. Ghani musiał mieć skrytki dla przedmiotów, których używał, by zapalić światło, bo, że nie przychodził tu dla modłów, było dla mnie jasne. I nie pomyliłem się. Obok drzwi wyczułem wgłębienie, a w nim paczkę woskowych pochodni i garść zapalek. Zapaliłem jedną z nich i ujrzałem komnatę z trzema dywanami do 3; modłów, które w ostatnich tygodniach tak często zajmowały moje 73 myśli.

‘Pdk, nie było najmniejszych wątpliwości, znajdowałem się w po-mieszczeniu, o którym mówił mi Munedzi w swojej wizji i. ‘Ihkze Halef, którego od dawna powiadomiłem o tej dziwnej przepowiedni, był tego samego zdania, ponieważ, kiedy pochodnie zapłonęły zawołał zdumiony. -Maszallah! Sidi, niechący trafiliśmy na mysia norę. I’ak właśnie wyobrażałem sobie komnatę z trzema dywanami do modłów, o której mi opowiadałeś. I popatrz, sidi, tu po obu stronach są dwa czerwone dywany, a pośrodku leży niebieski haftowany złotem. Jestem ogrom-nie ciekaw, jakie tajemnice nam wyjawi.

Nie czekając na moją zgodę, zabrał się do badania średniego niebieskiego dywanu.

Pozwoliłem mu działać, ale dla ostrożności zamknąłem drzwi, aby na zewnątrz nie przedostał się i nie zdradził nas promień światła. Znajdowaliśmy się w pomieszczeniu liczącym mniej więcej siedem metrów kwadratowych. Szerokie powierzchnie ścian pomalowane były gustownie w dywanowy wzór, a złote splatające się ze sobą litery arabskie przedstawiające wersety z Koranu połyskiwały tu i ówdzie, kiedy światło pochodni padało na ścianę. Przerwy pomiędzy dywana-mi ukazywały podłogę wyłożoną marmurem, świadcząc o bogactwie budowniczego. Komnata, poza dywanami, była zupełnie pusta. A same dywany, według mnie wcale nie pasowały do ogólnego przepy-chu tego pomieszczenia. Nie to, że były brzydkie czy zniszczone, ale były to tuzinkowe towary, jakie kupuje się tanio na każdym bazarze. I’akże ten środkowy, mimo że wyglądał lepiej, niczym się nie wyróż-niał. Złote litery, które wplecione były w dywany i zawierały sentencje z Koranu, po bliższym zbadaniu okazały się nieprawdziwe. Prawdo-podobnie Ghani chciał odwrócić uwagę przypadkowego włamywacza od dywanów, jeśli naprawdę zawierały jakąś tajemnicę. Gdy obejrzałem komnatę, zwróciłem się do Halefa. Ten klęczał na podłodze i środkowy dywan przekręcał do góry nogami, oglądając go 74 ze wszystkich stron.

‘T~raz jakby gotów był ze sprawdzaniem, bo rzekł rozczarowany.

- Sidi, nic tu nie znalazłem, ten dywan wygląda jak tysiące innych i nie wiem, jaką tajemnicę mógłby nam wyjawić. Spróbuj ty, może będziesz miał więcej szczęścia. Wiesz przecież, w tych sprawach dłu-gość twojego rozumu przewyższa szerokość mojego. Wziąłem dywan do ręki i ledwo rzuciłem nań okiem, a j už wiedzia-łem, o co chodzi.

- Halefie, porównaj dolną stronę z górną! Nic nie zauważyłeś?

Gdyby chodziło o zwykły dywan tkany w jednym kawalku, przód i tył musiałyby się całkowicie ze sobą zgadzać. Co jest przodem po lewej stronie, musiałoby na odwrotnej stronie być po prawej i na odwrot. A wersety Koranu tworzyłyby na odwrotnej stronie nieczytelny gali-matias odwrotnie ustawionych liter. Ajak jest tutaj?

- Maszallah, sidi! Masz rację. 'I~raz widzę to także. Wersety Ko-ranu są też na odwrotnej stronie doskonale czytelne. Sądzę, że mamy tu do czynienia z dwoma dywanami!
- Nie wątpię w to. Poza tym czuję, że ten dywan jest o wiele grubszy niż inne egzemplarze tego rodzaju, co jednak zauważy tylko ktoś, kto, jak my, zwraca na to szczególną uwagę. Poza tym obie strony są tak sprytnie ze sobą zszyte, że nie powstają żadne wybrzuszenia, a więc nie mogą budzić podejrzeń.

- Rozwiązania zagadki należy więc szukać pomiędzy dwoma dywanami. Ale gdzie?

Wkrótce znaleźliśmy rozwiązanie. Jedno miejsce na brzegu było jak gdyby trochę grubsze niż pozostałe części.

Po krótkim badaniu znalazłem szew, który łączył oba brzegi i ostrym nożem rozprułem je. Wsunąłem rękę do tak sporządzonej kieszeni i pomiędzy palcami poczułem paczuszkę papieru. Z okrzykiem radości wyciągnąłem je, podczas gdy Halef z pochodnią w ręku pochylał się nade mną.

Papier na wierzchu był to wyciąg z konta cesarskiego banku w 'I~heranie informujący o złożonym tam majątku przez hrabiego Werniłowa, następnie było kilka banknotów tego samego banku o znacznej wysokości, które wykazywały tę samą sumę co ostatni wyciąg i wreszcie odkryłem pięć wycinków, które najwidoczniej pochodziły z perskich gazet. Jak stwierdziłem pobieżnie, wszystkie zawierały wiadomości o tajemniczym zniknięciu hrabiego Werniłowa i wezwania szachinszacha do niego, by wrócił, jeśli jeszcze żyje. Przeglądałem papiery klęcząc, teraz jednak zerwałem się na równe nogi, aby dać upust swej szalonej radości.

- Halef, czy masz pojęcie, co trzymam w rękach? Ale skąd masz wiedzieć? Przecież nic ci nie mówiłem o historii życia Munedżiego. Jestem teraz w posiadaniu majątku, który został Munedżiemu skradziony i dowodzi, że Ghani przed laty popełnił wobec niego łajdackie przestępstwo.

Halef wytrzeszczył oczy.

- Ghani... przestępstwo wobec Munedżiego? Ukradł jego majątek?

- Oczywiście, a kto inny? Nie mam teraz czasu wyjaśniać ci wszystkiego, ale po tym, kiedy już mieliśmy z nim do czynienia, nie powinno cię już dziwić to nowe odkrycie.

- Właściwie nie. A jednak, sidi, nie mogę pojąć, jak ktoś, kto podaje się za ulubieńca wielkiego szarifa, może być jednocześnie skoficzonym łajdakiem?

- Dziwi cię to? Mnie nie! Ghani musi najpierw dać dowód na to, że jest naprawdę ulubieńcem wielkiego szarifa. Nie wierzę mu, bo wątpię, by szlachetnie myślący człowiek, za jakiego bezwzględnie uważam księcia Mekki, dawno nie odkrył, co wart jest taki człowiek, jak Ghani.

- Ghani, Ghani, sieć coraz mocniej zaciska się nad twoją głową.

Dzięki Allahowi, że nie jestem muchą, która się w niej zaplątała.

Potem dodał z nagłym wybuchem gniewu.

- Co za łajdak! Co za bałwochwalca, który oszukuje ludzi

76 pozorami swej świętości i używa miejsc i przedmiotów, które dla prawdziwych wiernych są święte, by ukrywać swoje zbrodnie! Gdybym go miał tu pod ręką, tego wyrzutka, tak długo bym go obrabiał pięściami, aż dusza jego stałaby się podobna do bębna, którego skóra ma wielką dziurę i dlatego nic nie jest warta. Czego jeszcze szukasz, sidi?

Słuchałem słów Halefa jednym uchem. Przyszło mi na myśl, czy te oba czerwone dywany nie służą także jako miejsca ukrycia skarbów Ghaniego. Ben Nur co prawda nic nie wspominał o tym, co by mogło posłużyć jako wskazówka, może dlatego nie miało to związku z Munedżim, ale wpadło mi teraz na myśl, jak natarczywie domagał się wtedy na pustyni, by mu zwrócono jego dywan do modłów, w którym miał zawinięty swój łup. Może były w nim te wielkie pieniądze, które według słów Persa zarobił w Meszched Ali z Munedżim. To całkiem możliwe! Nawet prawdopodobne! Byłoby to jego zwyczajem używać dywanów do modlitwy w celu przechowywania pieniędzy i wartościowych papierów. Mogłem się więc spodziewać, że i w czerwonych dywanach znajdę dalsze kartki pieniężne, jak się wyraził Halef. Drążyła mnie jeszcze jedna myśl. Ghani często tu

przychodził. Po co? Chyba nie tylko z powodu niebieskiego dywanu. Z tym Beit es Ssala musiała się wiązać jakaś kolejna sprawa, o której jeszcze nie wiedziałem.

Miałem właśnie odłożyć niebieski dywan na miejsce, po daremnym poszukiwaniu dalszych kieszeni, kiedy coś zwróciło moją uwagę. Halef podszedł i przyglądał mi się. Przy tym światło pochodni padało na marmurową podłogę, ukazując podłużną szparę. Wyglądała tak, jakby dwie leżące obok siebie płyty marmurowe nie były mocno zespolone. Wyjąłem Halefowi pochodnię z ręki i obejrzałem to miejsce. Ku memu zdziwieniu spostrzegłem, że szpara na obu koticach szła dalej pod kątem prostym, a więc chodziło tu o wprawioną płytę. Zbudziło się we mnie pewne podejrzenie. A może ta płyta zakrywa wejście do podziemnego pomieszczenia? Musiałem się upewnić, więc stukalem trzonkiem noża w różne miejsca podłogi. Dźwięk brzmiał wszędzie jednakowo, tylko w tamtym miejscu był głuchy. A więc istotnie tak było, jak przypuszczałem, znajdowałem się prawdopodobnie nad wejściem do piwnicy. Ale jak usunąć ciężką płytę wielkości mniej więcej metra kwadratowego? Szukałem dalej i spostrzegłem, że płyta obok w jednym miejscu była jakby podrapana czymś twardym. Podsunąłem sztywne, niełamliwe ostrze mojego noża w to miejsce w szparze i nacisnąłem. I oto płyta uniosła się trochę, tak że mogłem pomóc sobie ręką i bez większego trudu ją podnieść. Powstały otwór ział niesamowitą ciemnością. Kiedy poświeciłem tam, wsuwając pochodnię tak głęboko, jak sięgała ręka, ujrzałem, że nie było schodów, lecz tylko prostopadle prowadzący w głąb ciasny szyb. Prawdopodobnie jednak nietrudno było tam wejść, ponieważ, o ile mogłem dostrzec, na murze w pewnych odstępach były wprawione żelazne uchwyty, tak że ręka i noga podczas schodzenia miały dostateczne oparcie. Halef spojrział mi w twarz wyczekująco.

-Sidi, zejdzieny? Byłoby cudowne, gdybyśmy natrafili na tajemnicę tego łajdaka.

- 'I-k, zejdziemy. Ale dla ostrożności weźmy jeszcze jedną pochodnię. Nie wiemy, jak długo będziemy musieli zostać na dole. Właśnie chciałem sprawdzić oba czerwone dywany, ale to nowe odkrycie wydało mi się ważniejsze niż wszystko inne. Ostatecznie tamto mogłem zbadać kiedyś o dogodniejszej porze. Zabrałem znalezione papiery i trzymając pochodnię w prawej ręce pierwszy zszedłem na dół. Halef szedł tuż za mną. Naliczyłem dwa-dzieścia uchwytów, zanim poczułem twardy grunt pod nogami. Znaleźliśmy się w korytarzu ciągnącym się w dwóch kierunkach, tak wąskim, że najwyżej dwie osoby mogły iść obok siebie. Ściany i sufit składały się z granitowych płyt i różne znaki wskazywały na to, że przejście owo miało już bardzo sędziwy wiek. W każdym razie nie powiało dopiero niedawno ani nie było zbudowane przez Ghaniego. Ale dokąd prowadziło? Poszliśmy najpierw w kierunku zachodnim, ale nie zaszliśmy daleko. Po kilku krokach musieliśmy się zatrzymać. Droga się skoficzyła, korytarz w tym miejscu się zawalił. Gdyby prowadził dalej, doszlibyśmy chyba do jakiejś piwnicy pod domem Ghaniego. Czy to przejście zostało zasypane, czy też samo się zawaliło? Uznałem, że zastanawianie się nad tym to strata czasu i ruszyłem z powrotem, by spenetrować korytarz w drugim kierunku. Na razie prowadził prosto przed siebie. Naliczyłem niemal tysiąc kroków, jakie przebyliśmy w kierunku wschodnim. Dokąd to przejście prowadziło? Według moich przypuszczeń musieliśmy być we wnętrzu Dżebel Abu. Nie musiałem łamać sobie długo głowy, ponieważ równa droga się skoficzyła i wąskie, ale całkiem wygodne kamienne stopnie prowadziły do góry. Naliczyłem dwieście pięćdziesiąt sześć stopni, kiedy wąskie przejście się rozwidliło i skręciło w prawo. Co robić? Czy mamy dalej iść w głównym kierunku, czy też skręcić? Po krótkim namyśle wybrałem to drugie i nie pożałowałem. Różne znaki wskazywały, że ta droga nierzadko była uczęszczana, dużo tu było wyrzuconych resztek spalonych pochodni. 'Pakże całkiem niedawno ktoś tędy przechodził. Zauważyłem w licznych miejscach, tam, gdzie wilgoć przesiąkała pomiędzy płytami granitu, a ziemia była rozmiękła, ślady stóp. Ślady musiały być dość świeże, bo padało dopiero w ostatnich dniach. Po jakichś pięciuset krokach nie mogliśmy znowu przejść dalej, drewniane drzwi zamykały nam drogę. Na szczęście zamknięcie, ciężki drewniany rygiel, był założony po naszej stronie. Odsunąłem go, popchnąłem drzwi i znalazłem się na zewnątrz. Pod moimi stopami rozpościerało się Święte

Miasto, z boku nade mną spoglądały w dół niewysokie, ale ponure mury twierdzy Dżizjad, a ja sam stałem pośród rumowiska, które pokrywało w dość szerokim kręgu zbocze górskie, prawdopodobnie były to resztki starej fortyfikacji. Mimo bliskości miasta tu w górze panowała najgłębsza cisza.

Odwróciłem się, by bliżej obejrzeć drzwi, podczas gdy Halef pełzał z ciekawością wśród ruin. Drzwi składały się z ciężkich drewnianych belek i po zewnętrznej stronie były tak sprytnie dostosowane do 79 otoczenia, że tylko bystre oko było w stanie dostrzec ich istnienie i to tylko wówczas, gdy wiedziało, że one tu są.

Do jakich celów służyły te drzwi i przejście, które teraz opuściliśmy? I dokąd doprowadziłyby nas kamienne schody, gdybyśmy nimi zeszli? Może do twierdzy? Wówczas całe to podziemne kretowisko należało zapewne do urządzeń twierdzy i dziwiło mnie, że jedynie Ghani o tym wiedział. Musiałem przyjąć w tym wypadku, że podziemne przejście nie znane było nawet Othmanowi paszy. Ale co miał z tym wspólnego Abadilah?

Byłem zdecydowany nie wracać do pawilonu modłów, dopóki się nie dowiem, dokąd prowadzą kamienne schody. Tę też zawołałem Halefa i zapaliłem drugą pochodnię. Wróciliśmy do potajemnego przejścia, chcieliśmy właśnie zamknąć drzwi od wewnątrz, kiedy zobaczyłem coś białego połyskującego na ziemi. Przedtem tego nie zauważyłem, bo pochodnia dawała skąpe światło, ale teraz padało pełne światło dnia i oświetlało jasno ujście korytarza. Podniosłem ów przedmiot. Była to kartka zapisana po jednej stronie jednym tylko zdaniem, ale zdanie to zawierało słowo takie, że aż zdrętwiałem ze zdumienia.

Gdy przed dwudziestu laty zmuszony byłem wraz z towarzyszami uciekać z Mekki, natrafiliśmy na jaskinię, znaną tylko przywódcom Ateibehów. Jaskinia nazywała się Atafrah i to słowo, któremu przyglądałem się teraz z pełnym niedowierzaniem napisane było na kartce. Byłem tak osłupiały, że Halef szturchnął mnie w bok i zapytał zdziwiony.

- Co ci jest, sidi? Co tam napisane?

- Masz, sam zobacz i powiedz mi potem, czy dobrze przeczytałem.

Halef wyjął mi kartkę z ręki i przeczytał głośno jej treść.

- „Przyjdź jutro do jaskini Atafrah! „

Potem jego ręka opadła i rzekł po chwili niemego zdumienia.

- Tb prawda, sidi, tu jest wyraźnie napisane. Maszallah! I jeszcze raz Maszallah! Czy chodzi tu o naszą jaskinię, w której byliśmy przed dwudziestu laty? Jak sądzisz?

- Jak możesz jeszcze pytać! Jestem przekonany i wiem, że dziś musieliśmy odnaleźć nie tylko majątek Munedziego, lecz i tę kartkę. Chodź. Musimy natychmiast wracać i gonić Ghaniego.

- Jak to? - zapytał Halef zdziwiony. - Nie chcesz jeszcze przedtem pójść tymi schodami do końca?

- Nie mamy już dziś czasu. Mam niezbite uczucie, że w jaskini albo pod jaskinią Atafrah dowiemy się rzeczy ważniejszych, niż gdybyśmy pełzali tutaj pod ziemią jak koty.

- Ale przybędziemy za późno. Ghani wyprzedził nas i nie dogoni-my go. Spojrzałem na zegarek.

- Wyszliśmy wkrótce po odjeździe Ghaniego z domu i jesteśmy tu dopiero godzinę. Ma on więc godzinę albo półtorej przewagi nad nami. Pornyśl, że tu chodzi na pewno o rzecz jak najbardziej sekretną. Na pewno więc nie pojedzie prostą drogą, lecz będzie krążył. Sądzę nawet, że opuścił miasto nie przez Bramę Dżidda, lecz w przeciwnym kierunku, a by nie rzucać się w oczy, nie będzie okazywał pośpiechu. My natomiast możemy poganiać nasze zwierzęta i poza tym jechać prostą drogą, tak że możemy go dogonić, a nawet wyprzedzić.

- Sidi, masz rację, znów widzę, że długość twego rozumu wcale nie jest taka najgorsza.

Starannie zamknęliśmy za sobą drzwi i tak szybko, jak pozwalała na to droga, wróciliśmy. Przy tym chodziły mi po głowie rozmaite przypuszczenia. Kim był ten człowiek, który utrzymywał potajemny kontakt z Ghanim i przez którego otrzymywał on wiadomości określonej drogą poprzez podziemny korytarz? Bo, że przyjmował gońca nie w domu, lecz wśród ruin, nie ulegało dla mnie wątpliwości. Czy należał do plemienia Ateibehów? Właściwie należało tak przypuszczać, bo

uważałem za wykluczone, by ci ludzie jakiemuś obcemu powiedzieli wś o jaskini Atafrah. Kogo dotyczyła wyprawa Ghaniego i spotkanie w jaskini? Czy chodziło o nas, czy też o kogoś innego?

6 - *W podziemiach Mekki*

Byłem przekonany, że Abadilah nie zamierza się na nas mści~. Z drugiej strony, gdyby chodziło tylko o nas, znalazłby w Mekce dość posłusznych narzędzi dla swoich planów, nie musiałby po to specjalnie wyjeżdżać z miasta. Jakkolwiek było, mogłem tylko snuć przypuszczenia, nic więcej. Nie inaczej było z dziwnym proroctwem Munedziego, które w tak nieoczekiwany sposób zaczęło się sprawdzać. Cóż to była za siła, przemawiająca ustami Munedziego i ujawniająca sprawy, o których na jawie nie miał pojęcia? Co do majątku dawnego rosyjskiego profesora i tajemnicy podziemnego korytarza, to przepowiednia Munedziego nie była tak niezrozumiała. Ale co to było z tą kartką? Czy i ją musiałem przypisać do tej tajemnej siły? Czy ta duchowa moc mogła wejść w przyszłość i wiedziała z góry, że o określonej godzinie znajdzie się na mojej drodze ważna dla mnie kartka? Ale i tak bym nie otrzymał odpowiedzi na moje pytanie, bo dotarliśmy właśnie do szybu. Wyszliśmy na górę, zastawiliśmy otwór na powrót marmurową płytą i ułożyliśmy niebieski dywan dokładnie tak, jak leżał przedtem. Pomijając papiery i dwie wypalone pochodnie, wszystko pozostało tak jak przedtem. Rzuciwszy jeszcze jedno badawcze spojrzenie, opuściliśmy pawilon i udało mi się znów zatrasnąć zamek. Kara Ben Halef był zadowolony, kiedy przyszedliśmy odwołać go z posterunku. W ogrodzie nie pojawił się nikt, a czekanie wydało mu się długie i nużące. Teraz także udało się nam przejść niepostrzeżenie przez mur ogrodu i szybko pobiegliśmy do naszego mieszkania, podczas gdy Halef opowiedział synowi to wszystko, co najważniejsze i czego powinien się być dowiedzieć.

Pod jaskinią Atafrah

W Mukak el Hadżar zatrzymaliśmy się tylko tak długo, by osiodłać konie i przygotować się na dzień konnej jazdy. Papiery dotyczące Munedziego oddałem do rąk Kary Ben Halefa na przechowanie, ponieważ nie chciałem wystawiać ich na niebezpieczeństwo nawet krótkiej wyprawy.

Właściwie powinienem był je od razu wręczyć Munedziem, ale to wymagałoby wyjaśnienia, a na to nie było teraz czasu. Tak więc minęło zaledwie kilka minut od naszego przybycia na kamienną uliczkę, kiedy obaj, Halef i ja, jechaliśmy obok wielkiego meczetu i przez Bab el Umrah, by dotrzeć do drogi prowadzącej do Dżiddy. Kiedy mieliśmy za sobą ostatnie domy miasta, mogliśmy wreszcie popędzić nasze zwierzęta.

- Assil... Assil! Ramchchchch, ramchchchch! - poganiałem swe go karego.

- Barkh... Barkh! Ramchchchch, ramchchchch! - wołał Halef za moim przykładem.

Było to wezwanie do jak najszybszego galopu. Zwierzęta pędziły jak wiatr, a przy tym z takim spokojem i lekkością, jak gdyby ten 83 galop nie wymagał od nich najmniejszego wysiłku. Mimo że droga wcale nie była równa, zwierzęta pokonywały każdą przeszkodę z łatwością i kiedy znaleźliśmy się na miejscu minęło nie więcej niż pół godziny. Dotąd Halef z powodu nierówności terenu musiał jechać za mną, ale teraz droga pozwoliła mu przyłączyć się do mnie i opowiedziałem mu po raz pierwszy krótką historię Munedziego, łajdackie knowania, zdrady i sieci oszustw, jakimi Abadilah otoczył ufającego mu człowieka. Halef był obulzony. Podczas gdy mówiłem, przerywał mi wielokrotnie okrzykami zdumienia, które nie ustawały zwłaszcza pod koniec sprawozdania. Kiedy skończyłem, wbrew swemu zwyczajowi zachowywał milczenie. Ale było ono bardziej wymowne, niż gdyby dał wyraz całemu swemu wstrętowi i oburzeniu. Dobrze, że nie było tu Ghaniego! Zostałby bowiem zmielony młynem jego gniewu. Podczas mojego opowiadania pozwoliliśmy naszym koniom na spokojniejszą jazdę, by ich nie przemęczać, teraz jednak znowu je ponagliśmy. Słońce unośliło się coraz wyżej i coraz bardziej odczuwało się skwar dnia. Jechaliśmy jednak dalej, bez odpoczynku, chcieliśmy bowiem być na miejscu, zanim żar południa stanie się udręką.

Byliśmy już trzy godziny w drodze i teraz pilnie używałem lunety, by odkryć Ghaniego, który według mego obliczenia powinien znajdować się niedaleko przed nami, chyba że pozostał na prostej drodze i gnał przed siebie na złamanie karku.

Wreszcie zostałem nagrodzony za tak pilne rozglądanie się. W dole ujrzałem poruszający się punkt, a kiedy się zbliżyliśmy, okazało się, że to pojedynczy jeździec, który dość spokojnie zmierzał ku pewnej linii, którą również zobaczyłem przez lunetę. Było to rumowisko skalne, które z tej strony ograniczało otwartą pustynię i za którym należało szukać jaskini Atafrah. Bez słowa skierowałem konia z po-przedniego kierunku w lewo, a Halef jechał za mną, wcale nie okazując zdziwienia. Znał mnie i potrafił sobie wytłumaczyć moje Lachowa-nie, nawet kiedy mu nie wyjaśniłem powodów. Musieliśmy liczyć 84 się z tym, że okolica, z której nadjeżdżał Ghani, będzie z jaskini obserwowana i dlatego należało starać się zbliżyć do miejsca spotkania z innego kierunku. Aby było możliwe dotarcie do jaskini przed Ghanim, puściliśmy konie najostrzejszym galopem i po kwadransie byliśmy w miejscu, gdzie otwarta pustynia przechodziła w rumowisko skalne. Miejsce to położone było tak daleko na południe od punktu, do którego zmierzał Ghani, że gołym okiem na pewno nie mogliśmy być widoczni.

Skierowaliśmy konie pomiędzy szczelinami skalnymi i jechaliśmy w stronę, gdzie znajdowała się jaskinia Atafrah. Co prawda minęło już przeszło dwadzieścia lat, jak tu byłem, ale ufałem memu nieomylnemu zmysłowi orientacji i czułem, że bez trudu znajdę poszukiwany punkt.

Kiedy sądziłem, że jesteśmy już dość blisko jaskini, zostawiliśmy konie w szczelinie skalnej. Właściwie Halef powinien był zostać na posterunku, ale ten sympatyczny człowiek tak bardzo mnie prosił o zabranie go ze sobą, że nie mogłem mu odmówić. Pieszko skradaliśmy się dalej. Skierowałem kroki tak, że według moich obliczeń musieliśmy trafić na jaskinię od zachodu, ponieważ przypuszczałem, że na tamtą stronę nie będą zwracać uwagi. Szliśmy dalej i miałem nadzieję, że w każdej chwili trafię na nieomylny znak, wskazujący nasz bliski cel. Ale tak nie było. Już myślałem, że zmyliłem kierunek i zatrzymałem się, gdy z boku za nami rozległo się w oddali głośnie wołanie. Brzmiało to jak pytanie. Słyszałem też odpowiedź, ale nie zrozumiałem ani słowa. Szybko i z niezwykłą ostrożnością posuwaliśmy się w kierunku tego wołania. Szczelina skalna, tworząca wejście do jaskini, była, jak wiedziałem z dawnych czasów, otoczona wieloma potężnymi głazami, tak, że skradanie się nie było dla nas trudne. Z każdym krokiem poznawałem okolicę i wreszcie ujrzałem, wysuwając się ostrożnie spoza skały, wejście do jaskini i dwóch Beduinów siedzących na ziemi i wyczekująco patrzących na trzeciego, który właśnie szybkimi krokami nadchodził z kierunku, z którego miał nadejść Ghani. Nie 85 widziałem koni, były chyba ulokowane w jaskini, na której tyłach, jak pamiętałem, znajdował się mały zbiornik wodny, wielka rzadkość w tej ubogiej w wodę okolicy.

Kiedy ten trzeci zbliżył się na kilka kroków, jeden z dwóch siedzących zapytał.

- Czy to Abadilah?

- Tak, to on. Jest co prawda jeszcze daleko, ale poznałem go po czerwonym okryciu siodła, które lśniło w słońcu.

- Więc idź i pitnij, aby nikt niepowołany nam nie przeszkodził.

- Kto mógłby nam przeszkodzić w tej tak odległej okolicy, o szejku?

- Nie pytaj, lecz słuchaj - odparł zwięźle ten nazwany szejkiem.

- Wiesz, że chodzi o sprawę tak niebezpieczną, iż nigdy dość ostrożności.

Przywołany do porządku oddalił się bez słowa, na szczęście nie w naszym kierunku, lecz w stronę przeciwną, może dlatego, że jakaś nieprzewidziana przeszkoda mogła nadejść tylko od strony odsłoniętej pustyni. Spodziewałem się, że dwaj pozostali rozpoczną rozmowę, z której zrozumieć cel ich spotkania, ale się rozczarowałem. Obaj siedzieli w milczeniu. Minęło może dziesięć, dwanaście minut, kiedy za naszymi plecami rozległ się tętent kopyt końskich i nadjechał oczekiwany przybysz. Po kitku minutach jeździec zakreślił za załom skalny. '1'dk, to był Abadilah el Waraka. Nie widać było jego chudej postaci, ponieważ owinięty był w obszerny fałdzisty burnus, który nie wskazywał na stanowisko i urząd swego właściciela. Lecz koń, na którym

siedział, był najszlachetniejszej rasy, a czerwona, bogato haf-towana złotem derka, która pod siodłem przykrywała grzbiet i boki konia, musiała kosztować wiele pieniędzy. Zdumiony byłem, że Gha-ni znalazł drogę przez to rumowisko skalne, nie schodząc z konia. Widocznie był tu nie pierwszy raz. Podczas wymiany zwykłych pozdro-wień teiwarzysz szejka pomógł jeźdźcy zejść z konia i zaprowadził zwierzę do jaskini.

86

Dobrze przypuszczałem, zwierzęta były ulokowane w jaskini. ‘I~raz ciekawe było, gdzie odbędzie się rozmowa. Jeśli w jaskini, to byłoby dla nas trudne, a może w ogóle niemożliwe, podsłuchanie jej. ‘Ib jednak odpadło, gdyż szejk zapytał nowo przybyłego.

- Chcesz zostać tu, czy mamy wej~ć do jaskini?

- A czy okolica jest pewna i nikt nas tu nie może zaskoczyć?

- Nie ma nikogo w pobliżu, poza tym Ali stoi na skraju pustyni na posterunku. Jesteśmy całkowicie bezpieczni.

- Więc wolę pozostać tu. Jest tu wygodniej niż wewnątrz, gdzie trzeba palić ogień, aby się zobaczyć.

Właśnie to chciałem usłyszeć i podczas gdy ci trzej wygodnie się rozsiedli, przysunęliśmy się kawałek bliżej. W pobliżu miejsca, gdzie siedzieli, dwa dość duże bloki skalne znajdowały się tak blisko siebie

,
że tworzyły zwążającą się do przodu szparę. Wczołgaliśmy się tam i znaleźliśmy się w dość bezpiecznym miejscu. Szpara była z przodu tak wąska, że mogliśmy przez nią zerkać, ale tamci nie mogli zajrzeć do nas. A jeśli któremuś przyszło by do głowy zbadać to miejsce, spo-strzeglibyśmy to zawczasu i moglibyśmy się ukryć wśród licznie tu rozsianych bloków skalnych.

Właśnie kiedy jako tako się ulokowaliśmy w tej wąskiej szparze, Ghani zaczął rozmowę. Pierwsze, co usłyszeliśmy, to wyrzut.

- Czemu nie przyszedłeś na zwykłe miejsce, by uzgodnić ostatnie sprawy, tylko każesz mi jechać taki kawał drogi?

- Bo nie uważam za mądre omawiać plan ujęcia lwa w jego własnej jaskini.

- A jeśli lew jest chory i słaby? Odkąd to Ahmed Ghalib, szejek odważnych Arabów Sebida, boi się? Ach! Ahmed Ghalib! Już o nim słyszałem. Pod poprzednim walim, Othmanem paszą, jako sojusznik Ben Asima, potężnego szejka Beni Harbów, długo zagrażał karawanom zdążającym z Mekki do Dżiddy, aż energiczny pasza położył kres ich zbrodniom. Odtąd nic nie było słyhać o nich obu i drogi karawan stały się dość bezpieczne, aż do ostatnich czasów, kiedy to zdarzyło się kilka zuchwałych napadów rabunkowych, przy czym nie udało się wykryć sprawców. Obecny wali, Szafwet pasza, lekcewał sobie swoje obowiązki, jego zasadą było: „Żyć i dać żyć innym”. Nie miał ambicji, tak jak jego poprzednik, by obok wielkiego szarifa odgrywać znaczącą rolę. Swoją chciwość mógł i tak zaspokoić. W tych warunkach nie zależało mu wcale na zapewnieniu bezpieczeństwa na drogach karawan i uważałem, iż jest całkiem prawdopodobne, że szejek Sebidów na razie potajemnie z tego korzysta i w tych wszystkich napadach rabunkowych maczał palce. Przy tym nasunęła mi się myśl, że Ghani odgrywał jakby rolę nagania-cza. Jako władca całej dzielnicy miasta miał dostateczny wgląd w sprawy majątkowe podwładnych mu pielgrzymów, tak że mógł swego sojusznika szejka naprowadzić na dobry połów. Łup dzielono i Aba-dilah stał się w ten sposób bogaczem, ghanim.

Myśli te przyszły mi do głowy błyskawicznie podczas ostatnich słów Ghaniego. Ale kim był lew, którego chciano upolować, a który był chory i słaby? Do nas słowa te nie mogły się odnosić, zresztą od razu otrzymałem odpowiedź na to pytanie, szejk bowiem rzekł.

- Chory, słaby lew, powiadasz? ‘Aun er Rafiq posiada jeszcze wielu potężnych przyjaciół i ma wielki mir u ludzi.

- Allah jest wielki i miłosierny- rzekł Ghani lekceważąco - a ty naraz zaczynasz się wahać. ‘Aun er Rafiq już od dawna nie jest taki lubiany jak dawniej. Zapomniałeś, jak bardzo mają

wielkiemu szari-fowi za złe, że jest niedostępny dla zwykłych ludzi i rzadko ich do siebie dopuszcza? Mekkańczyk wszystko zniesie i wybaczy swemu księciu, tylko nie lekceważący stosunek. On nie ma przyjaciół nawet we własnym domu, taki z niego kapryśny tyran. Niech tylko zaj mę jego miejsce, a zobaczysz, że nikt palcem nie kiwnie w jego obronie. A może myślisz, że następca Muhammeda Abu Numehjia i prawnuk Qatadaha mniej się nadaje na tron szarifa niż Aun er Rafiq? Czemu potomkowie Barakata nie mogą być także powołani do władzy jak synowie Hassana? W moich żyłach płynie ta sama szlachetna krew gg książęca. Czemu mam zrezygnować ze swego prawa tylko dlatego, że obecny emir należy do starszej linii? Ani mi się śni! Chcę i będę wielkim szarifem, a kto ma władzę, ten ma i prawo! Było to pasjonujące! Stałem się świadkiem spisku przeciwko obecnemu wielkiemu szarifowi. Co prawda, kiedy się nad tym zastana-wiałem, wcale nie wydawało mi się to takie dziwne. Historia wielkich szarifów Mekki jest pisana krwią. Niejeden sławny emir doszedł do tronu szarifa po trupie swego poprzednika i wymusił sobie potem uznanie Porty, której zwierzchnictwo także było tylko pozorne, zwła-szcza wtedy, kiedy skutek wojen nie mogła troszczyć się o sprawy odległej Hedży. Ale że teraz, kiedy Turcy posiadali w świętym mieście duże oddziały wojska, jakiś człowiek ważył się na powstanie przeciw panującemu wielkiemu szarifowi, które zarazem musiało być skiero-wane przeciwko paszy, wskazywało na odwagę, która mnie przy zwy-kłym tchórzostwie Ghaniego zaskoczyła. A może zawarł potajemne przymierze z Szafwetem paszą? Było to przypuszczenie, które wydało mi się jednak zbyt śmiałe. W każdym razie teraz cała wyprawa Gha-niego do Meszched Ali, którą odbył jako w~słannik wielkiego szarifa, ukazała mi się w zupełnie innym świetle niż poprzednio. Czy chodziło tu o jego własne egoistyczne plany? Może chciał zwerbować sobie przyjaciół wśród tamtejszych wysokich duchow-nych?

Jeśli tak, to wynik nie wypadł po jego myśli, inaczej nie odważyłby się na kradzież Kans el Adhai. Bo nie okrada się sprzymierzeńców, których pomocy się potrzebuje.

Nie miałem czasu dalej snuć tych myśli, to, co tu usłyszałem, wymagało mojej całkowitej uwagi.

- Kto ma władzę, ten ma i prawo - powiedział Ghani.

Na to szejka wybuchnął krótkim szyderyczym śmiechem.

- Kto ma władzę, powiadasz? A ty ją masz? - rzekł.

- Jeszcze iiii, ale wkrótce będę ją posiadał i ty masz mi w tym dopomóc. 89

- A jeśli nie zechcę? Jeśli nie zechcę narażać się za ciebie?

Ghani zerwał się wściekły i tupnął nogą.

- Musisz chcieć! Nie zapominaj, że jesteś moim zięciem i, że wystarczy jedno moje słowo i pasza napuści na ciebie swoich askarów. Na twarzy szejka ukazał się złośliwy uśmiech, kiedy odpowiadał.

- Więc powiedz to słowo! Bardzo chciałbym zobaczyć twarze mekkańczyków, kiedy się dowiedzą, że szanowany i pobożny Abadi-lah jest teściem Ahmeda Ghaliba, którego się tak obawiają. Zresztą pasza ma inne, ważniejsze sprawy niż urządzać na nas polowanie, zbyt mało by mu to przyniosło. Ale po co mamy się sprzeczać? Jaką korzyść miałbyś z tego? Siadaj i porozmawiajmy spokojnie. Jak dotąd jeszcze nie żałowałeś, że dałeś mi córkę za żonę. Ha, ha, gdyby mekkańczycy to wiedzieli! Piekielnie mądrze urządziliśmy się wtedy, kiedy podob-no wywiozłeś córkę do Egiptu, by ją tam wydać za mąż, a w istocie przyprowadziłeś ją do Duar der Sebi. Była to najbardziej udana transakcja, jaka kiedykolwiek została zawarta. Po co to teraz rozbijać? Ghani wahając się usiadł znowu i rzekł niechętnie.

- Sam zacząłeś mówiąc, że nie chcesz mi pomóc.

- Czy powiedziałem, że nie chcę? Tylko tak wspomniałem. Sprawa jest zbyt niebezpieczna.

- Sprawa wcale nie jest niebezpieczna - zapewnił Ghani gorli-wie.

-Już wcześniej ci mówiłem, że zjednałem sobie szejka zwierzch-nika i sporo wpływowych profesorów. Poza tym cieszę się u ludzi dużym szacunkiem. A co do paszy, to niczego przeciwko mnie nie podejmie, jeśli zostanie postawiony przed faktem dokonanym.

-I'ak, jeśli..., aż do tego dojdzie, wielu moich dzielnych wojowni-ków może stracić życie.

- Ani jeden nie zginie, ani jeden. Jestem w posiadaniu środka, który odda w twoje ręce twierdzę Dżijad prawie bez walki.
 - Twierdza Dżijad? Podda się bez walki? Chyba żartujesz?
 - Wcale nie żartuję. Początkowo chciałem pomówić z tobą o tym, 90 kiedy już wszystko uzgodnimy. Ale zmuszasz mnie już teraz, bym wyjawiał ci moją tajemnicę.
 - Twoją tajemnicę? Więc tu chodzi o tajemnicę. Bardzo jestem ciekaw.
 - Jest to długo chroniona tajemnica i jestem jedynym, który ją zna. Ma zresztą związek z podziemnym przejściem, które z mojego ‘ domu prowadzi do wnętrza Dżebel Abu Kubes i którego jeden koniec ma ujście w ruinach, gdzie otrzymuję wiadomości od ciebie.
 - Powiadasz jeden koniec. Czy to przejście ma jeszcze drugi?
 - Tak i to właśnie jest moją tajemnicą, którą przed wszystkimi, nawet przed tobą troskliwie ukrywałem. Dlatego nikt poza mną nie mógł wejść do tego przejścia, ponieważ nie chciałem, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział. Mógłby to wykorzystać dla własnych celów. Przejście prowadzi nie tylko do ruin, lecz wyżej, o wiele wyżej, wychodzi do piwnicy twierdzy Dżijad. Tym razem szejk zenwał się z miejsca z wszelkimi oznakami podniecenia.
 - Maszallah! Mówisz prawdę?
 - ‘Pdkjest. Ujście przejścia zamknięte jest głazem, który z pomocą prostego urządzenia można usunąć. Po tamtej stronie znajdziemy się w piwnicy zamku i stamtąd łatwo jest wdrzeć się do twierdzy. Sam się o tym przekonałem i nie zauważony doszedłem do podwórza twierdzy, potem co prawda musiałem wycofać się przed posterunkiem, który tam stale czuwa. Wierzysz mi teraz, że mój środek jest wspaniały.
- Chyba nie muszę zapewniać, że słów Ghaniego słuchałem z nie mniejszym napięciem niż szejk. Halef potracił mnie łokciem, chciał dać wyraz swemu zdziwieniu. Największe podniecenie wykazywał szejk. Kilkakrotnie przebiegł wielkimi krokami w tę i z powrotem, wreszcie zatrzymał się przed Ghanim.
- Czemu dopiero teraz mi o tym mówisz? Gdybym wiedział wcześniej, nie zastanawiałbym się ani chwili. Ale czy naprawdę jesteś 91 przekonany, że poza tobą nikt nie wie o tym przejściu? Trudno mi w to uwierzyć.
 - Możesz mi spokojnie wierzyć. Przecież twierdza nie była wykorzystywana przez ponad dwa stulecia. Jakże łatwo było przez ten czas zapomnieć o tym przejściu. Zresztą wydaje się, że już wtedy, kiedy twierdza przestała spełniać swe zadanie, nikt nic o tym nie wiedział, inaczej oba wejścia, zarówno to prowadzące do twierdzy, jak i drugie, pod ruinami, które przedtem było okopami przedwałowymi Dżijadu zostałyby zablokowane. ‘Ii~zecie przejście, które kończy się gdzieś w moim domu, jest także zasypane i ja sam nie miałbym o niczym pojęcia, gdybym nie odkrył tego przejścia przez szczęśliwy przypadek, po czym z wielkim trudem wykopałem nowy dostęp do niego. Starego, mimo starannego poszukiwania, nie znalazłem, chociaż przebadałem wszystkie zakątki mojego domu. I tak by mi to nic nie dało, bo niemożliwe byłoby niepostrzeżenie usuwać masy ziemi, które zamykały sztolnię koło mojego domu.
 - A jak w ogóle powstało podziemne przejście między twoim domem a twierdzą?
 - Allah raczy wiedzieć. Przypuszczam, że władcy Mekki, którzy zamek budowali, przebili z mojego domu, który był prawdopodobnie ich siedzibą miejską, to przejście do twierdzy, by w razie niebezpieczeństwa szybko i niepostrzeżenie się tam ukryć. Najprawdopodobniej przy takim odwróceniu wysadzono sztolnię w pobliżu mojego domu w powietrze, by uniemożliwić wrogom prześladowanie, podczas gdy oba wejścia pozostawiono, ponieważ stanowiły podstawową łączność pomiędzy twierdzą i okopami przedwałowymi. Później Mekka, a wraz z nią zamek przeszły w ręce innych władców i o przejściu zapomniano. ‘Pak sobie wyobrażam przebieg całej sprawy.
 - Ale jak ci się udało odkryć to przejście i gdzie zorganizowałeś nowy dostęp?
 - Ahmedzie Ghalibie, odsłoniłem przed tobą moją tajemnicę o tyle, o ile to potrzebne do naszych planów. Więcej ci nic nie mogę 92 powiedzieć.

Szejk z wielkim zainteresowaniem słuchał wyjaśnień Ghaniego, my obaj oczywiście też. Zgadzałem się z Ghanim w kwestii tłumaczenia powstania tego przejścia. Właśnie tak samo sobie to wyobrażałem. Święta dolina Allacha, jak nazwał pewien współczesny pisarz Mekkę, zmieniała swoich panów tak często, a święta schoda była przedmiotem tak zajadłych walk, że schodę należało przede wszystkim zabezpieczyć. 'Ilj konieczności zawdzięczały swoje powstanie wieże strażnicze przy rozmaitych wejściach do miasta i twierdza Dżijad. 'Isi ostatnia co prawda w ciągu wieków była wielokrotnie zdobywana i niszczona, aż niedawno została znów odbudowana przez Othmana paszę. Służyła nie tylko jako obrona, lecz także jako więzienie dla mekkaficzyków, którzy skazani byli na wieloletnie kary. Dostępu do tego więzienia, a tym samym do twierdzy domagał się zresztą wielki szarif dla swoich siepaczy, jak i gubernator dla swoich askarów. A obaj nie mieli pojęcia, że siedzieli w norze nie dającej im żadnego bezpieczeństwa, ponieważ istniało potajemne przejście, do którego Ghani miał klucz w rękach. To, że ten dostęp mógł się bardzo łatwo stać niebezpieczną bramą wpadową, wyraźnie wynikało z tego, co usłyszeliśmy. Gdyby Ghani wiedział, że już nie tylko on jest jedynym posiadaczem tego klucza!

Oświadczenie Ghaniego usunęło ostatnie wątpliwości szejka i już dłużej nie zwlekał ze zgodą.

- Abadilah, możesz liczyć na moją pomoc. Powiedz mi tylko, kiedy mamy uderzyć.
- W najbliższych dniach. Nie mogę dłużej czekać. A mój pierwszy czyn jako wielkiego szarifa będzie czynem zemsty.
- Ach, masz na myśli Haddedińów, którzy są winni śmierci twego syna. Dziwi mnie tylko, że dotąd jeszcze się nie zemściłeś.
- Ty tego nie rozumiesz. Musiałbym ukaranie złożyć w ręce wielkiego szarifa, a przy tym wyszłyby na jaw rzeczy, o których on nie powinien wiedzieć.

93

Szejk się zaśmiał.

- Ale obcy mogą tymczasem wyjechać i będziesz się miał z pyszna.
 - 'I' dk sądzisz? - szyderczo zapytał Ghani. - Myślałem, że jesteś mądrzejszy. Chyba sobie zdajesz sprawę, że mam swoich szpiegów, którzy mi donoszą, co te psy robią. W ten sposób wiem dokładnie, że ani myślą o odjeździe. A jeśli nawet, to wolałbym zrezygnować z zostania wielkim szarifem, niż z radość, mojej zemsty.
 - A jeśli wielki szarif nie wypełni twojej woli? Co ty, pojedynczy człowiek, mógłbyś zrobić wobec tak wielkiej przewagi?
 - Nie jestem sam. Czy ci nie powiedziałem, że mam w mieście wielu przyjaciół? I gdybym musiał wezwać całą ludność przeciwko nim, zrobiłbym to.
 - No, w każdym razie lepiej, żebyś nie musiał polegać na tak bądź co bądź niepewnej drodze. Ale wymień mi wreszcie określony dzień, kiedy chcesz uderzyć.
- Ghani zastanawiał się chwilę, potem odparł.
- Dziś jest piątek. W ciągu dwóch dni będę gotów z przygotowaniami w mieście. Przyjedź w nocy między niedzielą a poniedziałkiem ze swoimi wojownikami na znane miejsce przy ruinach, tam będę czekał na ciebie dwie godziny po północy. Znajdziesz dość miejsca, by się tam ukryć, bo nikt nie powinien was zobaczyć. I'akże zbiórka twoich ludzi musi odbyć się możliwie na miejscu, gdzie będzie nie zauważona. Bo gdyby tak wielki oddział ukazał się w pobliżu miasta, wzbudziłby niepotrzebną ciekawość.
 - Zb się dobrze składa, że nasi dawni sprzymierzeńcy z czasów Abd el Muttaliba, Ateibehowie, zdradzili nam tę jaskinię. Tu każę przybyć moim wojownikom. Do tej okolicy rzadko kto przychodzi, a wody w jaskini wystarczą na jakiś czas.
 - Dobrze! Ale zadbaj też o to, by twoi wojownicy nie popełnili żadnych głupstw.
 - Nie bój się. Dam im dokładne wskazówki. Wyruszymy stąd, gdy zapadnie zmrok i tak się urządzimy, żeby około północy na koniach a4 dotrzeć na drogę prowadzącą z Mekki do Jemenu. Znam w pobliżu wrzynający się w Dżebel Omar wąwóz, w którym zostawimy nasze zwierzęta. Jest oddalony tylko o pół godziny drogi od Mekki i tak ustronny, że przed rankiem

prawdopodobnie nikt się tam nie ukaże. O tej porze będziemy już panami Mekki i każemy przyprrowadzić nasze konie.

- Tb dobry plan i na pewno się uda, jeśli nie popełnisz żadnego błędu. Najlepiej żeby twoi ludzie przyszedli pojedynczo i z różnych stron zbliżali się do ruin. Jak powiedziałem, będę na was czekał dwie godziny po północy i poprowadzę przez tajemne przejście do wnętrza twierdzy, gdzie będzie ci łatwo zaskoczyć posterunki i uwięzić załogę. Reszta należy do mnie.
- A jeśli wielki szarif przed czasem dowie się o całej sprawie i podejmie odpowiednie kroki?
- Tb niemożliwe, zbyt cienko prządzę swoją nić i 'Aun er Rafiq nie może mi się wymknąć, jeśli ty zrobisz to, co do ciebie należy. Szczególnie ważne jest, żebyś jak najciszej opanował twierdzę. Do miasta nie powinien dotrzeć najmniejszy szmer. Reszta to dziecięca zabawa. Pozostaniesz z połową swoich wojowników jako załoga, a druga połowa otoczy pałac wielkiego szarifa i wyciągnie go ze snu. Kiedy już zostanie wielkim szarifem, nie będziemy się musieli obawiać paszy. Jak go znam, postawiony przed faktem dokonanym, podda się nieuchronnie, bo zrozumie, że prędzej nie wycofamy załogi z twierdzy. A na potwierdzenie padyszacha ze Stambułu nie będziemy długo czekać.
- Co zrobisz z wielkim szarifem? Pozostawisz go przy życiu?
- Niech Allah zachowa twój rozum! Czy pozostawisz wilka przy życiu, kiedy go złapiesz w sidła? Przecież może swymi ostrymi zębami przegryźć więzy i rozszarpać cię. Nie, 'Aun er Rafiq i obaj jego mali synowie muszą umrzeć. Dopiero wtedy będę przed nimi bezpieczny.
- Co z nimi poczniesz, to twoja spiawa i nic mnie to nie obchodzi - rzekł szejk zimno. - Raczej interesuje mnie umowa, jaką

95 zawarliśmy na wypadek, gdybym ci podał moje ramię. Mam nadzieję, że kiedy osiągniesz swój cel, nie wycofasz się z obietnicy i nie zechcesz mnie oszukać.

- Co też ci przychodzi do głowy! Jesteś moim zięciem i chyba nie sądzisz, że ja...
- Daj spokój z tym zięciem - przerwał mu szejk krótko - i bądźmy przynajmniej wobec siebie szczerzy! To, co nas łączy, nie jest uczuciem rodzinnym, którego nigdy nie było, jak sam musisz przyznać, lecz interesy. 'Idk było zawsze i tak jest teraz. Jestem twoim współnikiem i nic więcej. I jako taki nie radziłbym ci chcieć mnie oszukać. Zemściłbym się, nie bacząc na szlachetną Hamu. Przysięgam na Allacha, Mahometa i wszystkich świętych kalifów, że bym się zemścił.

Rozmowa zdawała się przyjmować dla Ghaniego przykry obrót.

- Ahmedzie Ghalibie, - zapewniał - przysięgam na brodę proroka, że ani myślę cię oszukać. Jestem nawet gotów przekroczyć naszą umowę i przyrzekam ci, jeśli nasze przedsięwzięcie się powiedzie, Kans el Adhai, który Pers na pewno zabrał ze sobą do Mekki

bo nie mogę uwierzyć, by pozostawił po drodze tak cenny skarb, będzie twój.

- Kans el Adhai? - głos szejka brzmiał już o wiele łagodniej. - Chciałbym, żebyś miał go już w rękach i żeby było po wszystkim. Ale niech będzie, jak zechce Allah... Masz dla mnie jeszcze jakieś wskazówki?

Tb, co było dalej, mogę opuścić. Nie zawierało nic, co by miało jakieś szczególne znaczenie.

Wkrótce obaj na znak zgody uścisnęli sobie ręce. Potem szejk ostrym gwizdem wezwał posterunek, podczas gdy ten trzeci, który przez cały czas się nie odzywał, udał się do jaskini, by przyprowadzić konie. Po krótkim pożegnaniu Ghani odjechał w kierunku, z którego przybył. 'l~zej pozostali patrzyli za nim, aż zniknął za skałami, potem także wyruszyli. Przeczekaliśmy jeszcze kilka minut na wypadek, gdyby któremuś zachciało się wrócić i w koficu, 96 wyczołgaliśmy się z naszej kryjówki.

Wreszcie Halef przerwał wymuszone milczenie, stanął przede mną i rzekł.

- Sidi, spójrz na mnie! Nic nie zauważasz?

Udawałem, że nie wiem, co ma na myśli.

- Co mam zauważyć? Nic nie widzę - odparłem.

- Sidi, jestem porażony, całkowicie porażony. Po raz pierwszy w życiu brak mi słów, by powiedzieć, co czuję. O Allachu, o Mahomecie! I wy, wszyscy święci kalifowie! Co za szatan z tego Abadilaha, który mieni siebie ulubieńcem wielkiego szarifa, to istny, prawdziwy szatan. Bo on jest gorszy od najwyższych szatanów. Niech Allah skaże go za to na wieczne potępienie w najgłębszych czeluściach Dżehenny! Mu-simy natychmiast wyruszyć, by ostrzec wielkiego szarifa, inaczej jest zgubiony. Chodźmy do koni, sidi, prędeż, prędeż! Mały Hadzi był wciąż jeszcze takim zapaleńcem jak przed dwudzie-stu laty. Spojrzałem z uśmiechem w jego rozpaloną twarz i nie ruszy-łem się z miejsca. Zdziwił się, spojrzął na mnie niepewnie i rzekł.
- Czemu nie idziesz, sidi? Jesteś innego zdania?
- Powiedz mi Halefie, co właściwie ci Ciesz osiągnąć?
- Maszallah, jeszcze pytasz? Chcę ratować wielkiego szarifa i opowiedzieć mu od razu wszystko, co usłyszeliśmy.
- I naprawdę sądzisz, że wielki szarif uwierzy tobie, nieznanemu człowiekowi?
- Dlaczego nie? Nie radziłbym nikomu, nawet emirowi Mekki, traktować mnie lekceważąco. Jestem Hadzi Halef Omar Ben Hadzi Abul Abbas Ibn Hadzi Dawhud el- Gossarah, słynny szejk odważnych Haddedińców z plemienia Szammarów. Pamiętaj o tym!
- Tb wszystko piękne i słuszne, drogi Halefie, ale nie zmienia faktu, że wielki szarif cię nie zna i, że w porównaniu z Ghanim, tu, w Mekce, jesteś zerem. Wielki szarif uzna twoją opowieść za bajkę, dopóki ufa Ghaniemu, a ten z łatwością go przekona, że postępujesz tak z nienawiści i chęci zemsty.

7 - W podziemiach Mekki 97

- Ale zapominasz o podziemnym przejściu. Tb przecież najlepszy dowód, że mówię prawdę.
- Przejście to żaden dowód. Dowodzi tylko, że Abadilah go odkrył i czasowo używał, by móc niepostrzeżenie się oddalać, nic poza tym.
- Ale przecież trzeba coś zrobić - nastawał Halef niecierpliwie.
- Koniecznie należy...
- Należy teraz pójść do naszych koni, dość długo już na nas czekają - wpadłem mu w słowo. - Co ma być dalej, okaże się we właściwym czasie. Teraz trudno jeszcze coś o tym powiedzieć. Opanuj się! Ja także ani myślę dopuścić do tego, by Ghani wykonał swój zamiar. Konie nasze powitały nas radosnym parsaniem. Wprowadziliśmy je do jaskini i daliśmy pić. Kiedy minął największy żar południa, ruszyliśmy w drogę powrotną. Rozmawialiśmy niewiele, każdy z nas był zajęty własnymi myślami. Prawdę mówiąc, sam nie wiedziałem, jak mam sprawę rozegrać. Nie miałem ochoty być donosicielem, skoro nie ja osobiście byłem zagrożony, poza tym ryzykowne było mieszanie się w konszachty innych. Łatwo można było samemu dostać się w te tryby. Mógłbym co prawda dać Ghaniemu po nosie i mimo jego pilnowania zniknąć razem z Haddedińcami, ale uznałem, że dla Hadżiego Akil Szatira effendiego ewentualnie Kary Ben Nemsiego niezręcznie byłoby uciekać przed tak bezwartościowym człowiekiem jak Ghani, pomijając już wyraźne niebezpieczeństwo, w jakim znalazł się wielki szarif. Nie, tego nie mogłem i nie chciałem brać na swoje sumienie. Zresztą wątpliwe, czy byłoby łatwe wycofać się ze sprawy, nawet gdybyśmy do tego zmierzali. Myślałem bowiem o tajemniczych słowach Munedżiego, dotyczących trzech dywanów do modłów, słów, które brzmiały jak proroctwo jasnowidza. „Idź i znajdziesz cel twych obecnych myśli, który przyniesie mu pokój, tam znajdziesz jednocześnie klucz do dzieła, które będzie waszym ocaleniem, i nie tylko waszym, również jeszcze kogoś”. Pierwsza część tego proroctwa wydawała mi się już spełniona, bo jasne było, że to, co znalazłem w 98 niebieskim dywanie, było niezwykle doniosłe dla życia i całej przyszłości Munedżiego. Druga część wydawała się także sprawdzać. Tym drugim, który miał być wybawiony, mógł być tylko wielki szarif. Co prawda nie wiedziałem jeszcze, na czym miałby polegać ów czyn, dzięki któremu miałby on zostać przez nas uratowany. Wydało mi się zbędne łamanie sobie teraz nad tym głowy. Rozwiązanie znajdzie się samo. Polegałem przy tym na kierownictwie Ben Nura i trochę na

własnym szczęściu. Bardzo szybko się przekonałem, że miałem rację, bo rozwiązanie przyszło o wiele pręcej, niż się spodziewałem. Była pora maghribu, kiedy przejeżdżaliśmy koło cmentarza Chadi-dżacha i skręciliśmy w główną ulicę. Wkrótce mieliśmy za sobą pałac wielkiego szarifa i już niedaleko było do kamiennej uliczki, kiedy zetknęliśmy się z oddziałem składającym się z pół tuzina straży przy-bocznej szarifa, złożonej z ludzi wolnych i niewolników. Pośrodku siedł człowiek przywiązany za ręce do strzemienia jednego ze straż-ników i ku mojemu przerażeniu poznałem Khutaba Age, Persa. 'I'akże Halef przeraził się na jego widok i z ust jego wydobył się głośny okrzyk.

- Allah, Allah!

Mimo woli zatrzymaliśmy się, tak że teraz, siedząc na koniach, zajmowaliśmy cały środek ulicy. Wyczekująco patrzyliśmy na zbliża-jący się oddział. Towarzyszył mu hałaśliwy, podniecony tłum, który miał ochotę napaść na pojmanego.

A jak on wyglądał! Odzież miał poszarpaną a ślady krwi na twarzy wskazywały, że odbyła się przedtem bijatyka. Co się stało? I co zrobił Pers, w gruncie rzeczy przecież łagodny człowiek, że został pojmany? No cóż, niedługo się dowiem, bo byłem zdecydowany wydobyć przy-jaciela z opresji za wszelką cenę.

Tymczasem oddział się zbliżył i drab o czarnej brodzie, widocznie dowódca, zawołał do nas ostro.

- Precz!

Udałem, że nie słyszę, a kiedy on powtórzył swój rozkaz, dałem Halefowi znak. Mały Halef tylko na to czekał. Podjechał na koniu do 99 prowadzyciela i zaczął tonem, jak gdyby miał przed sobą poddanych.

- Coś powiedział? I kim jesteś, że ośmielasz się mówić do nas w ten sposób? Czy słofice wypaliło ci mózg, że prawa uprzejmej grzecz-ności i grzeczna uprzejmość wyschły w twojej głowie? Czy nie widzisz, że mój towarzyszyjajesteśmy wielkimi panami nie przyzwyczajonymi, by słuchać rozkazów pierwszego lepszego, lecz tylko sami rozkazy-wać? Może jesteś effendim, którego padyszach, niech Allah obdarzy go tysiącem lat, mianował cię tu jako paszę? A może jesteś naszym panem, wielkim szarifem we własnej osobie, że musimy pokornie pochylać przed tobą głowę? Powiadam ci, nawet gdyby Mahomet, prorok, któremu Allah użycza rozkoszy siódmego nieba, napotkał nas, nie ważyłby się być wobec nas nieuprzejmy, już choćby dlatego, że nic by mu to nie dało. Uważasz, że mamy zjecha~ na bok i ustąpić ci drogi? Odkąd to stojący wyżej ma się cofać przed stojącym niżej? Zatrzymaliśmy się pośrodku ulicy. 'Iak. Ale to powinno ci dać do zrozumienia, że mamy zamiar z tobą rozmawiać. Pojmaliście człowie-ka, a to nasz przyjaciel. I żądamy odpowiedzi, dlaczego to zrobiliście. Niech Allacch obdarzy twój mózg odpowiednim rozumem, abyś pojął głębię moich słów i nasze wybitne, nieocenione właściwości. Niech Allah ma cię w swojej opiece!

Przemówienie swoje wygłosił Halef z taką powagą i słowa płynęły tak szybko z jego ust, że dowódca nawet nie próbował mu przerwać. Nie znał nas, ale widział nasze zwierzęta. Jak każdy człowiek Wschodu zdawał sobie sprawę, że wartość ich świadczy o pozycji właścicieli. I b go zaniepokoiło, tak że odpowiedź wypadła uprzejmiej, niż zamierzał. Ja natomiast zwróciłem całą uwagę na Persa.

W chwili gdy nas ujrzał, drgnął, potem głęboka czerwień załala jego twarz. Kiedy zobaczył, że skierowałem na niego swój wzrok, powoli potrząsnął głową, jak gdyby chciał powiedzieć, że nie ma sensu pró-bować mu pomóG i, że powinniśmy pozostawić go własnemu losowi. Wyglądał na bardzo przybitego. Na twarzy jego malował się nie gniew, nie rozgoryczenie, lecz smutek i powaga.

100

Tymczasem Halef skończył i brodacz odparł.

- Wybacz, nie wiedziałem, z kim mam do czynienia. Ale nie zatrzymuj nas! Złapaliśmy tego człowieka, który jest zwolennikiem przeklętej nauki szyitów i zbrodniarzem. Pójdzie do więzienia! 'Ibraz była moja kolej wystąpić, rzekłem więc z godną miną do przywódcy.

- Poczekaj jeszcze chwilę, o przywódcę tych dzielnych wojowni-ków! Co uczynił wasz więzień?
- Rzucił się na prawdziwych wiernych.
- Co masz na myśli? Chcesz powiedzieć, że ten człowiek, zajmujący w swojej ojczyźnie bardzo wysokie stanowisko, rozpoczął bijatykę?

Zauważyłem, że pochlebilo mu to, iż nazwałem go przywódcą. Tymczasem moje pytanie, zadane tak bezpośrednio, wprowadziło go w zmieszanie.

- Nie wiem. Byliśmy na dziedzińcu meczetu, kiedy w pobliżu Kaaby rozległ się hałas. Kiedy tam pospieszaliśmy, ujrzeliśmy, że dużo ludzi ze sobą walczy i rozpędziliśmy ich. Oskarżono tego człowieka jako winnego, więc zabraliśmy go, aby jutro stanął przed naszym panem, emirem i został ukarany.

-A więc nic nie jest udowodnione i żądam, żeby sprawę dokładnie zbadano, i aby nasz przyjaciel nie został niewinnie ukarany. A czy w ogóle było konieczne potraktować tego człowieka jak zwykłego zbrodniarza i wiązać go? Sądzę, że gdyby askarowie paszy się wtrącili, a nie wy, byłiby uprzejmiejsi.

Było to mądre posunięcie z mojej strony wysunąć strażników przeciwko askarom paszy. 'Pdk jak obaj władcy Mekki, tak samo rywalizowały ze sobą ich organy bezpieczeństwa. Kiedy tureccy żołnierze schwytali jakiegoś wichrzyciela, prowadzili go do urzędu tureckiego. Inny, który przypadkowo trafił w ręce strażników, stawał przed wiel'xim szarifem lub jego kaimakamem, szarifem, który zastępuje swego pana w zwykłych sprawach. Jeden trafiał do więzienia emira, drugi do więzienia paszy.

Z tych dziwnych stosunków wynikało, że oba urzędy bezpieczeństwa rywalizowały ze sobą i jak tylko mogły, starały się nawzajem prześcigać.

Aluzja do askarów paszy i ukryty w niej zarzut nieuprzejmości sprawiła, że zmieszanie brodacza urosło. Musiał przyznać, że popełnił błąd i zbyt pospiesznie zadziałał. Chcąc ten błąd naprawić, zwrócił się do mnie.

- Co miałem robić? Przecież nie do nas należy badanie sprawy.
- Wcale tego nie twierdzę. Ale powinieneś być także ująć innych uwikłanych w bijatykę albo, puścić wolno Persa, gdyż zaniechałeś wszystkich obowiązków. Mógłś podać ci, gdzie mieszka, tak, że zawsze mógłbyś pociągnąć go do odpowiedzialności.

Brodacz zastanawiał się przez chwilę. Nie wiedział widocznie, co ma odpowiedzieć. Pomogłem mu.

- Jeszcze i teraz jest w twojej mocy rzecz naprawić. Zwolnij więźnia na razie, a ja dam ci słowo, że nie będzie starał się ucieczką ująć przed odpowiedzialnością. Ba, przyrzekam ci nawet, że osobiście towarzyszyć mu będę do pałacu księcia. Chyba nie chcesz, żeby spalił się ze wstydu, zmuszony stanąć przed wielkim szarifem w podartej odzieży.

Spostrzegłem z satysfakcją, że moje perswazje zrobiły na brodaczu wrażenie, zwrócił się do swych towarzyszy i cicho z nimi rozmawiał. Tymczasem rzuciłem okiem na tłum ludzi, który powiększył się podczas moich pertraktacji ze strażnikiem. Nie spostrzegłem nic szczególnie niepokojącego.

Oczy większości spoczywały wprawdzie wrogo na Persie, lecz z szacunkiem na mnie i Halefie, widziałem też niejedno pełne podziwu spojrzenie skierowane na nasze konie. Kilka twarzy było mi nawet znanych, ponieważ, jak już mówiłem, znajdowaliśmy się w pobliżu naszego mieszkania.

Sytuacja nie przedstawiała się beznadziejnie i mogłem mieć nadzieję, że wszystko się uda. Jednak zauważyłem wśród twarzy jedną, której się w tym miejscu nie spodziewałem. Była zwrócona w moją stronę i pełna nienawiści. A była to twarz... Ghaniego. Już nie miał na sobie odzieży pustynnej, lecz zwykłe ubranie wytwornego mekkaficyka. Na głowie miał zielony turban, oznakę godności szarifa. Wrócił wcześniej niż my i znów był na ulicy, kiedy spostrzegł zbiegowisko. Co też uczyni? Czy zatrzyma nas i mimo swego zamiaru omówionego z szejkiem już dziś zacznie okazywać nam wrogość? Mądrość nakazywałaby coś wręcz przeciwnego, ale trudno było przewidzieć, do czego doprowadzi go Y ;~;... menawiSE. Widziałem, że rozmawia ze swym

otoczeniem, prawdopo~... dobnie kazał sobie opowiedzieć całe zajście i, że jego wzrok pełen ~ menawiści biegnie pomiędzy mną a Persem. Muszę przyznać, że odkąd go ujrzałem, nie byłem już tak pewien swego sukcesu. Brodacz rozmawiał ze swoimi ludźmi i znowu zwrócił się do mnie.

- Effendi, moi ludzie są wraz ze mną zdania, że najlepiej będzie posłuchać twojej rady. Uwięziony niech idzie z wami i jeśli pozwolisz, jeden z moich ludzi będzie wam towarzyszył.

- Milcz, nieszczęśniku! - przerwano mu od strony, gdzie stał „” Ghani, który przecisnął się przez tłum i stanął przed przywódcą. - Ibrahimie Ago, czy wiesz, co robisz? Chcesz dopomóc w uwolnieniu zwykłego przestępcy i mordercy?

- Mnszallah, to szarif Abadilah! - zawołał brodacz zaskoczony.

Ale nie rozumiem cię. Nazywasz tego człowieka łajdakiem i mor-dercą, a tych dwóch effendich twierdzi...

- Ci dwaj ludzie to prowodyrzy i towarzysze jego haniebnych ~,,:. czynów. 'Ib oni są winni śmierci mego jedynego syna.

- Allah! Allah! Niech Allah ukaże morderców! - rozległo się dokoła. Sytuacja nagle zmieniła się na naszą niekorzyść. Tłum zbliżył się coraz groźniejszy i widziałem przed sobą same oburzone i pełne gniewu twarze. Ale najbardziej oburzony był mój mały rozgorączko-wany Halef.

- Bezczelny kłamco, trzymaj swój język na wodry, bo cię zmiażdżę pod kopytami! - ryknął wśród ogólnego hałasu. 103

Chyba spełniłby swoją groźbę, gdybym nie wcisnął szybko mego konia pomiędzy niego i Ghhhhaniego.

- Nie zmiażdżysz mnie - szydził Ghani. - Może myślisz, że znowu znajdujesz się na wolnej pustyni, gdzie byliśmy skazani na waszą samowolę? Wy psy i potomkowie psich synów, wreszcie wybiła wasza godzina!

- Allah, Allah! - odezwał się teraz także strażnik, który tym-czasem ocknął się ze zdziwienia. - Szarifie Abadilahu, pozwól, że cię zapytam. Czy mówiłeś żartem, czy serio?

- Serio, ty głupcze, serio! Nie daj się zwieść gładkim słowom tych łajdaków. Żądam, byś nie tylko tego przekłętą kacerza, lecz i jego przyjaciół, te dwa psy, które niedługo już nie będą mogły gryżE, dostarczył przed oblicze emira, aby tam doświadczyli tysiakkrotnej kary. Niech Bóg ich spali!

- 'Ib haniebne, to obrzydliwe! -wołał Halef z najwyższym obu-rzeniem. - Sidi, przecież nie pozwolimy na coś takiego! Dałem mu znak, żeby się uspokoił. Zrozumiałem, że w tej chwili najlepiej będzie robić dobrą minę do złej gry. Kilka skoków naszych koni i byłibyśmy bezpieczni. Ale co by to nam dało? Mielibyśmy za sobą cały ten dyszący nienawiścią tłum i decyzję udałoby się przesunąć tylko o kilka minut. Ponieważ sytuacja stała się tak napięta, najlepiej było jak najprędzej załatwić wiszącą między Ghanim a nami sprawę. Aga był w największym kł~cie. Widać to było po nim. Z jednej strony nie mógł opierać się rozkazowi Abadilaha, który jako najwy-ższy urzędnik dzielnicy miał wszelkie uprawnienia, z drugiej zaś nie mógł sobie wyobrazić, że jesteśmy takimi niebezpiecznymi zbrodnia-rzami. By przeciąć tę przykrą sytuację, rzekłem.

- Ibrahimie Ago, rób, co ci rozkazano. Ale tobie, Abadilahu, powiadam, że pożałujesz jeszcze godziny, którą wywołałeś. Zapamię-taj moje słowa!

- Pomyśl lepiej, co was czeka - odparł Ghani wściekły .

Ibrahimie Ago, odbierz więźniom brofi!

104

Muszę tu powiedzieć, że idąc na zwiady, zostawiliśmy strzelby w domu, ze sobą zabraliśmy jedynie rewolwery i pistolety. Gdybyśmy je teraz oddali, pozostalibyśmy całkiem bezbroni, a na to nie mogłem się zgodzić. Zanim Ghani skończył, wyciągnąłem oba rewolwery, Halef poszedł za moim przykładem. Szarpnęliśmy konie i zmusiliśmy stojących obok ludzi, by usunęli się z pobliza kopyt koń-skich. Ib przez chwilę dało nam nieco przestrzeni i skorzystaliśmy z tego, by zdobyć

jedną stroną ulicy. Mieliśmy wolne tyły. Mekkańczycy zostali zaskoczeni. Nie wolno mi było dopuścić Ghaniego do słowa.

- Mieszkańcy Mekki! Kto rozkazuje w waszym mieście? Abadi-lah, któremu już niedługo zerwiemy maskę obłudy z twarzy, czy' Aun er Rafiq, wielki szarif, któremu niech Allah daruje długie życie? Jesteśmy wolnymi ludźmi i oddamy broń dopiero wtedy, kiedy zostanie dowiedziona nasza wina albo, jeżeli wielki szarif tego od nas zażąda, ale nie wcześniej. Kto wcześniej wyciągnie choćby jeden palec po nas lub naszą broń, posmakuje naszych kul. Ibrahimie Ago, zapytaj Abadilaha, a on ci potwierdzi, że celnie strzelamy. Pójdziemy z tobą jako twoi więźniowie, ale nie dlatego, że, tak chce Abadilah, lecz dlatego, że taka jest nasza wola. Ale w żadnym wypadku nie damy broni ani tobie, ani Abadilahowi, lecz wielkiemu szarifowi, który będzie decydował. Jeśli się zgadzasz, powiedz, a dobrowolnie z tobą pójdziemy. Jeśli nie, to przemówią nasze kule i zapewniam cię, że wielu pošemy do Dzehenny, zanim się wam uda nas pokonać. Moja przemowa odniosła požądany skutek. ~lum pozostawał w pełnej szacunku odległości od naszych rewolwerów, które trzymali-śmy gotowe do strzału. Ghani był wściekły, że ważyliśmy się mu sprzeciwić, chociaż usiłował tego po sobie nie okazywaE. Aga nie wiedział, jak ma się zachować i zapytał Ghaniego. Ten widocznie uznał za mądrzejsze nie zaostrzać sytuacji, bo Aga po krótkiej z nim rozmowie zwrócił się do mnie z pytaniem.

- Effendi, czy naprawdę pójdziecie z nami, nie broniąc się i nie próbując ucieczki? 105

- Przecież już ci przyrzekłem.

- Przysięgnij na brodę proroka.

- Nigdy nie przysięgam. Musi ci wystarczyć moje słowo.

- I dajesz słowo, że oddasz brofi wielkiemu szarifowi, jeśli tego od was zażąda?

- Daję słowo, ale żądam, by nikt na nas nie nastawał ani nie obrażał, zanim emir nie wyda wyroku.

- Masz mocną głowę, ale niech się dzieje, jak sobie zyczysz. Jedź za nami.

Na razie mogliśmy być zadowoleni z tego, co osiągnęliśmy, zachowali-śmy naszą brofi. Trzymając ją gotową do strzału, ruszyliśmy. Strażnicy otoczyli nas niezwłocznie, podczas gdy za nami płynął hała-śliwy strumień ludzi. Jak już powiedziałem, do pałacu wielkiego szarifa było blisko. Przedtem jednak zaszło coś, co zauważył tylko Halef i ja.

Właśnie dotarliśmy do kofica bocznej uliczki, kiedy na rogu zoba-czyłem człowieka, którego od razu poznałem, był to Kara Ben Halef. Ojciec także go zauważył. Gdy Kara nas dojrzał, uniósł rękę w pozdrowieniu i zaraz znikł w bocznej uliczce. Później dowiedziałem się od niego, skąd się tam znalazł. Kiedy Khutab Aga został ujęty na dziedzińcu meczetu, jeden z Haddedińów był w pobliżu, więc popę-dził do domu, by zawiadomić o tym wypadku. Kara natychmiast wyruszył, by dowiedzieć się, co z Persem i właśnie stwierdził, że trzeba uwolnić nie tylko Khutaba Agę, tecz i nas.

Wiedziałem, że nasze uwolnienie było teraz w dobrych rękach. Kara oczywiście nie zaniecha niczego. Dotąd byłem trochę zanie-pokoiony. Bo choć miałem wszelkie atuty przeciw Ghaniemu, musia-łem się liczyć z charakterem emira, a nie znałem go. Teraz, gdy Kara wiedział o tym, co zaszło, mogłem być spokojny.

Przed obliczem wielkiego szarifa

Pałac szarifa położony jest w górnym mieście przy głównej ulicy. Zbudowano go ze słynnego kamienia szemesi, dostarczanego z ka-mieniołu w pobliżu góry Szemesi, na drodze do Dżiddy.

Wjechaliśmy przez bramę na duży, kwadratowy i brukowany marmurem plac. Z trzech stron otoczony był arkadami, których otwory zamaskowane były hodowanymi w wiadrach drzewkami cytrynowymi, pomarańczowo-wymi, granatowymi i figowymi. Pośrodku placu znajdował się marmurowy basen, w którym pływały rybki mieniące się złotem i srebrem, a w każdym rogu była studnia, doprowadzająca do basenu wodę. Nad arkadami wznosiły się w górę trzy jaskrawo pomalowane piętra, do których prowadziły otwarte, szerokie schody, bogato ozdobione pa-chnącymi kwiatami. Okna częściowo zakryte były jedwabnymi zasło-nami, częściowo artystycznie rzeźbionymi kratami. Na podwórzu Aga dał nam znak, abyśmy zeszli z koni. Posłuchali-śmy jego rozkazu i

musieliśmy patrzeć spokojnie, jak nasze zwierzęta razem ze zwierzętami strażników zostały odprowadzone na bok. Gha-ni i Ag~ oddalili się, by uprzedzić o naszym przybyciu wielkiego szarifa.

1~7

Tłum ludzi tłoczył się za nami i tworzył szerokie koło wokół nas, my zaś trzymaliśmy się w środku, w pobliżu basenu. Ze strażnikami i Persem spotkaliśmy się o zachodzie. Wkrótce nastąpiła noc. Przyniesiono zapalone pochodnie, które oświetlały two-rzący się wskutek wielu barw malowniczy obraz. Ale dla jego piękna nie mieliśmy dziś zrozumienia. Musieliśmy się nastawić na rozmowę z władcą Mekki, która, w zamysłach Ghaniego, miała się skończyć naszym unicestwieniem.

Co do mnie, to muszę powiedzieć, że wcale się nie bałem. 'Ib samo dotyczyło Halefa. W każdym razie nie okazywał podniecenia ani strachu. Inaczej było z Persem. Ręce mu drżały, a oczy błyszczały chorobliwie. Sądziłem, że boi się tego, co będzie dalej, lecz myliłem się. Wkrótce się okazało, że jego zdenerwowanie miało o wiele głębsze i wcale nie egoistyczne powody.

Nasz perski przyjaciel przez cały czas, zarówno podczas zajścia na ulicy, jak i w drodze do pałacu nie odezwał się ani słowem. Wydawało mi się, że jest jakby w zamroczeniu, kiedy to człowiek wszystko pozwala ze sobą robić, nawet tego nie postrzegając. ~raz na podwó-rzu pałacowym otrzeźwiał. Spojrzał na mnie głębokim smutnym wzrokiem i rzekł.

- Effendi, ze względu na was samych nie powinniście byli mnie nigdy poznać.

- Cóż to za dziwne słowa?

- Bo i tobie, i wszystkim wam tylko sprawiałem kłopoty. I teraz byście tu nie stali, gdybym nie był winny.

- Khutabie Ago, mylisz się. Już przedtem, zanim się poznaliśmy, starliśmy się z Ghanim w taki sposób, że obudził się w nim duch zemsty. Wszystko odbyłoby się tak samo albo podobnie, nawet gdy-byśmy się wtedy z tobą nie spotkali na pustyni. Ale nie mówmy o tym. Opowiedz lepiej, w jaki sposób trafiłeś w ręce tych strażni-ków?

- Powiem krótko. Przypominasz sobie naszą niedzielną

108 rozmowę, kiedy to skarżyłem się na nieprzyjazne zachowanie mek-kańczyków wobec moich współwyznawców? Byłem oburzony, ty jed-nak powiedziałaś mi, że my wobec sunnitów nie jesteśmy lepsi. Za-smuciło mnie to, bo musiałem przyznać ci rację i zacząłem ostrożniej osądzać mekkańczyków. Ale dziś jednak wpadłem w złość. Późnym popołudniem udałem się do meczetu, by wspólnie z innymi pielgrzy-mami odmówić maghrib. Kiedy wszedłem do Kaaby, byłem świadkiem obrzydliwej sceny. Kilku ubogo odzianych Persów zebrało się dokoła Świętego Kamienia i chciało mu oddać cześć. Wtedy wdarła się grupa pielgrzymów z Maroka, którzy chcieli także ucałować kamień. Ubli-żając, odpędzili moich ziomków z ich miejsca. A kiedy jeden z nich nie od razu usłuchał i chciał stawić opór, jeden z Marokaficzików uderzył go pałką w głowę tak, że biedak padł na ziemię zalany krwią. Nie mogłem się już powstrzymać. Wyrwałem pałkę złoczyńcy i ude-rzyłem go kilkakrotnie, sądzę, że jeszcze długo to popamięta. Co się potem stało, możesz sobie wyobrazić. Cała banda opadła mnie i źle by ze mną było, gdyby nie wtrącili się strażnicy. Obcy od razu się ulotnili, a ja jako główny winowajca zostałem aresztowany bez prze-słuchania. Tb wszystko.

Czy miałem potępić uczynek Persa? Czy w ogóle mogłem? Gdybym był na jego miejscu, chyba nie postąpiłbym inaczej.

- Khutabie Ago, - odparłem -nie mogę czynić ci wyrzutów. Co się stało, to się nie odstanie. W każdym razie widzisz teraz, że miałem rację, kiedy ci tak często radziłem, byś bez towarzystwa nie wchodził do meczetu.

-Effendi, miałeś racje. Ajednak nie żałuję tego, co zrobiłem. 'Pak samo postąpiłbym po raz drugi, gdyby zaszedł podobny przypadek. Nie mógłbym zrobić inaczej.

Cóż miałem rzec? Nic! Musiałbym mówić wbrew własnemu prze-konaniu. Tbęż zapytałem.

-Jesteś mocno poturbowany?

- Nie. Kilka sińców i zadrapań, nic więcej. Gorzej, jak widzisz, 109 jest z moją odzieżą. 'Ib łatwo przeboleć, ale co innego nie. Nie potrafię ci opisać, effendi, co czułem, ale coś pękło w moim wnętrzu, coś, co ma większą wartość niż moje życie. Moja wiara w proroka i moje przekonanie o zwycięskiej sile islamu, pękły jak szkło. I ta rana, effendi, tak prędko się nie zagoi.

Po tych słowach zapadł w swe poprzednie milczenie i nie byłem na tyle bezwzględny, by go wyrwać z tych myśli. Rozmawialiśmy po persku, by otoczenie nie rozumiało naszych słów. Strażnicy nie prze-szkadzali nam w rozmowie, raczej nie zwracali na nas uwagi. Teraz zwróciłem się do Halefa, który miał pogodną minę i był dobrej myśli. Zdawał sobie sprawę, że sytuacja jest poważna, ale liczył na syna i swych Haddedińców, którzy na pewno, nawet za cenę życia wymusi-liby naszą wolność.

Naszą cierpliwość wystawiono na długą próbę. Wreszcie, po całej wieczności, powstał jakiś ruch, wrócił Ibrahim Aga. Minę miał łowie-szczą. Dotąd traktował nas uprzejmie, ale teraz całkowicie się zmienił. Nie patrząc na nas ostro rzucił rozkaz, abyśmy poszli za nim. Wido-cznie Ghanie mu udało się nastawić go przeciwko nam. Czy i z emirem mu się to udało? Jeśli tak, to mogliśmy być przygotowani na najgor-sze. Poszliśmy za Agą w stronę arkad, za nami cisnął się tłum. Może pozwolą mu brać udział w rozprawie? Jeśli zamiarem Ghaniego było f postawić nas pod prężierzem, to ja również ani myślałem oszczędzać go i byłem zdecydowany opowiedzieć o haniebnej zbrodni Ghanie-go, ale tylko tyle, aby odkryta dziś tajemnica Munedziego nie została zagrożona. 'I~raz gra szła o wszystko.

Wprowadzono nas do dużej sali. Zwisający z sufitu wieloramienny, połączony świecznik oświetlał ją tak mocno, że było jasno prawie jak w dzień. Szerokie, aksamitne sofy ciągnęły się wzdłuż ścian. W jednej niszy tykał monotonna kosztowny francuski zegar wahadłowy. Stro-na frontowa, którą weszliśmy, tworzyła otwartą, opartą na kolumnach werandę, a ściany trzech innych stron były zasłonięte je~iwabnymi kotarami. Miejsca wolne od tkaniny były ozdobione wersetami Koranu, wypisanymi złotymi literami na niebieskim tle. Na ścianie naprzeciw wejścia wznosił się na kilku stopniach dywan koloru zielo-nego, tkany z jedwabiu, przed nim znajdował się niski stolik, na nim zaś stała kosztowna wodna fajka. Było to prawdopodobnie miejsce wielkiego szarifa.

Prawie jednocześnie z naszym wejściem otworzyły się drzwi obok jedwabnego dywanu i w towarzystwie Ghaniego oraz jeszcze jednego mężczyzny, którego, sądząc po ubraniu, uznałem za wytwornego, wszedł... nasz sędzia.

'Pdk, to był on, 'Aun er Rafiq, taki jak mi go opisywano. Wbrew oczekiwaniom nie miał na sobie wspaniałej odzieży, lecz prosty skromny kaftan, jako pasek służył mu jedwabny zielony szal, także nakrycie głowy było z zielonego jedwabiu, turban z wystającym kofi-cem, który należał do miejskiej odzieży szarifa. 'Aun er Rafiq miał około pięćdziesięciu lat, był przystojnym mężczyzną średniego wzrostu.'Ibrochę płaską twarz otaczała ciemna, krót-ko ostrzyżona broda, która podkreślała szlachetną bledość jego obli-cza. Nad pięknym kształtnym nosem błyszczały wielkie, ciemne oczy, które na co dzień spoglądały na świat nieco marzycielsko, lecz teraz, pod zmarszczonymi biwiami promieniowały ponurym ogniem. Nie obdarzył nas ani jednym spojrzeniem, kiedy opadł na otomanę, tylko ujął fajkę, którą służący zapalił. Obaj jego towarzysze stali po lewej i po prawej stronie. Gdybym miał opisać twarz Ghaniego, to powie-działbym tylko, że była uosobieniem złośliwej radości, widocznie udało mu się nastawić wielkiego szarifa przeciwko nam. Tymczasem, prowadzeni przez strażników, podeszliśmy do stopni, podczas gdy tłum zatrzymał się w pełnej szacunku oddali przy bocz-nych ścianach i przed wejściem. Gdy wielki szarif się ukazał, zapano-wała całkowita cisza, przerywana tylko tykaniem zegara, który wska-zywał godzinę dziewiątą.

Po kilku pociągnięciach fajki szarif raczył otworzyć rozprawę. Skie-rował swoje oblicze nie do nas, lecz do Ibrahima Agi i dał mu znak. Ten podszedł do nas i rozkazał ostro.

- Dajcie mi waszą broń!

‘Pdkiego tonu nie mogłem tolerować. Już przedtem nadmieniałem, że wielki szarif traktował nas jak powietrze. Jeśli na to pozwolimy, to ~ tak, jakbyśmy z góry przepadli. ‘Ibteż cofnąłem się o krok, jakbym był bardzo zdziwiony, i rzekłem:

- Ibrahimie Ago, co ci przychodzi do głowy? Czy zapomniałeś o naszej umowie, że broń oddamy tylko osobiście emirowi? Czemu nagle zachowujesz się wobec nas zupełnie inaczej niż przedtem? Czy nasza wina została już może udowodniona i wyrok jest gotowy, tak że niepotrzebna jest rozprawa? Wobec tego niech emir rzecz szybko załatwi i od razu teraz nam powie, co postanowił. Ale niech też od razu usłyszy naszą odpowiedź! Nie jesteśmy mekkańczykami, lecz wolnymi ludźmi, a ten tu jest wysokim urzędnikiem świętych miejsc Kerbeli i Meszched Ali. Jako tacy ponosimy odpowiedzialność nie wobec wielkiego szarifa Mekki, lecz padyszacha Stambułu, podlega-my więc nie emirowi, lec~ paszy Mekki.

Tego pocziwy Ibrahim Aga się nie spodziewał, spojrział na nas zaskoczony. Wśród mekkańczyków rozległy się okrzyki niechęci. Oburzyło ich to, że odważyłem się postawić paszę nad wielkim szari-fem. Moje śmiałe wystąpienie o tyle jednak się powiodło, że emir teraz zwrócił na nas uwagę. Spojrział na mnie i rzekł.

- Obcy przybysz, odzywasz się bardzo śmiało! Nie zapominaj, gdzie stoisz i, że jesteś oskarżony! Ale niech będzie, jak chcesz. Daj mi broń swoją i swojego towarzysza.

Halef podał mi swoje pistolety, które wraz z moimi chciałem wręczyć emirowi. ‘I~n jednak nie przyjął ich, lecz wskazał stojący stolik, na którym miałem złożyć broń. Potem wróciłem na swoje miejsce.

Ghani śledził każdy mój ruch. ‘I~raz podszedł do wielkiego szarifa i szepnął mu coś na ucho. ‘Aun er Rafiq rzucił na mnie pogardliwe spojrzenie, wziął ze stolika jeden z moich pistoletów i podał go 112 Ghaniemu. Miał to być widocznie jakiś manewr zastraszający, ale nie zrobił na mnie wrażenia. Głos emira brzmiał bardzo surowo, kiedy zwrócił się do Persa.

- Adżami, jesteś oskarżony o to, że pobiłeś prawdziwego wierne-go. Co masz na swoje usprawiedliwienie?

Khutab Aga stał cały czas nieruchomo z opuszczoną głową. ‘I~raz jakby się obudził ze snu, podniósł głowę i skierował na pytającego oczy, w których płonął niespokojny ogień.

- Effendi, kogo nazywasz prawdziwym wiernym? Czy zasłużył sobie na to miano ktoś, kto bije swego bliźniego, chociaż ten nie uczynił mu najmniejszej krzywdy? Czyż Koran nie mówi „dobrotliwa mowa i przebaczenie są lepsze niż jałmużna, po której następuje krzywda?” Czy sądzisz, że wierny działa zgodnie z wolą proroka, jeśli w Kaabie wierzący wręcza strażnikom świątyni swój dar, ale potem idzie i poniewiera brata jedynie dlatego, że on w pewnych nieważnych punktach nauki odbiega od jego poglądów? Czy siedem niebios Mahometa otwarte jest tylko dla zwolenników sunny, a dla szyitów jest niedostępne? Sami nadajecie sobie wzniosły tytuł sąsiadów Alla-cha, podczas gdy pielgrzymi mogą osiągnąć jedynie tytuł gości Alla-cha. Nie pytam, jakim prawem i nie oczekuję odpowiedzi. Ale muszę ~ ci powiedzieć, emirze, sądziłem, że mieszkańcy Mekki są ulubieńcami Allacha i proroka, przybyłem z otwartym sercem, pełen ufności i w~ary, sądziłem bowiem, że będę tu o wiele bliżej nieba. Byłem głupcem. Cóż bowiem znalazłem Nie ch teraz mówić o skutkach trwa ce zawzi tości mi lą 1 ę ~’ sunnitami i szyitami, ale to, co zauważyłem u was, w waszym własnym ;,,: gronie, wzbudziło moje zdziwienie i niechęć. Znalazłem tu jedynie oschłość, nienawiść i zawziętość. Mieszkałem dość długo w Świętym Mieście, więc mogłem zapoznać się z jego historią i życiem. Wasze przekazy mówią, że Allah zapewnił ludziom mieszkającym w Świę-tym Mieście i w świętej okolicy po wieczne czasy jeden przywilej - całkowite bezpieczeństwo. Miał tu panować wieczny pokój Boży,

8 - W podziemiach Mekki 113

nienaruszenie święte miało tu być życie każdego człowieka i prawie wszystkich zwierząt i roślin. A jak to wygląda w rzeczywistości? Prorok sam pozwolił sobie przekroczyć to święte prawo, co

prawda wyjątkowo był do tego upoważniony przez Boga, tak powiedział. I od tamtej pory aż do dziś wyznawcy islamu powtarzają wyjątek, na który pozwolił sobie prorok, a nie słuchają jego słów. W żadnym mieście partie nie staczały bardziej zaciętych walk przeciwko sobie niż tutaj. Tysiąc lat mieszkali tu następcy Mahometa w nieprzerwanej brato-bójczej walce, przerywanej tylko krótkim zawieszeniem broni. Wo-dzowie rozmaitych zakonów i czterech prawowitych obrządków stale się ze sobą awanturują i ukazują wiernym brzydki obraz zawistnych kłótni. Cóż więc dziwnego, że zwykli wierni biorą przykład z ludzi wielkich i uczonych. Najpierw nie chciałem w to uwierzyć, ale przekonałem się na własne oczy. Sąsiedzi Allacha są tylko w obrębie własnej dzielnicy jako tako bezpieczni, poza jej ochroną są wyjęci spod prawa. Kto by to pomyślał, że mieszkańcy rozmaitych dzielnic miasta po prostu ze sobą wojują? I to za zgodą swych szejków i w cieniu Beit Allah? 'Ib wstrętne! Gdzież tu jest miejsce na miłość? Emirze, poznałem na pustyni Munedźiego, którego cenią i czczą iakże mekkaficzycy i to on sprawił, że zajaśniało we mnie światło, jasne, promienne światło. Teraz wiem, na es Ssirat, moście śmierci, tylko te czyny znajdują łaskę, które poparte są miłością i tylko ten bezpiecznie przejdzie przez most do bram rozkoszy, kto znał i rozdawał miłość. Będę jej szukał i zatrzymam ją na całe życie, jeśli ją tylko znajdę. Ale gdzie jej szuka~? W waszych szkołach nauczyciele uczą znajomości prawa, sztuki pięk-nego wykładania Koranu. Ale gdzie jest nauczyciel, który wyłoży najwyższe prawo - miłość? I gdzie wasi chłopcy mogą usłyszeć o pięknej sztuce, sztuce miłości? Chcecie mnie ukarać, ponieważ od-placiłem za haniebny czyn nienawiści. Zgoda, proszę bardzo! Ukarz-cie mnie, zamknijcie przede mną wszystkie bramy waszych siedmiu niebios, wtrąćcie na najgłębsze dno piekieł i tak będę się śmiał 114 z waszego wyroku. Zatrzymajcie sobie wasze niebo! Zrezygnuję z niego chętnie, wcale go nie chcę. Bo tylko tam, gdzie czczona jest miłość, znajdę rozkosz nieba, a wasz dżehennem, gdzie sprawuje władzę nienawiść i zawziętość, byłby dla mnie gorszy niż piekło. Niech Allah chroni mnie przed waszym niebem!

Wielki szarif uważnie słuchał obrony Persa, która stała się oskar-żeniem, bez najmniejszej oznaki poruszenia. 'I~zymał jeszcze w rękę rurkę fajki wodnej, ale dawno już przestał palić, tak zaskoczyły go słowa oskarżonego. 'I~n wykształcony człowiek, który przebywał na Zachodzie, musiał przecież uświadomić sobie tak ostro potępiane przez Persa wady. W pewnych kołach opowiadano sobie nawet, że jest on failasuf, co wedle mahometańskich poglądów było równoznaczne z wolnomyślicielem. Co też odpowie? Wywarł na Persie wrażenie szlachetnego człowieka, toteż nie mógł chyba potępić go za poglądy, które częściowo odpowiadały także jego własnemu sposobowi myśle-nia.

Co do mnie, to zaskoczyły mnie słowa przyjaciela. W ciągu ostat-nich tygodni, choć tego nie zauważyłem, bardzo wewnątrznie dojrzał. Jego myśli ukazywały taką dojrzałość, że zaškakiwały mnie, a równo-cześnie ogromnie cieszyły.

Mekkańczycy zachowywali się cicho podczas przemówienia Persa, ponieważ wielki szarif pozostawał spokojny. 'I~raz ich podniecenie objawiło się głośnymi okrzykami oburzenia. Obrzucano nas wymysła-mi i groźbami.

Wielki szarif pozostał nieporuszony. Był dyplomata i potrafił skie-rować rozprawę na inny tor. Po chwili nakazał gestem spokój i rzekł.

- Adżami, śmiała jest twoja mowa i niejedno można by na to odpowiedzieć. Ale zostwamy tę sprawę, ma ona niewielkie znaczenie. Jesteście oskarżeni o coś zupełnie innego. Szarifie Abadilahu, o jakie to haniebne czyny oskarżacie tych ludzi?

Tczaz nadszedł czas Ghaniego. Rzucił na nas nienawistne spoj rze-nie i zaczął:

-Emirze, oskarżam tych ludzi o obrabowanie mnie, oskarżam ich o zamordowanie mojego syna Ben Abadilaha i moich trzech towarzy-szy i o zamordowanie mojego gościa Munedźiego.

Ogólmy okrzyk przerażenia rozległ się w sali. Mekkańczycy byli niemal gotowi rzucić się na nas z zaciśniętymi pięściami, tak, że strażnicy otoczyli nas ciaśniejszym kołem.

Krzyk przerażenia mekkańczyków wybuchł tak raptownie, jakby Ghani powiadomił ich o zupełnie im nie znanym fackie. Widocznie dotąd mówił im, że Munedzi umarł na pustyni, albo dlatego, że chciał odwlec właściwe wyjaśnienie, albo dlatego, że dotąd sam nie myślał o tym wybiegu. Halef był tak zaskoczony, że aż zaniemówił. Potem jednak, tym bardziej się ożywił. I nawet jeśli ktoś przez lata całe mówi obcym językiem, w chwili wielkiego strachu zaczyna posługiwać się własną mową. '1' dk było i teraz. Halef przeszedł na swój rodzimy język arabski, na maghrebski dialekt.

- Allachu! Allachu! 'Ib haniebne, obrzydliwe. Włos się jeży na głowie! Ani słowa więcej, ty kłamco! Ty pomocię oszusta, bo chyba pęknie z wściekłości jak bomba, na tysiąc kawałków i wylecisz w powietrze razem ze mną.

- A pękaj - szydził Ghani, - tylko się spiesz, zanim inni cię załatwią.

- Dlaczego wcześniej nie wniosłeś tego oskarżenia, szarifie Aba-dilahu? - zapytał wielki szarif.

- Bo nie miałem sposobności. 'I~ psie syny były zawsze otoczone swymi kamratami, musiałbym więc przelać wiele krwi, gdybym chciał im dać radę. 'I~go zaś pragnąłem uniknąć.

Tb było kłamstwo. Zarówno ja, jak i Halef, a także Pers bardzo często byliśmy sami i łatwo można nas było ująć. Ale Ghani nie chciał, wolał nas zachować na czas, kiedy mógłby nas sądzić jako wielki szarif.

-A jakie dowody możesz okazać, że popełnili te haniebne czyny?

116

- zapytał wielki szarif.

- Emirze, jakich dowodów ode mnie żądasz? Jestem jedyny, który uszedł krwawej rzezi. Czyż nie przywoziłem zakrwawionych zwłok mego syna do domu, aby je pochować w Świętej ziemi? A czy słowo szarifa nie jest dostatecznym dowodem? Wobec tego przysięgam na Allacha i wszystkich świętych kalifów, że było tak, jak powiedziałem. Pod mostem śmierci, przez który chcę kiedyś przejść pewnym krokiem, przysięgam, że widziałem na własne oczy...

- Na miłość Boską! - przerwał mu Pers, który błąd z przerażenia z szeroko rozwartymi oczami patrzył na zuchwalca. - Milcz, nie-szczęśniku, i nie przysięgaj! Nie znasz go, tego okropnego mostu śmierci, nie widziałeś go. Ale ja go znam, widziałem, wtedy, kiedy pod Bir Hilu leżałem we krwi moich askarów, z kulą w piersi, twoją kulą... już nie pamiętasz, Abadilahu? Wtedy...

- Nie słuchajcie go - przerwał mu Ghani. - Jego słowa to słowa szaleńca. On widział most śmierci! Śmiechu warte! I ja strzeliłem mu w pierś?! Wierutne kłamstwo! Niech pokaże to miejsce na piersi, tę szramę, która pochodzi od kuli! Niech po~aże, jeśli może. Wielki szarif przerwał mu ruchem ręki.

- Dość, Abadilahu! Wiem, co i jak! - potem zwrócił się do mnie.

- Co masz do powiedzenia na to oskarżenie?

- Nic - rzekłem ze spokojem.

To go zaskoczyło.

- Nic? Naprawdę nic?

- Nic, bo sam możesz sobie na to odpowiedzieć, kiedy tylko zechcesz. Co masz na myśli?

- Emirze, wyobrażasz sobie, że gdybyśmy popełnili zbrodnie, o które nas oskarża Abadilah, czy mielibyśmy odwagę, a raczej czelność, przyjechać do Mekki?

- Na Allacha! O tym nie pomyślałem. Odpowiedź jest dobra. Ale, ale... Czy nie mogłeś polegać na twoich pięćdziesięciu towarzyszach?

- Emirze, cóż znaczy pięćdziesięciu mężczyzn w mieście o przeszło pięćdziesięciu tysiącach mieszkańców?

- A jak chcesz dowieść, że jesteście niewinni?

- Czy muszę? Czy to nie Abadilah powinien najpiernv dowieść naszej winy? Czy to uczynił? Czy przedstawił choć jednego świadka na dowód naszej winy? Nie, dowodem jego były tylko słowa, jedynie słowa. Niech sprowadzą naszych świadków! Niech przyjdzie tu na-szych pięćdziesięciu wojowników i zapytajcie ich... 'Aun er Rafiq zrobił odmowny ruch ręką.

- Wasi wojownicy są sami oskarżeni jako współwinni, nie mogą więc występować jako świadkowie.
- Wobec tego jestem zmuszony podać jako świadka człowieka, którego wolałbym wyłączyć z tej sprawy. Abadilahu, czy wciąż twierdzisz, że zamordowaliśmy Munedziego?
- Nie pytaj tak głupio! Widziałem na własne oczy, więc mogę tak twierdzić.
- Naprawdę widziałeś! Dziwne! Dotąd byłem zdania, że ty, sły-szysz?! Że ty sam celowo zostawiłeś Munedziego w piaskach na wschód od Bir Hilu.

Słowa moje spadły na Ghaniego jak grom z jasnego nieba. Cofnął się o kilka kroków i gapił się na mnie z przerażeniem. Zbladł jak kreda.

- Co... co... co... chcesz przez to...

Nie mógł mówić dalej, bo przerwał mu Halef, który z triumfalnym okrzykiem wskazał obiema rękami na wejście.

- Hamdulillah! Allahowi niech będą dzięki! Oto są, ci odważni, niezrównani, niezwycześni, bohaterowie. Wejdźcie tu, potomkowie lwów, chodźcie do nas, potomkowie lwich ojców! Allah jest wielki! Wygraliśmy!

‘Pak, przyszli nasi Haddediłnowie. Tb znaczy, najpierw weszli mek-kańcycy. Ale jak! Wyglądało to tak, jakby od tyłu wbito w nich klin, tak, że z niepowstrzymaną siłą zostali odrzuceni na bok. Nie było 118 oporu. Ci stojący najbliżej klina zostali rzuceni na tych, co stali z tyłu, a kto był z tyłu, musiał chcąc nie chcąc poddać się temu uderzeniu. ‘I~raz ukazał się ostry koniec klina, a, że nie miał z przodu oporu, bardzo szybko nastąpił dalszy ciąg. Nie minęło jeszcze pół sekundy od okrzyku Halefa, a sala była uprzątnięta, to znaczy, że mekkaficzyccy znaleźli się po obu bocznych ścianach, podczas gdy wejście zostało zamknięte podwójnym szeregiem Haddediłnow. Oddział składający się z sześciu ludzi obsadził boczne wyjście, a Omar Ben Sadek z dalszym tuzinem wojowników pospieszył do nas i wziął nas do środka, przy czym strażnicy, którzy śledzili cały przebieg zajścia z otwartymi ustami, nie stawiali oporu.

Haddediłnowie przedstawiali wspaniaływidok. Zdjęli odzież piel-grzymią i mieli na sobie stroje pustynne. Beduifiskie strzelby przewie-sili na ukos przez plecy, a w rękach trzymali długie dzidy o podwój-nych ostrzach. Stali jakby odlani ze spiżu, błyszczące oczy z wyrazem krnąbrnego szacunku skierowane były na wielkiego szarifa. ‘Aun er Rafiq już od dawna nie siedział na otomanie. Podczas wejścia Haddediłnow zerwał się, fajka wypadła mu z ręki, a oczy z nieskrywanym zdumieniem skierowane były na odważnych przyby-szbw. Początkowo chyba nie zrozumiał znaczenia zajścia, ale wkrótce prawdopodobnie zdał sobie sprawę, że cel ich wtargnięcia nie był całkiem pokojowy, bo uczynił mimowolny ruch w kierunku bocznych drzwi, ale zaraz musiało mu wpaść na myśl, że ucieczka nie byłaby do pogodzenia z godnością władcy Mekki. Zatrzymał się więc, by na stojąco i z nieporuszoną miną czekać na dalszy rozwój wypadków. W chwilę później wycofanie się do komnat byłoby w ogóle niemożliwe, ponieważ Haddediłnowie tymczasem obsadzili wszystkie wyjścia. Wielki szarif był więźniem we własnym domu.

Dziwne było zachowanie Ghaniego. Już moje słowa wzbudziły jego przerażenie, teraz niespodziewane ukazanie się Haddediłnow, które pokrzyżowało jego plany, jeszcze bardziej wyprowadziło go z równo-wagi. Może teraz rozumiał, że sprawa przybierze zupełnie inny 119 obrót, niż przewidywał, i że popełnił potężny błąd, kiedy dał się unieść nienawiści. Wciąż jeszcze trzymał mój rewolwer w ręku, ale w swoim wrodzonym tchórzostwie nawet do głowy mu nie przyszło, aby go użyć przeciwko nam. Wzrok jego pełen strachu przeszukiwał salę. Kogo szukał? Może Munedziego? Prawdopodobnie. Słowa moje musiały obudzić w nim obawę, że znaleźliśmy ślepca żywym i, że go ocaliliśmy, a do tego zabraliśmy go do Mekki, by wystawićjako głównego świadka oskarżenia przeciw niemu. Stąd to spojrzenie pełne obawy. Ja także obrzuciłem wzrokiem salę, ale Munedziego tam nie było. A więc Haddediłnowie zostawili go w domu, chyba dlatego, że chodziło o dość niebezpieczną wyprawę i nie chcieli narażać starego, słabego człowieka. Zresztą chodziło nie o jego, lecz o nasze uwolnienie. Dostrzegłem wyraz ulgi, który przemknął po twarzy Ghaniego, i dobrze go rozumiałem. Jeszcze nic nie było stracone, mógł zaprzeczyć wszystkiemu,

przecież cieszył się u ludzi wielkim szacunkiem, więc mógł sądzić, że mu uwierzą. Zauważyłem nawet coś w rodzaju ukrytej, złośliwej radości w jego wzroku, który skierował na wielkiego szarifa. ~k łatwo jak Haddedihiom było zaskoczyć wielkiego szarifa, jemu w następnym tygodniu będzie równie łatwo wyrwać ze snu emira. A może nawet jeszcze łatwiej, ponieważ dysponował większymi siłami.

Spostrzeżenia zmieniały się szybciej, niż mogłem je opisać. Zasko-czenie było tak raptowne i przeprowadzone tak po mistrzowsku, że tylko z góry ułożony i dokładnie omówiony plan mógłby to umożliwić. Zgadłem, kto był autorem tego planu. 'Pdkże Halef to wiedział. Pro-mieniał na twarzy, a oczy jego wędrowały od jednego Haddedihi do drugiego. Szukał syna. Znalazł go i ja także go ujrzałem. Postać jego wysunęła się z podwójnego szeregu przy wejściu i kroczyła godnie obok nas do stopni, na których stał wielki szarif w postawie wyczeku-Ja~J~ Miał tylko miecz u pasa, resztę broni odłożył. Stanąwszy przed wielkim szarifem, przyłożył prawą rękę do piersi, czoła i skłonił się 120 nisko. Wszystko to działo się prosto i swobodnie, a jednak z tak szlachetną godnością, że sprawiło mi to ogromną radość. Byłem ciekaw, jak się dalej zachowa, a że wszyscy obecni w sali czekali z zapartym tchem, zapanowała prawie niesamowita cisza. Najbardziej napięty jednak był jego ojciec. Widziałem, że najchętniej podbiegłby do Kary, by go uściskać.

- Emirze, wybacz, - rzekł Kara - że stanęliśmy przed twoim obliczem bez uprzedniego zawiadomienia. Ale pomyśleliśmy sobie i chyba nie bez racji, że nie dopuszczono by nas, nawet gdybyśmy się zgłosili.

Wielki szarif długo nie udzielał odpowiedzi. Badawczym wzrokiem obserwował młodzieńczą postać, w której wyczuwało się szacunek i siłę. Jego poważna, surowa twarz złagodniała, a oczy patrzyły prawie przyjaźnie, kiedy wreszcie zapytał.

- Młody człowieku, co masz mi do powiedzenia?

- Emirze, prosimy cię o uwolnienie tych trzech stojących przed tobą mężczyzn. Rysy wielkiego szarifa znowu stały się surowe.

- Co też ci przyszło do głowy? 'Ib, czego żądasz jest niemożliwe.

Ci ludzie są oskarżeni o liczne zbrodnie i rozkazuję ci nie zabierać głosu przed wysokim sądem. Lecz Kara Ben Halef nie dał się zastraszyć. Odparł odważnie.

- Kto waży się oskarżać o niehonorowe czyny dwóch mężczyzn, których najbardziej ze wszystkich ludzi szanuję i kocham?

- O jakich ludziach mówisz?

Kara wskazał na Halefa i na mnie.

- O tych dwóch. Jeden to Hadzi Akil Szatir effendi, mój przyjaciel i nauczyciel, a człowiek, który stoi po prawej stronie, to mój ojciec. Kara powiedział to z taką dumą i miłością, że słowa te zrobiły wrażenie na wielkim szarifie.

- A teraz pytam po raz drugi. Kto ośmiela się oskarżać mego ojca i mego nauczyciela o zbrodnie?
121

-Ja się ośmielam, bezczelny chłopcze-wpadł mu w słowo Ghani zachłystującym się głosem. - Ja, szarif Abadilah ważę się. Jeśli masz coś przeciwko temu, to mów!

Kara Ben Halef nawet nie odwrócił głowy w kierunku Ghaniego.

Zapytał spokojnym głosem.

- Emirze, czy wolno mi wiedzieć, jakie dowody przedstawił ten człowiek, który nazywa siebie szarifem, aby udokumentować te nie-słuchane oskarżenia? Haddedihiowie nie są przestępcami, a szejk Haddedihiów, mój ojciec, z całą pewnością nie. Żądam dowodów. Wielki szarif nastawił uszu. Z niezwykłym napięciem w głosie odparł.

- Haddedihiowie? Haddedihiowie? Jesteście Haddedihiami, powiadasz? A twój ojciec to szejk Haddedihiów? Jak się nazywasz?

- Maszallah! Emirze, jestem zaskoczony! Czyż człowiek, który nas oskarżył, nie powiedział ci, że jesteśmy Haddedihiami? I, że mój ojciec to Hadzi Halef Omar, szejk Haddedihiów ze szczepu Szam-marów?

-Allah kerim! Czy to prawda? Możesz to udowodnić?

- Udowodnić, emirze, jakich dowodów żadasz? Jak lew pustyni może dowieść, że jest lwem, a nie szakalem? Zapytaj Abadilaha, on ci powie, kim jesteście.

Wielki szarif po raz pierwszy stracił dotychczasową pewność siebie.

Wzrok jego skierował się w naszą stronę i zatrzymał na Halefie.

- Szejk Haddedińów jest podobno bardzo drobnej postaci, jak mi mówiono. Tb się zgadza.

Czyżby naprawdę...

- 'Idk, jest drobnej postaci, ale wielkiej odwagi i chwały. Dzikie bestie pustyni ukrywają się przed jego gniewem, a wrogowie drżą, słysząc jego imię, którego brzmienie rozlega się na wszystkich stepach i pustyniach, imię Hadzi Halef Omar Ben Hadzi Abul Abbas Ibn Hadzi Dawhud el - Gossarah.

~'aki był. Zaledwie poczuł trochę powietrza w płucach, już znów stał się sobą. Nie mógł powstrzymać się od samochwalstwa.

122

Spojrzenie wielkiego szarifa skierowało się od Halefa w stronę Abadilaha, po którym poznać było, jak nie na rękę był mu fakt, że emir znał Haddedińów. 'Il~raz chodziło o to, czy ta wiedza była dla nas korzystna, czy też nie.

- Szarifie Abadilahu, dlaczego nie podałeś mi imion tych, których spotkałeś na pustyni? Mówiłeś tylko o łajdackich zbbjcach z Dżesireh, o łotrach i mordercach. Jeśli ludzie ci naprawdę są Haddedińami, a na to wygląda, to po raz pierwszy się pomyliłem. Albo ty mnie zwodzisz. Haddedińi, o ile słyszałem, nie są ani złodziejami, ani mordercami.

Ghani zagryzł dolną wargę. Jego pozycja zachwiała się. Jeśli sam wielki szarif wstawiał się za Haddedińami, to on przegrał. Musiał to sobie jasno powiedzieć. Ale wcale nie myślał rezygnować. Zraniona niewinność nie mogła wyglądać bardziej dotknięta niż to wyglądało u Ghaniego, kiedy odparł.

- O Allachu! O proroku! Co też ja słyszę? Wątpisz w moje słowa, emirze? Jeśli Haddedińowie dotąd nie byli rabusiami i mordercami, czy jest powiedziane, że się nimi nie stali? Dziwisz się, że nie podałem ci ich imion. Czy ich imię ma coś wspólnego z ich zbrodniami? Poznałem ich nie jako uczciwych Haddedińów, lecz jako nędznych morderców.

- O szyderstwo, o hańba! -wpadł mu w słowo Halef. - Nie wierz mu, o emirze, ty błogosławiony przez Allacha ulubiony synu proroka! Z jego ust płynie kłamstwo, a końce jego brody są zanurzone w oszczerstwie. Tb nie my jesteście mordercami, to on popełnił zbrod-nię, o którą nas teraz oskarża. Ib on jest mordercą... Ale Halefowi przerwano. 'Iłum, który dotąd w milczeniu się przy-słuchiwał, stał się niespokojny. Halef odważył się oskarżyć o morder-stwo szarifa, który niemal uchodził za świętego, to obrażało religijne uczucia tłumu i wzbudziło ich oburzenie do tego stopnia, że ze wszystkich stron rozległy się okrzyki gniewu. Rnchem ręki wielki szarif nakazał ciszę. 'Iiwarz miał poważną.

123

- 'Ieioje usta wypowiedziały coś szalonego. Nie waż się powtarza~ tego, bo będę zmuszony potraktować cię jak szalefca. Kto jest oskar-żony? Wy, czy ten Abadilah? I kto ma się oczyścić z oskarżenia? Chyba wy? Słyszałem o Haddedińach dużo chwalebnych rzeczy. Czy mam sądzić, że to wszystko jest kłamstwem? Albo też nie jesteś szejkiem Haddedińów? Prawie mnie do tego zmuszasz.

- Emirze, naprawdę jestem szejkiem Haddedińów i to, co ci opowiadano o mnie, jest prawdą.

- Prawdą? Jak mógłbyś... - wielki szarif przerwał jak pod wpły-wem jakiejś nagłej myśli. Chwilę się zastanowił, po czym ciągnął dalej.

- Wkrótce się dowiesz, jak sprawa się przedstawia. Przed kilkunastu laty opowiadano mi w 'Pdifie wydarzenie, w którym szejk Haddediń-ów odegrał wielką rolę. 'I~n, kto mi to powiedział, był to szejk Lazafah - Szammar, który znajdował się w Mekce na hadźdzu. Wiesz, o jakie wydarzenie tu chodzi?

- Szejk Lazafah - Szammar ci o tym opowiadał? Więc może to być tylko zwycięstwo nad Szeraratami.

- Przy jakiej studni odbyło się to starcie? - ciągnął dalej wielki szarif swoje badanie.

- Przy Bir Barid.

- Czy wiesz także, kto był przy tym obecny?

- Oczywiście, że wiem. Mój syn Kara Ben Halef, który wówczas był jeszcze prawie dzieckiem.

- ~b się zgadza. Główną rolę w zwycięstwie Szeraratów odegrał jednak ktoś inny, człowiek obcy.

- Masz na myśli mojego przyjaciela Karę Ben Nemsiego? 'Ihk, on wtedy był przy tym i według jego planu zwabiono wroga w zasadzkę. Ale nie był to jedyny bohaterski czyn, jakiego wtedy dokonaliśmy. Już przedtem, przy Bir Nadahfa, ujęliśmy Abu el - Ghadaba, syna czaro-dzieja i daliśmy mu posmakować naszych biczy, a potem w Zielonej Dolinie zabiliśmy pana gromu. Emir często wykonywał gesty potakujące, jak gdyby te sprawy nie 124 mu obce. 'I~raz rzekł.

- Szejk Lazafah- Szammar opowiadał mi o wielu czynach tego człowieka, które graniczą z cudem. 'Ib musi być zupełnie nadzwyczaj-ny człowiek i miałbym chotę kiedyś z nim się zetknąć. Czy wiesz, gdzie on się teraz znajduje?

- Chcesz wiedzieć, gdzie się znajduje? I pragnąłbyś go zobaczyć?

'Ib życzenie może być spełnione. Kara Ben Nemsi jest...

- Kutub, Kutub! - ostrzegłem go po cichu, ale stanowczo. Ten gwałtowny człowiek, zadowolony, że może opowiedzieć o naszych bohaterskich czynach, zapomniał całkiem, w jak niebezpiecznym miejscu się znajdowaliśmy. W swym ferworze dawał coraz szybsze odpowiedzi, a kiedy wielki szarif nazwał mnie człowiekiem niezwy- kłym, całkowicie zapomniał o ostrożności, tak, że już miał zdradzić troskliwie strzeżoną tajemnicę. Moje ostrzeżenie jednak od razu go otrzeźwiło. Zawahał się chwilę, potem dokoficzył zdanie. ...Kara Ben Nemsi znajduje się obecnie w swojej ojczyźnie, ale przysłał mi wiadomość, że niedługo mnie odwiedzi i wtedy nie b~zie trudno poznać cię z nim.

Halef jak mógł najlepiej wybrnął z tej sytuacji, ale to nie wystar- czyło. Nie tylko ja, także Kara Ben Halef i Haddediłnowie zauważyli, że Halef już miał się okropnie zagalopować i niejeden przerażony wzrok padł na nieostrożnego człowieka. 'Ib i nagle przeiwanie potoku słów uszło co prawda uwagi wielkiego szarifa, ale nie Ghaniego. Niesłychanie szyderczy uśmiech przebiegł mu po twarzy, a kiedy Halef skoficzył, Ghani zawołał.

- Kłamstwo, nic tylko kłamstwo! Emirze, teraz dam ci dowód, że te psy są oszustami i łajdakami. Właśnie teraz ten szejk Haddediłnow, j

;

którego obdarzyłeś szacunkiem, oszukał cię bezczelnie. Ci ludzie to nie tylko zbóje i mordercy, lecz coś jeszcze gorszego, to świętokradcy.

Od dawna wiedziałem o tym, ale wołałem poruszyć to dopiero wtedy,

;

kiedy przekonam się o winie oskarżonych. Aie kiedy ten oszust tak KI pięknie wpadł, czego wcale nie zauważyłeś, nie chcę dłużej czekać, by 125 otworzyć ci oczy i ukazać podłość tych ludzi. W tym celu muszę jednak sięgnąć wstecz. Podczas mojego pobytu w Meszched Ali, dokąd po-słała mnie moja miłość, opowiedziano mi o przygodzie, jaką miał ten człowiek, szejk Haddediłnow, w Birs Nimrud. Wspomniano przy tym jego towarzysza, tego wła~nie Karę Ben Nemsiego, o którego przed-tem pytałeś. On podobno był głównym bohaterem i jemu zawdzięcza- ją Haddediłnowie swą obecną, mocną pozycję. W drodze powrotnej do Mekki zetknąłem się z Haddediłnami, którzy oświadczyli, że udają się na hadżdż do Mekki. Znajdował się wśród nich uczony z Wadi Draa w dalekim Maghrebie, któremu wszyscy Haddediłnowie okazy- wali największy szacunek. Zauważyłem, że ten człowiek był właściwym prowodyrem, chociaż nie dawał tego po sobie poznać i jeśli to było możliwe, starał się trzymać w tle. Ale właściwie wszystko odbywało się dokładn ie tak, jak sobie życzył ten obcy uczony. Już wtedy przyszło mi na myśl, że ten Hadži Akil Szatir effendi i słynny Kara Ben Nemsi to jedna i ta sama osoba. A ten Alaman to chrześcijanin, jak sam

powinieneś wiedzieć, o emirze! Tymczasem nie dałem nic poznać po sobie i obserwowałem dalej. Mówiono dużo zwariowanych rzeczy, ale najbardziej zwariowanie mbwił obcy effendi, który teraz przed tobą stoi i u którego co drugie słowo to miłość, chociaż on sam należy do diabłów piekielnych. Wiesz, o emirze, gdzie tak zwana miłość gra wielką rolę - w chrześcijaństwie, które zasługuje na to, by zostało wytepiene z ziemi. Prorok Mahomet zbyt łagodnie się obchodził z chrześcijaństwem. Moje podejrzenie, że ten szatan w rzeczywistości jest Karą Ben Nemsim, teraz się potwierdziło. Ostatnie wątpliwości znikły, kiedy tu w Mekce wysłałem za nim moich szpiegów, nie zauważonych przez niego. Jest tu już przeszło dwa tygodnie, ale przez cały czas nie widziano, by chociaż raz brał udział w popołudniowych modlitwach, albo w pielgrzymich ceremoniach. Opowiadano mi w Mesched Ali, że ten człowiek, choć chrześcijanin, zna na pamięć cały Koran i, że wszystkie objaśnienia znane mu są lepiej niż uczone mahometańskim. Nie chciałem w to uwierzyć, ale muszę powiedzieć, 126 że ten człowiek potrafi tak sprytnie podawać się za mahometanina, nie czyniąc przy tym nic, co wykraczałoby poza jego wiarę, że nawet ja nic bym szczególnego nie zauważył, gdybym go już przedtem nie przejrzał. I oto stoi przed tobą, emirze, گیاور, parszywy pies, który hańbi świętość, a wraz z nim wszyscy inni, którzy mu w tym pomagali. Zapytaj go, czy jest chrześcijaninem. Mówiono mi, że ten człowiek nigdy, przenigdy nie zapiera się swego chrześcijaństwa, nawet jeśli jego życie od tego zależy. Zapytaj i zobaczymy, czy i teraz, w tej chwili będzie miał odwagę, o której tyle się mówi.

Po tej długiej przemowie Ghaniego zapadła niesamowita cisza. Wydawało się, jak gdybym przebywał sam jeden w tej ogromnej sali, lub jak gdyby dokoła mnie znajdowały się same nieruchome kukły. Tym wymowniejsze i wyraźniejsze były skierowane na mnie spoj-rzenia. Mekkańczycy patrzyli na mnie oczyma wilków, wietrzących łup, który im nie umknie. Haddediłnowie patrzyli z obawą, czekając jak się z tej matni wyzwolę. Basz Nasir, który dotąd stał obojętnie, uniósł głowę i spojrzał mi w twarz ze spokojnym, ufnym uśmiechem, jakby z góry znał moją odpowiedź. Wielki szarif pochylał się do przodu, jakby nie mógł doczekać się mojej odpowiedzi. Nie zastanawiałem się ani chwili nad odpowiedzią, chociaż wie-działem, że wywołam burzę. گیاور w Świętym Mieście islamu! Była to profanacja świętości zasługująca na karę śmierci. Patrząc w setki wzburzonych twarzy nie ujrzałem ani jednej, w której malowałoby się współczucie, jeśli więc Haddediłnom nie uda się okiełznać oczekiwanej burzy, los mój w najbliższych chwilach był przypieczętowany. Ale te rozważania nie powinny były powstrzymać mnie od odpowiedzi, jakiej żądano ode mnie. Tę też spojrzałem pewnie w oczy Ghaniemu i odparłem spokojnie.

- Odwagi? Sądzisz, że nie będę miał odwagi, Abadilahu? Ty co prawda jesteś takim tchórzem, że wcale się nie dziwię, iż innych o to posądzasz. Dużo słów zużyłeś, by dowieść, że jestem chrześcijaninem, może dlatego, bo się obawiasz, że ci w jakiś sposób umknę. Biedaku!

Wystarczyłoby mniej słów, by się dowiedzieć tego, czego chcesz. Emir może zaoszczędzić sobie pytania, jest ono zbędne, odpowiem nie pytany. 'Idk, jestem tym, o którym mówi Abadilah, jestem Karą Ben Nemsim, chrześcijaninem.

Mekkańczycy spodziewali się tej odpowiedzi, a teraz, kiedy padła, przez chwilę znieruchomieli z zaskoczenia. Ale potem wybuchł nie-samowity hałas. ~udno mi opisać, co działo się w ciągu najbliższych dwóch minut, tak szybko toczyły się wydarzenia. Widziałem tylko, jak przyciśnięci do ścian mekkaficzycy w kilku miejscach przerwali szereg Haddediłnow, mimo ich silnego oporu i z zaciśniętymi pięściami i uniesionymi w górę nożami rzucili się ku mnie. Zamknęło się koło pozostałych przy mnie Haddediłnow. 'I~kże strażnicy pospieszyli na szybki znak wielkiego szarifa, by mnie bronić. Potem było tak, jakby nawiedził mnie niesamowity sen. Między walczącymi widziałem szyb-kie ruchy rąk odparowujących ciosy, których nie mogłem zauważyć, ale które były skierowane na mnie. Raz albo dwa przez otwierającą się szparę walczących ukazywała się wykrzywiona, szydercza gęba Ghaniego lub twarz wielkiego szarifa, który nie mogąc powstrzymać walki, ulegle czekał na jej koniec. W dodatku potworny wrzask wście-kości jakby setek zbiegłych z klatek wilków, a wśród tego młodzieńczy jasny głos Kary Ben Halefa. Tę chyba był sen, bo nagle jakby z oddali usłyszałem krzyk, który nie miał w sobie nic ludzkiego.

Znałem ten krzyk. Wydarł się wtedy na pustyni, z ust Miinedżiego po jego zbudzeniu się ze stanu nieprzytomności, był to krzyk okropnego przerażenia. Ale teraz przecież znajdowaliśmy się nie na pustyni, lecz u wielkiego szarifa, a Munedżiego tu nie było, został w domu, gdzie wraz z Hanneh czekał na nasz powrót. Stało się coś dziwnego, rwetes trochę ucichł i po chwili urwał się całkowicie jak na rozkaz. Uścisk, w jakim znajdowaliśmy się z Hadedihnami, rozluźnił się, znów mogłem swo-bodnie oddychać. Ale to, co teraz ujrzałem, zaskoczyło mnie. Oczy mekkańczyków, a także wzrok Ghaniego, nie patrzyły już na mnie pełne nienawiści, lecz malował się w nich paraliżujący strach. Wszyscy spoglądali w jeden punkt przy wejściu, zwróciłem się w tym kierunku i zobaczyłem, co wzbudziło ich przerażenie.

W środku pierwszego rzędu Haddedihnów, którego porządek został nieco zakłócony, stała odziana w biel postać Munedżiego. Oczy chronione przez niebieskie okulary skierował nieruchomo na grupę, w której środku ja stałem. W ogóle w całej postaci było coś niesamowitego, co spowodowała nieruchoma i blada twarz, z której odpłynęła cała krew. Ale nie tylko to. Po jego lewej stronie stała kobieta i choć miała na sobie zasłonę, poznałem od razu Hanneh. 'I~zymała starca za lewą rękę i przemawiała do niego uspokajająco. W jaki sposób oboje się tu dostali? No, cóż. Kiedy Kara Ben Halef wrócił do domu i zawiadomił o naszym uwięzieniu, wywołało to u Haddedihnów wielkie wzburzenie. Naradzili się i pospieszyli w swym podnieceniu, nie troszcząc się o Munedżiego. 'I~n oczywiście zrozumiął, że musiało się stać coś niezwykłego, i poszedł do Hanneh, by się czegoś dowiedzieć, potem postanowił przyjść nam z pomocą i zdema-skować Ghaniego przed całym sądem. Hanneh na pewno usiłowała odwieść go od tego zamiaru. Ale darer~nie, Munedżi koniecznie chciał tam iść, a Hanneh nie mogła go puścić samego, więc poszła razem z nim. Weszli widocznie na salę podczas przemówienia Ghaniego. Żaden z mekkańczyków go nie zauważył, ponieważ zainteresowanie ich skupiło się na Ghanim i na mnie, Haddedihnowie zaś bez przeszkód ich wpuścili. Kiedy mekkańczycy w dzikiej wściekłości jak drapieżne zwierzęta rzucili się na mnie, strach o moje życie wydarł z jego piersi te okrzyki przerażenia. Najpierw spostrzegli go tylko najbliżsi stojący mekkańczycy, lecz nagłe ukazanie się rzekomo zamordowanego, który w Mekce był znaną osobą, wywołało wielkie zdziwienie i przerażenie. Munedżi nadszedł w porę, bardzo wątpię, czy inaczej wyszedłbym cało z tego zajścia. 'I~raz się udało. Poza kilkoma sińcami, które zresztą przypisywałem Haddedihnom, miałem tylko poszarpaną odzież. Haddedihnowie dostali kilka ciosów nożami, ale nie były to

9 - W podziemiach Mekki 129

niebezpieczne rany. Mekkańczycy w ogóle nie doznali obrażeń, ponieważ Haddedihnowie bronili się tylko pięściami. Ale mam nadzieję, że ich kuksańce zaatakowani czuli jeszcze długo, gdyż zauważyłem z ukrytą satysfakcją, że niektórzy wojownicy z wykrzywionymi bólem twarzami badali swoje ciała.

Munedżi stwierdził, że już nie jestem w niebezpieczeństwie i teraz wstąpiło w niego życie. Policzki mu się zaróżowiły i ciągnąc za sobą Hanneh, pospieszył śmiało do mnie. Ale wśród stojących mu na drodze mekkańczyków zapanowało poruszenie. Z głośnymi krzykami pierzchali na lewo i prawo i szukali obrony u towarzyszy stojących przy bocznych ścianach. Wkrótce sala wyglądała tak jak przed walką, z tą tylko różnicą, że strażnicy wycofali się ze strachu do najdalszych kątów. Najrozmaitsze okrzyki przerażenia fruwały przez salę i wyglądałoby to zabawnie, gdyby cała sytuacja nie była tak poważna.

- Duch! Duch! Niech Allah chroni nas przed diabłem o dziewięciu ogonach! Krąży tu duch zamordowanego! Przyszedł, by zemścić się na swoim mordercy. Niech Allah przeklnie tego psa! Popatrzcie, już go złapał, zaraz go rozszarpie. Allah! Allah! Przysięgam, że nie ma Boga nad Allacha!

Domniemany upiór istotnie rzucił się do mnie z rozpostartymi ramionami, co prawda nie po to, by mnie rozszarpać, jak to myśleli przesądni mekkańczycy. Dotarł do mnie i tu siły go opuściły. Obej-

mując mnie mocno, powoli opadł na kolana, a z ust jego słycać było słowa, przerywane szlochem, a mimo to wyraźnie słyszalne w zapada-jącej nagle ciszy.

- O Allachu, Allachu! Żyjesz, nie jesteś martwy. I... jesteś chrze-ścijaninem. O Allachu, dzięki ci za to tysiąckrotnie! No to teraz wszystko jest w porządku!

Świetnie rozumiałem, co Munedzi miał na myśli. Z całych sił ciągnęło go do chrześcijaństwa, którego się wyrzekł i które zdradził. Chyba dawno by się zdecydował i zrobił ten krok, gdyby nie moje rzekome islamskie wyznanie, które było dla niego jedyną przeszkodą, 130 by postąpić zgodnie z własnymi przekonaniem. 'I~raz to odpadło i dlatego był taki szczęśliwy.

Wielki szarif, tak jak inni mekkańscy, śledził to wydarzenie na wpół ze zdziwieniem, na wpół z przerażeniem. Był on co prawda bardziej światły niż inni, ale nagle ukazanie się człowieka, który zgodnie z twierdzeniem Ghaniego został zamordowany, przeraziło go. 'I~raz ciekawość wzięła górę nad strachem, zeskoczył ze stopni i zawołał podniecony.

- Maszallah! Dzieją się cuda! Effendi, powiedz, czy to sen, czy jawa? Czy ten człowiek w twoich ramionach to Munedzi, czy tylko jest do niego podobny? Prawie nie mogę uwierzyć, że to on. Przecież on nie żyje, jest martwy!

- Emirze, zapytaj jego samego! Albo jeszcze lepiej zapytaj Aba-dilaha. To on na własne oczy widział, że zamordowaliśmy Munedziego, przysięgał nawet na Allacha i proroka!

- O Allachu! I'ak, tak uczynił! Effendi, zupełnie się zgubiłem, już nie wiem, co mam myśleć, co powiedzieć. Gdzie jest Abadilah? Niech mi wyjaśni sprawę.

Pytanie szarifa o Abadilaha było usprawiedliwione. Ghani bowiem nie stał już na poprzednim miejscu. Kiedy ujrzał rzekomo martwego, trupia bladeść pokryła jego twarz, a rewolwer wypadł mu z ręki. Przebiegły Halef, spostrzegł to i podniósł broń, której jednak nie położył na stoliku, lecz przezornie wetknął za własny pas. Z każdym krokiem, z którym Munedzi się do nas zbliżał, Ghani coraz bardziej się cofał, teraz stał w rogu przy strażnikach i jak nieprzytomny spoglądał w naszą stronę. Wielki szarif szukał go wzrokiem, a kiedy go zobaczył, zawołał.

- Chodź tu, Abadilahu i wytłumacz jak to jest możliwe, że zamordowany żyje i wydaje się być w dobrym stanie.

- Na Boga! Mam tam podejść? Na Allacha i proroka, i wszystkich Swi-tych kalifów! Nie zrobię tego, nie możesz tego ode mnie żądać. Tb nie jest Munedzi. On nie żyje, na pewno nie żyje. 'Ib jego duch...

131

jego duch.

By zrozumieć, co nastąpiło dalej, musi czytelnik wziąć pod uwagę, że Ghani był przekonany, iż jego podopieczny jest martwy, że zginął w gorących piaskach pustyni. Dołączył się do tego przesąd, od którego Ghani, mimo wykształcenia, nie był wolny. Toteż nie zdziwiłem się, że Abadilah, ten zatwardziały grzesznik, od chwili ukazania się Munedziego stracił całą beczelność, był teraz w rękach Munedziego niby miękki wosk, który ten mógł kształtować wedle własnej woli. Upiór wstał i podszedł do Ghaniego powolnym krokiem, ten prze-rażony cofnął się i ukrył za strażnikami. Ale ci nie okazali większej odwagi niż on, rozpierzchli się z krzykiem na obie strony, tak że Ghani znów nie miał się gdzie ukryć. Drżąc ze strachu zaczął uciekać wzdłuż ściany, zwracając twarz ku Munedziem. 'I~n jednak tylko za nim podążał, nie spuszczać go z oczu. 'Ib wzmogło jeszcze przerażenie Ghaniego, który przecież uważał Munedziego za całkiem niewidome-go. Jak więc mógł iść za nim krok w krok, jeśli go nie widział? Nie mógł tego zrozumieć, to było upiorne, zupełnie nienaturalne. Ghani chyba kontynuowałby ucieczkę dokoła całej sali, gdyby na-gle nie został zatrzymany. Nie pomogły lamenty i szarpanina, ramiona Haddedihnow były jak z żelaza.

I oto Munedzi stał przed nim. Z przerażenia Ghani padł przed nim na kolana i zaczął krzyczeć.

- Allah jest wielki i miłosierny! To znowu ten upiór. Puśćcie mnie, proszę was, na litość Allacha, puśćcie mnie! Haddedihnowie trzymali go coraz mocniej. Wielki szarif i mekkań-czycy śledzili wydarzenie z wielkim napięciem. Wszyscy wiedzieli, jak zależny był Munedzi od Ghaniego,

więc tym bardziej niezrozumiałe musiało im się wydać widowisko, którego byli świadkami. Co zaszło tak dziwnego podczas podróży bogatego potężnego Abadilaha, że teraz drżał przed swym podopiecznym.

I oto Munedzi przemówił do Ghaniego.

- Słuchaj, Abadilahu! Mówię do ciebie dziś po raz ostatni!

132

I żądam pełnej prawdy, słyszysz? Pełnej prawdy! Powiesz ją?

- I'ak, powiem. Ale nie patrz tak na mnie. Nie mogę znieść twoich oczu. Odwróć wzrok.

- Nie odwrócę od ciebie oczu ani z tobą nie skoficzę, Abadilahu, powiedz, kto skradł Kans el Adhai w Mesched Ali?

- Ja go skradłem, ja sam.

- Dlaczego?

- Żeby stać się najbogatszym człowiekiem w Mekce.

- Kto zastrzelił dwudziestu askarów, towarzyszących temu Perso-wi, który nazywa się Khutab Aga? ~ Beni Khalidowie.

- I kto jeszcze? Mów szybko. -Munedzi zbliżył się o krok i uniósł dłofi. Wyglądało to tak, jakby chciał uderzyć. Ghani skulił się jeszcze bardziej i szybko odparł.

- Już mówię. Ja im pomogłem i mój syn Ben Abadilah, a także trzej moi towarzysze.

- Abadilahu, kto zabił twego syna i tych trzech mekkafczyków?

Czy był to ten obcy effendi, czy też jeden z Haddediłnów? Ghani nie chciał odpowiadać, widać to było wyraźnie. Ale Munedziem wystarczyło tylko udać, że chce go zaatakować, a już Ghani w śmiertelnym strachu zdobył się na wyznanie.

- Nie, to nie oni, zrobili to Beni Lamowie.

- Dlaczego to zrobili?

- Bo chcieli się krwawo zemścić. Moi ludzie popełnili mord rabunkowy na jednym z nich.

- Słyszysz, o emirze? Słyszycie wy, mieszkańcy Świętego Miasta?

Kara Ben Nemsi i Haddediłnowie są niewinni śmierci jego syna. I jeszcze jedno ostatnie pytanie, a potem jesteś wolny, przekazuję cię karze Allacha. Kto pozostawił mnie na pustyni samego, ze związany-mi rękami i nogami, abym nędznie skonał i stał się łupem szakali? Ghani riie odpowiadał tak szybko i gładko, jak to się czyta w książce, lecz opornie i zacinając się. Już prawie nie był podobny do 133 człowieka. Oczy nabiegły mu krwią, gęsty zimny pot spływał po szarej twarzy. Wił się jak piskorz w pięściach Haddediłnów, ale nie mógł się uwolnić, wzrok Munedziego trzymał go jak na uwięzi. ~k więc musiał odpowiedzieć również na ostatnie pytanie, chociaż omal nie dusił się z wściekłości. W nieopisanym gniewie wrzasnął.

- Ja to zrobiłem, abyś nie zdradził mnie w Mekce!

- Słyszałeś, o emirze? Słyszeliście wy, mieszkańcy Mekki? - powtórzył Munedzi swoje poprzednie słowa. - Abadilah oskarżył Karę Ben Nemsiego i Haddediłnów. Abadilah swym zeznaniem wycofał to oskarżenie. 'I~raz moja kolej opowiedzieć, co zawdzięczam temu człowiekowi i Haddediłnom. Dawno bym już nie żył, gdyby mnie nie uratowali. Dwukrotnie uchronił mnie przed strasz-liwą śmiercią na pustyni, byłbym zgubiony, gdyby Allah nie spro-wadził go na moją drogę. Wy wszyscy znacie mnie od lat i wiecie, że Allah pokarał mnie ślepotą. I oto przyszedł ten czło-wiek i przywrócił światło moim oczom, sprawił, że znowu widzę. 'Pak, widzę cię wyraźnie przed sobą, o emirze, widzę i odróżniam każdego z tych ludzi, którzy są tu obecni. I to zawdzięczam temu człowiekowi

którego omal nie zabiliście, słuchając tego nikczemnika, którego ja sam niegdyś czciłem i kochałem jako swego dobroczyfcę. 'Idk, za-wdzięczam mu nie tylko moje życie i światło moich oczu, zawdzięczam mu coś więcej, dużo więcej. Ale tego nie mogę wam wyjawić, a zresztą byście tego nie zrozumieli. Ten, którego, jak sądziliście, należało nienawidzić i wykląć jak szatana, był moim aniołem, a ten nędz-nik, którego kiedyś kochałem jak brata, którego Allah zesłał z nieba, by

mnie ocalił, postąpił wobec mnie jak diabeł. 'R~ jest czysta prawda, przysięgam na światło moich oczu, które tak niezasa-żenie zostało mi przywrócone, i na inne światło, na światło rajskiej rozkoszy.

Na znak Munedżiego Haddedihowie, którzy trzymali Ghaniego, puścili go. Z westchnieniem niesłychanej ulgi Ghani wstał i złamany zakradł się do kąta, gdzie przycupnął. Nie zwracał uwagi na to, że 134 stojący najbliżej cofnęli się przed nim jak przed trędotatym. Przeraza-żenie ostatniego kwadransa wyczerpało go, zasłonił dłońmi twarz i tkwił nieruchomo w tej pozycji.

Niezwykłe to zeznanie ogólnie szanowanego Ghaniego i słowa Munedżiego uczyniły na mekkańczykach ogromne wrażenie. Bariera przesądu, którą wzniósł strach przed upiorem, runęła i Munedżi stał się od razu ośrodkiem rozkrzyczanej gromady, zachowującej się ze zdumienia jak szaleńcy. Haddedihowie pozwolili mekkańczykowi przesuwac się przez swój szpaler i przedostać do Munedżiego, pilno-wali tylko, by nikt ukradkiem nie opuścił sali. O mnie ani o Persie nikt już nie myślał, i gdybyśmy chcieli, moglibyśmy teraz odejść bez prze-szkód. Nikomu do głowy nie przyszło powątpiewać w słowa Munedżiego, zresztą każdy był teraz przekonany o winie Ghaniego. W każdym razie słyszałem wszędzie okrzyki obrzydzenia, coraz bar-dziej się nasilające.

Taki obrót sprawy był niewątpliwie dla wielkiego szarifa ogromnie przykry. Choć stale powtarzane słowa, jestem ulubieńcem wielkie-go szarifa, od początku uważałem za samochwalstwo, to jednak sądzi-łem, że Ghani był w bliskich osobistych stosunkach z najwyższym władcą Mekki. Wyznania te kompromitowały szejka, który cieszył się wielkim szacunkiem, a w dodatku pochodził ze szlachtetnej rodziny, musiały więc być dla wielkiego szarifa podwójnie przykre, bo rzucały cień na całą jego rodzinę. Co prawda uważałem 'Auna er Rafiq za człowieka tak sprawiedliwego, że gdyby chodziło o prawdziwą zbrod-nię, nie miałby żadnych względów, ale z drugiej strony musiałem sobie powiedzieć, że nie mógł mieć sympatii do ludzi, którzy mu narzucili ten przykry obowiązek. Na pewno był na nas wściekły i wołałby, abyśmy byli jak najdalej stąd. Co prawda nie przejmowałem się tym, wiedziałem, że mam w zanadrzu coś, co jego niechęć zamieni we wdzięczność. Byłem mocno zdecydowany dziś jeszcze ten środek zastosowaE, oczywiście tak, by Ghani o niczym się nie dowiedział. Ten robił obecnie wrażenie człowieka całkiem załamanego, ale byłem 135 przekonany, że wkrótce pokaże swe diabelskie oblicze. W każdym razie dzisiejsze wydarzenia nie powstrzymają go od wykonania swych dalekosiężnych planów i to z j jeszcze większym uporem. Abadilah był w Mekce spalony, stracił cały szacunek, mógł od razu opuścić miasto, nikt by o nim nawet nie wspomniał. Był tylko jeden sposób odzyskania straconego szacunku, gwałt. Ani przez moment nie wąpiłem, że Ghani się na to zdecyduje. Gdy dojdzie do władzy, nikt nie będzie pytał o przeszłość, a jeśli nawet, miał sposoby, aby utrzymać się na zdobytym stanowisku i uciszyć tych, co za dużo gadają. 'Aun er Rafiq wciąż jeszcze stał przy nas obserwując z zapartym tchem scenę pomiędzy Ghanim a Munedżim. Był zbyt zaskoczony, by móc się opanować i nie okazać tego po sobie. Nie wąpiłem, że po tym, co zaszło, uzna Ghaniego winnym, dostatecznie bowiem znał się na ludziach. Z drugiej strony nie chciał występować przeciwko zde-maskowanemu kłamcy bez formalnego oskarżenia, a to już nie do niego należało, lecz do nas.

- Allah jest wielki! - rzekł wielki szarif - Kto by to pomyślał?

Effendi, czemu nie powiedziałaś tego wszystkiego od razu?

- Emirze, nie uwierzyłbyś ani jednemu mojemu słowu, ba, nawet nie dopuściłbyś mnie do głosu.

Czyż nie nazwał mego przyjaciela, szejka Haddedihow, szaleńcem tylko dlatego, że odwrócił oskarże-nie i nazwał Abadilaha mordercą?

- Masz rację! Teraz jeszcze wydaje mi się, że wszystko jest snem.

Ale pomyśl, że właściwie nawet nie wiem, jak wszystko się odbyło.

Może opowiesz mi cały bieg wydarzeń?

Kiedy padło słowo „opowiesz” Halef, który rozmawiał ze swoją Hanneh, radośnie się zerwał i rzucił mi błagalne spojrzenie. Opowia-dać! 'Ib było jego ulubione zajęcie! A cóż dopiero przed

wielkim szarifem! Nie mogłem być tak okrutny, by odmówić jego niemej pro~bie, toteż rzekłem do wielkiego szarifa.

- Emirze, rozumiem, że pragniesz dowiedzieć się wszystkiego.

Pozwól jednak, że powierzę to zadanie szejkowi Haddedihnów. On 136 potrafi lepiej opowiadać niż ja i na pewno uczyni to ku twemu zadowoleniu.

Emir dał znak przyzwolenia i rozkazał jednemu ze sług przynieść dla nas poduszki. Już widocznie nie uważał nas za oskarżonych, inaczej nie posunąłby się chyba do takiego gestu. Podczas gdy sam usiadł na sofie, my zajęliśmy miejsca na poduszkach. Mówiąc my mam na myśli Munedżiego, Persa, Hanneh i siebie. Kara Ben Halef stał nadal, ponieważ czuł się odpowiedzialny za utrzymanie porządku na sali. Halef także nie usiadł, aby wszyscy mogli go widzieć. Wśród mekkańczyków szybko się rozniosło, że teraz będą opowiadać prze-bieg wydarzeń, wobec tego zapanowała całkowita cisza. Wszystko to nie robiło już wrażenia procesu sądowego, lecz uro-czystego przyjęcia, jakie książę wydaje swym poddanym. Na Ghanie-go, który wciąż jeszcze siedział skulony w kącie, nikt nie zwracał uwagi.

‘I~raz Halef zaczął z ważną miną swoją opowieść. Nie da się zaprze-czyć, że to, co usłyszeliśmy, było majstersztykiem sztuki opowiadania. Fakt, że wolno mu się popisać przed samym wielkim szarifem, a w dodatku przed swymi Haddedihnami, napełniło go taką dumą i rado-ścią, że najchętniej by wymienił wszystkie wyczyny, zaczynając od czasu, kiedy go wziętem do siebie na służbę. Opanował się i mówił wyjątkowo rzeczowo. Uczynił coś, czego dotąd nie potrafił, starał się pozostać w cieniu, a całe światło rzucał na moją osobę. Uczynił ze mnie zupełnie niepojętą, wyposażoną w cudowne moce istotę, która nie podlega prawom obowiązującym zwykłych śmiertelników, istotę, na której żadna choroba, a nawet śmierć nie zdobędzie łupu. Zdawa-łem sobie sprawę, do czego Halef zmierzał. Był dyplomata i chciał dać mekkańczykom do zrozumienia, jakie niewybaczalne przestępstwo, jaki wołający o pomstę do nieba grzech by popełnili, gdyby chcieli mi w dalszym ciągu cokolwiek utrudniać.

Sądzę, że osiągnął swój cel. W każdym razie we wzroku mekkań-czyków skierowanym na mnie nie było już wrogości.

137

Nikt tak jak ja nie mógł lepiej osądzić, jak bardzo musiał Hadzi się przemóc, by cały splendor, jaki zazwyczaj zgarniał dla siebie, tym razem przypadł mnie. W każdym razie jedna myśl go pocieszała. Im jaśniej oświetli moją osobę, tym więcej odblasku padnie na niego i jego Haddedihnów. I nie pomylił się. Wskazówka zegara posuwała się coraz dalej, ale nikt ze słuchających tego nie spostrzegł, nikt nie uświadamiał sobie późnej pory. Kiedy Hadzi doszedł do chwili, w której zaiądaliśmy od Beni Khalidów zwrotu Kans el Adhai, wielki szarif mu przerwał.

- Pozwól, że o coś zapytam, szejku Hadzi. Gdzie jest teraz Kans el Eldhai?

- Leży w naszym mieszkaniu dobrze schowany i strzeżony.

Wówczas ‘Aun er Rafiq zwrócił się z subtelnym uśmiechem do Persa.

- Co byś zrobił, Khutabie Ago, gdybym tego skarbu zażądał dla siebie i kazał go przynieść moim strażnikom?

Basz Nasir spojrział spokojnie w uśmiechniętą teraz twarz szarifa i rzekł.

- Nie uczynisz tego, emirze! A gdybyś nawet uczynił, też by mnie to nie unieszczęśliwiło. Co prawda nie mógłbym już pokazać się w swojej ojczyźnie. Ale bym się pocieszył. Znalazłem bowiem coś, co zastąpi mi stokrotnie, ba! tysiąckrotnie, ojczyznę. ‘I~go bym się trzy-mał i wiem, że tego nikt by mi nie odebrał.

Przy tych słowach przesłał mi promienne spojrzenie. Dobrze zro-zumiałem, co chciał powiedzieć i sądzę, ie wielki szarif też to zrozu-miał. U~miech znikł z jego twarzy, jakiś czas spoglądał w głębokiej zadumie przed siebie, jak gdyby takiej właśnie odpowiedzi spodziewał się od Persa. Halef opowiadał dalej i dalej. Kiedy doszedł do zamordowania askarów, w czym brali udział mekkańczycy, kiedy opisywał, jak okrut-nie mordercy postąpili z ociemniałym, ktbrego

znaleźliśmy związane-go i prawie oszalałego na piasku pustyni, słuchacze nie mogli 138 powstrzymać swego oburzenia.

- Co za podłość! Niech Allah przeklnie tego trędowatego! Niech Allah zniszczy tego psa! -słowa padały jak grad na Ghanię, który zdawał się niczego nie słyszeć.

Dopiero kiedy Halef niezwykle obrazowo opowiedział, jak Munedzi wrócił do przytomności i jak mu, najstłanniejszemu heki-mowi Zachodu, udało się powoli przywrócić mu wzrok, Ghani jakby obudził się ze swego oszołomienia. Opuścił ręce, którymi zasłaniał twarz, i nie uronił ani słowa z opowiadania. Dobrze to zauważyłem, chociaż oczy miał zamknięte, ale mięśnie twarzy ukazywały, jak bar-dzo uważnie słuchał. To, co usłyszał, widocznie go zaskoczyło. Jeśli było tak, jak opowiadał Hadzi, wówczas wszystko stało się w sposób naturalny, nie było nic nadprzyrodzonego w nagłym zjawieniu się Miinedziego i on, Ghani, niepotrzebnie dał się zastraszyć. Jeśli stary nie był zjawą, lecz człowiekiem z krwi i kości, to jeszcze nie wszystko było stracone. Wobec zjawy człowiek jest bezradny, ale wobec drugiego człowieka... Myśli te przebiegały Ghaniemu po głowie. Co prawda starał się je ukryć, ale nie trzeba być zbyt, dobrym znawcą ludzi, by odgadnąć, co się w nim działo.

Kiedy Halef skończył, obrzucił salę wzrokiem pełnym wielkiej pewności siebie. Był przekonany, że jego przemowa zrobiła wielkie wrażenie, i czekał na głośne wyrazy aprobaty. Ale do tego nie doszło. Ghani zerwał się przy ostatnich słowach Hadziego i zawołał, zanim ktoś inny zdążył zabrać głos.

- Co za bzdury! To kłamstwo, pomówienie! Ludzie, nie wiercie mu, to kłamstwo od pierwszego do ostatniego słowa. Te psy postanowiły mnie zniszczyć. Pdkże Munedzi, który od początku trzyma z tymi kłamcami przeciwko mnie, swemu dobroczyńcy! Chcecie uwierzyć temu giaurowi, temu, co bezcześcił świętości, temu parszywemu psu, nie mnie, ulubieńcowi Allacha i jego proroka, szarifa...

- Milaz, rieszczęśniku! - wielki szarif zerwał się i spojrzał na niego płonącym wzrokiem. - Czy uważasz nas za głupców, myślisz,

139 że mamy w głowach proszek zamiast rozumu i że ci uwierzmy? Słowa twoje są dla naszych uszu jak ślady ptaka na piasku, które rozwieje wiatr. Na Allacha, raczej uwierzyłbym, że zawali się BeitAllah, niż że zdarzą się takie rzeczy, o jakich dziś się dowiedziałem i, że szarifa...

- Allachu, Allachu - przerwał mu Ghani skrzeczącym głosem.

- Emirze, przysięgam na Allaha i wszystkich świętych kalifów, przy-sięgam na brodę proroka i na wszystko, co jest mi święte, że mówiłem prawdę, to te psy syny wszystko przekreśliły...

- Zamilknij! Ani słowa więcej, Abadilahu! Wiesz, co rzekłeś?

Wypowiedziałeś krzywoprzysięstwo! Hańba ci! Niech Allah ci wyba-czy, ja nie mogę. Zawiodłeś wszelkie moje oczekiwania, obrzucając łajnem godność szarifa. A to zasługuje na surową karę.

Precz z moich oczu. Każę wykreślić iwoje imię z księgi szarifów. Precz! Wielki szarif był tak rozgorączkowany i może dlatego postąpił wobec Ghanięgo ostrzej, niż zamierzał. Odczuł to chyba jego towa-rzysz, który wszedł razem z nim, ale dotąd grał tylko rolę niemego świadka, ponieważ wstawił się za Ghanim.

- Bój się Boga, emirze, chcesz wykląć człowieka, który ci wiernie służył, z powodu innego, który-nawetjeśli to prawda, co o nim dziś mówiono -jest jednak tylko chrześcijaninem?

- Mylisz się. Nie odprawiłem Abadilaha z powodu tego chrześci-janina, lecz dlatego, że zbezczcił Allacha i jego proroka. Czy przy-pominasz sobie, co twierdził, oskarżając tych ludzi?

Powiedział, że na własne oczy widział, jak zamordowali Munedziego. I to kłamstwo przypieczętował przysięgą na Allacha, na brodę proroka. Pytam cię, czy słyszano, by jakikolwiek szarif popełnił coś tak haniebnego? A może jesteś zdania, że przysięga nie jest ważna, jeśli w grę wchodzi chrześcijanin? 'l-go zdania nie podzielam. I to nie z powodu chrześci-janina, lecz dlatego, że Abadilah zbezczcił Allacha, nie chcę go znać! Czy chcesz, effendi, złożyć skargę na niego z powodu jego zachowania wobec was i wobec Munedziego?

- Nie, emirze! -odparłem. -Ten człowiek nie mógł uczynić nam

140 szkody z wyjątkiem Persa. Tę też rezygnujemy z ukarania go. Jedyne, który mógłby żądać kary z powodu zamordowania askarów, Khutab Aga, przekazał ukaranie go już na pustyni wyższym mocom. Niech one go sądzą.

Widziałem, że wielki szarif był bardzo zadowolony z mojej odpowiedzi. Byłoby mu na pewno ogromnie przykro prowadzić proces przeciwko szarifowi. Mógł nie wszczynać sprawy przynajmniej od strony prawnej, nie było przecież nikogo, kto wniósłby skargę. Ale inaczej było z Ghanim. Zrozumiał, że jego rola tu i u wielkiego szarifa była skończona i to go tak rozwścieczyło, że zapomniał o wszelkim dystansie, jego prawdziwa natura wyszła teraz najaw. Dotąd był uosobieniem uniżoności, teraz mowa jego pełna była słów ordynarnych i obraźliwych.

- Pijany psie! Ukaranie mnie przekazaliście wyższej mocy? Jakiej to? Może ociekającej wonnymi maściami miłości, w którą nie wierzę i z której szydę? Trzymajcie się tej waszej miłości, jak ja się trzymam mojej nienawiści. Zobaczmy, kto wreszcie odniesie zwycięstwo, wy z waszą zwariowaną miłością, czy ja ze swoją nienawiścią. 'Pa bezczelność wyprowadziła mnie z równowagi.

- Przestań bluźnić! Już raz, na pustyni powiedziałem ci, że twoje szyderstwa wkrótce się skończą i zamienią w swoje przeciwieństwo. Wtedy mi nie wierzyłeś. Jakże szybko, jak okropnie szybko wszystko się spełniło. Dziś ostrzegam cię po raz wtóry. Nie wypędzaj miłości ze swego serca! Wypędzona może zamienić się w karę Bożą. W całym swoim życiu dwie rzeczy ukochałeś, swego syna i bogactwo. I nie tylko je kochałeś, wprost ubóstwiałeś, do całej reszty nie miałeś serca, tylko pogardę i nienawiść. Wtedy nadeszła kara Boża. Jedna świątynia pogańska została roztraskana, twój syn, twój bóg został ci odebrany. Niech śmierć twego syna będzie dla ciebie ostrzeżeniem. I nie wywołuj już kary Bożej. Bo jeśli upadnie twoja druga pogańska świątynia, którą wzniosłeś, to wkrótce i ty padniesz. Możesz być pewny, przysypie cię ona bezlitośnie swymi gruzami.

141

Gdyby mnie ktoś zapytał, czemu właśnie ja użyłem tych słów, nie mógłbym udzielić odpowiedzi. To było tak, jakby ktoś mi je włożył do ust. Nie wiedziałem wówczas, że zakończenie mojej mowy spełni się później dosłownie.

Jeśli naprawdę spodziewałem się, że moje słowa zrobią na Ghanim wrażenie, od razu przekonałem się o czymś wręcz przeciwnym. Aba-dilah wybuchł szyderczym śmiechem.

- Niech będzie przeklęta twoja broda! Pięknie przemówiłeś, prawie tak pięknie jak kaznodzieja. Szkoda tylko, że twoje słowa zmar-nowałeś na mnie. Przeciwnie, twoja miłość brzydzi mnie jeszcze bardziej. Niech Allah chroni mnie przed taką nędzą jak twoja miłość. Bo jeśli twoja niezrównana miłość nie odniesie zwycięstwa, ukaże stronę odwrotną i stanie się karą Bożą. Czemu więc nie nazwiesz jej od razu prawdziwym imieniem? Miłość, która karze, nie jest miłością, lecz nienawiścią. Daj mi spokój z twoją miłością. Wolę już swoją nienawiść. Od razu pokazuje swoje kły. I każdy od razu wie, czego się może spodziewać. Ale twoja obłudna miłość...

Nie mogę powtórzyć bluźnierstwa, które Ghani wypowiedział. Było to okropne! Na to nie znajdowałem odpowiedzi. Kiedy Ghani skończył, spojrział na mnie wyzywająco, jakby czekał na odpowiedź. Ponieważ odpowiedzi nie było, uniósł prawe ramię jako znak pogardy i po ukłonie, raczej szyderczym niż uniżonym, przed wielkim szarifem, z podniesioną głową dumnie zaczął kroczyć ku wyjściu. Stojący tam Haddedihi chętnie ustąpili mu drogi.

Z mieszanymi uczuciami spoglądałem w ślad za nim. Mimo wszystko było mi go żal. Co by mogło być z tego wykształconego człowieka, gdyby nauczył się hamować swoje namiętności! Jakże byłem wyrozumiały dla niego na pustyni, w nadziei, że go zmienię. Wszystko na próżno! Zmarnowane wysiłki! Musiałem zaliczyć go do straconych. A może jednak jakiś ratunek był możliwy? Co prawda nie wiedziałem jaki, ale może... może...

Podczas ostatniej sceny mekkańczycy zachowywali się dość spokojnie. Większość z nich uważała chyba Ghaniego za świętego i na pewno miażdżące wrażenie wywarło na nich to, że

zawalił się ołtarz, który mu wzniesli. Mogłem z tego być tylko zadowolony. Im większy wstyd i wściekłość mekkańczyków w stosunku do Ghaniego, tym łatwiejsze pogodzenie się z myślą, że chrześcijanin odważył się przekroczyć święte miejsce islamu. Jeśli ten ugodowy nastrój coraz bardziej tu zaczął panować, to na pewno wskutek słów, którymi wielki szarif zakoficzył rozprawę.

- Allah jest wielki! Pozwolił nam dziś przeżyć cudowne rzeczy, o których nikt z nas nawet nie śnił. Chrześcijanin odważył się nie tylko wkroczyć na święte terytorium, ale nawet wejść do Świętego Miasta. Rzecz niesłychana! Powinienem mieć mu to za złe i surowo go ukarać, powinienem, owszem, ale nie mogę. Bo temu chrześcijaninowi za-wdzięczamy, że zerwał maskę z oblicza niegodnego obłudnika, a poza tym okazał człowiekowi, którego my wszyscy kochamy i czcimy, tyle dobrodziejstw. Poza tym osobiście zawdzięczam temu Karze Ben Nemsiemu tak wiele! Dziwisz się, effendi? Nie masz pojęcia co? A przecież tobie zawdzięczam, że przed laty uwolniony zostałem z wielkiej troski. Wiesz, że znane mi są twoje przejścia z Beduinami Szeraratami. Ale czy wiesz także, że Szeraratowie przez wiele lat byli najgroźniejszymi rozbójnikami pustyni? Od czasu Sa'ada, rozbójni-ka, karawany pielgrzymów z Damaszku najbardziej ucierpiały ze strony Szeraratów. Imiona Abu el Ghadab i Abu ed Dem siały prze-rażenie na pustyni. Moje ramię sięga daleko, effendi, ale obszar Szeraratów jest za daleko położony i prawie całkowicie nie podlega mojej mocy. Wtedy nadszedłeś ty, effendi i Szeraratowie zostali do-szczętnie pobici i do dziś nie podźwignęli się z tej klęski. W ten sposób pozbyłem się wielkiego kłopotu. Czyż więc mógłbym ci uczynić coś złego? Nie, effendi, pozostań w Mekce, jak długo zechcesz! Biada temu, kto was obrazi! Uznałbym to za obelgę wobec mnie, samego księcia. Życzę sobie, abyście ten wyrok uogłosili wśród ludzi, aby także inni mieszkaficy się o tym dowiedzieli i go uznali. Niech będzie 143 błogosławiona wasza moc! Nie ma Boga nad Allacha, a Mahomet jest jego prorokiem.

- Nie ma Boga nad Allacha, a Mahomet jest jego prorokiem!-rozległa się odpowiedź z setek gardeł, potem mekkańczycy z głośnym hałasem ruszyli do wyjścia.

Tb, co dziś usłyszeli i ujrzeli, stanowiło treść rozmów na długo, ale wcale mi to nie było miłe, ponieważ skończył się teraz mój spokój. Z drugiej strony jednak miałem tyle zaufania do słów wielkiego szarifa, że spodziewałem się, iż będę teraz chroniony przed prawdziwymi przykrościami. I to zawdzięczałem częściowo dawnemu zdarzeniu. Często już w moim tak pełnym przygód życiu stwierdzałem, że sprawy, które wydawały mi się mało ważne lub zupełnie bez znaczenia, okazywały się dopiero po latach brzemiennie w skutki. 'Ihk było i tym razem. Wówczas, kiedy zetknąłem się z Szeraratami, nawet mi do głowy nie przyszło, że to spotkanie kiedyś okaże się przydatne. I oświadczenie emira; że dzięki temu drogi karawan znów stały się bezpieczne, pogodziło mnie połowicznie z ówczesną krwawą kapielą, której niestety nie mogłem zapobiec, a z powodu której robiłem sobie jeszcze długo wyrzuty, ponieważ musiałem uznać się za pośredniego sprawcę.

Emir zszedł ze stopni, podszedł do nas, by uścisnąć nam dłonie na pożegnanie. 'I~raz uznałem, że jest właściwy moment, by przekazać mu wiadomość. Zapytałem go, czy mógłby mi poświęcić kwadrans, chodzi o ściśle poufną sprawę. Emir spojrział na mnie ze zdziwieniem, potem pochylił głowę potakująco. Przedtem jednak żądałem o to, by Hanneh, Munedzi i Pers z odpowiednią asystą wrócili do domu. Haddedihi mieli pod rozkazem Omara Ben Sadeka czekać na pałacowym podwórzu na nasz powrót. Potem wraz z Halefem i jego synem, który zasłużył na pochwałę, poszliśmy za szarifem do jego' komnat. Przyniesiono fajki i cudownie pachnącą kawę, a potem przekonałem się, że ciaprawdę jesteśmy sami i nikt nas nie podsłuchu-v je. Te środki zapobiegawcze były konieczne, ponieważ jeden jedyny' 144 niepożądany świadek mógł wszystko zepsuć. Kiedy odłożyliśmy fajki i wstaliśmy, okazało się, że minął nie kwadrans, lecz cała godzina, a kiedy wychodziliśmy z komnaty, zegar wskazywał północ. Wielki szarif odprowadził nas osobiście aż na podwórze. Oblicze jego było blade, lecz dokoła ust zarysowała się żelazna decyzja. Uprzejmie, prawie serdecznie pożegnał się z nami, każdemu z nas trzech uścisnął dłoń, potem skinąwszy głową życzliwie w stronę Had-dedihiów, wrócił do swoich komnat.

10 - W podziemiach Mekki

W tajemnym przejściu

Wsiedliśmy na nasze zwierzęta, które tymczasem przyprowadził służący wielkiego szarifa, i ruszyliśmy. Kiedy powoli jechaliśmy do domu wyludnionymi ulicami, Halef pławił się w rozkoszy i w przesadnych słowach wyrażał swoją radość.

- Sidi, dzisiejszy dzień zasłużył sobie na to, by zostać zapisany złotymi literami w księdze słynnych czynów Haddedińców. Zauważyłeś, jak świetnie trzymali się moi wojownicy? I jak wspaniale udało się zaskoczenie! I jak to wszystko wzbudziło w szarifie ogromny szacunek dla nas? Inszallah! Jeśli Bóg zechce, to tym wielu kartkom śpiewającym chwałę i sławę, znajdującym się w twojej księdze, dodamy najwspanialsze, na których kolorem nieprzemijalności zapisany będzie sławny czyn ocalenia wielkiego szarifa. Jakie piękne jest życie! Sidi, z dnia na dzień coraz bardziej się cieszę, że jestem na świecie i mogę być szejkiem tak odważnych ludzi, pomijając Hanneh, która jest wciąż powracającą zorzą na niebie mojego codziennego szczęścia. Kara Ben Halef także cieszył się z dzisiejszego zwycięstwa, ale jego radość była cichsza. Kiedy dotarliśmy do domu, okazało się, że Har-neh już udała się na spoczynek. Munedzi i Pers czuwali jeszcze, 146 niezwykle wydarzeń dzisiejszego dnia nie pozwoliły im zasnąć. Gdy weszliśmy, obaj zerwali się i promieniejąc z radości podbiegli do nas.
- O, effendi - rzekł starzec - cóż to był za dzień! Jak bardzo drżałem o ciebie, kiedy dowiedziałem się, że życie twoje jest w niebezpieczeństwie i jaki byłem szczęśliwy, kiedy stwierdziłem, że moje obawy były przesadzone.

Pers nic nie powiedział, ale oczy mu promieniały.

- 'Twoje obawy wcale nie były przesadzone. Wątpię, czy byłbym jeszcze żywy, gdybyś nie wkroczył w chwili największego niebezpieczeństwa. 'Pak więc zawdzięczam ci życie.
- Nie mów o wdzięczności, effendi! Sprawiasz mi tym ból. Jestem tak bardzo twoim dłużnikiem, że nigdy nie potrafię spłacić mego długu wdzięczności. A komu zawdzięczasz, że zdażyłem dziś na czas? Tylko sobie samemu. Gdybyś nie uratował mnie dwukrotnie na pułstyni przed pewną śmiercią, nie stałbym dziś tu i nie mógłbym ci pomóc.
- No dobrze, nie sprzecajmy się o słowa, lecz zgódźmy się co do jednego, ja uratowałem ciebie, a ty mnie. Ale, co miałeś na myśli mówiąc, że teraz wszystko jest dobrze?
- Nie możesz odgadnąć? Czy muszę ci to wyjaśniać? O, effendi, uszczęśliwiłeś mnie i wlałeś mi do serca nadzieję, kiedy byłem prawie zrozpaczony, a twoje słowa przyniosły mi jasność co do mego dotychczasowego życia. Zrozumiałem, że droga mojego życia była chybiona z mojej własnej winy i, że muszę wrócić do wiary mego dzieciństwa, wiary, od której się odwróciłem pełen grzesznej pychy. 'Pa świadomość unieszczęśliwiła mnie, ponieważ sądziłem, że powrót od Mahometa do Chrystusa sprawi ból tobie, memu dobroczyńcy, którego miałem za żarliwego muzułmanina. Nie, nie sądziłem, że będziesz mi to miał za złe, na pewno zrozumiałbyś moje powody. No i dziś usłyszałem twoje wyznanie, że jesteś chrześcijaninem. Przyszło to jak objawienie, jak wyzwolenie z ciężkiego koszmaru. Wszystkie wątpliwości, ostatnie wahania pierzchły jak chmury przed zwycięską siłą słońca. Effendi,

147 jestem chrześcijaninem, chrześcijaninem jak i ty, i Bogu dzięki, lepszym, niż byłem przedtem. I właśnie tobie zawdzięczam to szczęście. Gdybym nie spotkał ciebie na mojej drodze życia, pozostałbym tym, czym byłem, biednym oszukany ślepcem, igraszką w rękę pozbawionego sumienia oszusta, a w dodatku zarozumiałym głupcem, który się ośmielał grać rolę przywódcy. Ślepy przywódca ślepych! Jakże dziękuję Bogu, że uwolnił mnie od tej okropnej zarozumiałości i to za twoim pośrednictwem...

Przy tych słowach ujął moje ręce. Byłem tak rad, jak tylko można być wówczas, kiedy sumienie powiada nam, że spełniliśmy dobry uczynek.

- Munedzi, albo pozwól, że będę ci mówił drogi hrabio Werniłowie - rzekłem - to wygląda na zarozumiałstwo, jeśli o dwadzieścia lat młodszy człowiek zwraca się do starca ze słowami, które brzmią jak pouczenie. Dlatego pozwól, że się streszczę. To prawda, że dane mi było wskazać ci

kierunek wyjścia z piekła. Ale, że naprawdę tą drogą poszedłeś, to jest twój czyn i twoja zasługa. I tę twoją zasługę Pan Bóg w swej dobroci zechciał od razu ci wynagrodzić. Kara Ben Halefie, przynieś paczuszkę, którą ci dziś rano przekazałem. Kara odszedł i wrócił po kilku minutach z paczką.

- Przyrzekłem ci wówczas na pustyni, że nawet życie poświęcę za to, by dowieść ci, że Ghani po łajdacku się z tobą obszedł. Słowa dotrzymałem. Popatrz, co znalazłem w domu Ghaniego! Wziąłem od Kary papiery i dałem je Rosjaninowi. 'I~n z wahaniem wyciągnął rękę, prawie tak, jakby się obawiał tego odkrycia. Pierwsze jego spojrzenie padło na końcową notatkę banku w Teheranie.

-Maszallah! Pokwitowanie banku, które ukradziono mi razem z pieniędzmi. Skąd to masz, effendi? I to... to... przecież to... przecież to mój majątek, cały mój majątek co do ostatniego grosza! Boże Wszechnmogący! Czy powinienem, czy mogę w to uwierzyć? 'I~dk był podziwiony, że osłabł i musiał usiąść. Drżącymi palcami brał jedną kartkę po drugiej i kładł przed sobą na podłodze.

148

Na ostatku ukazały się wycinki z gazet.

- Effendi, co to jest? Czy te papiery także mnie dotyczą? Nigdy ich nie widziałem.

- Wierzę ci - odparłem z uśmiechem. - Ghani nie był tak głupi, by ci je pokazywać.'I~ wszystkie wycinki z gazet zawierają wiadomości o twoim tajemniczym zniknięciu z Teheranu i wezwania szachinsza-cha, byś wrócił. Zarazem są one nieodpartym dowodem na to, że cię Abadilah zwabił w swoje sidła haniebnym kłamstwem. Rosjanin patrzył na mnie przez chwilę nieruchomo z szeroko otwartymi oczami, jak gdyby nie rozumiał moich słów. Cała krew odpłynęła mu z twarzy.

- Co... powiadasz? Wezwanie... szachinszacha... do mnie? Więc on rzeczywiście... rzeczywiście... nie wyrzekł się mnie? Ze zdenerwowania wypowiadał te słowa z przerwami. Potem naraz weszło w niego życie. Policzki zaróżowiły się, a oczy błyszczały jak w gorączce.

- Muszę to przeczytać... natychmiast przeczytać! Effendi, proszę cię, nie mów, że to może zaszkodzić moim oczom, tylko ten jeden raz. Potem chętnie będę ci znowu posłuszny. Ale to, co ma mi do powie-dzenia mój pan, mój ukochany pan, to muszę przeczytać własnymi oczami. Precz też z okularami. Tylko by mi przeszkadzały i w końcu pomyślałbym, że mnie zwiodły i, że to wszystko nie jest prawdą... Ostatnie słowa przeszły w niezrozumiałą mamrotaninę, a potem... byliśmy dla Rosjanina jak nieobecni. Zapominając o nas i o wszystkim dookoła zagłębił się w pierwszym numerze gazety. Dałem reszcie obecnych znak i wyszliśmy po cichu. Czytający tego nie zauważył.

Poszliśmy do mojego pokoju. Tam zapaliliśmy światło, nabiłem fajki, a Halef przyrządził kawę. Potem siedzieliśmy razem i rozmawia-liśmy... Rozurnie się samo przez się, że Halef przewodził i sam prze-ważnie zabierał głos. Pers słuchał w milczeniu. Ale iia jega twarzy widać było odblask spokojnej radości, głębokiego szczę-cia.

149

Przeczuwałem zresztą, że Werniłow wkrótce do nas dołączy, byśmy byli świadkami jego szczęścia. I rzeczywiście. Halef właśnie zaczął entuzjastycznie opisywać zachwyt, jaki odczuł, gdy jego Haddediho-wie szturmowali salę u wielkiego szarifa, kiedy zapukano i wszedł Munedzi. Czy to naprawdę był nasz stary, ułomny przyjaciel? Nie, zdawało się, że to nie Munedzi stał przed nami, a ktoś zupełnie inny, z promiennym obliczem. Wyglądał, jakby odmłodził o wiele lat. Już nie nosił okularów, a głos jego brzmiał o wielejaśniej, kiedy teraz, jeszcze w progu, zawołał do nas.

- O Allachu, jaki ze mnie niewychowany człowiek! Mam nadzieję, że mi wybaczycie, iż nie zwracałem na was uwagi. Ale nie mogłem inaczej. O, effendi, dzisiejszy dzieńjest najszczęśliwszym moim życiu. Nie potrafię wyrazić radości, jaką odczuwam. 'Pdk szczęśliwy jak dziś nie czułem się jeszcze nigdy w całym moim życiu. O nieba, o radości! Czy mieszkańcy rajy doznają większej rozkoszy? Prawie nie mogę w to uwierzyć. A jednak... jeśli Allah swym dzieciom już tu, na ziemi, daje taką radość, jaka też musi czekać ich po tamtej stronie! A potem

zaczęło się opowiadanie. Munedzi, a właściwie hrabia Werniłow, chciał oczywiście przede wszystkim wiedzieć, w jaki sposób znalazłem się w posiadaniu papierów. Jakże się zdumiał, kiedy mu powiedziałem, że to on sam, przez swoją tajemniczą wskazówkę na pustyni, o czym nawet nie miał pojęcia, dał mi klucz do ręki. Jego opowieść o domu modlitwy, który Ghani kazał sobie wybudować w ogrodzie, i moje podejrzenie, które ten fakt wzbudził, puściło całą sprawę w ruch. Reszta wynikła sama z siebie. Przebieg wydarzeń rysował się przed nami wyraźnie. Tym bardziej zagadkowe było jednak źródło, z którego wszystko się rozwinęło. By i pod tym względem mieć całkowitą pewność, zapytałem hrabiego.

- Powiedz mi, czy nigdy nie byłeś w domu modlitwy ?
- Nie, nigdy. Mówiłem ci już, że Ghani zabronił surowo wszystkim mieszkańcom domu wchodzić do tego przybytku.
- I Ghani nigdy ci nie opowiadał, jak tam jest?
- Nie. Był bardzo małomówny i z każdym, także ze mną, rozmawiał krótko i zwięźle, i tylko o tym, co konieczne.
- A czy poza tym... mam na myśli, zanim straciłeś wzrok... nigdy nie widziałeś w domu Ghaniego niebieskiego dywanu ze złotymi sentencjami z Koranu, który by zwrócił twoją uwagę?
- Nie. Wiem, do czego zmierzasz swymi pytaniami. Sądzisz, że kiedyś coś zaobserwowałem, o czym później zapomniałem i potem, na pustyni mówiłem o tym z podświadomości. Ale zapewniam cię, nigdy czegoś takiego nie zaobserwowałem, a mam bardzo dobrą pamięć.

Na tym stanęło i musiałem się tym zadowolić, choć nie posunąłem się ani o krok w rozwiązaniu tej zagadki. Inni w ogóle nie zadawali sobie trudu śledzenia tej sprawy. Byli ludźmi Wschodu i jako tacy z większym zrozumieniem odnosili się do rzeczy nadprzyrodzonych niż trzeźwy, rzeczowy Europejczyk, który woli ściągnąć na siłę setkę naturalnych wyjaśnień, by uniknąć konieczności określenia jakiegoś zdarzenia mianem nadprzyrodzonego. Ale dlaczego? Dlaczego ta obawa przed nadprzyrodzonym? Dlaczego człowiek tak broni się przed akceptacją spraw, które nie mieszczą się w ramach jego racjonalnego umysłu? Czyż nie żyje wśród samych zagadek i dziwów, nie mogąc zaprzeczyć, a nawet nie chcąc zaprzeczyć, ponieważ się do nich przyzwyczaił, choć nie może ich wyjaśnić? Nawet człowiek uczony może tylko poznać siły i zjawiska, ale nie ich istotę, ta jest przed nim zamknięta, jest tajemnicą. Tym mniej powinien być zdziwiony, kiedy czasem zdarzy się coś, co całkowicie wypada z ram codziennych doświadczeń i na co nie da się znaleźć naturalnego wytłumaczenia. Niechże wreszcie zaprzestanie szukania takiego wyjaśnienia i zadowolony się tym, że czuwa nad nim boska Opatrzność, która zna nawet liczbę naszych włosów na głowie. I nie powinien wstydić się tej uszczęśliwiającej wiary.

W ciągu rozmowy zapytałem Rosjanina, co zamierza teraz robić.

Spojrzał na mnie trochę zdziwiony i rzekł.

151

- Jak możesz o to pytać, effendi? Udam się do 'Iheranu, do szachinszacha. O Allachu! Ile też straciłem! Pomyśl tylko, dziesięć lat życia! Ile w tym długim czasie mogłem zrobić, ile prac wykonać! Dreszcze mnie przechodzą na myśl o tym, czego nie dokonałem! Jak sądzisz, effendi, czy szachinszach będzie mnie uważał za niezwykłego?
- Nie mogę dać ci na to pewnej odpowiedzi. Możliwe, a nawet prawdopodobne jest, że uznał cię za martwego, ale też możliwe jest coś wręcz przeciwnego. Pomyśl tylko, ilu Persów przybywa do Mekki! Bardzo możliwe, że cię ktoś widział, a ponieważ byłeś w 'Ii;heranie znaną osobistością, której zniknięcie wywołało wielkie poruszenie, może o twoim pobycie tutaj zawiadomił twego władcę.
- I co... co wtedy zrobił szach?
- Nic. Musiał sobie powiedzieć, że twoje zniknięcie było celowe i że kiedy przeczytałeś jego wezwanie i nie wróciłeś, nie chcesz go już znać.

- Effendi!- starzec spojrział na mnie z przerażeniem: Chyba mój władca nie będzie mnie uważał za takiego niewdzięcznika? A jednak, jak sobie pomyślę, muszę przyznać ci rację. Szach mógł tak albo podobnie o mnie pomyśleć... Effendi, kiedy odjeżdżamy? Poju-trze, jutro?

Roześmiałem się.

-‘1’dk prędko, jak ci się zdaje, stąd nie odjedziemy. Zaszły sprawy, które nas co najmniej na kilka dni zatrzymają w Mekce. Teraz opowiedziałem jemu i Persowi o tajemnym przejściu i planie Ghaniego, ale tylko tyle, ile uważałem za stosowne, a potem był już najwyższy czas, by udać się na spoczynek, jeśli ranek nie miał nas zaskoczyć przy rozmowie. Ostatnim wychodzącym był Halef. Stał już w drzwiach, ale potem zawrócił jeszcze raz.

- Sidi, mogę ci jeszcze coś powiedzieć?

-‘Tak, jeśli nie potrwa to długo! Chciałbym się położyć.

- Niech Bóg ci dopomoże! Jak możesz jeszcze myśleć o śnie!

152

Co do mnie, wiem na pewno, że dziś nie zmruję oka, przeżycia wczorajszego dnia kotłują mi się w głowie. Ale nie wyśmiejesz mnie, jeśli powiem coś głupiego?

- Ani mi to w głowie! Czy znasz mnie od tej strony?

- Nie, tak tylko zapytałem - rzekł usprawiedliwiając się. - Wiesz, sidi, wczoraj kilkakrotnie przypomniałem sobie, co Ben Nur na widok Mekki powiedział na temat zaświatów. Powiedział, że jest niemożliwe, by dusza, która jak garnek z truczną napelniona jest nienawiścią i nieprzejednaniem, mogła się po śmierci zmienić, a z drugiej strony nie ma powodu do przypuszczeń, że miłość, najcudniejsza siła duszy, kończy się po śmierci. Czy dobrze to zapaWiętałem, sidi?

-‘1’dk, mów dalej.

- Wtedy nie bardzo to zrozumiałem, ale teraz, kiedy porównałem tego łotra Ghaniego, na którym kiedyś nawet diabeł sobie zęby poła-mie, z Persem lub Munedżim, wydaje mi się to zrozumiałe. O ~llachu! Co za różnica! Wydaje mi się, jakby Ghani stał po jednej stronie, a Rosjanin po drugiej stronie przepaści, która jest tak szeroka, że żaden most nie może być nad nią przerzucony, nawet gdyby był tak długi, że sięgałby od Ziemi do Księżyca. No i pomyślałem sobie, jeśli to tak wygląda, że zaświaty są tylko dalszym ciągiem tego świata, tyle że w nieskończenie wyższym stopniu... to... to...

- No i co wtedy- popędzałem go.

- ‘Ib właściwie błędem byłoby mówić, że dopiero po śmierci nastaje wieczność, przecież już teraz żyjemy otoczeni wiecznością. Tylko tego nie spostrzegamy, tak jak motyl nie ma pojęcia o słońcu i go nie widzi, póki jest w kokonie i dopiero ze zdziwieniem mruga oczami, kiedy rozpadnie się otoczka, i jego skrzydła po raz pierwszy błysną w świetle. Sidi, czy mam rację?

- Drogi Halefie, to co powiedziałeś, wcale nie jest złe i mogę ci tylko oświadczyć, że tę samą myśl przed tobą wypowiedział pewien wielki chrześcijański uczyony, tylko nie tak prosto, jak ty, drogi

153

Halefie. Gdybym tego jeszcze nie wiedział, tobyś mnie teraz o tym przekonał. Twoje porównanie z kokonem otworzyłyby mi oczy, a twój mrużący oczy motyl oszołomiłby mnie.

- Widzisz, jednak śmiejesz się ze mnie. Co mogę poradzić, że poza mną istnieją jeszcze inni wielcy ludzie? Ale widzę, że z człowiekiem, który chce się przespać, nic się nie da zrobić, podobny jest do zwiniętego jeża, od którego wystawionych nieprzyjaźnie kolców nie odbije się nawet pieśń słowika. ‘Ib też idę, niech noc twoja będzie błogosławiona. Ach, Ghani, życzę... życzę... nie, nie życzę mu piekła, choć zasłużył na nie stokrotnie, ale za to niech Allah uszczęśliwi jego noc setkami tysięcy pcheł.

Z tym pobożnym życzeniem odszedł, a ja wyciągnąłem się w po-ścieli, by choć przez kilka godzin zażyć snu. Ale nie udało mi się. Właśnie miałem wpaść w objęcia Morfeusza, gdy spłoszyło mnie głośnie pukanie do bramy. Co to było? Kto przychodził o tak późnej porze i czego chciał? Usiadłem i nasłuchiwałem. Bramę otwarto i doleciały do mnie ściszone głosy. Potem usłyszałem kroki w

hallu, zatrzymały się przed moimi drzwiami, ciche, niemal nieśmiało puka-nie czubkami palców wskazywało, że późna wizyta dotyczy właśnie mnie. Wstałem i otworzyłem drzwi. Przede mną stał Haddediħn, który trzymał straż, w ręku miał glinianą lampę. U jego boku, nie wierząc własnym oczom, ujrzałem 'Auna er Rafiqā, wielkiego szarifa we własnej osobie, ale w zwykłym ubraniu. Cofnąłem się ze zdziwienia o krok, pomyślałem, że zdarzyło się coś bardzo ważnego, jeśli emir przyszedł o tak późnej porze. Pomyślałem też, że to ma coś wspólnego z Ghanim, i spytałem zatroskany.

- Emirze, niech B6g ma cię w swojej opiece. Co się stało?

Uśmiech zmieszania przebiegł po twarzy emira.

- Effendi, wybacz, że zakłóciłem twój sen. Nic się nie stało. Po prostu nie mogłem zasnąć z podniecenia, z tego wczorajszego prze-życia, więc pomyślałem sobie... pomyślałem...

Emir urwał, jak gdyby nie bardzo chciał mówić dalej. Bogu dzięki, 154 więc nie zdarzyło się nic poważnego! Spadł mi kamień z serca. A teraz też uświadomiłem sobie, że mój dostojny gość wciąż jeszcze stoi w drzwiach.

- Poproś tu szejka i przygotuj tytofi i kawę- rozkazałem Haddediħnowi.

Potem szwtko zapaliłem światło i urządziłem wygodne siedzenie dla wielkiego szarifa. T~n był wyraźnie zadowolony, że odesłałem Haddediħna, gdyż nie zwlekał dłużej ze swoją sprawą.

- Effendi, mówiłeś wczoraj, że chcesz dzisiaj pójść do tajemnego przejścia, by zobaczyć, dokąd prowadzi górne wyjście. Więc pomyśla-łem... pomyślałem, że mógłbyś teraz to zrobić i zabrać mnie ze sobą. No, wreszcie wielki szarif to wykrztusił i patrzył na mnie wyczeku-jąco. Niewiele brakowało, a byłbym się głośno roześmiał. A więc emir miał w sobie romantyczną żyłkę i wychodził szukać przygód jak kiedyś Harun ar - Raszid. Nie pomyślał, że było w tym dużo bezwzględności wobec mnie. Nie mógł zasnąć, toteż ze swego punktu widzenia władcy uznał za zrozumiałe, że i ktoś inny nie może spać. Choć nie mogłem mu brać tego za złe, ale było mi to nie na rękę. Plan, jaki z nim wczoraj omówiłem, wymagał dokładnego zbadania podziemnego przejścia, ale nie od razu i nie o tej porze. Chciałem z tym poczekać, aż Ghani będzie poza domem, aby być pewnym, że mnie nie zaskoczy. A jeśli teraz on także spędza bezseną noc i przyszło mu na myśl pójść do swego skarbcza i tam nas zaskoczy? Wtedy cały nasz piękny plan na nic się zda. Ghani znajdzie środki, by zawiadomić swego zięcia, i nie ujmiemy ich. Nic nie da się Ghaniemu udowodnić, a czyn, który wskutek naszej interwencji nie doszedł do skutku, będzie mógłwyko-nać później, o dogodniejszym czasie.

Wejście Halefa z synem uwolniło mnie od udzielenia natychmia-stowej odpowiedzi. Na Wschodzie, jak wiadomo, śpi się w odzieży, toteż obaj nie musieli zbytnio się fatygować, by w odpowiednim stroju ukazać się przed obliczem emira. Zapalono fajki, a kiedy kawa paro-wała w filiżankach, wielki szarif powtórzył swoją prośbę.

155

Jeśli sądziłem, że znajdę poparcie Halefa, to gruntownie się omyliłem. Halef podjął tę myśl z entuzjazmem. Pochlebiali jego próżności móc wprowadzić dostojnego gościa w tajemnice podziemnej Mekki. Pozwoliłem sobie nieśmiało wymienić pewne wątpli-wości, ale na próżno, od razu mnie przegłosowano. Wielki szarif rzekł z wyrzutem.

- Effendi, chyba mnie nie posądzasz, że chcę grać rolę beczyn-nego widza, kiedy chodzi o moje bezpieczeństwo. Czy mam pozosta-wić całą zasługę tobie i Haddediħnom, sam pozostając biernym? Czy mają potem mówić o 'Aunie er Rafiqu, że był zbyt tchórzliwy, by przyłoży~ choćby palec do dzieła swego ocalenia, lecz kazał innym, w dodatku zupełnie obcym osobom, pracować dla siebie? Nie, nie mogę wziąć na siebie takiego zarzutu. I tak dostatecznie zawstydzający dla władcy Mekki jest fakt, że o wszystkim, co się działo, nie miał pojęcia, podczas gdy ty, chrześcijanin, ledwie postawiłeś stopę w Mekce, przej-rzałeś całą sieć haniebnej zdrady i podstępu, dowiedziałeś się o spra-wach, o których nikt w Mekce nic nie wiedział. A więc bądź tak dobry i weź mnie ze sobą.

Co miałem robić? Ostatecznie to nie moje stanowisko i życie było zagrożone, a jeśli sprawa by się powiodła, to przynajmniej nie poniósłbym za to odpowiedzialności. 'Ibteż zrobiłem dobrą minę do złej gry i zgodziłem się. Postanowiłem, że nie tylko Halef, ale także i Kara z nami pójdzie, by znów objąć posterunek pod domem Ghaniego. Poza tym mieliśmy tym razem zabrać ze sobą potrzebne pochodnie, aby Ghani, widząc ubytek w swoich zapasach, nie zaczął czegoś podejrzewać.

Niewielkie przygotowania zostały szybko podjęte i ruszyliśmy w drogę. Księżyc rzucał swoje srebrne światło na szczyt Abu Kubes, a na dziedzińcu świątyni ostro wyodrębnił się duży czarny masyw Kaaby, która swą górną częścią wyrastała jak widmo ponad meczet. Ulice były puste, poza nielicznymi pobożnymi, którzy waleśali się w wejściach do meczetu. Aby nas nie zauważono, musieliśmy ukrywać się w cieniu domów. Gdyby bowiem rozpoznano wielkiego szarifa, wzbudziłoby to sensację, a to byłoby nam bardzo nie na rękę. Kiedy mineliśmy meczet, przeszliśmy kilka ciemnych uliczek i wkrótce stanęliśmy przed murem ogrodu, otaczającego posiadłość Ghaniego, w tym samym miejscu co wczoraj rano.

Dotąd wszystko przebiegało dobrze. Byłem ciekaw, jak zachowa się emir podczas przesadzania muru. Tymczasem był on pełen zapału i wcale dobrze dał sobie radę. Po dwu minutach staliśmy w ogrodzie. Tym razem wskazana była największa ostrożność. W cieniu drzew przeszliśmy się do domu modlitwy. W jego pobliżu nasi towarzysze musieli pozostać, ja zaś poszedłem do zewnętrznego muru budynku. Przede wszystkim skupiłem uwagę na kopule. 'Im na górze było ciemno. To mnie przekonało, że wewnątrz domku nie pali się światło, inaczej odbłask byłby widoczny przez umieszczone u góry otwory. Potem ostrożnie nacisnąłem klamkę, drzwi były zamknięte, a więc wewnątrz nie było nikogo. Dla większej pewności zerknąłem na tyły domu, ale nigdzie nie dostrzegłem światła. Jeśli Ghani jeszcze nie spał, to w każdym razie znajdował się w pokoju położonym z drugiej strony.

'Im poszedłem do towarzyszy, czekających na mnie z niecierpliwością i udzieliłem im po cichu instrukcji. Kara Ben Halef poszedł na swój posterunek, a my trzej przeszliśmy się do domku, gdzie od razu zająłem się klamką, w miarę możliwości unikając wszelkiego szmeru. Było bowiem możliwe, że Ghani nie znajdował się ani w domu, ani w altanie, lecz w podziemnym przejściu, tak, że jakiś zdradziecki dźwięk mógłby go przywołać. Udało mi się wkrótce otworzyć zamek, weszliśmy i natychmiast zamknęliśmy za sobą drzwi. Halef zapalił pochodnię i w jej świetle spostrzegłem, że moje obawy były bezpodstawne. Dywany leżały na miejscu, wszystko było tak, jak wczoraj pozostawiliśmy. Spojrzenie na pochodnię w niszy przekonało mnie, że od naszej bytności Ghani tu nie był. Wczoraj rano, przeliczyłem je, były wszystkie i to nie ruszane.

Teraz odsunąłem niebieski dywan, odsłaniając marmurową podłogę, i z pomocą Halefa uniosłem płytę zamykającą wejście do korytarza. Wielki szarif śledził każdy nasz ruch z pełną napięciem uwagą. Potem, trzymając w prawej ręce zapaloną pochodnię, zstąpiłem na pierwszy stopień drabiny prowadzącej na dół i skinąłem emirowi, by poszedł za mną. Halef szedł na końcu. Na dole poczekałem na nich, po czym skierowałem się w stronę wnętrza góry. Wielki szarif szedł tuż za mną, przy czym Halef opowiadał mu dokładnie, jak udało nam się odkryć to przejście. Przy tym oczywiście musiał napomknąć o niebieskim dywanie do modlitwy i o papierach, które w nim znaleźliśmy. Wczoraj w nocy nic o tym nie wspominałem, kiedy odkrywałem przed wielkim szarifem spiszek Ghaniego, ponieważ nie należało to bezpośrednio do sprawy. Tym większe zdziwienie okazał teraz emir. Kiedy doszliśmy do miejsca, gdzie przejście skręcało w prawo, a ja po krótkiej uwadze miałem właśnie pójść w głównym kierunku, zatrzymał mnie za ramię i zawołał z zarumienioną z podniecenia twarzą.

- Zatrzymaj się, effendi! Poczekaj tylko chwilę. Muszę ci coś powiedzieć, ale tak, by nikt poza tobą i szejkiem Haddedińów tego nie usłyszał. Effendi, wstyd mi! 'Idk, wstyd mi przed wami, a zwłaszcza przed tobą! Ty, chrześcijanin, zupełnie obcy człowiek, zachowujesz się tak swobodnie, jakbyś znajdował się we własnym domu, a ja, który przede wszystkim powinienem o tym wiedzieć, jestem nieświadomy jak uczeń. I to przejście zostało zbudowane przez jednego z moich przodków, abyw potrzebie i niebezpieczeństwie mógł się tu schronić, prawda? Może

kosztowało go to wiele trudu i pieniędzy, a przecież nie myślał tylko o sobie, lecz także o swoich dzieciach i wnukach. Ściany z granitu obliczone na wieczność świadczą o tym wyraźnie. A co z tym dziedzictwem, z tym niesłychanie cennym spadkiem, od którego w pewnych okolicznościach mogło zależeć ich życie, zdołały uczynić wnuki i prawnuki? Nic, absolutnie nic! Po prostu o tym zapomnieli! Cóż więc dziwnego, że broń, która w rękach następców mogła służyć za wspaniałą środek obrony, przeszła w inne ręce i wreszcie skierowana została przez łajdaka przeciwko prawnukowi tego, który swym następcom, a w ich osobach Świętemu Miastu chciał okazać dobrodziejstwo. I oto przybyłeś ty, obcy, chrześcijanin i jako taki wróg islamu, który tu i teraz reprezentowany jest przez moją osobę, i otwierasz mi oczy. Ukazałeś mi ogromne niebezpieczeństwo, które groziło nie tylko mnie, lecz życiu wielu osób. I ocalając mnie, okazałeś dobrodziejstwo wielu innym, ba, całemu miastu, dobrodziejstwo, o którego wielkości nawet ty sam nie masz pojęcia. Nawet nie umiem sobie wyobrazić, jaka klęska spadłaby na nas, gdyby temu potworowi udało się zająć moje miejsce na tronie świętych szarifów. A ty, effendi, zapobiegłeś i tej klęsce, unieszkodliwiając tego groźnego upióra, tego wyrodka piekielnego. Co z ciebie za człowiek! Jesteś sztukmistrzem, czarodziejem?!

- Nie, nie jestem żadnym czarodziejem - zaśmiałem się. - Jestem zwykłym człowiekiem, ani lepszym ani gorszym od tysięcy innych.
- Ale wiesz wszystko, wszystko!
- Nie mów tak, emirze! Tylko jeden wie wszystko. Ale tutaj nie jestem w lepszej sytuacji niż każdy inny. Mogę wiedzieć tylko tyle, ile usłyszę od innych lub czego się dowiem. Nie czas teraz i okazja, by opowiadać o wszystkim, co się z tym wiąże, pozostawię to na później. I Ale kiedy dowiesz się wszystkiego, emirze, zrozumiesz, że w całej tej sprawie najmniej mogłem decydować. Ale teraz chodźmy dalej. Nie mamy czasu do stracenia. Wiesz przecież, że nie ufam Ghaniemu! Ruszyliśmy w dalszą drogę i minęliśmy znane boczne wejście, wchodząc dalej po schodach. Od tego miejsca, gdzie się zatrzymaliśmy, naliczyłem co najmniej pięćdziesiąt stopni, wtedy wreszcie przejście się skoficzyło. To znaczy, stopnie prowadziły co prawda dalej, by wreszcie przejść w sufit, ale ja sam nie mogłem posunąć się dalej, jeśli chciałem uniknąć niezbyt łagodnego zetknięcia mojej głowy z sufitem. A więc tam należało szukać wyjścia? Ale jak? Oświetliłem pochodnią 159 górę i nie musiałem długo szukać. I Lż nade mną w bloku granitu, który jak zapadnia zamykał przejście, umieszczone było ciężkie, żelazne, teraz co prawda zardzewiałe koło. Podczas moich podróży widziałem rozmaite zamknięcia, z których żadne nie stawiało mi długo oporu, tak więc i teraz spodziewałem się, że uda mi się rozwiązać tajemnicę. Z całej siły pociągnąłem za koło, nic z tego! Próbowałem przekręcić je, też nic. Kamień się nie poruszył. Ale może zbyt mało siły użyłem. Więc ramionami wparłem się w górę, hurra! poruszyło się. Kamień się uniosł i utworzył wąską szczelinę, przez którą spadł na mnie tuman kurzu. Powoli posuwałem się wyżej, w ten sposób szczelina poszerzała się coraz bardziej, aż ku mojemu zdumieniu ciężar nagle sam z siebie znikł z moich ramion. Było to tak, jakby gigantyczna pięść chwyciła kamień i podniosła do góry. Z boku usłyszałem tłumiony dźwięk, jakby coś ciężko upadło i nad sobą ujrzałem ziejący ciemny otwór o metrowym przekroju. Halef, który także usłyszał ten dźwięk, ale ze swego miejsca nie mógł dojrzeć, co się stało, spytał zatroskany.
- Sidi, co się dzieje? Czy coś się stało?
- Nic, bądź spokojny. Właśnie otworzyłem drzwi.
- Otworzyłeś drzwi? Dzięki ci, Allachu, że wreszcie wychodzimy z tego kreciego korytarza. Ale teraz szybko do góry i na zewnątrz! Podczas tych słów już nie byłem w przejściu, lecz w dużym, wysokim, całkowicie pustym pomieszczeniu. Z tyłu prowadziły wąskie, strome schody, skąd drzwi wychodziły na zewnątrz. Okien we właściwym sensie nie było, lecz tylko kilka małych wywietrzników, umieszczonych u góry tuż pod sufitem. Co prawda nie od razu to zauważyłem, ponieważ światło pochodni tak daleko nie sięgało. Przede wszystkim poświęciłem

uwagę zamknięciu otworu, z którego właśnie wyszli emir i Halef. Krótkie spojrzenie uświadomiło mi, że chodziło o proste, ale jakże zmyślne urządzenie.

Halef badawczo oglądał podłogę i poiem zapytał zaskoczony.

- Sidi, gdzie się podział kamieŃ zamykający przejście? Wcałe go

160 nie widzę. Chyba nie uniósł go w powietrze jakiś džinn?

- Nie, - zaśmiałem się - ale natęż trochę wzrok i swój rozum, a sam zrozumiesz.

-Mój wzrok? Przecież potrafię patrzeć, ale tym razem naprawdę nic nie widzę. A co do mego rozumu, to przecież wiesz, że wolę dosiąść najbardziej upartej szkapy niż głowić się nad zagadkami. T~kże emir wahał się, nie umiał sobie wyjaśnić sprawy.

- Halefie, widzisz koło na ścianie i ten czworokątny kamieŃ, w który jest wmurowane? To jest to zamknięcie.

-Niemożliwe, sidi! Ten kamieŃ to część muru. Widać to wyraźnie.

- Mylisz się, to tylko się tak wydaje. Wytłumaczę ci to. Ściany i podłoga tego pomieszczenia składają się, jak widzisz, z granitowych płyt. Tupozioma płyta podłogi jest zarazem kamieniem zamykającym tajemne przejście, a granicząca pozioma płyta ściany cwoT~y nr~, f~k zwykle, dwa osobne, lecz jedną jedyną, wykutą z jednego bloku gra-nitu całość, a tam, gdzie obie powierzchnie stykają się pod kątem prostym, są one z pomocą osi mocno osadzone, tak, że całość, jak podwójne drzwi, może poruszać jak na zawiasach. Uruchomiłem to po prostu przez przesunięcie punktu ciężkości.

Halef patrzył na mnie z otwartymi ustami, twarz jego była jednym wielkim znakiem zapytania, po czym zamieniła się w zagniewany wykrzyk.

- Przesunąłeś... punkt... ciężkości? Sidi, bądź tak dobry, mów tak, bym mógł cię zrozumieć. Co to znaczy? Co to znaczy, że przesunąłeś punkt ciężkości? Czy to może znaczy, że sam teraz nie wiesz, dokąd go przesunąłeś? Tylko nie żądaj ode mnie, bym go szukał. Ja go nie przesunąłem, więc nie będę go szukał, nawet przyjąwszy, że można by go było znaleźć. Bo kto potrafi znaleźć punkt, który ty, bardzo mądry sidi, przesunąłeś. W dodatku punkt, który jak wiem ze sztuki pisania, nie jest nawet tak wielki jak główka od szpilki. Jeśli ten punkt ciężkości jest taki potrzebny, że bez niego nie da się otworzyć wejścia, to powinienes być lepiej uważać. Niech Allah zachowa twc5j rozum,

11 - W podziemiach Mekki 161

żeby pozostał tak długi, by szerokość mojego mogła wskoczyć w powstałą szparę. Muszę szczerze przyznać, że rękami i nogami broniłbym się przed przypuszczeniem, że musiałbym znaleźć coś, co ty sam gdzieś zapodziałeś, a więc zgubiłeś.

- Uspokój się, Halefie. Zaraz będziemy mieli ten gdzieś zapodzia-ny punkt ciężkości. Stań po drugiej stronie i pomóż mi pociągnąć za koło.

Wspólnymi siłami bez trudu udało nam się poruszyć kamieŃ. Powoli wyłonił się z muru i ułożył na łuku wyjścia. Jednocześnie z tyłu w ścianie ukazał się inny kamieŃ, dokładnie taki sam jak ten pierwszy, i wypełnił powstały w murze otwór. Oba kamienie tak dokładnie przywarły do swych sąsiadów, że teraz tylko bardzo bystre oko mogło-by coś spostrzec. Emir i Halef wydali okrzyk zdumienia, ja natomiast kontynuowałem dalej swoje wyjaśnienie.

- Jeśli ktoś chce z podziemnego korytarza wejść do tego pomie-szczenia, wystarczy mocno nacisnąć od dołu na kamieŃ stanowiący zamknięcie. Ten unosi się, zarazem opuszcza się także kamieŃ w ścianie do wnętrza, aż przeważy i upadając podniesie do góry kamieŃ stanowiący podłogę. 'Pdk samo dzieje się, kiedy z góry chce się wejść do podziemnego przejścia. Oczywiście trzeba wówczas nacisnąć na kamieŃ w ścianie. To miałem na myśli, kiedy mówiłem, że przesuną-łem punkt ciężkości.

- Allah jest miłościwy, ależ ze mnie głupiec! A więc to tak się sprawa przedstawia. 'Ii~zeba przyznać, że mądrze to wszystko wymy-ślili, bardzo mądrze. 'Pak mądrze, że wątpię, czy wpadłbym na tę myśl. Ale ty, sidi, jesteś mądrzejszy, bo wpadłeś na całe to sekretne urzą-

dzenie. Co należy teraz zrobić? Wiemy już, dokąd prowadzi przejście i możemy poczynić odpowiednie przygotowania. Czy wracamy przez tę zmyslną bramę, czy też szukamy innej drogi?

- Musimy na powrót obrać to przejście, już choćby dlatego, że i~ara na nas czeka i musimy w altanie doprowadzić wszystk~ do porządku ze względu na Ghaniego. Emirze, czy znasz pomieszczenie, 162 w którym jesteśmy?

Wielki szarif rozejrzał się i po chwili zastanowienia odparł.

- 'Pa piwnica należy do tylnej części twierdzy, która najbardziej odwrócona jest od miasta.
- Wiesz na pewno czy tylko przypuszczasz?
- Przypuszczam, że tak jest. 'Id piwnica nie była używana, a pomieszczenia, których się nie używa, przeważnie położone są na tyłach.
- Czy sądzisz, że jutro w nocy znajdziesz tę drogę bez większego szukania?
- Mam nadzieję. Kazamaty wszystkie są do siebie podobne, ale zaraz... - spojrzął z zadumą na podłogę i ciągnął dalej z ożywieniem.
- Zaraz będę wiedział, co i jak. Poczekaj chwilę, effendi.

Z tymi słowy skierował się do schodów prowadzących na górę.

- Poczekaj, emirze! Dokąd chcesz iść?
- Chcę obejrzeć sobie to pomieszczenie od zewnątrz.
- Co też ci przyszło do głowy! A gdyby ujrzał cię ktoś, kto stoi na posterunku?
- Nie bój się. W tej części fortecy nie ma posterunków z tego prostego powodu, że tu, jak sam widzisz, nie ma czego pilnować. Kazamaty po tej stronie są puste.
- Emirze, czy nie mógłbyś raczej...

Wielki szarif przerwał mi z uśmiechem.

- Effendi, czy przedtem nie powiedziałeś, że w całej tej sprawie najmniej możesz decydować? Czy mam sądzić, że nie mówiłeś pra-wdy? Daj mi trochę wolnej ręki! Zobaczysz, zaraz wrócę. A jeśli bym został odkryty, to co? Jestem wielkim szarifem i mam prawo wkroczyć do twierdzy, jeśli taka jest moja wola.

'Ib było słuszne, więc zgodziłem się, ale przestrzegłem go, by w razie czego nie powiedział ani słowa o podziemnym przejściu. Musi to za wszelką cenę pozostać tajemnicą i to już jego sprawa, jak wytłumaczy swoją obecność w twierdzy o tej godzinie. Ustaliłem jako najdłuższy 163 termin dziesięć minut, które muszą mu wystarczyć na rozpatrzenie się i oświadczyłem krótko, że jeśli nie wróci po upływie tego terminu, będziemy przypuszczali, że go spostrzeżono i zatrzymano i, że bez niego wyruszamy z powrotem.

Emir oddalił się ze swym najbardziej beztroskim uśmiechem na twarzy. Szybko wspiął się po stromych schodach i w następnej chwili zniknął. Właściwie oczekiwałem, że drzwi będą zamknięte, a kiedy okazało się, że tak nie jest, nie napełniło mnie to szacunkiem dla wojskowego ducha obsady twierdzy. Ale mimo to byłem zatroskany i liczyłem minuty, kiedy emir miał wrócić. Na szczęście tym razem moje wątpliwości były zbędne. Minęło sześć minut, kiedy wielki szarif wrócił. Był zadowolony i oświadczył, że dokładnie zdał sobie sprawę z położenia pomieszczenia, w którym teraz byliśmy, tak, że jutro w nocy nie będzie błędził. Nie miałem powodu wątpić w jego słowa, ponieważ wielokrotnie był w cytadeli, a więc znał to miejsce.

Cel nocnej wyprawy można było uważać za osiągnięty, a dłuższe przebywanie w tym miejscu było zbędne, a nawet niebezpieczne. Dlatego zapaliliśmy pochodnie i opuściliśmy pomieszczenie, ale przedtem zadbaliliśmy o to, aby ani na zewnątrz, ani wewnątrz tej bramy nie pozostawić śladu naszego pobytu. Reszta była tylko po-wtórka tego, co wczoraj i dlatego łatwa, mimo to westchnąłem z ulgą, kiedy po zamknięciu drzwi altany Kara Ben Halef powiedział nam, że żadna żywa dusza nie pojawiła się w ogrodzie. Podezas całej wyprawy było nam bardzo nieswojo i często wydawało mi się, jakby za najbliż-szym rogiem wynurzała się twarz Ghaniego. Kiedy przedostaliśmy się przez mur, poszliśmy szybkim, lecz nie zwracając~ym uwagi krokiem w stronę domu.

Przed naszym domem, wielki szarif zatrzymał się i rzekł.

- Dziękuję ci, effendi. Co do szarifa Abadilaha, to teraz dopiero, kiedy przekonałem Się sam o słuszności twoich słów, w pełni widzę niebezpieczeństwo, które mi grozi. W tej chwili jeszcze nie wiem, jak 164 mam tobie i wam wszystkim podziękować, ale...
- Nie mów o wdzięczności, emirze- przerwałem mu- lecz za-dbaj o to, żeby wszystko zostało przeprowadzone dokładnie tak, jak to omówiliśmy. Chyba pozostaje w mocy, że Haddedihowie zaata-kują Ghaniego?
- Oczywiście! Przecież otworzyłeś mi oczy na to, jak niebezpiecz- nie jest ufać moim własnym ludziom.
- I przekonasz paszę, by zarządził wszystko tak, aby nikt z jego ludzi nie wiedział, o co chodzi?
- Uczynię wszystko, co tylko w mojej mocy, zakładając, że Szafwet pasza naprawdę nie maczał palców w całej sprawie.
- Co do tego możesz być zupełnie pewny, pasza naprawdę o niczym nie wie. Gdyby był w zмовie z Ghanim, ten nadałby wszystkie-mu całkiem inny kształt.
- No więc dobrze. Chcę w to wierzyć i zaufać paszy, choć muszę przyznać, że najchętniej wolałbym pominąć jego udział w tej sprawie. Ale muszę wziąć pod uwagę twoje powody, że lepiej będzie go w to wciągnąć. Czy masz mi jeszcze coś do powiedzenia, effendi?
- Nie.
- Wobec tego mogę się pożegnać. Gdyby zdarzyło się coś niespo-dziewanego, co by miało zmienić nasze plany, znajdę sposób, by cię o tym dyskretnie zawiadomić. Niech Allah cię błogosławi, effendi. Emir uściskał każdemu z nas dłoń, potem odszedł. Patrzyliśmy za nim, aż znikł w ciemności, po czym udaliśmy się na spoczynek, tym razem już nie zakłócony po raz drugi. Położyłem się z uczuciem wielkiej ulgi. Pułapka, jaką Ghani przygotował dla emira, była otwarta dla niego! Czy da się w nią złapać? Okaze się to następnej nocy. W każdym razie, z tą myślą zasnąłem. Z naszej strony nic nie zostało zaniechane, by nasz plan się udał. Niech Bóg doprowadzi wszystko do sześliwego zakończenia!

~ ; . ? .

Upiory nocy

Gdyby ktoś około północy następnej niedzieli znalazł się w pobliżu domu Ghaniego, mógłby zaobserwować rzeczy, które przekonałyby go, że upiory znajdującego się w pobliżu cmentarza opuściły swoje groby, by spotkać się tutaj i prawdopodobnie z przerażenia naciąg-nęły kapuzy na głowę i z okrzykiem grozy, uciekałyby co sił w nogach. Istotnie w przebiegu zdarzeń, które rozegrały się w ciągu nastę-pnych godzin w pobliżu Dżebel Abu Kubes, było coś upiornego, co potęgowała jeszcze późna godzina i głębokie milczenie, w którym to wszystko się odbywało. Muezin na największym minarecie meczetu Haram dopiero co dzwonił na piątą modlitwę po północy, kiedy z cienia muru ogrodo-wego za domem Ghaniego wyłoniło się dziesięć ciemnych postaci, które bez szumu, jak węże przedostały się przez mur i z cichym, ledwie słyszalnym szelestem znikły pod drzewami w pobliżu altany. Przez godzinę nie było ich widać ani słychać. Potem z domu wyszła odziana w biały burnus postać, której głowa osłonięta była haikiem tego samego koloru. Chwilę manipulowała przy drzwiach altany, potem znikła we wnętrzu. Przez kilka minut w otworach kopuły widoczne 166 było słabe światelko, ale potem i ono znikło. Znowu panował spokój i cisza jak przedtem. Ale co to? Czy nie przemknął jakiś ciemniejszy cień aż do drzwi i nie zatrzymał się tam nasłuchując? Potem podniósł rękę i na ten znak dziesięć innych upiorów i weszło za pierwszym do wnętrza altany przez drzwi, które były zamknięte tylko na klamkę. Potem w ogrodzie i w tajemniczym budynku znowu zapanowała cisza. Czy tysiąc kroków dalej, wysoko na zboczu Dżebel Abu Kubes także coś straszilo? Na górnej krawędzi rumowiska za resztkami murów dziesięć gorejących par oczu bacznie obserwowało leżący u ich stóp teren. Aż do północy nic się nie poruszało. Ale potem, w małych pojedynczych grupach prześlizgiwały się postacie w dłuższych lub krótszych odstępach czasu, aż niewidzialny

obserwator naliczył ich ze czterysta, jasno oświetlonych przez księżyc nad Dżebel Abu Kubes, które w pewnym określonym miejscu przycisnęły się mocno do siebie przyciśnięte. 'I~ ostatnie zresztą zachowywały się dość beztro-sko.

Nie hałasowały wprawdzie, ale było widać, że uważały się za całko-wicie bezpieczne. Niekiedy na górę do nieruchomych obserwatorów docierał dźwięk szeptanych słów. W przeciwieństwie do znajdujących się na dole z całą ostrożnością starali się oni ukryć swoją obecność, a zwłaszcza uważali, żeby nie być dostrzeżonym z dołu. Ich cierpliwość wystawiona była na ciężką próbę. Dawno minęła godzina duchów, a także druga godzina następnego dnia, kiedy wreszcie na dole zaczął się ruch. Wszystko tłoczyło się do pewnego określonego miejsca, gdzie widocznie znajdował się otwór, bo po upływie pięciu minut nikogo z tego zgromadzenia upiorów już nie było widać. Nawet nie uważali za potrzebne zostawić kogoś na posterunku. Wtedy jakiś mały upiór podniósł się na górę za kamieniem i w szybkich skokach zbiegł pomiędzy resztkami murów na dół z boczem do miejsca, gdzie właśnie zniknęło tych czterystu. Dziewięciu innych podążało za nim równie szybko. Przybywszy na miejsce, rozwinęli 167 gorączkową działalność. Ciężkie bloki, które przyciągnęli ze sobą, mocno zaklinowali między ziemią a wybranym kawałkiem muru. W ciągu kilku minut pracę wykonano i wtedy wspomniany mały upiór wykonał taki skok w górę, jakiego nie można by się spodziewać po tak małej postaci i jaki wcale nie licował z pełnym godności zachowaniem, jakiego należałoby się spodziewać po nocnym upiorze. Potem wydał triumfalny okrzyk, z którego należało wnioskować, że za życia był Arabem, wreszcie dodał głośnym wesołyrtt głosem.

- Allachowi niech będą dzięki! Pułapka się zatrzaskała. Złapali-śmy ich., te krety, synów i wnuki myszy i mysich przodków i potomków nędznych dżdżownic. Nie wypuszczajcie ich, wy, synowie bohaterów i wnuki bohaterskich ojców! Nie wypuszczajcie, aż ich pocące się ze strachu dusze wydostaną się z ciał i będą pełzały po suficie i ścianach tej kreciej pułapki, szukając dziury, w której mogłyby się zaszyć. I jeszcze gdzieś straszyle, mianowicie w piwnicy Qal'at Dżijad i przed nią, z tą tylko różnicą, że tym razem wydawały się to ogromnie spragnione spokoju upiory, bo zabrały ze sobą koce, które rozłożyły na podwórzu przed piwnicą i na których usiadły, podczas gdy dwa szczególnie przedsiębiorcze upiory zeszły po stopniach piwnicy i urządziły się możliwie najwygodniej w jednym z kątów. Potem wyga-siły pochodnie, które przyświecały im podczas schodzenia na dół, i spokojnie czekały na dalszy bieg wypadków.

Mam nadzieję, że uważny czytelnik nie przejmie się tą historią z upiorami i, że od dawna zgadł, kim są te poszczególne grupy upiorów, które wałęsają się po nocy. Zanim jednak będę kontynuował opo-wieść, chcę pokrótce poinformować, co się zdarzyło podczas ostat-nich dwóch dni.

Sobota wieczór i niedziela przeszły dość spokojnie, przeważnie przebywaliśmy w domu. Wiadomość o tym, co zaszło, tak jak się 168 spodziewałem, rozeszła się z szybkością wiatru po całym mieście, a skutek był taki, że nasz dom od rana do późnego wieczora był oblegany przez ciekawych, na wschodnią modłę natrętnych ludzi. Najbardziej natrętni wbili sobie do głowy, że nie odejdą prędzej, aż na własne oczy zobaczą i przekonają się o tym wielkim cudzie ze ślepcem Munedżim, który nagle odzyskał wzrok. Mnie co prawda ani w głowie było wystawiać się im na pokaz, jednak hrabia był innego zdania.

- Dlaczego mam się im nie pokazać, effendi? Mnie to nie zaszko-dzi, a wam, zwłaszcza tobie, może tylko się przydać, jeśli mekkańczycy dowiedzą się prawdy z moich ust. Wpuść ich.

No i przyszli! Początkowo zaprosiłem tuzin starszych mężczyzn, by zobaczyli ozdowieńca. Powiedzieli, że go znali, kiedy jeszcze widział,

i na pewno sobie ich przypomni. Wpuszczono ich i mieli dość czasu by zaspokoić swoją ciekawość. Ośmieleni tym, przyszli następni, w liczbie dziesięciu osób. Wynajdowali

najrozmaitsze preteksty, by osiągnąć cel. Biedny hrabia! Chyba nigdy nie czytał fragmentu wiersza Goethego: „Uczeń czarnoksiężnika” .

Warchol~ się duchy,

Jak im rndę dc~ć?

Inaczej nie prosiłby, aby ich wpuścić. W każdym razie zaraz się to zemściło. Przez całą sobotnie przedpołudnie hrabia nie miał chwili spokoju, a około południa musiał urządzać po prostu masowe przyjęcia. Długo się temu spokojnie pr~patrywałem, chociaż spostrze-głem, jak bardzo to tego starego człowieka zmęczyło. Ale kiedy jakiś wyrzutek, który nie miał u nas nic do roboty i którego odprawiłem, po prostu przemknął mi się pomiędzy nogami i wpadł do pokoju hrabiego, miałem tego dość. Pobiegłem za nim i pochwyciłem go, zanim mógł coś zbroić. Przykucnął za plecami nic nie przeczuwające-go hrabiego i chciałwłaśnie nożem wyciąć kawałek jego odzieży, kiedy złapałem go za kark. Sprytny jak wszyscy mekkańczycy, kiedy idzie o interes, chciał ze swym łupem rozwinąć intratny handel amuletami.

169

Niestety miałem tak mało zrozumienia dla tego rodzaju handlu reli-kwiami, że mimo jego gwałtownego oporu, wyrzuciłem chłopaka za drzwi, dając mu jeszcze na pamiątkę solidnego kopniaka. Nakazałem odtąd odprawiać wszystkich, którzy przyszli, by odwie-dzić świętego fakira . Ten środek zapobiegawczy dał nam co prawda wewnątrz domu trochę spokoju, ale absolutnie nie wpłynął na rozej-ście się zgromadzenia narodowego przed domem. Z uporem właści-wym ludziom Wschodu, a raczej beztróską nie mającą pojęcia o cenie czasu, dalej oblegali dom, ale teraz nie mogli już zakłócać nam spokoju, co prawda tak długo, j ak długo pozostawaliśmy w domu. Gdy jednak któryś z Haddedihnów wychodził przed dom, spokój jego się kończył. Z miejsca otaczał go hałaśliwy, ciekawy tłum i spadał na niego grad pytań.

W tych warunkach wołałem nie pokazywać się przed domem, nawet gdybym nie zaobserwował czegoś innego. Rezultat wczorajszej rozprawy i woła wielkiego szarifa na ogół w sposób pomyślny dla nas wpłynęły na nastroje mekkańczyków. A oświadczenie Munedziego, które sobie powtarzyno z ust do ust, też swoje zrobiło. Ale nie ludziłem się, że to tylko uczucie fanatyzmu ogarniało tych ludzi. Większość spojrzeń rzuconych na nasz dom nie zdradzała co prawda wrogości, spostrzegłem jednak niejedną ponury wzrok, który wcale nie starał się ukryć gniewu wobec przeklętego giaura, którego obe-cność mimo wszystko znieważała Święte Miasto. I ani chwili nie wątpiłem, że nasza sytuacja w Mekce bynajmniej nie jest tak bezpie-czna, jak się nam obecnie zdawało. Biada nam, gdyby mojemu śmier-telnemu wrogowi, Ghaniemu udał się plan. Cała wczorajsza rozprawa z jej kompromitującym zdemaskowaniem Ghanięgo nie byłaby do-statecznym powodem, by obronić mnie przed nienawiścią tych fana-tycznych muzułmanów. Cóż szkodziło Ghaniemu w ich oczach, że przysięgając na Allacha i jego proroków popełnił krzywoprzysięstwo? Tb bluźnierstwo znaczyło dla nich tyle co ziarno piasKu uniesione przez pustynny wiatr nikt nie wie dokąd. A jeśli Ghani popełnił jakieś inne przestępstwo, był muzułmaninem, a poza tym szarifem i potom-kiem słynnego Qatadaha, przed ktbrym i takwszystkie siedem niebios Mahometa stało otworem. W porównaniu z tym czym ja byłem? Przeklętym giaurem, który może czuć się szczęśliwym, jeśli kiedykol-wiek otworzy się przed nim drugi z siedmiu oddziałów dżehennera, przeznaczony dla chrześcijan.

Ale obserwacje te zbyttno mnie nie niepokoiły. Mogłem być zado-wolony. Osiągnąłem przecież swój cel. Dzięki długiemu pobyтови ukończyłem moje studia nad islamem, tak że dziś mogłem już odejść i nikt nie mógłby mnie zatrzymać. To, co mnie tu jeszcze trzymało, to sprawy osób trzecich. Ale i te wydawały się zmierzać do pomyślnego rozwiązania. Wiedziałem, że Ghani wykorzystał sobotę i niedzielę do tego, by poczynić ostatnie przygotowania do swego zamachu, który by go podniósł do rangi pierwszej osoby w hedżasie. Wiedziałem . jednak, że nie mógł zrobić ani jednego kroku, który by umknął uwadze wielkiego szarifa i że niewidzialny obserwator idzie jego tropem, że zapamiętuje sobie domy, w których Ghani od czasu do czasu

znika. Omówiłem to wszystko z wielkim szarifem, ale gorąco polecałem, aby osoba, którą w tę sprawę wtajemniczy, była kimś zaufanym. Wiedziałem wreszcie, że 'Aun er Rafiq w sobotę przed południem miał się spotkać z paszą. Co prawda początkowo nie chciał zgodzić się na moją propozycję wtajemniczenia paszy, bo mu nie ufał, ale wreszcie dał się przekonać, że jest to nieodzowne. Po pierwsze, bez zezwolenia paszy nie byłoby łatwe zyskać dostęp do Dżijadu, a poza tym było to z korzyścią dla wielkiego szarifa osobiście, by pasza dowiedział się o spisku.

Jako zastępca padyszacha, któremu powierzono bezpieczeństwo Świętego Miasta, nie mógł odmówić pomocy. Gdyby jednak nie dowiedział się o planowanym zamachu Ghaniego, a wielki szarif zadziałałby na własną rękę, mógł udać obrażonego i w razie niepowodzenia akcji rzucić na emira odpowiedzialność za wszystko, co się wydarzyło. Dziwaczny stosunek, w którym pozostawali obaj władcy Świętego

171

171

6.~:.,, ..

..
Miasta, zmuszał ich stale do tego, aby się mieli wobec siebie na baczności. Błąd jednego mógł drugi od razu zapisać na swoją korzyść. Dlatego uważałem, że jeśli chodzi o wielkiego szarifa, to byłoby lepiej, gdyby nie doszło do jakiegokolwiek zadrażnienia, które Ghani mógłby wykorzystać, gdyby jego plan się nie powiódł.

To, że namawiając wielkiego szarifa do współdziałania z paszą zrobiłem właściwy krok, okazało się w sobotę po południu, kiedy, umyślny przywiózł mi zapieczętowane pismo. Zawierało niezwykle uprzejme zaproszenie na wieczerzę do paszy, dla mnie i dla Halefa. Dodana też była uwaga, bym zechciał wybaczyć, ale uznaje się za wskazane, byśmy weszli do gmachu rządowego nie przez bramę główną, lecz przez ogród i tylną furtkę. Powodu nie musi nam tłumaczyć, sami bez trudu to zrozumiemy. Służący będzie nas oczekiwał we właściwym czasie.

W innych okolicznościach uznałbym to pismo za podejrzanę, ale w tych warunkach mogłem liczyć na to, że przed poniedziałkiem ten człowiek nic przeciwko nam nie podejmie, toteż punktualnie po zapadnięciu zmroku znaleźliśmy się na tyłach gmachu rządowego. Gmach rządowy tylnym murem ogrodowym łączy się furtką z wąską uliczką. Kiedy się zbliżyliśmy do tej furtki, zauważyliśmy, że była otwarta, a za nią stał człowiek, który jakby na kogoś czekał. Podeszedł szybko do nas i zagadnął.

- Ssallam! Czy to wy jesteście tymi obcymi, na których czeka pasza?

Kiedy to potwierdziliśmy, głęboko się przed nami skłonił i dał znak, by iść za nim. W milczeniu zamknął za nami furtkę i poprowadził nas przez wypielegnowany ogród, liczne korytarze i pokoje do wspaniale urządzonej, jasno oświetlonej komnaty. Zapraszającym gestem poprosił nas o zajęcie miejsc, wskazując na leżące na kosztownym stoliku już napełnione fajki, i oddalił się przez ukryte za dywanem drzwi.

172

Całe urządzenie komnaty wskazywało na to, że jesteśmy w prywatnym mieszkaniu paszy i, że jak od początku przypuszczałem, nie chodzi o uroczyste przyjęcie, lecz o poufne spotkanie, o którym nie powinien się nikt dowiedzieć.

Halef rozglądał się badawczo i rzekł z zadowolonym uśmiechem.

- Sidi, czy przypominasz sobie nasze ostatnie zaproszenie do paszy w Bagdadzie przed kilku laty, kiedy tak zwycięsko wyszliśmy z naszej przygody w Birs Nimrud?
- No pewnie! Czemu mi o tym przypominasz?
- Bo jestem ciekaw, czy tutejszy pasza jest tak samo miły jak tamten. Jak sądzisz, sidi?
- Skąd mam wiedzieć? Znam Szafweta paszę tylko z opowiadań innych ludzi, a wiesz, że ufam tylko własnej ocenie. Najbliższa godzina pokaże nam, co należy o nim sądzić.

Właśnie wypowiedziałem te słowa, kiedy dywan, za którym zniknął służący, odsunięto i wszedł pasza. Był drobnej postaci i ta okoliczność szczególnie podkreślała właściwość jego figury. Był bowiem bardzo otyły. Jego ezarna kurtka bogato zdobiona złotymi galonami była tak opięta, że każdej chwili szwy mogły na nim popękać. Pozbawiona brody twarz z obwisłymi policzkami robiła wrażenie dobroduszej, a okrągły mały nos ukazywał zabarwienie, którego u wyznawcy islamu właściwie najmniej należało oczekiwać. Może pasza hołdował stojącemu w sprzeczności z Koranem przyzwyczajeniu, które było w ścisłym związku z produktem powstałym w procesie fermentacji winorośli? Albo może cierpiał na pewne choroby krwi i systemu nerwowego, na które lekarze europejscy przepisują słynny napój Noego, po łacinie vinum? Na ogół pasza robił wrażenie człowieka, który nie potrafiłby zmacić wody. Co prawda tylko w oczach powierzchownego obserwatora. Ja dobrze zauważyłem rys przebiegłości, który zadaje kłam dobroduszości przypisywanej zazwyczaj otyłym ludziom. Było zresztą zrozumiałe, że padyszach tak trudne stanowisko, jak zarządzanie hedżą, mógł powierzyć tylko człowiekowi, który posiada niemałe

173

JE~ t

{.:i ,,,

J ,,,,,: ,,

ł i .:

zdolności dyplomatyczne. W każdym razie, nie chciałbym mieć w nim wroga, gdybym był mieszkańcem Świętego Miasta.

Wobec nas pasza ukazał się z jak najbardziej dodatniej strony. Gdy wszedł wstaliśmy, lecz on poprosił nas natychmiast, abyśmy usiedli. Po wymianie zwykłych uprzejmości zaklaskał dłonie i służący wniósł pierwsze danie. Nie będę wyliczał rozmaitych dań wieczerzy, wystarczy, jeśli powiem, że była godna paszy. Ja nigdy nie byłem żarłokiem, a także Halef nie należał do ludzi, którzy przy każdej sposobności opychają się na zapas.

Za to pasza...!

Kisnzer stykał mnie podczas moich podróży z wieloma grubasami

różnych narodowości i nieraz miałem okazję opisać, co i ile ludzie potrafią zjeść. I bteż powtarzałem się tylko, gdybym chciał opisać, jak treśćjednego dania po drugim dochodziła do miejsca przeznaczenia. Kiedy pasza po ostatnim daniu z głębokim westchnieniem otarł usta, wszystkie półniski były puste.

Teraz znowu zaklaskał i służący przyniósł... trzy butelki wina i tyle

samo kieliszków. A więc jednak! Halef mrugnął do mnie wesoło, pasza zaś uznał, że winien jest nam wytłumaczenie.

- Effendi, jestem wiernym synem proroka i trzymam się ściśle przepisów Koranu.

Ale kiedy mieszkałem jeszcze jako Mir Alai w Stambule, cierpiałem na chorobę, na którą szukałem ulgi u wielu lekarzy, jednak na próżno, aż wpadłem na mądrą myśl, by zapytać o radę lekarza z Zachodu. Ibn z miejsca odkrył podstępne źródło mojej choroby i przepisał

mi jako lek po każdym posiłku butelkę wina, którym mogę się raczyć z czystym sumieniem, bo prorok nie zakazał przyjmowania leków. Poza posiłkami nie piję ani kropli, bo jestem wiernym zwolennikiem proroka. Chyba mi wierzysz, effendi?
Po każdym posiłku całą butelkę wina! Mój Boże! A więc stąd purpurowe zabarwienie nosa paszy! O Mahomecie, gdybyś widział, jak haniebnie jesteś czasami oszukiwany. Na głos odpowiedziałem natomiast.

i;? ...

174

- Wierzę z całą mocą?

- Ty jako chrześcijanin - ciągnął dalej pasza - nie musisz odmawiać sobie tej przyjemności, jakiej, niestety, Mahomet zakazał swym wiernym. Ale nie wiem, czy szejk Haddedińów...

- Wasza wysokość może być spokojny- przerwał mu Halef szyb-ko - Kara Ben Nems, mój przyjaciel, który sam jest słynnym lekarzem, pozwolił mi na czasowe zażywanie soku z winorośli.

- Więc ty też jesteś chory? Masz może kłopoty z trawieniem jak ja?- zapytał pasza najniewinniejszym tonem. - 'Idk, frankońscy lekarze są mądrzy, o wiele mądrzejsi od naszych. A ty, effendi, chyba jesteś jednym z najmądrzejszych, bo jak słyszałem, przywróciłeś światła dnia oczom niewidomego Munedziego. Jak potrafiłeś tego doko-nać?

- Hasretinie, wybacz, ale powinieneś zrozumieć, że lekarz nie-chętnie zdradza swoje tajemnice.

- A więc tkwi w tym jakaś tajemnica? No to oczywiście nie będę cię wypytywał.

Przez chwilę w zadumie spuścił wzrok. Potem nagle poprowadził rozmowę w innym kierunku. Ostrzegawczo podnosząc brwi do góry i rzucając wymowne spojrzenie w stronę drzwi, ciągnął dalej.

- Effendi, słyszałem, że chcesz jutro wieczorem zwiedzić z kilku-ma twoimi Haddedińami twierdzę Qal'at Dżijad?

Położył szczególny nacisk na słowo zwiedzić, chciał więc, by sprawę tę omawiać ostrożnie, chyba ze względu na ewentualnych podsłuchi-waczy. Zrozumiałem jego intencję.

- 'Idkie byłoby moje życzenie, gdybyś łaskawie na to zezwolił. - odparłem.

-Bardzo chętnie. Sam o tej porze będę tam obecny iwas przyjmę.

Wiem, co jestem winien tak wytwornym gościom.

Dobrze go rozumiałem. Wiedział, że wielki szarif też bierze udział w tej wyprawie i chciał widocznie, by laury, na które można przy tyrn zasłużyć, nie przypadły tylko nam, lecz by szczęśliwe zakończenie zawdzięczać także jego czujnej przezorności. Mimo to odparłem.

- Wasza wysokość, doprawdy nie chciałbym cię tym obciążać, twój ezas...

- Wcale mnie tym nie obciążasz - zapewni gorliwie. - Chcę nawet, jeśli się zgodzisz, obsadę twierdzy... Nie pozwoliłem mu dokończyć.

- Wybacz, wasza wysokość, ale właśnie tego wcale sobie nie życzę.

Nie chciałbym z moimi ludźmi zwracać niczyjej uwagi i jeśli chcesz mi okazać życzliwość, zadbaj o to, by wszystko w twierdzy toczyło się zwykłym trybem.

Pasza spojrział na mnie ze zrozumieniem.

- Niech będzie tak, jak chcesz. Ale spodziewam się za to, że spełnisz moje życzenie.

- Jeśli tylko będę mógł, chętnie.

- Możesz. Chciałbym, kiedy osiągniecie swój cel, abyście mnie pozostawili resztę.

- Z całą przyjemnością. Wiem, że sprawa będzie wtedy w dobrych rękach i sądzę, że i wielki szarif także się na to zgodzi.

- On już się zgodził. Czy masz poza tym jakieś życzenie?

- Nie, Hasretinie, nie, jestem całkowicie zadowolony... lecz...

Przyszło mi na myśl, że jeśli chciałem zamknąć w pułapce zama-chowców i uniemożliwić im ucieczkę, potrzeba mi było do drzwi prowadzących do ruin kilka ciężkich belek, by zabarykadować

je od wewnątrz. Gdybym szukał takich belek w mieście, byłoby to podejrzane, a transport uciążliwy i na widoku wszystkich. Toteż rzekłem.

- Potrzeba mi pięć, sześć belek długości człowieka. Możesz mi je dostarczyć? Pasza chytrze mrugnął do mnie.

- Chyba musisz wzmocnić swoją bramę, by zabezpieczyć się przed ludźmi, ktoby widocznie nie ufasz? Mam takie, jakich ci potrzeba, w twierdzy. Czy mam posłać ci kilku askarów do domu?

- Nie, jeśli pozwolisz, poślę po nie kilku moich ludzi.

176

Idk więc sprawa była załatwiona, rozmowa potoczyła się innym torem i teraz nastrój stał się swojski. Halef z właściwą mu swadą opowiedział kilka naszych przygód, z takim skutkiem, że pasza po pierwszej porcji lekarstwa kazał podać następne. Gwoli prawdy muszę stwierdzić, że Iwią część lekarstwa zażyliśmy nie my, lecz pasza. Chyba miał się za bardziej chorego niż my. A kiedy wreszcie wstał, by się pożegnać, zegar mój wskazywał bardzo późną godzinę, fez na głowie paszy zaś bardzo się przekrzywił, tak że bez pomocy zegarka widać było, iż powinien jak najrychlej udać się na spoczynek. Nazajutrz znów byliśmy w stanie oblężenia, do którego się zresztą tak przyzwyczailiśmy, że nic sobie z tego nie robiliśmy. Spędziłem przedpołudnie u Rosjanina i Basz Nasira, którzy się ogromnie zaprzyjaźnili. Ale kiedy minęło południe, nadeszła pora, żeby pomyśleć o przygotowaniach na wieczór. Halef zebrał swoich Haddedińców w hallu i wygłosił prawie godzinne przemówienie, wtajemniczając ich w spisek Ghaniego i w zagadkę podziemnego przejścia. Ponieważ dotąd celowo im nic nie mówiliśmy, zrozumiałe było, że słowa Halefa wzbudziły ogromne podniecenie. Szczególnie ucieszył ich fakt, że to oni sami mieli udaremnić zamach skierowany przez Ghaniego przeciw wielkiemu szarifowi. Obcowanie ze mną, chrześcijaninem, miało ten skutek, że nie darzyli go oni ową nadmierną czcią, jaką na ogół okazywali mu przesadnie pobożni pielgrzymi, i choć niedawno zmuszeni byli wobec niego zająć prawie wrogą postawę, to jednak wciąż jeszcze w ich oczach posiadał aureolę nietykalnej, prawie świętej osobowości. Napęniało ich słuszną dumą, że emir swoje bezpieczeństwo i życie chciał powierzyć nie swoim strażnikom, lecz im, należącym do obcego, dalekiego plemienia. Teraz Halef rozwinął nasz plan. Dziesięciu Haddedińców miało pozostać jako ochrona domu, dalszych dziesięciu miało pod przewodnictwem Kary Ben Halefa, zająć Beit es Ssala, kiedy tylko Ghani tam wkroczy i zadbać o to, żeby żaden z przyłapanych nie mógł się wymknąć. Halef z inną dziesiątką miał ukryć się na górnej krawędzi 12 -- W podziemiach Mekki 177 rumowiska i odciąć drogę wrogowi od tej strony, podczas gdy ja z Omarem Ben Sadekiem i dwudziestoma innymi przyjmę w twierdzy Ghaniego, który w każdym razie jako pierwszy przejdzie przez ukrytą bramę. W moim oddziale miał też być wielki szarif, który mimo wszelkich zastrzeżeń nie dał się odwieść od uczestnictwa w tej wyprawie.

Teraz należało ustalić, kto weźmie udział i w jakiej grupie. Rzecz jasna nikt nie chciał przejąć na siebie mniej zaszczytnego obowiązku związanego z ochroną domu i rozpętał się zażarty spór, który Halef kazał rozstrzygnąć losowi. Odtąd w naszym domu wrzało przez kilka godzin jak w ulu. Ustalano, co każdy poszczególny człowiek miał robić, rozważano to na wszystkie strony, aby uniknąć wszelkich fałszywych kroków, które by mogły zniweczyć cały plan. Należy także dodać, że późnym popołudniem posłałem Halefa z kilkoma Haddedińcami do twierdzy. Mieli pójść po belki i ukryć je w pobliżu opuszczonej twierdzy, by w nocy gdy tylko będą potrzebne były pod ręką. Po godzinie Halef wrócił i powiedział, że wszystko dobrze poszło i że nikt ich przy tym nie widział. Nie musieli wcale wchodzić do twierdzy. Kiedy dotarli do pierwszego posterunku, strażnik wskazał im, gdzie leżą belki. Znajdowały się za jakimś krzakami. Reszta nie była trudna. Ponieważ mieszkańcom miasta było surowo zakazane przebywanie w pobliżu twierdzy, nie spotkali żywej duszy i mogli bez przeszkód wykonać polecenie.

Powoli głośnie okrzyki zachwytu zamieniły się w spokojną, cichą radość i ewentualny gość nie potrafiłby z niczego wnosić, że jesteśmy w przededniu poważnych rozstrzygnięć.

Zapał zmrok i ulica przed naszym domem opustoszała. O dzie-siątej, jak uzgodniono, przyszedł wielki szarif i była pora na wyruszenie pierwszego oddziału, czyli na mnie. O jedenastej miał wyruszyć oddział Halefa. Beni Sebidowie mieli przyjść dopiero po północy, ale było przecież możliwe, że nadejdą wcześniej, a więc Halef musiał być już na swoim posterunku. Na krótko przed północą miał wyruszyć Kara Ben Halef ze swoimi ludźmi. Udzieliłem mu kilku praktycznych wskazówek i ostro nakazałem największą ostrożność, potem wyruszyliśmy. Najbliższa droga do Qal'at Dżijad prowadziła przez Mas'a, ale woleliśmy ją ominąć, bo nie chcieliśmy spotkać ludzi. Mas'a, tak jak meczet, odwiedzana jest przez pielgrzymów nawet nocą. Przez wąskie zaułki i uliczki wyszliśmy poza miasto. Droga do Qal'at Dżijad prowadzi między ogrodami warzywnymi, potem przez piaszczyste tereny w górę. Póki byliśmy w obrębie miasta, szliśmy małymi grupami, by nie zwracać na siebie uwagi, kiedy jednak minęliśmy ostatnie domy, trzymaliśmy się w gromadzie.

Wspięliśmy się może do połowy Abu Kubes, gdy rozległy się ostre słowa.

- Stój! Kto idzie!

Stojący na warcie żołnierz z podniesionym karabinem wyłonił się z ciemności, ale od razu nas przepuścił, kiedy wielki szarif podał mu uzgodnione z paszą hasło. Jeszcze dwukrotnie zatrzymywano nas, potem doszliśmy do celu i warta przy bramie składająca się z dwóch żołnierzy poprowadziła nas na dziedziniec twierdzy, gdzie, o ile mogłem dostrzec w świetle pochodni, nie było żywej duszy. Tutaj się zatrzymaliśmy, jeden z wartowników odszedł i po pięciu minutach wrócił w towarzystwie człowieka, w którym rozpoznałem paszę. Wartownicy się wycofali, a nowo przybyły powitał emira krótkimi, ale serdecznymi słowami, po czym uściśnął mi rękę, a moim Haddedih-nom rzucił życzliwie.

- Witajcie!

Potem zwrócił się znowu do wielkiego szarifa.

- Emirze, proszę cię, przejmij teraz zamiast mnie dowodzenie, bo nie wiem, gdzie znajduje się to miejsce, które kryje tajemnicę.

Emir w milczeniu poszedł przodem. Nie mam zamiaru opisywać twierdzy. Ograniczę się tylko do podania, że umocnienia jej nie były w najlepszym stanie. Szafwet pasza to riie Othman, który przede wszystkim miał na oku dobro całego miasta. Przeszliśmy przez kilka

179

~1

I... I

bram i tyle samo podwórzy, wszędzie widziało się objawy zaniedbania. Zbliżyliśmy się do tylnej, nie używanej części cytadeli. Na całej drodze nie spotkaliśmy ani jednego askara, zadbał o to pasza. Przed jakimś niskim budynkiem, który robił wrażenie sklepienia, nasz przewodnik się zatrzymał.

- Hasretin, jesteśmy na miejscu. Tam na dole znajduje się początek tajemniczego przejścia. Pasza był zdumiony.

- Tam na dole ma być przejście? Czy się nie mylisz, emirze?

- Nie, nie mylę się.

- Allah jest wielki, po prostu trudno mi w to uwierzyć. I co ma teraz być? Zamiast wielkiego szarifa ja zabrałem głos.

- Nie mamy zamiaru zostawiać wrogów w piwnicy, chodzi o to, by ująć Ghaniego, a całą resztę zamknąć w przejściu. Kiedy zużyją te nieliczne pochodnie, które tam mają, znajdą się w całkowitych ciemnościach i będą zdani na naszą łaskę. By osiągnąć ten cel, wystarczy dwudziestu ludzi, i tym na razie nie wolno zejść do piwnicy, muszą tu na górze czekać, aż dam im znak, na dole mogliby przedwcześnie zostać wykryci. Ghani mógłby mi się wymknąć, a to byłoby fatalne dla całej sprawy. Abadilah bowiem zna to przejście w każdym razie o wiele lepiej

niż ja. Więc możliwe, że jest jakieś inne wyjście, o którym wie tylko on, a wtedy byłoby bardzo trudno, a może w ogóle niemożliwe, znowu go dostać w swoje ręce.

- Ale jak chcesz ująć Ghaniego, a innych zamknąć w przejściu, jeśli pozostaniecie tu na górze?

- Nie wszyscy pozostaniemy na górze. Emir i ja zejdziemy na dół i poczekamy na Ghaniego.

Dwóm ludziom łatwiej jest się ukryć niż dwudziestu.

Pasza ze zdumieniem cofnął się o krok i zawołał z komicznym przerażeniem.

- Niech Bóg ma cię w swojej opiece! Emirze, ty chcesz... chcesz... chcesz zejść do tej dziury i tam spędzić noc? Czy myślisz poważnie?

- Czemu nie, wasza wysokość?- odparł wielki szarif z uśmiechem. - Pomyśl, o co tu idzie? Gdyby zdrajcy udał się ten zamach, znalazłbym się jutro w miejscu, gdzie w każdym razie nie byłoby mi tak dobrze jak tam na dole, zakładając, że w ogóle bym jeszcze żył.

- O Allachu! On rzeczywiście wbił sobie to do głowy! I co tu powiedzieć? Milczę, ale zapewniam cię na Mahometa i wszystkich świętych kalifów, że żadne skarby ziemi nie skłoniłyby mnie, abym dobrowolnie zszedł o północy do tej diabelskiej dziury. Wierzyłem mu. Wielki szarif miał w każdym razie o wiele więcej odwagi niż ten gruby amator sfermentowanego soku z winorośli. Tę też nie miałem mu za złe, kiedy oświadczył, że poczeka na wynik naszej wyprawy nie tu u nas, lecz w swojej sypialni i żebyśmy kazali go obudzić o właściwej porze. Poprosiłem go jeszcze, by zadbał o dostateczną ilość rzemieni i sznurów i by wręczono je Omarowi Ben Sadekowi i dwóm Haddedihiom, których w tym celu z nim poślę.

-Niech Allah ma was w swojej opiece! -rzekł pasza odchodząc.

Wkrótce potem Omar i dwaj Haddedihiowie przynieśli tyle rzemieni i sznurów, jakby chodziło o uwięzienie i związanie całej armii. Był już najwyższy czas, byśmy obaj z wielkim szarifem zabrali się do dzieła. Ponieważ chodziło tu prawdopodobnie o długą próbę cierpliwości, zabraliśmy ze sobą koce, również dla emira. Jeszcze raz nakażalem pozostającym na górze, aby zachowywali się jak najciszej i nie schodzili do piwnicy, zanim nie usłyszą danego przeze mnie znaku, strzału z rewolweru. Potem zapaliłem pochodnię i otworłem drzwi sklepienia. Z pochodnią w ręku zszedłem przed emirem ze schodów. Najpierw skierowałem się do kamienia zamykającego otwór i zbadałem ziemię. Nie znalazłem śladów, które by wskazywały, że od naszej ostatniej bytności był otwierany.

Potem poszliśmy do najodleglejszego kąta i usunęliśmy kurz, który nagromadził się tam w ciągu lat. Rozesłaliśmy koce, usiedliśmy i zgasiliśmy pochodnię. Nie była nam już potrzebna. Bo kiedy chciałem 181 od czasu do czasu zerknąć na zegarek, sięgałem do buteleczki napełnionej olejem i fosforem, którą zawsze miałem ze sobą w czasie podróży.

Nie powiem, że czułem się zbyt dobrze, kiedy otoczyła nas czarna jak smoła ciemność. A co będzie, jeśli oczekiwani nie nadejdą? Jeśli Ghani odwołał całe przedsięwzięcie i odłożył na późniejszy termin? Wtedy byłbym skompromitowany przed wielkim szarifem i paszą. Musiałbym odejść zhańbiony i narażony na szyderstwo. Przecież nie mogliśmy całej akcji powtarzać na chybił trafił każdej nocy. Tę by nas jeszcze bardziej ośmieszyło, zakładając nawet, że byłoby takie łatwe jak dzisiaj. I w jaki inny sposób mógłbym dowieść, że Ghani jest zdrajcą? Ale liczyłem na mściwy charakter Ghaniego i na to, że palił się do zemsty. Byłem przekonany, że dziś się zjawi. Ale nawet wtedy mogło się nam nie powieść. Wystarczyło, by ktoś z oddziału popełnił drobny błąd i cały trud poszedłby na marne.

Tym razem nie było tak jak zawsze, kiedy to wykonanie planu spoczywało całkowicie w moich rękach. Okoliczności tak się ułożyły, że dużą część odpowiedzialności musiałem powierzyć innym. Ale miałem nadzieję, że szkoła, którą pod moim kierownictwem przeszli Haddedihiowie, nie była daremna, że zrobią wszystko, by nie popełnić błędu.

Kiedy przemyślałem całą sprawę, zdziwiło mnie zachowanie paszy. Wiedział, że całe plemię Beduinów wyruszyło, by szturmem wziąć w nocy cytadelę, a jednak bez specjalnego oporu zgadzał się, by przeciwnatarcie zostało przeprowadzone przez obcych ludzi i w dodatku przez bardzo małą ich garstkę. Widocznie wielki szarif musiał wychwalać nas pod niebiosa, jeśli udało mu się

pokonać wahania paszy i uspokoić jego poczucie odpowiedzialności. Najchętniej uściskałbym emirowi rękę za zaufanie, jakie nam okazał.

Jakie myśli zaprzętały teraz jego głowę? Był zdenerwowany, sły-szałem jego głośny, szybki oddech. Ale nawet mi cio głowy nie przyszło lekceważyć go z tego powodu. Nie brakowało mu odwagi, ale była to 182 prawdopodobnie pierwsza poważna przygoda w jego życiu, której musiał sprostać. Ostatecznie mógł, tak jak pasza, przeczekać w spo-koju i komforcie swego pałacu aż do zakończenia przedsięwzięcia. Ale nie chciał. Nie odpowiadało mu, by inni narażali się na niebezpieczeństwo w jego sprawie, a on spokojnie się temu przyglądał. I to mi się w nim podobało, choć muszę szczerze wyznać, że wolałbym polegać tylko na samym sobie.

Czas płynął tak powoli, jakby był z ołowiu. Minuty zdawały się długie jak godziny. Emir prawie nie mógł już opanować swego znie-cierpliwienia i pytał mnie po raz dwudziesty, jak długo przypuszczał-nie jeszcze będziemy czekać, a ja cierpliwie po raz dwudziestywyjąłem korek z butelki, by wpuścić tam tlen. Na zegarku było kilka minut po pierwszej. A więc jeszcze całą godzinę! Ze względu na emira, który kręcił się coraz niespokojniej na swoim kocu, życzyłem sobie, by Ghani nie trzymał się umówionego czasu i nadszedł wcześniej. Właś-nie chowałem butelkę, gdy... co to było? Czyżby spełniło się moje życzenie? Spostrzegłem w miejscu, gdzie była płyta zamykająca otwór, promyk światła nie szerszy niż ostrze noża. Emir także to ujrzał i tak mocno ścisnął mi ramię, że omal nie krzyknąłem. Światelko szybko się powiększało. Potem usłyszałem znane mi głucho uderzenie, znak, że kamień opadł z powrotem do ściany, a w otworze ukazała się biało odziana postać z kapturem nisko naciśniętym na głowę i z pochodnią w ręku. Kto to był? Czy to Ghani? Był sam czy też przyprowadził swoich sojuszników? W takim razie czas, byśmy działali. Nie wolno nam było czekać, aż jeden lub kilku z nich zejdzie na dół. Szepnąłem emirowi, by nie ruszał się z miejsca i chciałem właśnie skoczyć, ale się zatrzymałem, bo ujrzałem, że postać przelotnie oświetliła przestrzeń dokoła mnie, jakby chciała się przekonać, że nikogo tu nie ma, a potem powolnym, cichym krokiem odeszła w kierunku schodów. Na szczęście nie można było nas zobaczyć, światło pochodni nie dotarło do naszego kąta. Sądząc z kroku i postaci był to Ghani. Ale czego tu chciał? Czego szukał przy schodach? Może chciał się rozejrzeć, jak 183 wszystko wygląda na zewnątrz? Ale wtedy spostrzegłby ustawionych tam Haddedińów, a ci spostrzeżliby jego, do tego zaś nie mogłem dopnieć, bo mogłoby się stać coś, co by było nie po mojej myśli. Postać miała już tylko parę kroków do schodów, wówczas wstałem. Szepnąłem emirowi, żeby szybko zapalił pochodnię i pobiegłem śla-dem białej postaci. Właśnie stawała nogą na pierwszym stopniu, kiedy położyłem rękę na jej ramieniu.

- Abadilah!

Szarpnął się, jakby grom w niego uderzył. Przerażony obejrzał się i spojrzął na mnie szeroko rozwartymi oczami. 'Iak, to był Ghani, teraz go poznałem. On także mnie poznał. Cały zeszywniał, prawa ręka rozwarła się i pochodnia spadła na ziemię. Pochyliłem się szybko i podniosłem ją, by nie zgasła.

- Czego tu szukasz, Abadilahu?

Ghani był tak przerażony, że nawet nie wpadło mu do głowy by wyjąć broń. Był tchórzem, całkowicie niezdolnym do obrony. Skorzy-stałem szybko z tej okoliczności. Ghani miał przy pasku nóż i pistolet. Wyciągnąłem mu je i rzuciłem za siebie na ziemię. Pozwolił na to spokojnie, nie robiąc najmniejszego ruchu. Potem powtórzyłem swo-je pytanie.

- Czego tu szukasz, Abadilahu?

Emir zapałił tymczasem pochodnię i podszedł do nas, lecz Ghani w swym przerażeniu nawet go nie zauważył, nieruchomy jego wzrok skierowany wciąż był na mnie. 'Ii-ochę życia pojawiło się na jego twarzy. Wargi zaczęły mu drgać i niedorzecznie powtórzył moje pyta-nie.

- Czego... tu... szukasz... Abadilahu?

Było to prawie śmieszne. 'I~n nędzny tchórz zachowywał się jak bezradne dziecko. Potrząsnąłem nim i ofuknąłem.

-Abadilahu! Ty tchórze! Odpowiadaj! Znasz mnie? I~raz wreszcie się ocknął. Policzki mu się zaróżowiły, w oczach ukazał się wyraz nienawiści. Wyrzucając z siebie obrzydliwe 184 przekleństwo, podniósł ręce, jakby chciał rzucić się na mnie, ale się nie odważył, chyba dlatego, że wyraz moich oczu zastraszył go. Więc tylko syknął.

- Znam cię, ty psie! Jaki szatan cię tu sprowadził?

Wskazałem na emira, króży stanął przed nim i spojrzał nań z mniem, pogardliwym wzrokiem. Na jego widok Ghani się załamał. Oczy mu wyszły na wierzch i ochryplym z przerażenia głosem zawołał.

- Biada mi! To emir! O Allachu! Jestem zgubiony!

Emir zmierzył tego nędznika wzrokiem pełnym głębokiej pogardy.

Potem rzekł powoli, niemal uroczyście.

-‘I~k, Abadilahu! Masz rację! Jesteś zgubiony!

Słowa te przywróciły Ghaniemu przytomność. Z ochryplym krzykiem wściekłości rzucił się do otwartego wejścia. Przewidziałem coś takiego i kiedy chciał mnie minąć, podstawiłem mu nogę, upadł. Potem oddałem pochodnię emirowi i mocno chwyciłem Ghaniego za gardło, tak, że zaniechał oporu.

- Przyciskając go do ziemi jedną ręką, drugą wyciągnąłem z kieszeni rzemień. Potem ukląknęłam mu na piersi, związałam ręce i nogi tak mocno, że bez czyjejś pomocy nie mógł się uwolnić.

-‘I~k, Abadilahu! Poproszę cię, abys jeszcze trochę z nami został, mamy z tobą jeszcze coś do omówienia. Teraz po raz trzeci zadaję ci pytanie. Czego tu szukasz?

Wzrok Ghaniego pobiegł do otworu, a potem badawczo spoczął na mnie. Co wiedziałem o sprawie, która go tu przywiodła? Nasza obecność w tym miejscu i o tej porze była dla niego zagadką nie do rozwiązania, nie mógł przecież przypuszczać, że dowiedzieliśmy się o jego zdradzie. Ten wniosek musiał mu się wydać niemożliwy, biorąc pod uwagę, że wszystko było ułożone w wielkiej tajemnicy. Nie wiedział, jak ma się zachować, dlatego odpowiedział.

- A cóż to ciebie obchodzi!

- Nie można powiedzieć, że wyrażasz się uprzejmie, Abadilahu!

Ale wkrótce będziesz uprzejmiejszy. Dokąd prowadzi ten otwór, 185 przez który wszedłeś?

Ghani wybuchnął szyderczym, lecz trochę wymuszonym śmiechem.

- Czemu mnie o to pytasz? Przecież zawsze udajesz, że wiesz wszystko! Wysł swój mózg, a otrzymasz odpowiedź.

- No dobrze, Abadilahu, skorzystam z twojej rady i pozwolę swojemu mózgowi na małą przechadzkę. Zobaczymy, dokąd mnie zaprowadzi. Najpierw schodzi się dużo, dużo stopni na dół, potem dochodzi się do miejsca, gdzie korytarz odgałęzia się od prostej linii. Kiedy się nim idzie, dociera się wkrótce do drewnianych drzwi prowadzących na zewnątrz. Czy, jak dotąd, dobrze widziałem?

- Obyś się spalił!

- Na zewnątrz tych drzwi widzę... O! Kogo tu widzę? Toż to cała armia Beduinów, którzy zdają się na kogoś czekać. Możesz mi powiedzieć, na kogo?

Ghani zbladł. Musiał sobie teraz zdać sprawę, że znam jego tajemnicę i, że wszystko stracone.

Mimo to postanowił wszystkiemu zaprzeczać.

-Do stu diabłów! Nie rozumiem cię! Co ja mam z tym wspólnego?

- Jeszcze pytasz? Czyś nie zamówił tu swego zięcia, szejka Beni Sebidów, z jego czterystoma wojownikami na godzinę drugą po północy?

T~raz Ghani stracił panowanie nad sobą. Jeśli jeszcze wątpił, to fakt, że znałem nawet jego tak troskliwie utrzymywany w tajemnicy stosunek pokrewieństwa z szejkiem Beni Sebidów, musiał go przekonać, że wiedziałem wszystko. Głosem zachłystującym się z wściekłości i nienawiści syknął na mnie.

- Ty psie, ty szakalu, chyba jesteś w spisku z diabłem. Kto ci to wszystko zdradził?

- Kto mi zdradził? A któżby inny jak nie ty sam?

'I-go już było za wiele. Ghani wybuchnął spazmatycznym śmiechem.

- Ja miałem ci to zdradzić? Ja, twój śmiertelny wróg, który cię 186 nienawidzi tak, jak tylko człowiek zdoła nienawidzić człowieka? Może mi powiesz, kiedy i gdzie?

- Przypomnij sobie jaskinię Atafrah i to, o czym tam mówiono!

Leżałem z szejkiem Haddediwnów za kamieniem i słyszałem każde słowo.

Przez chwilę panowała cisza. Potem Ghani wybuchnął takim potokiem przekleństw, że pióro się wzdraga, by je oddać. Pozwoliłem mu jeszcze chwilę szaleć, potem przetrwałem.

- Milcz, nędzniku! Twoje przekleństwa nie trafią w nas, lecz spadną na twoją głowę. Twoja kariera przestępcy w dniu dzisiejszym dobiegła końca i wkrótce otrzymasz zapłatę za swoje zbrodnie popełnione wraz z zięciem na pielgrzymach, a jeszcze dawniej na hrabim Werniłowie.

Ghani drgnął, ale zaraz się opamiętał.

- Hrabim Werniłowie? Ach, masz na myśli starego Munedziego.

No cóż, mogę sobie wyobrazić, że ten stary wariat, ten głupek podał ci swoje właściwe nazwisko. Ale co masz mi w związku z nim do zarzucenia?

- Więcej, niż myślisz. Przede wszystkim pytam cię, kto ponosi winę za to, że ten pełen ufności człowiek porzuca swoją drugą ojczyznę, która zastąpiła mu rodziców, żonę i rodzinne strony? Wyraz szyderczej złośliwości przemknął przez twarz Ghaniego, kiedy triumfująco zawołał.

-Ja temu byłem winien, ja. I powiadam ci, było to moje najlepsze dzieło, z którego dziś jeszcze jestem dumny, bo odwiodłem go od wiary jego ojców i nawróciłem na islam.

- Nie raduj się tak z tej nikczemnej podłości - odparłem zimno.

- Hrabia dawno już zrozumiał swój błąd i mocno za niego żałował.

Wrócił nawet do wiary swojego dzieciństwa.

- 'Pdk? Czyżby? - szydził Ghani. - No niech mu tam! Uiydzam chrześcijaństwu tego najnowszego wątpliwego zwycięstwa, i~o c:el, w jakim to zrobiłem, został osiągnięty.

187

- Zgadzasz się? Przez Werniłowa ty stałeś się ghanin, a on przez ciebie stał się żebrakiem. Ghani raptownie obrócił się do mnie twarzą.

- Co masz na myśli?

- Mam na myśli, że hrabia za swoją ufność zapłacił utratą całego swojego majątku.

- Czy ty oszalał? Co ma wspólnego jego ufność z majątkiem? Czy nie powiedział ci, że został okradziony przez pielgrzymów?

- Owszem, ale ja nie jestem tak łatwowierny jak on i w to nie uwierzyłem.

-Możesz myśleć, co chcesz, jest mi to obojętne. Ale mnie zostaw w spokoju. Co mnie obchodzi majątek hrabiego?

- Owszem, bardzo cię obchodzi. Jestem bowiem zdania, że ty sam najlepiej wiesz, w jaki sposób i gdzie zniknęły jego pieniądze.

- Skąd mam wiedzieć? A gdybym nawet wiedział, sądzisz, że bym właśnie tobie powiedział?

- Nie sądzę. Nie musisz mi tego mówić, bo już wiem.

- Wiesz... to... już?- zapytał Ghani szyderczo, rozciągając wyraz.-Jakiś ty mądry, jakiś ty nieskończenie mądry! Widzisz i słyszysz rzeczy, o których nikt prócz ciebie nie ma pojęcia. Podziwiam twoją bystrość. Szkoda tylko, że tym razem jesteś na fałszywym tropie.

- Jesteś taki pewny? Naprawdę jesteś tak mocno przekonany, że nikt nie wpadł na trop tajemnicy twego domu modlitwy i znajdującego SiP tam niebieskiego dywanu?

To podziałało. Nagła czerwień zalała twarz Ghaniego. Chciał coś powiedzieć, ale tylko wargi zdrząły, tak zaskoczyły go moje słowa.

Krztusił się i krztusił, wreszcie z trudem wybąkał. -

- Nie... rozumiem... cię... Co... chcesz... przez... to... powiedzieć?

- Chcę powiedzieć, że byłem w twoim domu modlitwy i znalazłem w niebieskim dywanie ze złotymi sentencjami z Koranu cały majątek hrabiego. Może mi powiesz, w jaki sposób się tam znalazł? Przrzekam ci nawet, że dziś jeszcze dokładnie zbadam oba czerwone dywany. Jeśli Ghani dotąd tylko z wielkim wysiłkiem starał się zachować zimną krew, to teraz się załamał. Moje oświadczenie, że wdarłem się do jego najświętszego przybytku i go ograбіłem, doprowadziło go niemal do szaleństwa. Zaczął tak ryczeć, że trudno by to było nazwać ludzkim głosem, i usiłował wyzwolić się zwięzów, przyciskając kolana do ziemi i potem podrywając się z całą mocą. Ale jego usiłowania były daremne. Kiedy zrozumiał, że to się na nic nie zda, wyrzucił z siebie taki stek najohydniejszych przekleństw, że z trudem tylko mogłem zachować spokój. Był to obrzydliwy widok. Kiedy Ghani wreszcie osłabł od tego szaleńczego wrzasku, wielki szarif rzekł z niesmakiem.
 - Effendi, po co tyle słów tracisz na tego obrzydliwca. Wina jego jest udowodniona i poniesie karę jako zdrajca.
 - Nie ważcie się mnie tknąć! - zawołał Ghani. - Nie jestem taki bezbronny, jak myślicie. Biada wam, jeśli mi włos spadnie z głowy. Moje przekleństwo...
 - Nie ośmieszaj się - nie mogłem się powstrzymać od odpowiedzi: Nie boimy się twojego przekleństwa. Powiedziałem ci już przedtem, że nam nic nie zaszkodzi, a spadnie na twoją głowę. I niby kim nas chcesz nastraszyć? Twoimi pomocnikami w mieście? Ich imiona znamy od pierwszego do ostatniego i nie ujdą karze. Czy też tymi czterystu Beni Sebidami w ruinach? Sami niedługo będą leżeli związani w tym samym co ty pomieszczeniu i będą przeklinać godzinę, w której zgodzili się brać udział w twoich zbrodniach.
 - Niech Allah zachowa twój rozum - szydził Ghani. - Beni Sebidowie tu się nie zjawią, cofną się. Ponieważ nie przyjdę, by ich wpuścić, pomyślą, że stało się coś ważnego i wezmą nogi za pas.
 - Mylisz się - odparłem - przyjdą, bo ich sprowadzę.
 - No sprowadź, sprowadź - szydził dalej Ghani. - Ciekaw jestem, jak to zrobisz. Widzę już w duchu, jak kiwniesz palcem, a oni, jeden za drugim, wpadną w twoje sieci, jakie na nich zastawisz, ty,
- 189 obcy człowiek, którego ujrzą dziś po raz pierwszy. Wpadną jak kara-wana wielbłądów, których ogony powiązane są rzemieniami i które cierpliwie stąpają za idącym przodem przewodnikiem.
- Nie kpj, lecz poczekaj. Bardzo chętnie i dobrowolnie posłuchają, bo wezmą mnie za szarifa Abadilaha. Moje słowa spowodowały wybuch śmiechu więźnia.
- Nie zwracałem na to uwagi, pociągnąłem emira na bok i powiedziałem, jaki mam plan. Najpierw, tak jak się spodziewałem, nie zgodził się z nim, uważał, że jest zbyt niebezpieczny. Przekonałem go wreszcie, że należy przynajmniej spróbować, za-znaczając, że byłoby dla niego i dla mnie bardzo upokarzające, gdy-byśmy dostarczyli paszy jako rezultat nocnej wyprawy tylko jednego więźnia, podczas gdy czterystu Beni Sebidów by się wymknęło.
- Zresztą - zakończyłem - sprawa wcale nie jest aż tak niebezpieczna, na jaką wygląda. Przecież będą musieli wziąć mnie za swego sojusznika. Wyobraź sobie, w jakiej znajdują się sytuacji. Wiedzą, że Ghani ściśle pilnuje tajemnicy przejścia. A teraz o dokładnie ustalonej porze otworzą się drzwi i ujrzą człowieka o tym samym wzroście i w takiej samej odzieży, w jakiej zawsze widzieli Ghaniego. Kiwa do nich, by weszli. Czyż nie muszą uznać, że to on? Czemu mieliby coś podejrzewać? Byłoby to tylko w tym wypadku możliwe, gdyby przed-tem F-lalef lub jego ludzie popełnili jakiś błąd. Co prawda nie wiem, jak sprawy wyglądają na zewnątrz, ale trzeba się odważyć.
 - Effendi, jeśli twój plan się powiedzie, będę wdzięczny Allachowi. Ale jeśli ktoś cię zagadnie? Wtedy rozpoznają po głosie, że to ktoś inny.
 - Do tego nie wolno dopuścić. A jeśli już, to będę mówił szeptem, a wtedy wszystkie głosy brzmią podobnie.
 - Jesteś dziwnym człowiekiem, effendi. Gotów jestem sądzić, że nie ma sytuacji, której byś nie sprostał. Czuję się wobec ciebie taki mały.

Wcała niesłusznie - roześmiałem się wesoło. - Prawda jest 190 taka, że już bywałem w gorszej sytuacji niż teraz, ale zawsze szczęście mi sprzyjało. To daje mi pewność siebie, a także coś, czego nie umiem wyrazić, ale co mnie nigdy nie zawiodło. Jest najbliższe temu, co określa się słowem intuicja. Ale może teraz zabierzemy się do roboty. Nie powinienem dopuścić do tego, by Beni Sebidowie czekali. Zmiana planu spowodowała, że Hadedihnowie nie musieli już pozostawać na zewnątrz. Więc ich sprowadziłem i poinformowałem krótko o tym, co zaszło. Słyszeli wybuchy wściekłości Ghaniego i wywnioskowali, że zaszło coś istotnego. Siedzieli jednak cicho czekając na sygnał. Poleciałem, aby ustawili się po obu stronach zejścia, ale aby zachowywali się jak najciszej. Nie musieli się już ukrywać, ponieważ waż nie Ghani, lecz ja miałem sprowadzić Beni Sebidów. Potem nakazałem odciągnąć Ghaniego do kąta, zdjęć z niego burnus i haik, które ja sam miałem włożyć. Prawdopodobnie teraz zaświtało Ghanemu, jaki mam zamiar, toteż bronił się rękami i nogami, ale nic nie mógł poradzić.

Aby nie zaczął krzyczeć i w ten sposób nie ostrzegł nadchodzących, zakneblowano mu usta. Zostawiłem jednego Hadedihna, by go pilnował i nie spuszczał z oczu. Potem nałożyłem burnus Ghaniego i naciągnąłem kaptur haika tak nisko na ezoło, że górna część twarzy, zwłaszcza oczy, były niewidoczne. Kazałem podać sobie nie używaną jeszcze pochodnię, zapaliłem ją, potem skoczyłem w dół i po kilku chwilach usłyszałem, jak płyta nade mną z głuchym uderzeniem opadła na pierwotne miejsce. Byłem sam.

W pu~apce

Akcja, którą teraz podejmowałem, była bardziej niebezpieczna, niż to przedstawiłem emirowi. Mogła zdarzyć się jakaś niekorzystna oko~liczność, która zagrażałaby memu życiu lub przynajmniej zniweczyła szanse powodzenia mego planu. Nawet jeśli uda mi się zwabić do pułapki wszystkich Beni Sebidów, wystarczy, by tylko jeden idący za mną, prawdopodobnie sam szejk, nabral podejrzeń i wszystko weźmie w łeb. Co prawda dostatecznie długo przebywałem na pustyni z Ghanim, tak że potrafię dość wyraźnie naśladować jego chód i postawę, ale szejk znał swego teścia o wiele lepiej niż ja i może na podstawie najdrobniejszych znaków poznać, że to nie Abadilah przed nim idzie, lecz ktoś inny. W tym wypadku, a bądź co bądź było to możliwe, wiedziałem, co mam zrobić, tylko, że znalazłbym się jednak w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Rozważając to wszystko doszedłem do rozgałęzienia korytarza, który prowadził do drzwi z belek i skręciłem w tym kierunku. Jeszcze pięćset kroków i oto stałem za drzwiami, za którymi czekali wrogowie. Przez chwilę zatrzymałem się i nasłuchiwałem. Nic się nie poru~zało. A może jednak? Czy nie docierał do mnie jakby jakiś przytłumiony 192 szept? No, najbliższa chwila pokaże, jak sprawa się przedstawia. Odsunąłem rygiel i otworzyłem drzwi. Siedzieli stłoczeni lub wciśnięci pomiędzy ruiny murów, oświetleni jasnym światłem księżyca. W pobliżu mnie stał człowiek, którego od razu poznałem jako szejka Beni Sebidów.

Byłem ogromnie ciekaw, jak się wobec mnie zachowa. Kiedy drzwi się otworzyły, szepty ustały. Siedzący na ziemi poderwali się, a stojący nieco dalej posunęli się do przodu, tam gdzie ja się znajdowałem. Przezornie nie wyszedłem z cienia i trzymałem w lewej ręce pochodnię, tak że światło nie padało na moją twarz. Na szczęście drzwi nie oświetlał blask księżyca, tak że widać było tylko zarysy mojej postaci. Zależało mi, by Beni Sebidowie, którzy widocznie trochę znecierpliwili się długim czekaniem, niezbyt blisko do mnie podeszli. Toteż uczyniłem władczy ruch ręką, który spowodował ich natychmiastowe zatrzymanie się w miejscu. Potem ostrzegawczo podniosłem prawą rękę i przyłożyłem dłoń do ust, co zgodnie z mową znaków wszystkich narodów oznacza wezwanie do ostrożności, do milczenia. Potem wróciłem z powrotem do przejścia. Szejk co prawda chciał mnie zagadnąć, ale niecierpliwym ruchem ręki powstrzymałem go, dając mu do zrozumienia, żeby nie tracił czasu na zbyteczne gadanie i oddaliłem się do wnętrza korytarza. Przeszedłem około trzydziestu kroków, zatrzymałem się i czekałem, co zrobią. Czy pójdą za mną, czy też coś wydało im się podejrzane?

Okazało się, że nie było powodów do niepokoju. Podeszli. Naj-pierw szejk, a potem inni tłoczyli się tuż za nim. Okazało się przy tym, że nie miałem tu do czynienia z Indianami, lecz z łatwo irytującymi się Beduinami. Przepychali się i cisnęli, każdy chciał być pierwszy. Rzecz jasna, że nie obeszło się przy tym bez szmerów. Mnie to bardzo dogadzało, bo im bardziej się spieszyli, tym prędzej mogli się znaleźć w pułapce i tym prędzej Halef i jego oddział mogliby zatrzasnąć za nimi drzwi.

Co prawda nie pozwoliłem szejkowi zbliżyć się do mnie. Kiedy był 13 --- W podziemiach Mekki 193 tylko w odległości pięciu kroków, obejrzałem się i poszedłem naprzód, przy czym wciąż uważałem, by odstęp między nami się nie zmniejszał. Trzymałem też pochodnię tak, że jej światło padało do tyłu, na pozór po to, aby idący za mną lepiej widzieli drogę przed sobą. W istocie jednak robiłem tak po to, aby moja postać niezbyt ostro rysowała się w świetle. Tak więc szliśmy dalej i gdy miałem wrażenie, że już ostatni z Beni Sebidów wejdzie do korytarza, szejk zawołał do mnie.

- Abadilahu!

Udałem, że nie słyszę i szedłem spokojnie dalej. Teraz mieliśmy już czterysta kroków za sobą i niedaleko było do miejsca, gdzie gładki grunt przechodził w prowadzące do góry stopnie.

-Abadilahu, posłuchaj!

Ale rzekomy Abadilah nie chciał słuchać, zirytowany tylko machnął przecząco ręką i spieszył dalej. Wreszcie w świetle mojej pochodni ukazał się zakręt. Dzięki Bogu! Spadł mi kamień z serca, najtrudniejsza część akcji udała się. Według mojego obliczenia Beni Sebidowie niby pszczoły do ula wtoczyli się wszyscy w pułapkę, chociaż minęło zaledwie pięć minut, odkąd szejk jako pierwszy wszedł do przejścia. Jeśli Halef dobrze uważał, to znajdował się prawdopodobnie tuż za nimi. A nawet jeśli nie wszyscy weszli i tak mogłem uznać, że przedsięwzięcie się udało. Bo jeśliby coś się wydarzyło z przodu, wiadomość o tym, co zaszło długo biegłaby do ostatniego ogniwa, a wtedy już na pewno wszyscy byłiby wewnątrz.

Z uczuciem wielkiej ulgi skręciłem za róg i wstąpiłem na prowadzące w górę stopnie. Przedtem rzuciłem przelotne spojrzenie za siebie. Pierwszych sześciu Beni Sebidów, którzy szli tuż za szejkiem, mogłem jeszcze rozpoznać, reszta pozostawała w ciemności. Tylko ' gdzieś daleko z tyłu widziałem światełko. Była to pierwsza z pochodni, która, zgodnie z umową zawartą między Ghanim a szejkiem, miała palić się w odległości co stu ludzi. Skutek tego uzgodnienia nie był dla Sebidów zbyt korzystny, bo kiedy ja, niosący pochodnię, zniknąłem 194 za zakrętem, idących za mną stu ludzi pozostawało w ciemności. To chyba dało szejkowi do myślenia, bo ledwo wstąpiłem na pierwsze stopnie, zawołał do mnie z najwyższą niecierpliwością.

-Abadilahu, zaczekaj wreszcie! Muszę cię o coś zapytać. Jeśli nie posłuchasz, nie zrobimy ani kroku dalej, przysięgam ci na Mahometa i wszystkich świętych kalifów.

No cóż, nie mogłem mnie nastraszyć tą groźbą, jako że nie byłem Abadilahem. Jeśli chciał pozostać w tyle, nie miałem powodu mu w tym przeszkadzać. Zresztą o tyle wsiąkł w tę przygodę, że jeśli nawet szedłem dalej nie zwracając uwagi na jego słowa, i tak chcąc nie chcąc musiał za mną iść. Toteż jakbym ogłuchł, wspinałem się dalej i dalej. Wówczas szejk, który za wszelką cenę chciał ze mną pomówić, skoczył za mną i kiedy mnie dosięgnął, chwycił mnie z na wpół zduszonym przekleństwem za podniesioną rękę, w której trzymałem pochodnię. To mi bardzo dogadzało. Już nie mogłem dalej udawać Ghaniego, bo podczas rozmowy, którą szejk chciał wymusić i tak zostałbym zdemaskowany. A więc musiałem się zdecydować i jakby przerażony zachowaniem szejka upuściłem pochodnię.

- Allachu, Allachu! - udałem przerażenie i nachyliłem się, jak-bym chciał podnieść pochodnię.

Wcale nie miałem takiego zamiaru, lecz przydepnąłem ją i wygasilem, tak że znaleźliśmy się w nieprze-niknionych ciemnościach.

- O, co za nieszczęście! Co ty wyrabiasz! Uważaj i...

Dalej szejk nie doszedł. Puścił moją rękę i tak jak ja pochylił się nad pochodnię. W ten sposób znalazł się w dogodnej pozycji dla moich pięści. Lewą ręką ścisnąłem go za gardło, żeby nie mógł krzy-czeć, prawą uderzyłem go w skroń, tak że z zamierającym rżeniem padł i potoczyłby się po

schodach, gdybym go nie przytrzymał. Podniosłem go i przerzuciłem przez ramię. Trwało to jedną chwilę, potem macając obiema rękami ściany, wspinałem się z moim ciężarem bez szmeru po schodach.

195

Całe to zajście odbyło się w ciągu paru sekund i tak cicho, że Beni Sebidowie nie mogli nic spostrzec i chyba sądzili teraz, że staramy się na nowo zapalić pochodnię. Na razie za mną panowała cisza, więc skorzystałem z tego, by szybko wspiąć się na górę. Co prawda nie było to takie proste wchodzić po schodach z ciężkim mężczyzną na plecach, i to w ciemnościach. Z wysiłku cały się spociłem. Dość wysoko już zaszedłem, kiedy usłyszałem, jak z dołu wołają Ahmeda Ghaliba i Abadilaha. Nie zwracając na to uwagi, szedłem coraz dalej. Teraz była dłuższa pauza, sądziłem, że około pięciu minut, gdy odwracając się ujrzałem światło na dole. Albo Beni Sebidowie znaleźli upuszczoną na ziemię pochodnię, albo zapalili inną. Teraz szukali chyba mnie i swego szejka, i myślałem z przyjemnością o ich zaskoczonych twarzach, kiedy stwierdzili nasz brak. Teraz już nie miałem się czego obawiać. Kiedy zobaczyłem światło po raz pierwszy, z oddali wydawało mi się małe jak robaczek świętojański, a do chwili, kiedy wyprowadzeni w pole wreszcie się połapią, co się stało, minie tyle czasu, że od dawna będę bezpieczny. Toteż zwolniłem tempo, nie troszcząc się więcej, co się za mną dzieje. Jak gdzieś z bardzo daleka rozlegały się jeszcze pogmatwane głosy i wołania, kiedy dotarłem do celu. Upuściłem szejka na stopnie i przycisnąłem plecy do zamknięcia. Tym razem wystarczyła połowa siły, ponieważ stojący na czatach Haddedihowie spostrzegli poruszenie się kamienia i od razu udzieli mi pomocy. Powiedziałem im jak sprawa wygląda, wołając przez otwór.

- Wszystko w porządku. Zapalcie pochodnię, ale tylko jedną.
Szybko!

Potem chwyciłem nieprzytomnego szejka za kołnierz i powlokłem kilka stopni wyżej, gdzie powitano mnie radośnie. Emir podbiegł do mnie i chwycił za rękę.

- Dzięki Allahowi, że jesteś, effendi! Obawiałem się o ciebie.

Udało ci się?

- Lepiej, niż się spodziewałem.

196

- Kim jest ten człowiek, którego przywlokłeś?

- To szejek Ahmed Ghalib.

- Naprawdę? Jak tego dokonałeś? I jak ma się sprawa z Beni Sebidami?

- Są w sidłach, założywszy, że pozostałe dwa oddziały wykonały swoje zadanie, w co nie wątpię.

Ale wybacz, że w tej chwili nie powiem ci nic więcej. Musimy pomyśleć o czymś innym, sądzę bowiem, że niedługo będziemy mieli tu wrogów.

Potem zwróciłem się do Haddedihow, którzy od razu zatrzasnęli kłapę, kiedy wyszedłem z otworu.

- Zwiążcie szejka i zakneblujcie mu usta, aby nie krzyczał, kiedy się obudzi.

Szybko wykonali mój rozkaz. Potem pouczyłem ich, jak się mają zachować. Jeśli powiedziałem, że wkrótce tu nadejdą Sebidowie, to liczyłem się z tym, że zniknięcie szejka musiało ich całkowicie zaskoczyć. Toteż nie pozostało im chyba nic innego niż go szukać i rzecz jasna, iść w kierunku, w którym się oddaliliśmy. Uważałem za wykluczone, by zostawili swego szejka na łasce losu i zaczęli zawracać. Właściwie mogłoby mi być obojętne, czy wróg dojdzie do tego miejsca. Szejek znajdował się w naszej mocy, mieliśmy środki, aby ich zmusić, by się poddali. Ale można było dojść do celu o wiele szybciej, gdyby tu przyszli i gdyby mi się udało ująć jeszcze jednego więźnia, którym posłużylibyśmy się jako łącznikiem pomiędzy szejkiem i Sebidami. Należało teraz przekonać Ahmeda Ghaliba, że są całkowicie w naszej mocy i, że wszelki opór jest daremny. Przy pertraktacjach w sprawie poddania się taki więzień mógłby nam oddać nieocenioną przysługę.

Kiedy wydałem niezbędne polecenia, zgasiliśmy pochodnie i ułożyliśmy się płasko na ziemi wokół kamienia zamykającego otwór, abyśmy nie od razu zostali dostrzeżeni.

Związany szejka z kneblem w ustach został usunięty dalej.

Wkrótce okazało się, że moje przypuszczenie było słuszne.

197

Czatowaliśmy około dziesięciu minut, kiedy usłyszałem lekki szmer, nadszedł wróg. Przez chwilę było cicho. Widocznie badali zamknięcie i naradzali się, w jaki sposób je otworzyć. Wkrótce ujrzałem pasemko światła, które coraz bardziej się rozszerzało, a potem ukazała się głowa ostrożnie wyglądająca zza krawędzi. Nie było nas widać, znajdowaliśmy się w ciemnościach, podczas gdy żaden ruch człowieka zarysowującego się wyraźnie w świetle nie uszedł naszej uwadze. Po głowie ukazały się ramiona, zerwałem się i złapałem go za szYJę~

- Trzymajcie kamień, żeby nie uszkodził tego człowieka!

Haddedihowie już byli na miejscu i przytrzymali kamień. W samą porę, bo zaczął znowu opadać, jako że mężczyzna pod naciskiem mojej ręki pochylił się i nie mógł dłużej podtrzymać ciężaru. Mocne uderzenie i Sebid leżał u moich stóp.

- Opuśćcie kamień. Zapalcie pochodnie - rozkazałem.

Zaraz zapłonęło światło i spojrzałem w parę szeroko rozwartych z przerażenia oczu. Chwyciłem go tak mocno, że człowiek ten prawie stracił przytomność, a teraz świszczącym oddechem łapał powietrze. Wyciągnąłem mu zza pasa nóż i pistolet i ostrzegłem.

- Tylko bez zbędnych ruchów, bo zginiesz. Jeśli zaś będziesz zachowywał się spokojnie, nic ci się nie stanie. Moje ostrzeżenie było zbyt cenne. 'I~n człowiek był tak zaskoczony, że prawdopodobnie nawet nie myślał stawiać oporu. Już dalej się o niego nie troszczyłem, wziąłem pochodnię i poszedłem do szejka, który tymczasem odzyskał przytomność i spoglądał na mnie płonący-mi oczyma. Uznał jednak, iż będzie lepiej milczeć, ale patrzył na mnie tak, że mógłby mnie strach oblecieć. Nie miałem jeszcze czasu zdjąć odzieży Ghaniego, z tego musiał oczywiście wnioskować, że to ja wciągnąłem go w pułapkę. Oczywiście wprowało go to we wściekłość, większą niż pragnienie dowiedzenia się, kim jestem i jak mi się udało pokrzyżować jego plany.

Nie mogłem czekać do sądnego dnia, aż szejka zechce otworzyć usta 198 i zaszczyścić mnie mową, więc rzekłem.

- No, Ahmedzie Ghalibie, czy wciąż jeszcze sądzisz, że łatwo jest zdobyć tak mocno i dobrze strzeżoną twierdzę?

- Idź do piekła!

- Nie spełnię twego pobożnego życzenia. Ale wcale nie jest wykluczone, że się postaram, aby spełniło się ono w związku z twoją osobą.

- Nie odważysz się. Moi ludzie zemściliby się w okrutny sposób.

- Twoi ludzie? A gdzie oni są? Znajdują się w takiej samej beznadziejnej sytuacji jak ty.

- Łżesz! Moi wojownicy nadejdą i mnie uwolnią.

- Nie ośmieszaj się! 'Iwoi wojownicy są już w sidłach, w które tak pięknie wpadliście.

- Jakie sidła? Nie rozumiem.

- Aż za dobrze mnie zrozumiałeś. Czy naprawdę myślisz, że nie wiem o waszych knowaniach z Abadilahem, z waszym Ghanim?

- Skąd możesz wiedzieć?

- Niech ci wystarczy, że wiem. Wiedziałem już od ostatniej Jom el- Dżum'a i przygotowałem wszystko na wasze przyjęcie.

- Niech Allah cię spali! Mówisz prawdę?

- Tak. 'Iakże wielki szarif, którego chcieliście zgładzi~, zna wasze nieczne plany. I przeszkadziliśmy temu, by Abadilah wyciągnął go dziś rano ze snu, jak ci powiedział pod jaskinią Atafrah.

- Pod... jaskinią... Atafrah... O Allachu, on wszystko wie!

- 'I=ak, wiem wszystko. I także wielki szarif, jak ci powiedziałem.

Spójrz tam, kogo widzisz?

Posunąłem szejka tak, że mógł dojrzeć miejsce, gdzie wśród Had-dediłnów, siedzących wokół zamknięcia otworu, stał wielki szarif ze skrzyżowanymi ramionami, oświetlony pochodniami i patrzący w naszą stronę. Okropny strach ukazał się na twarzy więźnia, wykrzyk-nął, jękając się.

- Na Allacha! To wielki szarif! To naprawdę on!

199

- 'I-k, to on, więc widzisz, że mówiłem prawdę. Jak myślisz, co zrobi z wami zdrajcami?

Na to pytanie nie dał odpowiedzi, tylko spoglądał przed siebie.

Potem nagle ruchem podniósł głowę i skierował do mnie pytanie.

- Gdzie jest Abadilah?

- Chciałbyś wiedzieć? Uspokój się. Niedługo będziecie razem.

Znajduje się nie tak daleko od ciebie, dobrze strzeżony.

- To nieprawda. Mówisz tak, bym ci uległ. Ale nie jestem taki głupi, by w to wierzyć.

- Czy będziesz milczał, czy nie, mnie to obojętne i nie zmieni faktu, że z wami koniec. Może myślisz, że tak głupio zastawiliśmy sidła, że złapaliśmy was wszystkich, natomiast Abadilahowi pozwoli-liśmy się wymknąć?

- Jeszcze długo mnie nie przekonasz, że jeste~myw twoich rękach.

Kim ty w ogóle jesteś? I co ciebie obchodzi cała sprawa? Chcę rozmawiać z wielkim szarifem, nie z tobą.

- Wielki szarif polecił mi, by w jego imieniu prowadzić z tobą pertraktacje. On sam nie zadaje się ze zdrajcami.

- A ja nie mam zamiaru zadawać się z tobą. Daj mi spokój.

- No dobrze, niech będzie, jak chcesz, odchodzę. Ale powiadam ci, że nie dożyjecie wschodu słońca.

Udałem, że chcę odejść, wtedy zawołał pospiesznie.

- Zaczekaj jeszcze! Co masz na myśli?

- Ponieważ wtargnęliście do korytarza, dam teraz rozkaz, aby rozpalić wielki ogień. Dym wypełni całe przejście i zginiecie marnie poduszeni.

- Na Allacha! Nie wolno ci tego robić! Byłoby to morderstwo wołające o pomstę do nieba!

- Morderstwo! A co wy chcieliście zrobić? Czy nie zamierzaliście zamordować wielkiego szarifa i całej jego rodziny, gdyby wasz plan się powiódł?

- Na Allacha! - Ghalib udał zdziwienie. - Co ty wygadujesz!

200

Masz dowody na tak niesłychane oskarżenie?

- Nie trudź się! Wiem jak było. Więc mów szybko, chcesz się poddać czy nie?

- A co się z nami stanie, jeśli się poddamy?

- Nie wiem.

- Nie wiesz! Kpisz ze mnie czy co?

- Ani myślę! Zrozum, że nie ja mam tu coś do powiedzenia, lecz wielki szarif i pasza. Ale przyrzekam ci, że zrobię, co będę mógł, by złagodzić wyrok, ale tylko wtedy, jeśli natychmiast wydasz swoim ludziom rozkaz, by się poddali.

Coś jakby nadzieja błysnęła w jego ponurej twarzy.

-Jak mogę wydać rozkaz moim ludziom, kiedy jestem związany i twoim więźniem?

- Czy nie spostrzegłeś, że wziąłem do niewoli jeszcze jednego z twoich wojowników? Przekaż mu swój rozkaz, a on z kolei zawiadomi twoich ludzi.

- Nie posłuchają go - odparł Ghalib - jeśli ja sam im tego nie powiem.

- Masz tak małe poważanie u swoich ludzi, że słuchają ciebie tylko wtedy, kiedy jesteś z nimi?

Wiem dobrze, o czym myślisz. Sądzisz, że jeśli puszcę cię do nich, znajdziesz sposób, by nam się wymknąć? Nie łudź się! Nie ma dziury, przez którą mógłbyś się prześliznąć. I dość wcześnie dołączysz do swoich ludzi, kiedy będą tu leżeli związani.

- Niech Allah cię zniszczy! Jesteś bardziej nieubłagany niż wilk na pustyni, który unosi swój łup.

- Ostrzegam cię, szejku, przestań przeklinać. Bo cofnę swoje przyrzeczenie. Wówczas zobaczysz, co się z wami stanie. Zresztą będziesz miał dowód, że niemożliwa jest ucieczka. Ujęty Sebid może wrócić do swoich towarzyszy i przekonać się, że wszystkie wyjścia są zablokowane. Daję mu na to pół godziny. Jeśli dotąd nie wróci, zrobię to, co powiedziałem. Każę rozpalić ogień.

Decyduj się szybko. Szejk wreszcie zmiękł. Jeśli miał jeszcze isierkę nadziei, że się 201 nam wymknie, to teraz zrozumiał, że nic z tego. Musiał sobie powiedzieć, że byłem panem sytuacji, bo inaczej nie grałbym na zwłokę. Westchnął głęboko i rzekł.

- Zgadzam się. Niech ten więzień przyjdzie do mnie i powtórz mu w mojej obecności, co ma zrobić, aby widział, że jest to także moja wola i, że powinien ją spełnić.

Poszedłem do Haddedińców i uwolniłem więźnia. Potem zaprowadziłem go do szejka i objaśniłem, co ma zrobić. Kiedy skończyłem, Sebid rzucił pytające spojrzenie na swego zwierzchnika, który wykonał gest przyzwolenia. Po czym poszedłem z nim do wyjścia z korytarza i rozkazałem Haddedińcom ostrożnie podnieść kamień. Uczynili to i spojrzałem w dół. Panowała całkowita ciemność. Wróg widocznie zrozumiał, że tu na górze coś jest podejrzanego i cofnął się, by w innym miejscu starać się wydostać. Dałem Sebidowi palącą się pochodnię i jeszcze raz powtórzyłem, że powinien punktualnie stawić się o oznaczonej porze, jeśli nie chce spowodować śmierci swojej i swoich towarzyszy. Potem więzień zszedł na dół, a ja śledziłem go wzrokiem, aż światło stało się całkiem małe, wreszcie zniknęło, a my zamknęliśmy otwór i czekaliśmy.

Nie mieliśmy zamiaru zadusić dymem wroga, w razie gdyby szejk się nie poddał. Były inne sposoby, by osiągnąć cel. Ale nic nie szkodziło, by im napędzić trochę strachu. Ich gotowość, by zgodzić się na nasze żądanie, była dla nas dogodna, zyskiwaliśmy na czasie. Ostatnia okoliczność była dla mnie istotna, bo chciałem przed nadejściem świtu wszystko zakończyć i stanąć przed paszą w obliczu faktu dokonanego.

Podczas oczekiwania zdałem sobie sprawę, jak ryzykowne z naszej strony było to całe przedsięwzięcie. Wystarczyła drobna nieprzewidziana okoliczność i wszystko by się zawaliło. Odczuwałem niepokój. Co będzie, jeśli tym ludziom uda się przedrzeć przez jedno z przejść strzeżonych przez nielicznych Haddedińców? Co prawda zamknięci mogli tylko dwójkami ruszyć do ataku z powodu ciasnoty przejścia i 202 miałem nadzieję, że Haddedińcowie będą czujni, ale nigdy niczego nie można przewidzieć do końca.

Na szczęście niepokój mój był bezzasadny. Brakowało pięciu minut do umówionego terminu, kiedy na dole zapukano w kamień. Wziąłem rewolwer i dałem polecenie, aby otworzyć na tyle, by tylko jeden człowiek mógł się przedostać. Wszedł ten, którego wysłałem. Nikogo poza nim nie dostrzeżono. Przybyły zażądał, by natychmiast zaprowadzono go do szejka, co też uczyniłem. Wystarczyło spojrzeć na jego przygnębioną minę, by wiedzieć, co i jak. Zamknięci musieli się poddać. Szejk uniósł się na jego widok i zapytał niecierpliwie.

- No i co?

- Szejku, wyjścia są zablokowane. Musimy się poddać.

- To jeszcze się okaże! Ja o tym zadecyduję, nie ty. Jakie wyjścia masz na myśli?

- Drzwi, przez które weszliśmy i wąski szyb prowadzący na górę.

- Dokąd?

- Nie wiem. Są tam żelazne uchwyty wmurowane w ścianę, za pomocą których jeszcze przed moim przyjściem nasi ludzie próbowali wejść na górę. Na pewnej wysokości natknęli się na ciężką kamienną płytę i mimo wysiłku nie udało im się jej podnieść. Tylko ich wyśmia-no.

- Na Allacha! Kto ich wyśmiał?

- Ludzie, którzy siedzieli na kamieniu i obok, jak wywnioskowa-liśmy z brzmienia głosów. Próby przedostania się, musieliśmy wkrót-ce zaniechać choćby dlatego, że uchwyty są wąskie i tylko jeden człowiek może się na nich zmieścić.

- A drzwi?

- Widocznie są od zewnątrz zablokowane ciężką belką, bo mimo wszelkich wysiłków nie puściły ani na szerokość palca. Ich także pilnują od zewnątrz, bo kiedy próbowaliśmy wybić kolbami naszych strzelb, dotarł do nas szyderyczy śmiech. Któryś nawet zawołał do nas, że szkoda dobrych strzelb, lepiej, żebyśmy użyli naszych głów, 203 I: które i tak wkrótce zawisną na stryczku.

- Niech Allah przeklnie tych szyderców! - zgrzytnął ze złością szejk. - Powinniście byli podłożyć ogień pod drzwiami.

- Atlach jest wielki! Ogień pod drzwiami! Czy nie wiesz, że są całe z dębowych belek, które niełatwo podpalić? A gdyby nawet było to możliwe, to i tak nic z tego, bo pochodnie, które mieliśmy, już dawno się wypaliły.

- Bóg jest łaskawy! Nie przynosisz mi dobrej wiadomości. Gdy-bym tu nie był związany, lecz z wami! Już ja bym was uwolnił. Wówczas Sebid dumnie się wyprostował i odparł.

- Nie obrażaj nas. Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy.

Pomyśl, że tylko dwóch lub najwyżej trzech ludzi mogło starać się o ratunek, a w dodatku w ciemności. Nie działałbyś więcej niż my. Szejk musiał uznać rację Sebida. Toteż odrzekł łagodząco.

- Masz słuszość. Nie chciałem cię obrazić i przyznaję, że nie można było zrobić więcej, niż zrobiliście.

Potem dłuższą chwilę spoglądał przed siebie w ponurym milczeniu, wreszcie zwrócił się do mnie.

- Czy dotrzymasz słowa i wstawisz się za nami u wielkiego szarifa?

- Dotrzymam!

- No więc niech będzie! Atlach nas opuścił i oddał w wasze ręce.

Poddajemy się.

- Zostaw w spokoju Allacha. Już dawno was opuścił. Już wtedy, kiedy knuliście ten bezbożny spiszek zgładzenia wielkiego szarifa. 'I-raz spotyka was zasłużona kara.

Ahmed Ghalib nic nie odpowiedział, tylko przekreślił się na bok i przymknął oczy. Skinąłem na Sebida, by poszedł za mną. Potem poczyniono przygotowania do przyjęcia zamkniętych Sebidów. Roz-kazałem uwięzionemu Sebidowi, by wrócił do swoich i powiedział im, że każdy ma złożyć broń w miejscu, gdzie się znajduje. Jeśli przy kimkolwiek znajdziemy choć jedną sztukę, zo~tanie rozstrzelany. Sebid w milczeniu potwierdził, że mnie zrozumiał, i po raz drugi 204 wpuszczony został do szybu, którego tym razem nie zamknęliśmy, ponieważ należało wkrótce oczekiwać nadejścia więźniów. Dwóch Haddedihnów miało z naładowanymi strzelbami ustawić się po obu stronach wejścia i otrzymali rozkaz strzelania do każdego, kto by chciał stawiać opór. Reszta podzieliła się na dwie grupy, jedna miała rewidować, druga wiązać nadchodzących.

Nie musieliśmy długo czekać, bo już wchodzili jeden po drugim. Chyba z biegiem czasu czuli się bardzo nieswojo w ciemnym szybie i musieli zdawać sobie sprawę, że są w sytuacji beznadziejnej, ponieważ poddawali się w milczeniu i bez oporu. Pierwszy wszedł Sebid, które-go posłałem do reszty. Haddedihnowie przeszukali go, czy nie ma ukrytej broni, a potem odsunęli na bok, gdzie czekało dwóch innych. Związali mu ręce na plecach, po czym odprowadzili dalej. 'Pdm miał się położyć, aby mogli mu związać nogi.

To samo działo się z resztą Sebidów. Haddedihnowie wykazali się taką zręcznością, że cały proces odbywał się bardzo szybko. Zaledwie jeden Sebid znalazł się na pierwszym stopniu, już leżał

związany obok swoich towarzyszy. Był to niemal komiczny widok, kiedy jeden za drugim wynurzał się z otworu jak z niewyczerpanej czarodziejskiej puszką, a potem, niby towar, przechodził z rąk do rąk, aż lądował na miejscu przeznaczenia. Po szczęśliwym przebiegu akcji Haddediho-wie brali całą sprawę na wesoło. Rzucali sobie żartobliwe słowa i dowcip. Jakże kontrastowały rozradowane twarze zwycięzców z przy-gnębionymi minami więźniów. Nie brakowało odpowiedniego oświetlenia, w wmurowanych uchwytach umieszczono pochodnie, których był duży zapas.

Jedynym, który nie brał udziału w naszej wesołości, był wielki szarif. Poważny, z rękami skrzyżowanymi na plecach, stał z boku przy otwo-rze do szybu i obserwował krzątanie. Może dopiero teraz, spogląda-jąc na długi szereg więźniów powoli wypełniających całe przejście, zdał sobie w pełni sprawę z ogromu niebezpieczeństwa w jakim znalazł się on i cała jego rodzina.

205

Z żalem musiałem stwierdzić, że pomieszczenie, jakie mieliśmy, absolutnie nie wystarczało, aby pomieścić wszystkich uwięzionych. Z jednej strony nie można było układać ich zbyt blisko siebie, bo utrudniałoby to ogromnie ich pilnowanie, z drugiej zaś strony miałem wątpliwości, czy można ich było umieścić gdzie indziej, na przykład na dworze, bo musiałbym wtedy podzielić moich Haddediho-wów. Poza tym nie chciałem ich obciążać transportem poszczególnych ludzi stromymi, wąskimi schodami. Mogli to równie dobrze zrobić askaro-wie paszy. Toteż posłałem Omara Ben Sadeka do paszy z prośbą, by przyszedł i przyprowadził ze sobą tuzin żołnierzy z załogi twierdzy. Po dziesięciu minutach ukazał się pasza w towarzystwie kome-danta twierdzy. Za nimi wszedł nie tuzin żołnierzy, lecz cała załoga. Dowódca musiał ich sprowadzić na rozkaz paszy. Jakże był zdziwiony, spoglądając na to, co działaliśmy w ciągu nocy, a jakie oczy zrobili askarowie, kiedy się dowiedzieli, o co chodzi! Pasza dotrzymał słowa, ani pisał swym ludziom o tym, co miało się stać w nocy. Tym bardziej byli zdziwieni teraz i tym większy był ich zapal, z jakim zabrali się do przydzielonej im roboty.

Co prawda nie wolno im było zbliżać się do otworu szybu, Hadde-dihnowie na to nie pozwalali, używano ich tylko do zabierania więźniów. Ale wszystko poszło teraz znacznie szybciej i sprawniej. Nie musiałem już dzielić moich ludzi, bo wszyscy mogli się zająć przyjmowaniem i wiązaniem więźniów, podczas gdy askarom pozostawało zabieranie i pilnowanie związanych. Śmieszny widok przedstawiał otyły pasza, który zachowywał się, jakby był zwycięzcą i osobiście każdego Sebidę pokonał i związał. Kroczył pomiędzy rzędami jeńców, tu i tam rozdając mocne kopniaki i grożąc przestępcom najokropniejszymi karami. Gdyby sułtan Mah-mud II nie zniósł końskich ogonów, rzekłbym, że pasza zachowywał się jak władca o co najmniej pięciu ogonach, sułtanowi prz-yślugałoby sześć. Tyko się uśmiechałem pod wąsem. Więźniowie nie obchodzili mniejuż, odkąd złożyłem ich los w ręce paszy, a później chyba będzie można z nim pogadać, tak że nie należało traktować jego grózb zbyt poważnie.

Od przybycia askarów minął zaledwie kwadrans, kiedy ostatni Sebid znalazł się na stopniach, by dołączyć do pozostałych. Teraz dopiero wybuchł entuzjazm moich Haddediho-wów. Ich radość była tak wielka, że zaraziła nawet askarów. Wielki szarif zachowywał się spo-kojniej. Ale oczy błyszczały mu wilgocią, kiedy podszedł do mnie i ujął moją rękę.

- Dziękuję ci, effendi!

Powiedział tylko tyle, ale słyszałem w jego tonie dużo więcej, czego nie wypowiedział. Dlatego odparłem.

- Emirze, nie mnie dziękuj, tylko Allahowi, który posłał mnie na twój ratunek! A jeśli chcesz mi sprawić przyjemność, to wpłyn na paszę, by niezbyt surowo obszedł się z więźniami. Wiesz, że jestem chrześcijaninem i dlatego nie mam tak złego zdania o Beni Sebidach, bo zostali tylko namówieni do tego czynu.

- Effendi, - odparł emir - rozumiem cię i będziesz ze mnie zadowolony.

Ponieważ wszystko było u nas w najlepszym porządku, uznałem, że już czas pomyśleć o innych sprawach, które trzeba załatwić. Wybrałem pięciu Haddedińców i udałem się, pożegnawszy wielkiego szarifa, do przejścia, by spotkać się z Halefem. Nieskończenie długi rząd strzelb, pistoletów i noży leżących na ziemi oznaczał drogę. Kiedy doszliśmy do drzwi z belek, pozwoliłem sobie na żart, by podroczyć się z Halefem. Rozkazałem moim ludziom, by tłukli w drzwi kolbami strzelb. Odpowiedzią był szyderczy śmiech z tamtej strony. Potem rozległ się głos Halefa.

- Znowu tu jesteście, wy szczury i potomkowie szczurów? Czego szukacie w tym miejscu? Jeśli się wam w tej norze nie podoba, to po co tu wleźliście? A może jesteście głodni? 'Ib dam wam radę, pożyjcie się nawzajem jeden po drugim, ale powoluiku, zaczynając od dołu, aby...

207

Mówiłby tak jeszcze długo, ale wpadłem mu w słowo.

- Drogi Halefie, nie mogę ugryźć twoich Haddedińców. Obawiam się, że nie byłbyś mi za to wdzięczny. Toteż zatrzymaj dobrą radę dla siebie i...

- Przecież to głos mojego sidiego! 'Ib on we własnej osobie, więc widać wszystko poszło dobrze. Precz z belkami, ale szybko, aby mógł wyjść i abyśmy mogli sobie opowiedzieć o naszych bohaterskich czynach.

Słyszałem, jak odsuwano belki, a potem drzwi się otwały. Po tamtej stronie stało dziesięciu Haddedińców, którzy powitali nas radośnie. Zanim odpowiedziałem na pytania, jakimi Halef mnie ob-rzucił, poprosiłem, by najpierw on opowiedział o swoich przygodach. Kiedy mówił, jak prawie trzy godziny leżeli za ruinami i o mało nie zwariowali z niecierpliwości, aż wreszcie, wreszcie otworzyły się ta-jemne drzwi, przerwałem mu.

- Wybacz, Halefie, że tak długo kazałem wam czekać, ale mimo najlepszej woli nie mogłem wcześniej przyjść, by wpuścić Beni Sebi-dów.

- Co... co... co...? Ty im otworzyłeś drzwi? Chyba ze mnie żartu-jesz?

- Ani myślę.

- A gdzie był Ghani?

- Nie mógł przyjść, nagle go sparaliżowało. Dlatego poprosił mnie, bym otworzył drzwi jego sojusznikom.

- O Allachu! Teraz rozumiem. To chyba ty spowodowałeś paraliż Ghaniego. Ale nie rozumiem reszty. Beni Sebidowie chyba musieli zauważyć, że nie jesteś ich sojusznikiem i jak to się stało, że cię z miejsca nie zabili?

- Ano widzisz, że jestem jeszcze żywy. Wzięli mnie za Ghaniego.

- Jak to jest możliwe? I jak mieli czelność pomylić ciebie, słynne-go effendiego z tym nędznym iajdakiem? Za to zasługują na potężne lanie i mam ochotę moim knutem pokazać im, jak wielka różnica jest

208 między fałszywym Ghanim lub raczej prawdziwym Ghanim a prawdziwym Karą Ben Nemsim. Jakże oczy zrobił szejka, który jest jego zięciem, kiedy spostrzegł, że pomylił osoby, których nie sposób pomylić?

- Prawie tak wielkie, jak ty przed chwilą, drogi Halefie, kiedy ci powiedziałem, że wpuściłem Beni Sebidów.

- Szkoda, jaka szkoda, że nie byłem przy tym. Czemu tak urządzi-łeś, że mnie przypadła mniej ciekawa część roboty?

- Pocziesz się, drogi Halefie, że twoja część była ważniejsza. Nie byłoby bowiem możliwe uwięzić wroga, gdybyście wy, a więc ty i Kara Ben Halef z waszymi oddziałami, nie stawili się punktualnie ma miejscu.

Wówczas rozjaśniła się twarz ambitnego Hadziego i zawołał z ulgą.

- Czy mówisz serio? Jeśli tak, to muszę uwierzyć, ale przyznam ci się, że przez te godziny czułem się jak wróbel przed kupą ziarna, który musi cierpliwie przyglądać się, jak jego towarzysze połykają ziarno za ziarnem, nie pozostawiając mu ani jednego.

- Co ci przyszło do głowy? Jak możesz ty, słynny szejk Haddedi-h-nów, porównywać się z wróblem? I kim są ci inni, co zabrali ci ziarno? Czyż nie są to twoi Haddedi-hnowie? I czy cała chwała dzisiejszego zwycięstwa nie spada na nich, a więc i na ciebie, ich szejka?
- 'Pdk, to prawda! - zawołał już całkowicie usatysfakcjonowany.
- Tiwoja mowa pachniejak balsam, a twoje słowa to jak krople miodu spadające na mą duszę. Jesteśmy zwycięzcami, tylko my, Haddedi-hnowie ze słynnego szczepu Szammarów! Nasze dzieci będą opiewały nasze bohaterskie czyny, a dzieci naszych dzieci będą czerpać aż do setnego pokolenia ze wspomnień o naszych niezrównanych bohater-stwach i słynnych, niepowtarzalnych...
- Tbraz udaj się do twierdzy - przerwałem mu, bo wiedziałem z doświadczenia, że w tym tonie może przemawiać jeszcze bardzo uługo. -Jako szejk musisz być przy swoich Haddedi-hnach i przypil-nować uwięzionych. Ja sam nie mam na to czasu, muszę ruszyć do

14 - W podziemiach Mekki~ 209

Dżebel Omar, by przyprowadzić wierzchowce Beni Sebidów. Czy też sądzisz, że mamy tę sprawę pozostawić askarom paszy?

- Niech nas Allah broni, co też ci przyszło do głowy?
 - No więc zadbaj o to, byśmy nie tracili czasu! Pięciu twoich Haddedi-hnów przyprowadziłem ze sobą, pięciu wezmę z twojego oddziału, a dalszych pięciu przyprowadzisz mi z oddziału twojego syna, który znajduje się w Beit es Ssala. Piętnastu wystarczy, by pokonać strażników i załatwić przeprowadzenie zwierząt. Wszystko inne, zwłaszcza jak nam się udało ująć wroga, twoi Haddedi-hni będą mogli opowiedzieć ci równie dobrze jak ja. Aha, jeszcze coś, zanim pójdziecie! Nie zapomnij, że w Beit es Ssala należy pozostawić kilku ludzi na posterunku. Choć nie jest to prawdopodobne, ale mogłoby się zdarzyć, że ktoś ze sług Ghaniego usiłowałby wdrzeć się do domku, zwłaszcza jeśli on nie wróci. I pošlij nam jeszcze szóstego, potrzebuję go, bo drzwi za nami nie powinny zostać otwarte. A więc pospiesz się i nie każ nam długo czekać!
 - Już biegnę, sidi! O Allachu! O proroku! Co za radość!
- Wybrał szybko pięciu swoich ludzi, którzy mieli pójść ze mną, potem zniknął z resztą w otworze szybu. Istotnie długo nie czekałem, niebawem nadeszło sześciu ludzi z oddziału Kary Ben Halefa. Szybko wysłuchałem ich sprawozdania. U nich także wszystko poszło gładko. Wciągnęliśmy belkę do korytarza, potem wyznaczony do tego Had-dedi-hn zabarykadował za nami drzwi, podczas gdy my zaczęliśmy schodzić w dół przez ruiny.
- Po upływie kwadransa znaleźliśmy się na drodze prowadzącej do Jemenu, którą żwawo szliśmy w stronę południa. Zbliżał się świt. Nie wiedzieliśmy, gdzie ukryto zwierzęta, ale miałem nadzieję, że nie będę musiał długo szukać. Po pierwsze, wiedziałem, w jakim kierunku należy rozpocząć poszukiwania, na wschodnim zboczu Dżebel Omar, po drugie, zwierzęta musiały zostawić dużo śladów, które nie mogły ująć mojej uwagi.
- 'Ibteż zszedłem z drogi, na której aż roiło się od śladów, bo nie 210 mogłem znaleźć tych właściwych i poszedłem dalej, w pewnej odległości, ale równoległe z nią. Okolica przybrała już dawno charakter pustyni i musieliśmy miejscami brodzić w głębokim piasku. Wtedy coś odkryłem. Choć jeszcze ranek nie nastał i panował półmrok, spostrzegłem, że przecinaliśmy całą masę śladów, które z drogi prowadziły w stronę góry. Były to ślady koni i wielbłądów, które wskazywały na kierunek Dżebel Omar i ślady nóg, które stamtąd wracały. Wiedziałem już wszystko. Pierwsze pochodziły od jadących wierzchem Beni Sebidów, a te ostatnie od tych samych Beni Sebidów, którzy pozbyli się już zwierząt. Jeśli więc chcieliśmy znaleźć miejsce, gdzie je ukryto, należało iść którymś z tych śladów, a to wcale nie było trudne. Szybko posuwaliśmy się naprzód. Obrany kierunek wkrótce zaprowadził nas do wąwozu.
- Po około pięciu minutach boczny wąwóz rozgałęził się na południe. Czy Beni Sebidowie tam skręcili, czy też poszli dalej prosto przed siebie? Wziąłem do pomocy moją flaszkę z fosforem.

Jej światelko było dość jasne, by rozpoznać, że wyjście bocznym wąwozem po prostu usiane było śladami. Poszukiwane zwierzęta znajdowały się więc w bocznej odnodze. Odtąd staraliśmy się zachowywać podwójnie ostrożnie, należało się liczyć z tym, że w każdej chwili natrafimy na strażę. Nie zauważyłem nic podejrzanego, chociaż uważnie się rozglądaliśmy. Szliśmy dalej, aż za zakrętem wąwóz nagle się poszerzył. Tworzył kotlinę, jak to się wydawało w świetle poranka. Na dno owej kotliny, gdzie prawdopodobnie stały zwierzęta, wzrok nasz nie sięgał. Ale za to zobaczyliśmy coś innego. Od strony doliny, całkiem niedaleko od nas, paliło się ognisko podsycane wielbłądzim nawozem, dookoła niego siedziało pięć postaci. Nie widzieli nas, bo przezornie trzymaliśmy się w cieniu wąwozu. Ich strzelby ustawione były z boku w kształcie piramidy, między nimi i nami, tak że na razie nic nam nie groziło.

Wszystko to wyglądało~ tak niewinnie i niegroźnie, że postanowiłem nie tracić czasu na podkradanie się. Poszedłem prosto w stronę 211 strażników, moi Haddedihowie szli dzielnie za mną. Kiedy Beni Sebidowie usłyszeli kroki, zerwali się i spojrzeli na nas pytająco. Widocznie pomyśleli, że jesteśmy członkami ich plemienia wysłanymi po nich i po zwierzęta. T~ ich omyłka bardzo nam była na rękę, bo pozwoliła zbliżyć się do nich, a kiedy rozpoznali swoją pomyłkę, było już za późno, by stawiać opór. Kilka skoków i staliśmy między nimi a strzelbami. Potem wyjąłem rewolwer kierując go w ich stronę.

- Nie ruszać się! Kto sięgnie po nóż lub pistolet, natychmiast dostanie kulę w łeb. Wasz szejik i wszyscy wasi wojownicy są uwięzieni w twierdzy. Opór na nic się nie zda.

Słowa moje brzmiały w uszach strażników tak niesamowicie, że zrobiły większe wrażenie niż naładowany rewolwer. Stali jak sparaliżowani, Haddedihowie mogli ich bez trudu obezwładnić.

Nie minęło nawet pięć minut, a już leżeli na ziemi związani, byliśmy panami sytuacji. Nie troszczyłem się więcej o więźniów, lecz poszedłem w głąb, gdzie stały stłoczone zwierzęta Beni Sebidów. Policzyłem je, było około trzystu wielbłądów, reszta to konie. Jeden zwłaszcza przykuł moją uwagę, był to wspaniały siwek, ognisty ogier o czerwonych nozdrzach. Chyba się nie pomyliłem sądząc, że należał do szejika. Odprowadziłem go na bok, bo chciałem odbyć na nim drogę powrotną. Potem dałem znak do wymarszu. Konie powiązano, by się nie rozbiegły, u wielbłądów było to zbędne. Przywiązaliśmy jeńców do koni, by uniemożliwić im ucieczkę, po czym dosiadłem ogiera. Początkowo miał on wielką ochotę mnie zrzucić, ale wkrótce uznał we mnie pana i podporządkował się chętnie naciskowi moich ud. Ruszyłem na czele długiego pochodu. Za mną jechał Haddedihowie na dżamalu, potem szły wielbłądy i wreszcie konie.

Początkowo posuwaliśmy się powoli wąwozem, ale kiedy wyjechaliśmy na pustynię, zwierzęta same ruszyły klusem, bo po długim postoju ruch dobrze im widać robił. W międzyczasie zapadał zmrok, nad górami 'Paif niebo się zaróżowiło~. Na całej drodze nie spotkaliśmy żywej duszy, poki nie wjechaliśmy 212 w ulice dolnego miasta. One też były prawie puste, pominąwszy kilku rannych ptaszków, którzy usunęli się przed nami na bok i ze zdziwieniem przecierali zaspane oczy. Ponieważ dostęp do cytadeli znajduje się od strony zwróconej ku miastu, musieliśmy przebyć dzielnicę el Mesfalah. Przy tym minęliśmy też dom Abadilaha. Furtka w murze była otwarta, a przy niej stał człowiek, jakby czekał na kogoś. Kiedy nas spostrzegł, wyszedł na ulicę i spoglądał na nas z napięciem, które mi zdradzało, że był wtajemniczony w plany swego pana, a z faktu, że prowadzimy konie bez jeźdźców, doszedł do wniosku, że należymy do Sebidów i, że zamach się udał. Nie widział jeńców, bo byli z tyłu na koniach.

Coś przyszło mi do głowy. Podjechałem do tego człowieka i pozdrowiłem go.

- Witaj. Jesteś służącym Abadilaha, którego nazywają el Ghanim?

- Niech twój dzień będzie pomyślny. 'Pdk, jestem nim.

- Więc mam dla ciebie polecenie. 'Iiwój pan życzy sobie, byś ty i inni shzdzy płci męskiej udali się do niego do twierdzy i to zaraz. Potrzebuje was.

- Allah jest wielki! Więc udało się?

- Nie pytaj, lecz słuchaj - ofuknąłem go - i natychmiast wezwij resztę. Czy też mam dopomóc twoim nogom?

- Allachu, Allachu! - zawołał przestraszony i pobiegł przez furtkę. Spojrzałem na Haddediha, który jechał wierzchem za mną, i obaj wybuchnęliśmy serdecznym śmiechem.

Udał się ten prosty trik, którym chciałem oddalić służących, bo później, podczas przeszukiwania domu przeszkadzaliby nam. Widocznie Ghani przyzwyczał swoją służbę do natychmiastowego posłuchu, bo nie minęło pięć minut, jak stało się ich siedmiu. Wskazałem im, że mają iść za moim koniem, ukradkiem dałem Had-dedinowi znak, by miał ich na oku, potem ruszyliśmy i na rogu przy domu Abadilaha skręciliśmy w ulicę prowadzącą do cytadeli.

213

Uszliśmy mniej więcej pięćset kroków i dotarliśmy do wygodnej drogi prowadzącej do twierdzy. Pierwszy posterunek zrobił wielkie oczy, widząc długi szereg zbliżających się zwierząt, ale że podałem hasło, przepuścili nas. 'Ikkże służy Ghaniego wytrzeszczyli oczy. W każdym razie bardzo się dziwili, że na straży stał askar w tureckim mundurze, a nie, jak się spodziewali, wartownik Beduin. Spostrze-głem, że mieli ochotę o coś mnie zapytać, ale widocznie się nie ośmielili. Niepokój ich wzrastał, kiedy minęliśmy drugi i trzeci poste-runek, a zamienił się w przerażenie, gdy dotarliśmy na dziedziniec twierdzy, gdzie roіło się od askarów, biegających we wszystkie strony. Nie pozostawiłem im jednak czasu, by ochłonęli ze swego przeraże-nia, nakazałem askarom, którzy usłużyli do nas przybiegli, by ich zamknięto.

Teraz zaczął się na dziedzińcu ożywiony ruch. Zwierzęta, które już długi czas pozostawały bez wody, należało napoić. Można sobie wy-obrazić, że przy tak dużej ilości była to ciężka praca. Muszę przyznać, że askarowie na myśl o spodziewanym łupie pracowali tak gorliwie, jak chyba nigdy w całym swoim życiu. Wiedzia-łem, że wszystko jest w dobrych rękach, więc pojechałem powoli przez liczne podwórca twierdzy aż do najdalszej części, by zobaczyć, jak tam sprawy stoją. Pierwszym, którego spotkałem, był pasza.

- O Allachu, effendi, a więc jesteś! I jakiego wspaniałego masz konia! Muszę go dokładnie obejrzeć.

Pelen podziwu, oczyma znawcy powoli obchodził konia dokoła.

Oczy aż błyszczały mu z pożądania, kiedy pytał.

- Skąd masz tego ogiera?

Jasne było, że się aż palił do niego i że chciałby go mieć w swojej stajni, ale udałem, że tego nie spostrzegłem. Niech ogiera dostanie ktokolwiek, ale w żadnym razie pasza, który w tym całym dramacie grał tylko rolę niezaangażowanego widza. Toteż odrzekłem.

- Zdobyłem go na Sabiuach razem z trzystoma wielbłędami i setką koni. Stoją na pierwszym podwórku twierdzy. 214

- O Allachu, trzysta wielbłędów, powiadasz i sto koni? No to muszę tam pójść~. Przepraszam cię, effendi.

Oddalił się z szybkością taką, jakiej przy jego tuszy wcale bym się nie spodziewał.

'Pdkże w dalszej części twierdzy panowało ożywienie, askarowie wsadzali Beni Sebidów do kazamat przeznaczonych na więzienie. Można sobie wyobrazić, z jakimi uczuciami Beduini, przyzwyczajeni do wolnej przestrzeni na pustyni, przyjmowali utratę swej wolności, licząc się w najlepszym wypadku z długim pobytem w ciasnym i ciemnym lochu, i że odstawianie ich tam nie odbywało się tak spokoj-nie i gładko, jak ich ujęcie, kiedy to sparaliżowani byli przerażeniem. Niejedno ciężkie przekleństwo wydobywające się z zaciśniętych ust dobiegało moich uszu.

Kiedy dotarłem do celu, do podziemia, byłem świadkiem, j ak ostat-niego z Sebidbw wyciągano z piwnicy. Tutaj rozkazywał Halef. Powie-dział mi, że tymczasem nic szczególnego nie zaszło.

Więźniowie na ogół okazywali posłuszeństwo i wielki szarif udał się do domu, gdyż nie miał tu już nic do roboty.

Kiedy Hadzi skończył, powiedziałem mu krótko, co zdziałaliśmy przy Dżebel Omar. Był zachwycony ogierem tak samo jak ja i powie-dział, kiedy skończyłem.

- Sidi, ten ogier jest równy naszym rasowym koniom! O Allachu, byłoby cudowne, gdybyśmy w uznaniu za nasze bezprzykładne zasługi mogli go zatrzymać. Jest czystej krwi i łącząc go z naszymi szlachetnymi klaczami, Haddediwnowie mogliby osiągnąć skrzyżowanie, które przewyższałoby wszystkie inne dotychczasowe... Musiał przerwać swój potok słów. Właśnie wyprowadzano z piwnicy ostatnich więźniów, wśród których znajdowali się Ahmed Ghalib i Ghani.

Wzrok szejka padł przy tym na siwka. Spostrzegłem, jak twarz jego zalała ciemna czerwień, szarpał się w mocujących go i krępujących więzach, oczy niemal wyszły mu z orbit, kiedy ryknął zacinającym się 215 głosem.

- Ty psi synu! Dosiadłeś mojego ogiera, mojego siwka, który jest mi droższy niż życie! Skąd go masz, przeklęty złodzieju? Spojrzałem z uśmiechem w jego wykrzywioną twarz i odparłem spokojnie.

- Uspokój się szejku! Sądziłeś może, że jesteśmy tacy głupcy i nie potrafimy znaleźć waszych zwierząt? Albo, że zostawimy je w wąwozie Dżebel Omar?

Mój spokój jeszcze bardziej go rozwścieczył. Głos jego stał się chrapliwy, kiedy nie panując nad sobą wybuchnął.

- Niech Bóg cię spali! Widać zapisałeś duszę szatanowi, skoro odkrywa przed tobą wszystkie tajemnice. Gdzie są zwierzęta? Po-wiedz, jeśli nie chcesz, bym cię przeklął!

- Po co masz wiedzieć? Nic wam to nie da, bo i tak już ich nigdy nie zobaczycie.

- Nigdy... nie... zobaczymy... naszych zwierząt? Co... masz na myśli?

- Chyba rozumiesz, że uważamy je za nasz łup. A może sądzisz, że je wam oddamy, abyście dalej mogli uprawiać wasz zbójcecki pro-ceder?

Słowa moje brzmiały niesamowicie, a szejk Ahmed z powodu mojego spokoju wpadł w taki szal, że wybuchnął spazmatycznym śmiechem i tylko powoli wydobywał z siebie słowa.

- 'I~k... tak... tak... Chcielibyście... wyobrażam sobie... czterysta zwierząt pod wierzch dostało się naraz w wasze ręce! Ach, jaki jesteś mądry, jaki niezwykle mądry! 'I~raz wiem, że tylko dlatego twierdzisz, jakobyś zdobył zwierzęta, bo myślisz, że mnie nabierzesz. Ale to ci się nie uda. Nie wierzę ci.

- Wierzysz czy nie, wszystko mi jedno, ale powiedziałem prawdę.

Czyżbyś nie znał swojego ogiera? Już to samo powinno cię przekonać, że nie skłamałem. A jeśli chcesz zobaczyć swoje zwierzęta, to niech cię zaprowadzą na pienwsze podwórze i wtedy powiesz mi, czy brakuje zls choć jednego.

Szejk spoglądał na mnie z wahaniem. Spostrzegłem, że powoli zaczynał mi wierzyć. Szyderczy wyraz zniknął z jego twarzy, zamienił się w ukrywany strach. Wreszcie powiedział tonem o wiele mniej pewnym siebie niż dotąd.

-Effendi, jeśli to prawda, że zdobyłeś nasze zwierzęta, to nie masz prawa nam ich zabrać. Byłby to rabunek, rabunek tak okropny, że spadłaby na ciebie kara Allacha.

- Nie ośmieszaj się, szejku! Jak możesz ty, sam taki zbój, mówić o rabunku. To brzmi śmiesznie w twoich ustach, ustach człowieka, który łamie wszelkie nakazy Allacha. 'Ibwoje łajdactwa, których doko-nałeś do spółki z Ghanim, idą w setki. Świętym obowiązkiem każdego sprawiedliwie myślącego człowieka jest ukarać was, jeśli to tylko jest w jego mocy. Jeśli mimo wszystko przyrzekłem ci, że się postaram o złagodzenie waszej kary, jest to dobroć, na którą nie zasłużyliście i za którą winniście dziękować na kolanach, zamiast mówić o gniewie Allacha, który spadnie tylko na was, a nie na mnie. Słowa te były jak razy. Jeśli szejk dotąd spodziewał się, że sprawa przyjmie korzystny obrót, a na pewno tak sądził, to teraz musiał pozbyć się wszelkiej nadziei. Usiłował jednak zastosować jeszcze jeden środek, by ocalić straconą pozycję. Przybrał żalną minę i zaczął lamentować.

- Effendi, jeśli zabierzecie nam zwierzęta, jesteśmy zgubieni, bez nich nie możemy żyć.

- Nie opowiadaj mi bajeczek. Możecie żyć bez waszych zwierząt. Jedyne skutki i to wcale nie najgorsze, będzie taki, że w przyszłości zaniechacie waszych wypraw zbójceckich i będziecie

zmuszeni pro-wadzić spokojne, osiadłe życie. A to byłoby ze wszech miar pożądane. 'I~raz szejk zrozumiał, że wszelkie jego usiłowania są daremne, więc okazał swoją prawdziwą naturę. Z dziką wściekłością ryknął.

- Niech Allah nasadzi ci kapelusz na głowę! Jesteś okrutny jak wampir, który musi wysssać ostatnią kroplę krwi. Bądź przeklęty aż do 217 najgłębszego dna piekła. Moje przekleństwo niech ci towarzyszy na wszystkich twoich drogach, obyś był jak prześladowana hiena na pustyni, która musi żreć ścierwo, póki nie zdechnie z głodu! Przez cały czas Ghani stał w milczeniu i obojętnie, jak gdyby cała sprawa nic go nie obchodziła. Ale jak wyglądał! 'Iwdno go było poznać. W ciągu niewielu godzin policzki mu zapadły, oczy tkwiły głęboko w oczodołach. Postarzał się o dziesięć lat. 'I~raz w jego na pozór obojętną postać wstąpiło życie. Zwrócił do nas twarz, z której tryskało całe piekło nienawiści i ryknął swym ochryplym, na wpół zduszonym głosem, jakim mówił w chwilach największego podniece-nia.
- Bądź tysiącrotnie przeklęty, psi synu! Mój zięć za mało jeszcze powiedział, a i ja nie jestem w stanie wyrazić, co do ciebie czuję. Nienawidzę cię tak bardzo, jak jeszcze dotąd nikt nikogo nie niena-widził, słyszysz, ty przeklęty szatanie! Wiem, że moja rola skończona, ale oddałbym całą błogość i rozkosz raj, gdybym mógł się na tobie zemścić, ty najparszywszy ze wszystkich psów. Niech Allah cię prze-klnie!
- A ciebie niech pobłogosławi w swym miłosierdziu i łaskawości
- odparłem spokojnie. - Masz rację, mówiąc, że rola twoja skoń-czona, zresztą najżałośniejsza, jaką sobie można wyobrazić. Ukazy-wałeś twarz świętego, modlitwy twoje rozbrzmiewały jak modlitwy człowieka bogobojnego. Udawałeś tu, w Mekce, szarifa, któremu należy okazywać najwyższe poważanie, a przy tym byłeś przestępcą i zbrojnym. Nazywano cię Ghanim, bogaczem, a przecież jesteś uboższy niż najuboższy żebrak. Poznałem wielu godnych pożałowania ludzi, ale najbardziej godny pożałowania i najuboższy jesteś ty. Nawet nie masz pojęcia, jak nieopisanie wielkie budzisz współczucie. Niech Bóg ma kiedyś choć drobną część tego współczucia i miłosierdzia, jakie ja dla ciebie teraz odczuwam. Oto odpowiedź, jaką ci daję na twoje przekleństwa. A teraz kończę z tobą. Niech będzie ci tiane miłosier-dzie Boże!

Wielka procesja pielgrzymów

Wiadomość o wydarzeniach tej nocy rozeszła się lotem błyskawicy po całym mieście i wzbudziła wielką sensację. Przyjaciele wielkiego szarifa triumfowali, a pewne wysoko postawione osobistości, które nie miały czystego sumienia, potajemnie szykowały się do wyjazdu. Ale nie zdążyły, tylko jedna po drugiej znikwały w podziemnych kaza-matach cytadeli. To oczywiście wzmagало przerażenie tych, którzy czuli się winni, toteż spieszyli co rychlej zapewnić wielkiego szarifa o swojej niezmiennej wierności. Zresztą i on okazał się mądrym mężem stanu, tym bardziej, że radziłem mu postępować możliwie łagodnie. Po kilku dniach aresztowanych wypuszczono na wolność. Strach, którego się tymczasem najedli, i niespodziewana dobroć wielkiego szarifa, po którym spodziewali się czegoś o wiele gorszego, co naj-mniej utraty majątku, przyczyniły się do tego, że z wrogów szybko stali się przyjaciółmi, na których wierność mógł w przyszłości liczyć. Nie tak łatwo wywinęli się Beni Sebidowie. Jak już powiedziałem, postanowiłem wpłynąć na wielkiego szarifa, by trochę złagodził im karę. Pasza co prawda okazał się mniej podatny na moje perswazje, ale za pośrednictwem emira uzyskałem to, że Beni Sebidowie 219 potraktowani zostali mniej surowo. Mieli przez miesiąc pozostać uwięzieni, a potem powrócić do swoich namiotów, nie odzyskując zwierząt. Zrobiłem dla nich, co mogłem, ale nie wątpiłem ani przez chwilę, że będą mnie traktowali jak śmiertelnego wroga. Biada mi, jeśli kiedykolwiek wpadnę w ich ręce! Ale nie miałem się czego obawiać, kiedy oni wyjdą na wolność będą już w odległości wielu mil od Mekki. Ghani został skazany na dożywotnie więzienie i utratę całego majątku. Jeszcze z rana po uwięzieniu go udałem się do jego domu modlitwy i zbadałem dokładnie czerwone dywany. Istotnie znalazłem tam to, czego się spodziewałem. Dywany składały się, dokładnie tak jak niebieski, z dwu

sztuk, pomiędzy nimi zaś wszyta była cała masa banknotów, stanowiących pokaźny majątek. Trzymałem w rękę te banknoty i zastanawiałem się, co z nimi począć, gdy wpadła mi pewna myśl do głowy. Za sprawą Ghaniego dwudziestu askarów Persa poniosło śmierć, a ich rodziny straciły swego żywiciela. Więc chyba słusznie zrobię dając te pieniądze Persowi, a on rozdzieli je pomiędzy rodziny poległych. W każdym razie suma ta będzie lepiej wykorzystana, niż gdyby wpłynęła do bezdennych kieszeni paszy. Byłem jednak na tyle przezorny, że powiadomiłem wielkiego szarifa o tym znalezisku i poprosiłem o wyrażenie zgody na mój plan. W razie gdyby jakiś sposób wyszła na jaw sprawa istnienia tych pieniędzy, potrzebna by mi była obrona wielkiego szarifa wobec paszy. Kiedy więc przedstawiłem emirowi swoją prośbę, zezwolił mi z uśmiechem, a ja wręczyłem tę sumę Persowi, który przyjął ją z wielką radością. Mam nadzieję, że pieniądze te trafiły we właściwe ręce.

Planowany odjazd na razie trzeba było odłożyć, choć Werniłow naglił. Otrzymaliśmy dużo zaproszeń i nie mogliśmy odmówić. Nie zrobiłbym tego nawet, gdybym chciał, choćby ze względu na Halefa i jego dzielnych Haddedińców, którym należały się honory spadające na nich jak deszcz. Wielki szarif wprost dwoił się i troił w okazywaniu nam wdzięczności, obsypywał nas zaproszeniami i prezentami.

220

Wychodził widać z założenia, że nie żyłby, gdyby Allah nie sprowadził nas na jego ratunek. Szczególnie spodobał mu się nasz Kara Ben Halef, jego młodzieńcza, a zarazem energiczna siła. Najchętniej za-trzymałby go przy sobie w Mekce. Chyba zupełnie zrozumiałe, że wyróżnieniem Kary zyskał sobie wielki szarif szczególną sympatię Halefa, którego radość znalazła odbicie na obliczu najbardziej uroczym wśród uroczym w namiocie kobiecym.

‘Ihk upłynęło prawie czterdzieści dni, w ciągu których zwiększała się ilość nadciągających pielgrzymów. Już teraz, chociaż właściwy miesiąc pielgrzymek jeszcze się nie zaczął, w mieście roiło się jak w ulu. Wśród pielgrzymów różnych narodów, którzy codziennie napływali do miasta, moją największą uwagę przykuwali przybysze z Jawy. Podobni są oni z wyglądu i zachowania do Japończyków. Mają podobny zmysł do interesów i umiejętność przystosowania się, szybko chwytają wszelkie nowatorskie pomysły, które mogłyby coś udoskonalić. Pod tym względem różnią się od większości narodów islamu, których uparte trzymanie się starego porządku stanowi hamulec postępu. Ale podczas gdy Japończycy wzorują się na Anglikach, Jawajczyk stara się przekształcić w Araba. Przybywając do Mekki, przede wszystkim ubiera się w miejscowy strój, który, nawiasem mówiąc, wcale do niego nie pasuje. Powiedziano mi, że na Jawie jest tyle ludzi noszących stroje arabskie, iż obcy przybysz ma wrażenie, jakby znajdował się w hedżasie. Większości z nich Mekka bardzo się podoba i pozostawiają tu więcej pieniędzy niż wszyscy inni pielgrzymi. Za wynajęcie domu w Mekce podczas pierwszych trzech dni hadżdżu płacą podobno często dwa tysiące marek i więcej. Są oni mahometanami przestrzegającymi surowo zasad Koranu, znakomitymi znawcami języków i ludźmi o wiele lepiej zorientowanymi we wszystkim, co się dzieje, niż Arabowie, a nawet Iracy. Wielki szarif powiedział mi kiedyś poufnie coś, co dało mi do myślenia.

- Całą naszą nadzieję na przyszłość pokładamy w tym narodzie,

221 nie w Tiirkach. Posiadają oni wszystkie cechy, które my, Arabowie, lubimy. Podpatrzą u Europejczyków ich wynalazki i użyją ich przeciwko naszym wrogom.

Nie wiem, czy ma rację pod tym względem, ale faktem jest, że w Chinach, na Jawie i na Archipelagu Malajskim żyje kilka milionów mahometan i ta liczba lawinowo rośnie. Bardzo możliwe, że przewidywanie wielkiego szarifa okaże się prawdziwe i, że ta nowa gałąź z Dalekiego Wschodu oznacza dla islamu nowe źródło mocy na przyszłość.

Wielkie rzesze pielgrzymów skłoniły mnie, by pójść do meczetu i przyjrzeć się modlitwie piątkowej, co podczas wielkiego hadżdżu jest niewątpliwie wielkim widowiskiem. Olbrzymi plac jest prawie całkowicie zapełniony. Jednakowe ruchy tej nieprzebranej masy modlących się ludzi i

panująca przy tym cisza przypominają widzowi niemal wschodnie ćwiczenia gimnastyczne, choć oczywiście w odpowiednio wielkiej skali. Podczas seghedy, to jest tej części modlitwy, kiedy należy przyłożyć czoło do ziemi, żaden dźwięk nie przerywa ciszy. Kiedy potem tysięczne rzesze wiernych podnoszą się, szelest odzieży i dźwięk broni przelatują niby nagły poryw wichru przez rozległy plac. Najbardziej jednak dziwny widok następuje w chwili, kiedy kończy się modlitwa, a zaczyna biegania, pośpiech, ścisk, przepychanie i tłok w kierunku Kaaby. Aż strach, by nie połamano kości ludziom biorącym udział w tym dzikim pędzie w celu odbycia rytualnych obejść dookoła świętej Kaaby.

Hałas spowodowany tym tłokiem słychać daleko od Haramu. Pierwszego dnia hadżdżu wokół czarnej osłony Kaaby opasuje się białą płócienną szarfę. Zdejmuje się ją dopiero w przeddzień główne-go święta, choć bywa ona zmieniana. Szarfę tę tka się w Konstantynopolu, a kosztuje ona podobno ponad sześćdziesiąt tysięcy marek. Wykonuje się ją z jedwabiu i bawełny, a na każdym metrze kwadrato-wym białej, matowo lśniącej tkaniny widnieje imię Allacha. Starątnie się na kawalki i sprzedaje pielgrzymom za duże pieniądze. Dochód 222 z tego jest przeznaczony na utrzymanie Kaaby i inne cele dobroczynne. Szarfę przywozi się do Mekki jednocześnie z egipskim mahmalem w licznej, olśniewającej asyście wojskowej. Mahmal jest to ozdobiona cennymi haftami lektyka, którą wraz z szarfą i innymi darami wysyła się do Mekki. Dżamal, który ma zaszczyt nieśmahmal i inne dary, musi posiadać najczystszy rodowód.

Meczet Haram jest jedynym, który nie posiada kiblah ani nisz modlitewnych. Ponieważ Kaaba sama w sobie stanowi przedmiot czci, modlący ustawiają się wokół niej, choć na ogół podczas modlitwy należy przestrzegać ściśle kierunku Mekki.

Wielki hadżdż, w którym biorą udział wszyscy dorośli o dobrym stanie zdrowia, trwa pięć dni. Ponieważ mieszkańcy Mekki również muszą brać w tym udział, w ciągu tego czasu Święte Miasto jest jak wymarłe, co wiele mówi; biorąc pod uwagę, że Mekka liczy siedemdziesiąt tysięcy mieszkańców. Bazary i kawiarnie są zamknięte, a domy zaryglowane. Chociaż całe miasto jest opuszczone, rzadko zdarzają się wypadki kradzieży. Organa sprawiedliwości podczas hadżdżu są nieubłagane i każdy, kto zostanie przyłapany na kradzieży, jest karany bezwzględnie śmiercią albo utratą ręki. Ósmego dnia miesiąca Dhu'1 hadżdż następuje odpływ pielgrzymów z miasta. Muszą opuścić Mekkę jeszcze przed zapadnięciem nocy i udać się w dolinę Mina, około pięciu mil angielskich na północ. Droga tam pnie się pomiędzy niskimi wzgórzami i w kilku miejscach jest brukowana. Większa część jednak jest zanieczyszczona, co nie przyczynia się do złagodzenia trudów hadżdżu. Kto dysponuje wystarczającymi środkami, by wynająć osła lub namiot i zakupić odpowiednią żywność, może mówić o szczęściu, chociaż hadżdż i od niego wymaga wielkiego wysiłku. Ale biada temu, kto nie mając pieniędzy zmuszony jest wędrować w prażącym słońcu, bez ochronnego dachu nad głową, w najbardziej niedogodnych warunkach. Powinien być wdzięczny iosowi, jeśli wróci do domu zdrowy, a honorowy tytuł hadżiego, jaki zdobył w Mekce, stanowi dlań nagrodę zasłużoną uczciwie 223 w ogromnym trudzie i wśród wielkich wyrzeczeń.

Kiedy zmęczony pielgrzym przybywa do Miny, jest już przeważnie tak ciemno, że nie może pójść do meczetu na modlitwę wieczorną, chociaż przepis wymaga tego od pielgrzymów. Naraziłby się bowiem na niebezpieczeństwo, że w olbrzymim mieście namiotów, które niby cud wyrosło z ziemi, zabłądzi i nie odnajdzie własnego namiotu, który ma dać mu schronienie na noc.

Nazajutrz po wschodzie słońca miasto namiotów zwija się i masa pielgrzymów wyrusza w stronę góry Arafat. liwdno sobie wyobrazić Dzień Arafatu. Wyobraźmy sobie, że pomiędzy wschodem słońca a godziną dziewiątą przed południem co najmniej pół miliona ludzi musi przebyć dziewięć mil drogi od Miny do Arafatu i, że mniej więcej połowajedziewierzchem. Hałastej ogromnej masy ludzkiej brzmijak przyływ morza, a kurz pokrywa okolicę na przestrzeni wielu mil. Kiedy pielgrzymi ujrzą górę, hałas staje się nie do zniesienia. Góra Arafat wydaje się istotnie czarna od niezliczonej rzeszy ludzi, którzy oblegają jej zbocza, a u podnóża, jak okiem sięgnąć, na wiele mil kwadratowych rozciąga się miasto namiotów. Głuche mamrotanie, które słychać już z bardzo daleka, spowodowane głosami tysięcy pielgrzymów wołających do swego Allacha, urasta do huku,

który zagłusza wszelkie inne odgłosy, a z oddali wydaje się prawie jak dudnienie wywołane trzęsieniem ziemi.

Arafat ma mniej więcej sto pięćdziesiąt metrów wysokości, jest wzgórzem w kształcie piramidy, wybrukowanym kamieniami. U jego podnóża wytryskają źródła, skąd wodociągi doprowadzają do Mekki wodę. Szczyt góry tworzy platformę wyłożoną kamieniami. Otoczenie jest dzikie i górzyste, ale samo wzgórze wznosi się wśród gładkiej porośniętej krzakami równiny. Obowiązkiem pielgrzymów na górze Arafat jest wspólne odmawianie codziennych modłów. Strzały z fuzji dają znak do ich rozpoczęcia, oraz do wspinania się na wzgórze, na którego szczycie należy odmówić przepisane wersety.

224

Noc spędzają pielgrzymi nie na górze, lecz w Nimrah, które położone jest w pół drogi pomiędzy Axafat i Miną. Wkrótce po zachodzie słońca wielki szarif daje znak, rozlega się salwa z karabinu i w kilka minut później fala ludzka wyrusza. Dopóki znajdują się na równinie, marsz jest jeszcze znośny. Inaczej dzieje się w miejscach, gdzie droga prowadzi pomiędzy wzgórzami. Panuje tam straszliwy ścisk i na ogół nie obywa się bez nieszczęśliwych wypadków. Kiedy pielgrzym szczęśliwie i cało dotarł do Nimrah i położył się na jakimkolwiek wolnym miejscu, by pokrzepić się snem, nie może zmrużyć oka, bo hałas wciąż nadciągających pielgrzymów trwa do północy i nie daje odpocząć utrudzonemu ciału.

‘Ti~zeci dzień jest najbardziej męczący w całym hadźdzu. Już przed wschodem słońca pierwsze grupy pielgrzymów ruszają w kierunku Miny. Pierwszym obowiązkiem po przybyciu jest kamieniowanie trzech szatanów. Dwaj pierwsi, nazywani duży i mały szatan, stają na głównej ulicy Miny, podczas gdy trzeci, średni szatan, znajduje się dalej, trochę bardziej w bok, na ulicy wiodącej do Mekki. Trzy nie-szczęśne szatany, którzy dziś i jutro mają swoje najgorsze dni, są to po prostu grubo wyciosane z kamienia słupy i stoją pośrodku wgłę-bienia, nieco podobnego do basenu, w miejscu, gdzie kiedyś znajdowały się przedislamskie boiki pogafiskie, zniszczone przez proroka. Uroczysty akt kamieniowania należy traktować symbolicznie, ma on wyrażać pogardę dla tego rodzaju pogańskich bogów. Przypuszczam, że źródła tego obyczaju należy szukać w trudnościach, jakie prorok miał z całkowitym wytępieniem starych zabobonów, bo chociaż naród wyrzekł się starych bożków, to jednak się ich obawiał i początkowo nie ważył się ich obrażać. Dlatego prorok nakazywał swym zwolennikom ciskać kamienie w starych bogów, by się przekonali, że nie mają się czego obawiać.

T~ trzy szatany są przez cały dzień, a także nazajutrz otoczone popychającym się i tłoczącym tłumem, który jednak niknie pod mierzem wymachujących ramion i pod istnym gradem kamieni, którymi

15 - W podziemiach Mekki 225

zasypywane są szatany. Nie jest istotne, czy kamienie trafią w cel, lecz każdy źle wycelowany naraża na niebezpieczeństwo kogoś z thzmu. Ci, którzy w swej gorliwości ważą się podejść blisko szatanów, z reguły są w gorszej sytuacji, podrapane policzki, poranione uszy i wielkie sińce są karą za ich odwagę.

Każdy pielgrzym powinien tego dnia ofiarować jakieś zwierzę, na ogół owcę lub kozę. Mięso się zjada, ale jeszcze lepiej oddać je biednym. Kiedy prorok wydał ten nakaz, prawdopodobnie nie wyobrażał sobie nawet w przybliżeniu, jak potworne kształty przyjmie hadźdz w późniejszym czasie, dziś bowiem setki tysięcy zwierząt zabija się zupełnie bezcelowo. Dawniej martwe zwierzęta po prostu zostawiano na miejscu, a skutek był taki, że w Minie przez dłuższy czas potem nie można było mieszkać. W ostatnich latach jednak wykopano duże jamy, które wieczorem są wypełnione po brzegi. Wskutek szerzącej się zarazy w ostatnich latach należało wydać odpowiednie zarządzenia. Każde ofiarowane zwierzę należy natychmiast usunąć albo wrzucić do dołu, a żadnemu pielgrzymowi nie wolno zabrać ze sobą żywego zwierzęcia. Tb zarządzenie nie

zapobiega zarzynaniu ich w obozie, a więc szerzeniu zarazy i liczne posterunki pilnują, by tego rozsądnego przepisu przestrzegano, w pewnych okolicznościach na-wet przy użyciu siły. Owce kosztują dość drogo, a sprzedają je mieszkający w pobliżu Beduini, którzy robią na tym świetne interesy. Co najmniej pół milio-na zwierząt każdego roku idzie tego dnia pod nóż. Zarznięciem zwierzęcia ofiarnego kończą się obowiązki pielgrzy-ma w Minie, musi teraz wrócić do Mekki. Spocony, pokryty kurzem dociera do Haramu, wynajmuje sobie mutawwifa i wykonuje trzykrot-ne obejście świętej Kaaby, która teraz ma na sobie nowe pokrycie. Kiedy wreszcie z trudem, przy użyciu łokci, udaje mu się ucałować Święty Kamień, musi opuścić meczet i odbyć siedem rytualnych obejść dookoła Kaaby. Chociaż jest to tylko powtórzeniem tego, co już zrobił po przybyciu do Mekki, zajmuje mu to sporo czasu ze względu na panujący ścisk. Słowa modlitwy, krzyczone jak najgłoś-niej przez mutawwifów, usiłowania pielgrzymów, aby powtarzając tak samo głośno i jak najdokładniej, skargi kobiet, które w tłoku popy-chane są ze wszystkich stron i przekleństwa mężczyzn tworzą razem przedziwną melodię, która brzmi niemal śmiesznie.

- O Allachu, ty wiesz, co jest przed nami ukryte. - Hej tam, powoli! Niech będzie przeklęty twój ojciec i ojciec twego ojca! - Wyprowadź nas na właściwą drogę. - O Allachu, broń mnie przed tym wariatem! Usuń się, ty psie i synu świni!

I tak dalej w tym duchu.

Po siódmym okrążeniu przewodnik pielgrzymy posuwa go do szej-ka, zaopatrzonego w brzytwę, który mu na prawej skroni goli włosy na szerokość cała, mruczając przy tym modlitwę, a pielgrzym ma tę modlitwę powtarzać. Z uczuciem niesłychanej ulgi zdejmuje ubiór pielgrzymi, który teraz będzie mu może służył jako ręcznik. Niektórzy jednak wolą po upraniu go w wodzie Sem - Sem zatrzymać ubiór jako największy skarb na pamiątkę po wielkim hadźdzu. W każdym razie jest to bardzo niewygodny ubiór i jeśli ma się go nosić jako pokutę za grzechy, całkowicie spełnia swoje zadanie, ponieważ plecy biednego pielgrzymy pozostają przez całe tygodnie poranione i pokryte pęche^ rzami, jako że tyle czasu były nie osłonięte i narażone na działanie słońca.

Gdy pielgrzym zdjął ihram i ubrał się w swój najlepszy strój, jest już hadżim i wszystkie jego dawne grzechy i błędy zostały mu wyba^ czone. 'I~raz jest właściwy moment, by podjąć nowe dobre zamiary i skończyć ze starymi nawykami, by zacząć nowe, miłe Allahowi życie. Wszystko, co teraz na niego nakłada hadźdz, jest łatwe w porównaniu z wyrzeczeniami i trudami ostatnich dni.

Na razie musi natychmiast wrócić do Miny, gdzie spędzi noc.

Następny dzień, czwarty dzień pielgrzymki, jest wielkim świętem. Każdy pielgrzym ma na sobie swój najlepszy strój i cały obóZ przedstawia niezwykle malowniczy widok. Z rana wręczane są dar~' 227 wielkiemu szarifowi. Jeden po drugim podchodzą wysokie osobisto-ści ze swą wspaniałą asystą, a wielki szarif przyjmuje ich w swym wspaniałym namiocie siedząc na tronie. Posłowie ze wszystkich kra-jów islamskich składają emirowi wizytę, książęta indyjscy i inne wy-sokie i najwyższe osobistości, przede wszystkim poseł turecki, który przekazuje dar padyszacha. Na ogół jest to kilka tysięcy złotych monet. Kiedy przedstawiciel sułtana wręczył swój dar i się wycofał, wpuszcza się dostojnych mekkańczyków, a po nich jest kolej na obcych pielgrzymów, którzy chcą powita~ emira. W ogóle jest to dzień, w którym każdy, kto ma jakąś prośbę, może się odważyć, by stanąć przed obliczem emira. Ten zdaje sobie sprawę, że powinien pokazać się ze swej najlepszej strony, bo wie, że każde jego słowo lotem błyskawicy dotrze do najdalszych zakątków Wschodu, gdzie jeszcze znajdują się jacyś muzułmanie i w dniu dzisiejszym swój wzrok i swoje modły z tęsknotą kierują do świętego miasta Mekki. Prócz ścisłego przestrzegania czasu modłów jest dziś nakazane ponowne kamieniowanie szatanów , po czym następuje nawiedzenie meczetu w Minie. 'I~n meczet nie ma nic godnego uwagi. Podwórce jest bardzo brudne i zapełnione ubogimi pielgrzymami, którzy tutaj rozbili swoje obozowisko. W latach, kiedy w związku z hadźdzem wybuchały zakaźne choroby, pochłaniające tysiące ofiar, meczet w Minie był głównym ich siedliskiem, a nic się nie robi, by zapobiec podobnemu niebezpieczeństwu, które zagraża każdego

roku. Bo i po co? Przecież wszystko jest przez kismet z góry przesądzone. Dzień kończy się sztucznymi ogniami, które wyróżniają się raczej ilością niż wspaniałością, oraz imprezami muzycznymi, które trwają do późna w nocy.

Nazajutrz jest dzień powrotu do Mekki. Ale ogólny wymarsz następuje dopiero po modłach południowych. Wówczas to nikt i nic nie daje się powstrzymać, a powrót to istne wyścigi. Wąskie uliczki Miny natychmiast stają się nie do przebycia i wielu pielgrzymów w tym tłumie zostaje poturbowanych. Powodem tego pośpiechu jest stary 228 przepis pielgrzymów, zgodnie z którym należy Minę opuścić między południem a wieczorem. Może było to właściwe wówczas, kiedy liczba pielgrzymów wynosiła kilka tysięcy, ale dziś stosowanie się do tego przepisu jest po prostu nonsensem, gdyż rokrocznie wiele ludzi doznaje przy tym obrażeń i to bez jakiegoś rozsądnego powodu. To samo dotyczy niejednego jeszcze przepisu, jak na przykład marnowanie zwierząt ofiarnych zarzynanych trzeciego dnia. Gdyby pieniądze tak bezsensownie wyrzucone z tej okazji zużyto na cele dobroczynne, byłoby na pewno lepiej, albo gdyby te zwierzęta, które miały być złożone w ofierze, zarzynano w ciągu roku, wyszłoby to z pożytkiem dla wszystkich biedaków Arabii. 'I'dkie bezcelowe marnotrawstwo na pewno nie było intencją proroka. Bardziej prawdopodobne wydaje się, że intencją proroka było, by żaden pielgrzym tego świątecznego dnia nie był głodny.

Przybyciem do Mekki kończy się hadżdż. Mimo to pielgrzymowi nie wolno opuszczać miasta. Powodem są oddziały, patrolujące twierdzę między Dżiddą a Mekką, a na tydzień hadżdżu zgromadzone w Mekce, tak że droga jest bardzo niebezpieczna. Istnieje odpowiednie zarządzenie, mówiące, że nikomu nie wolno opuszczać miasta, zanim nie będzie wydane formalne zezwolenie. To zarządzenie jest zrozumiałe, gdyż niebezpieczeństwo grożące pielgrzymom istnieje nie tylko na papierze. Rząd słusznie dba o bezpieczeństwo pielgrzymów, ponieważ od tego zależy jego własna korzyść. Szkoda tylko, że zarządzenia, które mają na względzie zdrowie pielgrzymów, nie są nawet w przybliżeniu tak surowe. Choroby zakaźne niby groźny upiór czyhają przed bramami Mekki. Często wybucha cholera, która pochłania niezliczone ofiary. Pojedyncze wypadki tej choroby zdarzają się już na miesiąc przed hadżdżem, ale dopiero po dniu Arafatu zaczyna ona przybierać tak zastraszające rozmiary. 'I'n hadżdż stał się jednym z najbardziej fatalnych. Według najłagodniejszych szacunków choroba ta każdego dnia kosztowała życie tysiąc pielgrzymów. A przecież łatwo można zapobiec temu stale grożącemu niebezpieczeństwu 229 i tym samym niesłychanym stratom w ludziach przez odpowiednie zarządzenia, zwłaszcza gdyby zakazano ludziom mającym niewielkie środki lub nie posiadającym żadnych, udawania się na hadżdż. Iżakże zdrowotne zarządzenia tu, na miejscu, które obecnie są jak najgorsze, można by z łatwością ulepszyć.

W tym roku warunki były wyjątkowo dogodne, upał nie był tak wielki, a tłumy pielgrzymów nie tak liczne jak w ubiegłych latach. Poza tym widziałem stosunkowo niewielu ludzi, którzy osłabieni wskutek wielu wyrzeczeń, byłiby szczególnie podatni na choroby. I'ak więc istniała nadzieja, że obecny hadżdż przebiegnie bez szczególnego uszczerbku na zdrowiu i życiu pielgrzymów. Sądzę, że słusznie uczyniłem, dając ten krótki opis zwyczajów obowiązujących podczas pielgrzymki, ponieważ dla niejednego czytelnika zawiera on informacje, które warto znać, choć ja sam nie miałem zamiaru pozostać tu do wielkiego tygodnia pielgrzymki. Ostatecznie osiągnąłem cel, jaki miałem w związku z moim pobytem w Mekce, a nawet osiągnąłem coś więcej, dane mi było odegrać decydującą rolę w losie trzech szlachetnych ludzi, których przyjaźń mnie uszczęśliwiała, tak więc mogłem teraz wycofać się zadowolony. Byłem już dość długo gościem Allacha, choć niekiedy niezbyt swojsko się tu czułem, bo często miewałem wrażenie, jak gdybym siedział na beczce prochu, która lada chwila wybuchnie. Potajemnie też tęskniłem do chwili, kiedy będę mógł opuścić Mekkę raz na zawsze.

Tr~ba Sądu Ostatecznego

- Sidi, kiedy tak się zastanawiam nad wydarzeniami ostatnich tygodni, wszystko wydaje mi się niemal snem. I nie wiem, czy powinna mnie bardziej zaskakiwać niezwykła mądrość~,

ostrożność i odwaga, jaką przy tym okazaliśmy i której zawdzięczamy to, że wszystkie niebezpieczeństwa szczęśliwie przetrwaliśmy, czy też natura ludzka i sprawy, z którymi mieliśmy do czynienia i które mi j eszcze teraz, kiedy wszystko lub prawie wszystko jest za nami, wydają się prawie nie do pojęcia. O Allachu, jacy to ludzie bywają na świecie! Nie wiem, jak to się dzieje, ale w ciągu ostatnich dni wciąż myślę o Ghanim, chociaż już dawno z nim skończyliśmy i zamknęliśmy sprawy przeszłości. I często nie mogę pojąć, jak szarif, potomek proroka, mógł odegrać tak nikczemną rolę, jak to uczynił Ghani.

- Dziwi cię to? Bo mnie nie. Nie jesteś obeznany z historią i stosunkami panującymi w tym kraju, inaczej wiedziałbyś, że taki Ghani nie jest pod tym względem wyjątkiem. Nie słyszałeś nigdy o Alim Ibn Saadzie es - Seurim? 'I-n szarif zajmował pod rządami W elv,iego Abd el Muttaliba nawet stanowisko kaimakama Mekki. 'Ib mu absolutnie nie przeszkadzało, odkąd został usunięty od władzy

231 emir i przejął ją' Aun er Rafiq, zostać przywódcą wszystkich plemion zbójceckich, które panowały się na drogach z Mekki do Lith, a częścio-wo także do Dżiddy. Widzisz więc, że w tym błogosławnym kraju skok od świętego do zbrodniarza nie jest niczym niesłychanym. Kiedy toczyła się ta rozmowa, już od dawna nie byliśmy w Mekce, lecz na pustyni, mianowicie na drodze od pastwisk Beni Lamów do Bir Hilu.

Wprawdzie wielki szarif zaprosił nas, byśmy przez tydzień piel-grzymki byli jego gośćmi, a Halef usiłował nakłonić mnie do tego planu, sądziłem jednak, że powinienem odmówić. Sprawa była zbyt niebezpieczna. Nie tylko dla mnie, któremu jako chrześcijaninowi wcale nie było na rękę zwracać na siebie uwagę ludzi podczas hadżdżu, kiedy to ogarniał wszystkich największy fanatyzm, lecz także ze względu na wielkiego szarifa, który w swej wielkoduszności chyba nie pomyślał o tym, że mój pobyt u niego także i jemu może grozić niebezpieczeństwem. Tym bardziej uznałem za swój obowiązek wziąć to pod uwagę. Przecież w~ród większości uchodziłem za giaura, za bezczelnego intruza, wdzierającego się do najgłębszych świętości i tylko wzgląd na wielkiego szarifa powstrzymywał fanatycznych mu-zułmanów od jawnego okazywania mi swej wrogości. Emir dopiero co wyszedł cało z wielkiego niebezpieczeństwa. Gdybymjednak dłużej pozostał w Mekce, mógłbym może spowodować coś jeszcze groźniejszego.

Był to trzydziesty dzień naszego pobytu w Świętym Mieście, gdy Halef, jego syn i ja, po raz ostatni szliśmy główną ulicą, by pożegnać się z wielkim szarifem. Był powiadomiony o naszym przyjeździe i czekał na nas. Pożegnanie było krótkie i serdeczne. Emir musiał panować nad sobą, żeby nie okazywać swego wzruszenia. Ja także walczyłem ze wzruszeniem, kiedy on po kolei ścisnął nam dłonie. Moją zatrzymał przez chwilę i rzekł głosem, w którym wyczuwało się lekkie drżenie.

- Effendi, nie chcę wygłaszać wielkich siów! Pomiędzy przyjaciół-mi są one zbędne. Niech ci wystarczy, kiedy powiem, że kocham ciebie

232 i twoich towarzyszy. Kocham cię, mimo że jesteś wyznawcą innej wiary.

Potem odprowadził nas na podwórze, gdzie czekała na nas niespo-dzianka. W cieniu muru, trzymany przez stajennego, stał koń, na którego widok moje serce zaczęło mocniej bić. Była to klacz czystej krwi, rasy bakkara, jak to stwierdziłemjednym rzutem oka. Delikatna, ale muskularna budowa, mała piękna głowa o dużych oczach, delikat-ne kończyny, zgrabna szyja, wysoko osadzony ogon, szerokie czerwo-nawe nozdrza i gęsta grzywa ze znacznymi dwoma czubkami, które Beduini uważają za znak odwagi i wytrwałości. Był to dla znawcy widok budzący pragnienie, by natychmiast dosiąść konia i pognać na daleką, nieskończoną pustynię.

Wielki szarif rozkoszował się naszym zachwytem. Widział nasze zwierzęta, wiedział więc, że jesteśmy znawcami koni. Lekkim ruchem ręki, tak, żeby nikt nie spostrzegł, jaką ofiarę ma zamiar złożyć, wskazał na klacz i rzekł.

- Moja ukochana klacz! Daruję ją synowi szejka Haddedihnów.

Wielki szarif nie chce być gorszy od paszy. Niech nowy pan kocha ją tak, jak ja ją kochałem. Ona nigdy go riie zawiedzie. A kiedy będzie jej dosiadał, niech czasem pomyśli o tym, kto go serdecznie pokochał. Niech Allah was błogosławi!

Prawie gwałtownym ruchem i nie czekając na nasze słowa, odwrócił się i zaraz znikł we wnętrzu swego pałacu.

Patrzyliśmy za nim zaskoczeni. Nie spodziewaliśmy się takiego królewskiego daru. By wyjaśnić słowa emira, muszę dodać, że byliśmy już w posiadaniu ogiera, który przedtem należał do szejka Beni Sebidów. Pasza podarował go Haddedihiom, co prawda dopiero wskutek perswazji emira, który widział, że chętnie bym go zatrzymał dla hodowli Halefa. 'I~raz do ogiera doszła klacz, której wartość znacznie przewyższała wartość ogiera.

Hadzi był pierwszy, który ocknął się z zaskoczenia i zdał sobie sprawę z wartości daru. Aż huczało od okrzyków i pochwał pełnej 233 zrozumienia i chwalebnej obfitości sprawiedliwej oceny emira. Serdecznie cieszyła mnie radość dzielnego chłopca. Wskutek tego podwójnego daru plemię Haddedihiów zyskało znaczną przewagę nad sąsiednimi plemionami.

Tego samego dnia opuściliśmy miasto, przedtem Haddedihiowie modlili się w meczecie prosząc Allacha o ochronę w drodze powrotnej. Odjeżdżałem z lekkim sercem. Poszczęściło się ryzykowne przedsięwzięcie i nikt z nas nie ucierpiał, ale mimo to pożegnanie miejsca, gdzie przeżyłem bogaty w wydarzenia okres mego życia, nie sprawiło mi przykrości.

Był tylko jeden człowiek, którego będę serdecznie wspominał, a tym człowiekiem był wielki szarif. Wszyscy inni, kiedy się dowiedzieli, że jestem chrześcijaninem, zachowywali się wobec mnie z chłodną obojętnością bez najdrobniejszego uczucia przyjaźni. Słowem byli mi obojętni, a od ludzi obojętnych odchodzę z lekkim sercem. 'Pdkże Khutab Aga czuł podobnie jak ja. Kiedy mieliśmy już za sobą przedmieście Maabideh, poprowadził swego dżemela do boku moje-go konia i rzekł.

- Effendi, rad jestem, że mamy Mekkę za sobą. Ci tak zwani sąsiedzi Allacha są dość niesympatycznymi sąsiadami dla swoich bliźnich. Mam wrażenie, że gdybyś nie wyświadczył wielkiemu szari-fowi tak wielkiej przysługi, najchętniej pożarliby nas z kopytami. Allachowi niech będą dzięki, że nie musimy już oddychać dusznym powietrzem ich ulic, lecz znowu możemy przebywać pod wolnym Bożym niebem. Powiadam ci, najbardziej niegościnna pustynia jest lepsza niż wykwintne rozkosze tego miasta, które podobne są do zachwalanej wody ze studni Sem- Sem, co to nawet w ustach spragnionego ma smak goryczy.

Nie zdążyłem mu odpowiedzieć, ponieważ w dali, w okolicy twierdzy, rozległo się co prawda nie głośne, ale dobrze słyszalne wielokrotne dudnienie. Zatrzymałem mimo woli moje zwierzę i ubejrzałem się. 'Pakże Haddedihiowie się zatrzymali.

234

- Na Allacha, co to było? - zapytał Pers.

Hadzi miał gotową odpowiedź.

- Sidi, może to jest pożegnalne pozdrowienie paszy? Kiedyś przecież opowiadałeś, że przybycie i odjazd książęcych osobistości u was na Zachodzie w ten sposób się czci? Może pasza zna ten obyczaj i w ten sposób nas uczcił?

Roześmiałem się serdecznie z tego dziecinnego rozumowania Ha-lefa.

- Czy naprawdę uważasz nas za tak znaczne osobistości, które warte są marnowania prochu? Zresztą salwy armatnie na tak małą odległość byłyby o wiele głośniejsze i brzmiałyby inaczej. Nie, znam lepsze wytłumaczenie, które nie ma nic wspólnego z moją osobą. Pasza wydał rozkaz, aby wysadzono podziemne przejście.

- Szkoda! - rzekł Halef rozczarowany. - Ale może się mylisz?

Dlaczego pasza miałby zniszczyć tak świetne przejście?

- Czy naprawdę muszę ci tłumaczyć? Ponieważ stanowi ono stałe zagrożenie dla bezpieczeństwa twierdzy i miasta. Co zresztą miałby pasza począć z tym przejściem? Ale dajmy spokój przeszłości! Skie-rujmy nasze myśli na przyszłość.

Naszym następnym celem były pastwiska Ateibeh, ojczyzna Han-neh. Wiadomości o wydarzeniach w Mekce dawno nas wyprzedziły i przygotowano nam odpowiednio wspaniałe przyjęcie. Nie pozostaliśmy tam jednak długo. Ateibehowie robili wszystko, co było w ich mocy, by uczcić swoich słynnych krewnych. Nie brakowało świątecznych uczt i zabaw. Ale mimo to nie udało się

nawiązać naprawdę serdecznego stosunku między tymi zaprzyjaźnionymi szczepami. Wiedziałem dobrze, dlaczego. Haddediwnowie wskutek wieloletniego obcowania ze mną, mimo woli przyswoili sobie zasady chrześcijańskości. Miało to wpływ na ich sposób bycia i nie potrafili już całkowi-cie wczuć się w sposób myślenia Ateibehów. Przecież dobrze wiado-mo z historii tego kraju, że to arabskie plemię zawsze należało do najbardziej nieposłusznych i, że wielki szarif oraz pasza tylko dzięki 235 nieprzerwanym darom zdołali sobie kupić jaki taki spokój. W tych warunkach Hanneh była pierwszą osobą, która niezbyt dobrze czuła się w kręgu krewnych i nalegała na szybki odjazd, choć podjęliśmy podróż do Ateibehów właściwie tylko z jej powodu. Czwartego dnia pożegnaliśmy naszych gościnnych gospodarzy wyrównując darami potrójnej wartości koszty goszczenia nas.

Nasze odwiedziny u Beni Lamów wywołały wielką radość i to z obu stron. Gdy zegnaliśmy się z szejkiem Beni Lamów, musieliśmy mu przyrzec, że w drodze powrotnej pojedziemy przez ich obszar. Speł-niłem tę obietnicę tym chętniej, że szejk w ciągu kilku dni naszego tam pobytu zdobył mój szacunek i przyjaźń. Była to szlachetna dusza, która z wielką powagą i szczerością szukała prawdy. Toteż dni obe-cnego pobytu u Beni Lamów połączone były z bardzo poważnymi rozmowami, przy czym sprawiało mi szczerą radość, gdy w poszuki-waniach i badaniach szejka mogłem służyć moją wiedzą. Nie przyszło mi to z trudem. Ku mojej radości spostrzegłem, że w moim dążeniu szejk wychodził mi w pół drogi. Wraz z wiadomością o wydarzeniach w Mekce dotarła tu także nowina dotycząca mojej osoby, a mianowicie, że Hadzi Akil Szatir effendi jest właściwie chrześcijaninem Karą Ben Nemsim. Można sobie wyobrazić, że ta wiadomość zrobiła na szejku wielkie wrażenie.

Podczas dni i godzin spędzonych w namiotach Beni Lamów miałem nie jednego, ale wielu uczniów. Poza tym już od wielu dni głowę zaprzętała mi pewna myśl. Znajdowaliśmy się w pobliżu Bir Hilu i miejsca, gdzie znaleźliśmy ślepego, związanego Munedziego, w odległości tylko jednego dnia drogi. Czytelnik chyba przypomina sobie, że wtedy, opuszczając to miejsce, rzekł on do nas głosem Ben Nura.

-Spójrzciejeszcze raz wstecz i zapamiętajcie sobie to miejsce, bo powrócicie tu, kiedy nadejdzie pora obrachunku! ‘~Pdk więc nadszedł ezas, kiedy te brzmiące jak prorocstwo słowa miały się spełnić. Byłem ciekaw, czy tak istotnie będzie. Co prawda 236 myślałem o tym, by odwiedzi~miejsca, gdzie przeżyliśmy tak niezwyk-łe rzeczy. Ale częściowo były one tak smutne, a poza tym owe okolice były tak odległe od naszej trasy, że z własnej woli nie chciałem nadkłada~drogi. Nie wspomniałem Werniłowowi ani słowa o jego ówczesnej wypowiedzi, a wiedziałem od innych, że też mu nic nie powiedzieli. Tym bardziej byłem teraz ciekaw, w jaki sposób słowa te się spełnią.

Wieczorem przed odjazdem od Beni Lamów Rosjanin wszedł do namiotu, który zajmowałem z Halefem i jego synem, i rzekł.

- Effendi, mam prośbę do ciebie i mam nadzieję, że nie weźmiesz mi jej za złe. Bardzo chciałbym ujrzeć miejsce, które odegrało tak znaczącą rolę w moim życiu. Byłem przecież wtedy ślepy i sądzę, że rozumiesz moje pragnienie.

Tego właściwie powinienem się był spodziewać po tym, co wówczas zaszło. Udałem jednak, że jestem bardzo zdziwiony, i odparłem.

- Sądziłem, że zależy ci na tym, by możliwie bez zwłoki dotrzeć do Persji? Pomyśl o tym, że okrężna droga przez Bir Hilu zajmie nam co najmniej dwa pełne dni!

Werniłow odparł z uśmiechem.

- Ach, effendi, cóż znaczy kilkudniowa zwłoka? W ostatnich czasach nauczyłeś mnie gruntownie sztuki cierpliwości. Chętnie to-warzyszyłem wam tam, dokąd chcieliście się udać. Pozostałem w Mekce, towarzyszyłem wam do Ateibehów i do Beni Lamów, chociaż serce moje ciągnęło mnie do Persji i do mojego cesarskiego władcy, czyniłem to bez sprzeciwu. W ten sposób, sądzę, zdobyłem prawo, byś ten jeden jedyny raz spełnił moją e życzenie. Proszę cię, zrób to dla mnie i zgódź się!

Wyraziłem zgodę, a zarazem opowiedziałem hrabiemu o jego dawnej wypowiedzi na pustyni. Był bardzo zaskoczony.

- Effendi, jestem zdziwiony tym, co mi powiedziałeś. Nie mam pojęcia, co miał na myśli Ben Nur, mówiąc o dniu obrachunku. 'I~n

237

obrachunek mógł dotyczyć jedynie Abadilaha, a on znajduje się w Mekce, wiele mil stąd. Ale jakkolwiek bądź, jedno wiem na pewno, jeśli pojedziemy proponowaną przeze mnie określoną drogą, na pewno coś przeżyjemy.

Zawiadomiłem Halefa i szejka Beni Lamów o zmianie trasy po-dróży. Halef nie miał nic przeciwko temu, Abd el Darak zaś oświadczył, że da nam jeszcze dziesięciu Beni Lamów jako asystę honorową, dopóki będziemy pozostawali na jego terenie. Zrozumiałe, że z radością przyjęliśmy tę uprzejmą propozycję.

Nazajutrz po modlitwie porannej wyruszyliśmy, żegnani błogosławieństwem pozostających. Wyjeżdżając zabrałem ze sobą ową szybką jak wichur wielbłądzicę, którą swego czasu dostałem w dowód wdzięczności od Persa. Aby po tylu trudach dać folgę Assilowi postanowiłem jechać dalej na niej, a konia prowadzić luzem.

Naszym celem na dzień była zapadlina, w której spędziliśmy noc po spotkaniu z Munedżim. I właśnie w drodze, kiedy wyprzedzając innych jechaliśmy z Halefem i szejkiem Beni Lamów, odbyła się ta rozmowa z Hadżim, o której wspomniałem na początku rozdziału.

Za nami jechał Pers, który zatopiony był w poważnej rozmowie ze swym sąsiadem hrabią. Ten nie siedział tak jak dawniej w tachtirewanie, lecz jechał wierzchem na dżemelu. Zdrowie jego w ostatnich tygodniach tak się poprawiło, że mógł sobie pozwolić na ten wysiłek

nie obawiając się zbytniego zmęczenia. Mimo swego wieku siedział w siodle jak młodzieniec. Potem jechała Hannehtachtirewanie uboku syna, który jechał na kłaczy wielkiego szarifa, a dalej z tyłu Haddedihnowie i Beni Lamowie w nieuporządkowanych grupach. Hrabia bardzo zaprzyjaźnił się z chyba o wiele młodszym od siebie Basz Nasirem.

4

Stali się prawie nierozłączni i korzystali z każdej okazji, by być razem. 'Pdkże i dziś podczas całej drogi byli tak zatopieni w rozmowie, że nie zważali na nic innego.

Byliśmy już wiele godzin w drodze i należało się spodziewać, że za godzinę dotrzemy do wzmiankowanej rozpadliny, gdy pewna 238 wypowiedź dotycząca wydarzeń w Mekce zwróciła moją uwagę. Nie zdążyłem dalej przysłuchiwać się słowom Munedżiego, kiedy się bo-wiem obejrzałem, wzrok mój padł na coś, co zmusiło mnie, abym natychmiast zatrzymał swego konia. Spostrzegłem bowiem z kierunku, z którego przybyliśmy, lekką niby pajęczynka chmurkę na tym całkowicie bezchmurnym niebie. Wiedziałem od razu, co nam grozi, bo znałem bardzo dokładnie oznaki rozmaitych pustynnych wiatrów.

- Uwaga, ludzie! - zawołałem głośno. - Pospieszcie się, żeby dotrzeć do osłoniętego miejsca, bo zbliża się za nami samum. Słowa moje padły jak bomba pomiędzy tych, którzy zatrzymali się tuż za mną. Szejk Beni Lamów po krótkim spojrzeniu na chmurkę zawołał przerażony.
- Na Allacha! Masz rację, effendi, nadchodzi samum. Biada nam, jeśli nas zaskoczy, zanim dotrzemy do naszego miejsca noclegowego! Na otwartej pustyni jesteśmy zgubieni. Niech Allah ma nas w swej opiece!

Tymczasem zbliżyli się Haddedihnowie. Z ciekawością i niedowierzaniem spoglądali na to, co wywołało u szejka takie przerażenie. Samum jest w Dżesireh zjawiskiem nieznanym i syn kwitnącego stepu nic nie wie o tym najstraszniejszym ze wszystkich niebezpieczeństw pustyni

piaskowej. 'Pakże Halef nie miał pod tym względem większego doświadczenia niż jego Haddedihowie, gdyż rzekł bez-trosko.

- Allah jest wielki! Ta mała niepozorna chmurka ma zapowiadać ten okropny samum? Sidi, chyba się mylisz?

- Nie myślę się, przeżyłem niejedną burzę piaskową. I popatrz, teraz także zwierzęta czują grożące niebezpieczeństwo. Wnioskuje to z ich niepokoju, ze sposobu, w jaki odwracają się od kierunku, z którego ma nadejść burza. Szybko, popędzajcie wasze zwierzęta, niech zwiększą tempo. Nie mamy czasu do stracenia! Znowu ruszyliśmy. Wielbłądów nie trzeba było poganiać, same 239 przeszły w szybki kłus. Jeśli Haddedihowie dotąd jeszcze wątpili, to ich wątpliwości przemieniły się wkrótce w niepokój. Niebawem twa-rze ich spowaźniały. Chmura za nami rosła i powiększała się coraz bardziej, a wielbłądy biegły coraz szybciej. Powietrze przybrało żółtawy odcień, który wkrótce stał się jak ołów, chmura zaś rozszerzała się po całym niebie za nami. Obejrzałem się i zawołałem ostrzegawczo.

- Prędej, jeszcze prędzej! Zbyt powoli posuwamy się do przodu.

Poganiajcie zwierzęta biczami, inaczej burza nas dopędzi! Mojej wielbłądźicy co prawda ten środek nie był potrzebny. Biegła tak żwawo, że musiałem ją powstrzymać, by niezbyt wysforowała się przed innymi. Gdyby chodziło tylko o mnie, nie obawiałbym się. Wystarczyłoby tylko zastosować tajemnicę mojej klaczy i byłbym w ciągu dziesięciu minut w okolicy, gdzie znajdowała się owa zapadlina. Ale nie wykorzystałem tego środka. Uznałbym to za tchórzostwo, gdybym teraz, w godzinie niebezpieczeństwa, opuścił swoich przyja-ciół.

Karawana posuwała się, teraz z taką szybkością, z jaką wielbłądy mogą biec, a ziemia po prostu znikwała pod ich kopytami. Jeśli wytrzy-mają, moglibyśmy w ciągu kwadransa znaleźć się w bezpiecznej za-padlinie, a był już najwyższy czas. Słońce stojące na zachodnim wid-nokręgu było widoczne już tylko w niejasnych zarysach. Przybrało kolor ciemnoczerwony i świeciło tylko połową siły. A kiedy się obejr-załem, zobaczyłem ciemny mur jakby sięgający od ziemi do nieba, który miał nas wkrótce dopędzić. Był to wzburzony piasek, który mógłby nas pogrzebać.

Halef u mego boku ucichł. 'Pakże inni nie mieli odwagi odezwać się głośniejsz, jak gdyby w obawie, że sprowadzą na siebie duchy pustyni. Kiedy jednak teraz zerwał się pierwszy silny podmuch wiatru, który niemal zrzucił nas z siodła, rozległy się okrzyki przerażenia. Khutab Aga, który widocznie jeszcze nigdy nie przeżył burzy piaskowej, zawołał ze strachu.

- Bog jest miłościwy! Ió tak, jakby nastąpił Sądny Dzień! Niech 240 Allah chroni nas przed nieszczęściem.

Jeszcze nie dokończył, kiedy rozległ się za nami ryk trąby powietrznej i jednocześnie przed nami zaczęła zapadać ciemność.

- O Allachu, o proroku! - zawołał Halef. - Co to było? Chyba Pers ma rację, że nastął Sądny Dzień. Bo to brzmiało jak trąba Sądu Ostatecznego. Pozwól, sidi, że zajrzę do mojej Hanneh! Jeśli dziś nastął ostatni dzień, chcę przynajmniej umrzeć razem z moją Hanneh. Nie miałem czasu odpowiedzieć, bo burza nas już dosięgła. Szarpnęła mna, jakby chciała zrzucić mnie z wielbłąda, ale trzymałem się mocno kuli u siodła, inaczej zrzuciłaby mnie na ziemię. Mój hedżin nie dał się już kierować cuglami, pędził jak szalony z burzą w zawody. Jedyne, co mogłem zrobić, to nadawać zwierzęciu tylko kierunek, poza tym dałem mu swobodę działania.

S~mmn nie osiągnąłjeszcze najniebezpieczniejszego szczytu, jesz-cze nie było piasku, tylko burza. I oto ujrzałem w pewnej oddali podwyższenie terenu. Znałem je, było to wzniesienie, za którym znajdowała się poszukiwana przez nas zapadlina. Już nie musiałem kierować moim wielbłądem, prowadził go węch. Wzleciał na górę jak na skrzydłach i z taką samą szybkością zbiegł na dół. W dolinie szybko upadł na ziemię, tak że ledwo zdążyłem zeskoczyć z siodła. Przycis-nałem się mocno do ciała wielbłąda, tyłem do burzy. Potem wsunąłem rąbek kurtki do ust i owinąłem głowę turbanem. Ledwo to zrobiłem, już dosięgnął mnie piasek.

Słyszałem syczenie i dudnienie w powietrzu i miałem uczucie, jakby zawalił się nade mną mur.

Potem niczego już nie pragnąłem, jak tylko złapania tchu.

Czy coś słyszałem? Nie wiem. Czy o czymś myślałem? Trudno mi powiedzieć. Mogę sobie tylko przypomnieć, że ezulem, jakby ktoś był tuż obok mnie modląc się drżącym głosem, potem już nic nie ezulem, nic nie myślałem. Ocknąłem się dopiero z tego stanu oszołomienia, kiedy hedżin obok mnie zaczął się poruszać. Usiłowałem się wyprostować, ale szło mi to z trudem. Dokoła mnie panowała niesamowita

16 - W podziemiach Mekki 241

cisza. Kiedy wstałem, ujrzałem, jaki wielki pokład piasku mnie pokrył, a cóż dobiego tych, którzy nie znaleźli osłony! Drobnny piasek tkwił we wszystkich otworach ciała, w nosie, uszach, nawet w ustach. Miałem pod płótnem zamknięte oczy, a jednak pył wcisnął się nawet pod powieki. Długo trwało usunięcie piasku i pozbycie się bólu. Potem rozejrzałem się dokoła.

Wszędzie pagórki piasku, z których sterczały grzbiety wielbłądów i członki ludzkie. W moim pobliżu spostrzegłem tachtirewan Hanneh. Przebrnąłem przez piasek i przekonałem się z radością, że Hanneh nic się nie stało, była tylko przestraszona, a do wnętrza tachtirewanu dostało się masę piasku. Podczas kiedy pomagałem jej wstać, wokół nas ożywiło się. Pierwszy, który wygrzebał się z piasku obok wielbłąda Hanneh, był Halef. Wzrok jego padł na tachtirewan i okrzyk radości wydarł się z jego piersi, gdy ujrzał Hanneh. Pozostawiłem go, żeby cieszył się żoną i zacząłem sprawdzać, ile szkód wyrządził samum. Na szczęście okazało się, że właściwie nikt nie poniósł szkody na ciele. Nikogo nie brakowało, wszystkim udało się zawczasu dotrzeć do wzniesienia. Ale biada tym nieszczęśnikom, których burza zaskoczyła na otwartej przestrzeni! Przy tak straszliwej sile, która tym razem nadciągnęła, byli straceni!

Tego wieczora ułożyliśmy się do snu z nieopisanym uczuciem wdzięczności dla Boga, który wziął nas pod swoją opiekę. Znowu miałem sposobność podziwiania dróg Opatrzności. Początkowo wcale nie miałem zamiaru obierać tej drogi i tylko prośba hrabiego skłoniła nas do takiej decyzji. Gdybyśmy nie usłucha-li tej prośby, dziś już by nas nie było na świecie. Jestem o tym głęboko przekonany. Szejk Beni Lamów opowiadał nam bowiem, że okolica na północ od ich pastwisk, przez które prowadziła nasza droga, nie ma najmniejszego wzniesienia. Nawet nie ważyłem się wyobrazić sobie, jaki los by nas spotkał, gdybyśmy nie zmienili planu i nie przystali na prośbę hrabiego, która, jak ieraz musiałem przyznać, była wolą Ben Nura.

242

Tbteż nazajutrz, kiedy wyruszyliśmy w dalszą drogę, panował bar-dzo poważny nastrój. Była to powaga ludzi, którzy są przekonani, że dzięki cudowi uniknęli śmierci. Wyruszyliśmy wcześniej, gdyż kończyła się nam woda. Co prawda według naszych obliczeń mieliśmy dostatecznie dużo bukłaków, ale okropny upał, który towarzyszy nawet krótkiemu samumowi, wystarczył, by nasz zapas wody poważ-nie się zmniejszył, tym bardziej, że wyczerpani ludzie i zwierzęta zużywali jej dość dużo. Dlatego też spieszyliśmy się, by jeszcze wczesnym popołudniem dotrzeć do Bir Hilu. Jechałem przodem z Rosjaninem i Persem. Halef większość czasu spędzał dziś ze swoją Hanneh i z synem, Abd el Darak przebywał ze swymi ludźmi. Naszym następnym celem było miejsce, gdzie znaleźliśmy hrabiego i zrozumiałe, iż rozmowa toczyła się po innych niż zwykle torach. Kiedy zaczęliśmy mówić o wczorajszym śmiertelnym niebezpie-czeństwie, którego uniknęliśmy, Pers rzekł.

- Effendi, jeszcze teraz włosy mi się jeżą na głowie, kiedy myślę o wczorajszych wydarzeniach i o strachu, jaki przeżyłem. Wydawało mi się, że świat się kończy. Na Allacha, jeśli tylko burza na pustyni może wzbudzić takie przerażenie, to jak dopiero musi się czuć dusza, kiedy archanioł Israfil zacznie dąć w trąbę na Sąd Ostateczny! Nigdy jeszcze nie uświadomiłem sobie tej okropności tak jak wczoraj i jestem przekonany, że pamięć o tej godzinie grozy nigdy we mnie nie zaginie. Powiedz, jak sądzisz! Czy to słuszne, co Koran powiada o Sądzie Ostatecznym i że ja, wyznający wiarę chrześcijańską, mogę w to wierzyć?

- Czemu nie? Wiara w Sąd Ostateczny gra główną rolę nie tylko w islamie, ale także i w chrześcijaństwie, z którego Mahomet właśnie w tym punkcie dużo przejął. Podobieństwo pomiędzy obu przekazami jest zadziwiające i uważam, że przekaz Koranu w szacie wschodniej pod tym względem jest całkowicie wiarygodny. Sądzę, że wygląda to tak, jak nam pokazał Ben Nur. Powiedz, czy uważasz, że most śmierci i waga sprawiedliwości to bajki?

243

- Boże broń! - zawołał hrabia przerażony. - Przecież wiesz, że w moim przekonaniu nic nie jest tak pewne jak ta prawda.

- No widzisz. A przecież wtedy powiedziało~, że nie zauważyłeś ani mostu, ani wagi, chociaż ich istnienie pokazało ci się tak, że wykluczało jakąkolwiek wątpliwość. Rozumiesz teraz, co mam na myśli? Istnieją prawdy, których znajomość może być przekazywana ludziom tylko za pomocą obrazów i porównań, które niezwykle silnie przemawiają do wyobraźni. I te środki poglądowe to szata, którą nakłada na siebie nadprzyrodzona prawda, oraz kolor, w jakim staje się ona widoczna dla naszego oka. Sprawą rozumu i to oświeconego jest, aby pod tą szatą i za tym kolorem szuka~ właściwego nadprzyrodzonego jądra i aby je znaleźć. Należy tylko zadać sobie trochę trudu i wtedy nikt nie będzie się z tego śmiał czy nawet prawdę wraz z jej szatą wkładał między bajki.

Późnym przedpołudniem zbliżyliśmy się do okolicy, gdzie hrabia przeżył najokropniejsze godziny swego życia. Wówczas, kiedyśmy szli tropem Ghaniego, zboczyliśmy z naszej drogi pod kątem prostym. Dziś tego nie uczyniliśmy, lecz skrzyliśmy, by oszczędzić czas, na długo przedtem, od dotychczasowego kierunku w prawo, tak że w porównaniu z naszą ówczesną drogą szliśmy jakbyw poprzek. W ciągu godziny mogliśmy dotrzeć do miejsca, które wówczas dla hrabiego było tak fatalne.

Przewidziany czas jeszcze nie minął, ale z rozmaitych znaków poznałem, że poszukiwane miejsce powinno być niedaleko. Wówczas wzbily się tuż przed nami w powietrze dwa ptaki, ale nie odfrunęły. Były widocznie spłoszone naszym przybyciem i teraz zataczały szerokie kręgi nad miejscem, na którym siedziały. Były to dwa sępy. Mimo woli zatrzymałem się na ich widok i nakazałem, aby reszta się zbliżyła. Zastanawialiśmy się, jak sobie wytłumaczyć obecność drapieżnych ptaków na tym tak odległym miejscu. Już przedtem mówiłem, że w tym kierunku przez wiele dni drogi nie było żadnej suudni, tak że prawie niemożliwością było, aby jakiś człowiek zaglądał do tego 244 pustkowia. Kiedy zapytałem o to Abd el Daraka, rzekł.

- Effendi, nie potrafię sobie tego wytłumaczyć inaczej niż tym, że podczas wczorajszej burzy jakiś podróżnik zboczył z właściwej drogi i tu zginął.

Halef zrobił niedowierzającą minę.

- Nie podzielam tego zdania. Podróżnik na pewno wyruszyłby drogą karawan, a ten szlak jest oddalony stąd o wiele mil. Może jakiś drapieżnik tu padł, prawdopodobnie szakal.

- Szakal na pozbawionej wody pustyni? - rzekłem. - Nie sądzę.

Znasz równie dobrze jak ja obyczaje tych zwierząt, nie oddalają się one zbyt od okolic, gdzie jest woda. Ale po co niepotrzebnie łamiemy sobie głowy! Ió miejsce i tak położone jest na naszej drodze. W kilka minut będziemy wiedzieli co i jak.

Pojechaliśmy dalej i wkrótce ujrzyliśmy kilka punktów wyraźnie odcinających się od ziemi. Nie poruszały się. Jeśli to byli ludzie, to prawdopodobnie już nie żyli. Nie wiem, jak to się stało, ale poczułem w sobie jakby tajemną groźbę. Pomyślałem o Ben Nurze, który przecież powiedział, że wrócimy dokładnie na to miejsce. Co tu znajdziemy? I czy to będzie miało coś wspólnego z naszymi ówczesnymi przeżyciami? Zaraz się okaże. Mimo woli popędziłem swoje zwierzę, aby biegło szybciej, tak że wyprzedziłem resztę. Kiedy się zbliżyłem, zobaczyłem, że chodzi tu o człowieka i wielbłąda, którzy do połowy zasypani piaskiem i od połowy z niego wystając leżeli w tej okropnej samotni. Jeszcze kilka susów mego wielbłąda i byłem na miejscu. Zeskoczyłem i brodząc przez głęboki piasek, który nagromadził się dokoła obu ciał, dotarłem do człowieka leżącego jak nieżywy. Musiałem ominąć wielbłąda, który na moją widok starał się robić daremne

wysiłki, by się unieść. Wydawało się, że złamał nogę i gdybyśmy nie nadeszli, musiał-by konać długo i w męczarniach. Ale teraz nie było czasu rozmyślać o zwierzęciu. Widok żyjącego jeszcze, choć bezradnego stworzenia wzbudził we mnie nadzieję, że i jeźdźca da się jeszcze uratować. Dobrnąłem do miejsca, gdzie leżał człowiek, pochyliłem się nad nim 245 i cofnąłem się z okrzykiem przerażenia. Sępy rozpoczęły swoją po-tworną biesiadę i wydziobały mu oczy, ale spłoszone naszym przyby-ciem musiały przerwać dzieło niszczenia.

Potworny widok zakrwawionych oczodołów nie potrafiłby mnie tak łatwo wyprowadzić z równowagi, a jednak wstrząsnął mną, zbyt dobrze znałem tę twarz otoczoną przetykanymi siwizną włosami i brodą.

Musiałem się chwycić za głowę, by się przekonać, że nie śnię, bo ten, do kogo ta twarz należała, to był... Ghani! Podczas mojego pełnego przygód życia stałem przed wielu trupa-mi, ale muszę przyznać, że nigdy dotąd nie odczuwałem takiej grozy jak teraz. Wydawało mi się, że ciało moje jakby zlodowaciało i kiedy to sobie uświadomiłem, poczułem, że szczękam zębami jak podczas mrozu. Ghani tutaj, właśnie na tym miejscu, które sobie wybrał do popełnienia największej zbrodni w swoim tak bogatym w łajdactwa życiu! To dawało dużo do myślenia! Ale na razie przerwano moje rozważania, które opadły mnie z całą siłą. Towarzysze nadjechali, na ich czele Halef, a za nim hrabia i Pers. Hadzi jeszcze w siodle zawołał.

- Sidi, kogo znalazłeś? Kto to?

Słowa utknęły mu w gardle. Wzrok padł na zmarłego i przez chwilę spoczywał na jego twarzy z wyrazem bezgranicznego zdumienia. Pakie samo przerażenie pomieszane ze zdziwieniem malowało się także na twarzach pozostałych. Nie zważałem na nich, lecz zwróciłem swoją uwagę na dwie osoby, które zostały przez Ghaniego najbardziej skrzywdzone, Werniłowa i Khutaba Agę. Ci dwaj zachowywali mil-czenie. Lecz tym wymowniejsze były ich oczy. Cała ich dusza wyrażała, co czują na widok zmarłego, leżącego u ich stóp. Pod nagłym impul-sem ująłem rękę Rosjanina. Nie wstydzę się przyznać, że głos drżał mi ze wzruszenia.

- Obejrzyjcie się jeszcze raz za siebie i zapamiętajcie to miejsce, bo wróćcie tu, kiedy nastąpi czas obrachunku! Hrabio, chciałeś ujrzeć to miejsce, na którym przeżyłeś najczarniejsze godziny twego

246 żywota. Rozejrzyj się! Spełniło się twoje życzenie i to w sposób, którego ani ty, ani ktokolwiek inny nie mógł przewidzieć. Wy obaj, ty i Pers, zrezygnowaliście z ukarania tego człowieka. 'I-raz doznaliście zadośćuczynienia, jakiego żaden, najsroższy nawet sędzia nie mógłby wam zapewnić. Kiedy skończyłem, oczy hrabiego oderwały się od trupa i skierowa-ły w dal. Długo stał tak bez ruchu, wreszcie zwrócił twarz ku mnie.

- Effendi, mówisz o naszym zadośćuczynieniu, które zostało nam dane. Ale Bóg mi świadkiem, że ja osobiście chętnie bym z tego zrezygnował. Ten człowiek bardzo mnie skrzywdził, ale dawno mu to wybaczyłem. I powtarzam to jeszcze raz w obliczu jego pozbawionej duszy powłoki cielesnej. Przebaczam mu z całego serca. 'Pam, gdzie Bóg ujął karę w swoje ręce, tam nędzny człowiek nie ma prawa myśleć o zemście.

'I' dkiej odpowiedzi się spodziewałem i ku mojej radości wtrącił się Pers .

- Ja także daleki jestem od tego, by cieszyć się okropną śmiercią Ghaniego. Niech mu Allah wybaczy, tak jak ja mu wybaczyłem. I oby szczęśliwie przebył most śmierci! Jak sądzisz, effendi, czy przed śmier-cią uświadomił sobie ogrom swojej winy? Nie odpowiadaj mi, wiem bowiem z góry, co mi powiesz. Wiem także bardzo dobrze to, czego mnie nauczyleś, że należy dostrzegać różnicę między krzywdą a krzyw-dzicielem. Mówiłeś, że krzywdy należy nienawidzić, krzywdziciela zaś kochać. 'Pak też pragnę teraz i dalej czynić. Proponuję, byśmy mu zrobili przyzwoity pochówek. Nie pozostawimy jego trupa sępom na pożarcie.

Chętnie zgodziliśmy się na tę propozycję! Nie mogłem się nadzi-wić zachowaniu Persa w ostatnim czasie i teraz też przy trupie tego człowieka, który był jego śmiertelnym wrogiem. Jeszcze niedawno zatwardziały mahometanin, teraz myślał i mówił o miłości tak pięknie jak chrześcijafiski duchowny. Nie mogłem się powstrzymać, podszed-łem i ze wzruszenia uściśnąłem mu dłoń.

Kiedy minęło wzruszenie, należało pomyśleć o innych sprawach. Przede wszystkim nasuwało się pytanie, skąd Ghani, który, jak sądzi-liśmy, znajdował się w najgłębszym lochu w Mekce, znalazł się nagle na pustyni? Halef otwarcie zadał pytanie, które nasuwało się nam wszystkim.

- Sidi, jak Ghaniemu udało się potajemnie wymknąć z więzienia?
- Ghani nie umknął potajemnie. - odparłem stanowczo. - Co prawda nie mam zbyt dobrego zdania o niezawodności tureckiej władzy okupacyjnej, ale mimo to nie uważam Ghaniego za człowieka, któremu bez obcej pomocy udałby się plan ucieczki. Moim zdaniem istnieje podwójne wytłumaczenie tej zagadki.
- Od razu podwójne? Jestem ciekaw!
- Uważam, że są dwie możliwości. Albo dobre stosunki między paszą a wielkim szarifem po naszym odjeździe znowu się popsuly i pasza uwolnieniem głównego oskarżonego pragnął uderzyć w emira. Ale to przypuszczenie nie wydaje mi się prawdopodobne i nie pasuje do charakteru paszy, który jest zbyt mądry, by nie dopuścić do otwartego zerwania z księciem Mekki.
- To rozumiem. A drugie wytłumaczenie?
- Albo Ghani uzyskał swoje zwolnienie za pośrednictwem wielkiego szarifa!
- Maszallah! Nie wierzę w to. Przecież emir nie pomógłby w uzyskaniu wolności swemu śmiertelnemu wrogowi.
- Czemu nie? O ile go poznałem, nie jest człowiekiem, który doprowadza swoje nieprzejednanie do szczytu, mając powody, by zastosować prawo łaski.
- Mówisz o powodach? Nie znam żadnego, który nakazywałby mu zwrócić wolność człowiekowi, co pragnął jego zguby - rzekł Halef.
- Mylisz się. Istnieją takie powody. Pomyśl o tym, że Ghani należał do słynnej rodziny szarifów Qatadah, blisko ~poicrewnionej z wielkim szarifem. Jaka przykra musiała być dla emira świadomość, że w

248 twierdzi uwięziony jest człowiek, który zhańbił całe pokolenia szarifów i to, że jest tuż w pobliżu, stanowiłoby dla niego i dla każdego bezpośredniego potomka Mahometa nieustanny wyrzut. W tej sytuacji uważam za bardzo prawdopodobne, że zapragnął pozbyć się tego kamienia obrazy i zgorszenia. A było to możliwe jedynie przez uł-twienie mu ucieczki, oczywiście pod warunkiem, że nigdy już nie pokaże się w okolicy Świętego Miasta. Nie należało się obawiać niebezpieczeństwa w przyszłości, ponieważ Ghani przez swój nie-udany spisek tak się skompromitował, że nie mógł spodziewać się znalezienia sojuszników do ewentualnych planów zemsty.

- Allah jest wielki! Po twoim wyjaśnieniu sprawa nie wydaje mi się już tak niepojęta i sam teraz niemal sądzę, że tak to mogło się przedstawiać. Ale dlaczego Ghani i tym razem ominął drogę karawan i wybrał tak niezwykłą trasę? Na pewno coś się za tym kryje, coś, czego nie wiemy.
- To także uważam za prawdopodobne, chociaż nie mogę sobie wytłumaczyć powodu. Może chciał uniknąć spotkania z ludźmi, którzy go znali i wobec których musiałby się tłumaczyć, co wcale mu nie odpowiadało. Ale dajmy teraz spokój tym niepotrzebnym przypuszczeniom, które i tak nie doprowadzą do niczego, pośpieszmy się z pochówkiem, abyśmy dotarli do Bir Hilu, zanim skończy się zapas wody.

By skutecznie uchronić trupa przed sępami, nie wystarczyło usypa-nie pagórka z piasku, następny samum i tak by go rozwiął. Wykopa-liśmy więc w pobliżu dół. Nie było to łatwe, nie mieliśmy odpowied-nich narzędzi, ale ludzie pracowali z takim zapałem, że w ciągu pół godziny dół był dość duży, by pomieścić trupa. Potem Haddedihowie ściągnęli sztywne ciało z piasku i położyli przed dołem. Przy tym odkryliśmy coś, czego przedtem nie spostrzegliśmy, ponieważ trup był przykryty piaskiem. Odzież Ghaniego była na piersi przesiąknięta zakrzepłą krwią. Nie mogło to pochodzić z tej małej rany, której Ghani nabawił się podczas upadku z wielbłąda. Odstłoniłem koszulę 249 tuż przy szyi i nie mogłem powstrzymać okrzyku zdziwienia. Klatka piersiowa Ghaniego była zupełnie

zmiażdżona i stanowiła jeden nie-foremny krwawy kłęb. Okropna rana musiała być zadana jakimś ciężkim przedmiotem, który zmiażdżył go, gdy spadł z wielbłąda i spowodował natychmiastowy zgon. A więc nie zginął wskutek uduszenia. Ale co to był za przedmiot i gdzie się teraz znajdował? Prawdopodobnie, a raczej na pewno był gdzieś w pobliżu trupa, zasypany piaskiem. Rozkazałem Haddedihiom, ba zaczęli kopać. Tymczasem podszedłem do wielbłąda Ghaniego i obejrzałem go. Jego prawa przednia noga była złamana tuż pod kolanem, tak że nie mógł się podnieść. Wyjąłem brofi i strzałem w oko wyzwoliłem biedne zwierzę z męczarni.

Ledwo przebrzmiał strzał, kiedy z miejsca, gdzie Haddedihiowie kopali, rozległo się wołanie. Jeden z nich podniósł jakiś przedmiot, który jednak był tak mały, że nie dojrzałem go z miejsca, gdzie stałem. Ale zaraz się dowiedziałem, co to jest, ponieważ Halef zawołał.

- Maszallah, to złota ~nedżidijeh! Kopcie dalej, zdziwiłbym się, gdybyśmy nie znaleźli czegoś więcej.

Istotnie, było ich więcej, co skłoniło Haddedihiów do pracy z podwójnym zapalem. Pagórek z piasku, pod którym zasypany był Ghani, stawał się coraz mniejszy i wreszcie ukazała się dziwaczna skrzynka okuta żelazem. Była tak ciężka, że dwóch ludzi z wielkim trudem mogło ją unieść. W jednym miejscu, prawdopodobnie wskutek upadku, jedno z okuć pękło i z wnętrza przeświecało coś jakby czerwone złoto. Czyżby ta skrzynia była...? Nie doprowadziłem myśli do końca, bo w tej samej chwili wyłoniło się z mojej pamięci niby błyskawica owo przesłuchanie w pałacu wielkiego szarifa, kiedy to zawołałem do Ghaniego, żeby się strzegł, by świątynia, którą sobie zbudował z mamony, nie runęła i nie pogrzebała go pod swoimi gruzami. Jeśli skrzynia nie zawierała niczego innego prócz pieniędzy

to istotnie jej ciężar był zr~zumiały i okropna rana Ghaniego znała~złaby swoje wytłumaczenie. Z nieopisanym uczuciem przyglądałem się Haddedihiom, kiedy usiłowali otworzyć wieko. Przez jakiś czas opierało się ich staraniom, wreszcie zamknięcie poddało się i wieko odskoczyło...

- Maszallah? - zawołali stojący dookoła zaskoczeni ludzie i z rozwartymi oczami spoglądali na zawartość skrzyni, w której lśniło złoto wypełniające ją po brzegi.

Zapadła nagle cisza. Haddedihiowie, którzy wtedy podczas przesłuchania słyszeli może moje słowa skierowane do Ghaniego, aż za dobrze zrozumieli wstrząsające znaczenie obecnej chwili, a oczy ich wędrowały ze zdumieniem i podziwem od złotego skarbu do mnie, i z powrotem. 'Pakże Pers stał jak wmurowany, a usta mu drżały, kiedy po chwili przerwał ciszę.

- Effendi, twoje prorocstwo..., twoja przepowiednia, pamiętasz? Ghani skończył tak, jak mu przepowiedziałeś. Niech Allah będzie miłosierny dla jego duszy!

W jaki sposób Ghani doszedł do tego skarbu i gdzie go ukrywał? Pasza rozkazał wtedy dokładnie przeszukać jego dom, ale nie znaleźiono tam wiele go:ówki. Ja także sądziłem, że cały majątek ukryty był w Beit es Ssala. A teraz okazało się, że był on dość przebiegły i ukrywał pieniądze w rozmaitych miejscach. Ale kto mu pomógł prze-transportować ciężką skrzynię w bezpieczne miejsce? To były pytania, które chyba nigdy nie zostaną wyjaśnione. W każdym razie teraz mieliśmy wytłumaczenie, dlaczego Ghani nie obrał i tym razem zwykłej drogi. Chciał uniknąć~niemiłych spotkań, które zagrażałyby jego skarbowi, a tym samym i jemu.

Z uznaniem muszę powiedzieć, że zarówno Haddedihiowie, jak i Beni Lamowie na widok złota nie stracili panowania nad sobą. Nie widać było szalonej chciwości, którą tak często obserwowałem u poszukiwaczy złota na Dzikim Zachodzie. Ja osobiście od dawien dawna byłem zdania, że istnieją bogactwa wyższego rzędu niż złoto i srebro, i to przekonanie powoli udzieliło się także Haddedihiom. A co do Beni Lamów, to przynajmniej ich szejka wówczas, kiedy z tak 251 lekkim sercem zrezygnował ze skarbu wyznawców, chociaż znajdował się on już w jego rękach, okazał podziwu godne opanowanie. Poza tym należało teraz załatwić inne sprawy, które były

ważniejsze. Pochować mekkańczyka i wyruszyć do Bir Hilu. ‘Pdk więc skrzynię znowu zamknięto i tymczasem załadowano na wielbłąda. Potem ułożyliśmy trupa Ghaniego do dołu i zasypaliśmy. Kiedy byliśmy prawie gotowi, a odsłonięta była jeszcze tylko twarz, hrabia, który stał w milczeniu jakby pogrążony w modlitwie, zwrócił się do mnie z prośbą.

- Effendi, pozwól, że na pozbawione duszy zwłoki Abadilaha rzucę ostatnią garść ziemi. Przedtem jednak chciałbym odmówić nad nim surę Rozdzielenie. Znasz ją równie dobrze jak ja i wiesz, że nie zawiera nic przeciwko naszej wierze, i dlatego może ją bez obawy odmówić każdy chrześcijanin.

Dałem mu znak zgody i hrabia zaczął z głębokim wzruszeniem, podczas gdy Haddedihowie i Beni Lamowie stali nad grobem ®^ pełnym powagi milczeniu.

- W intię Boga Milosierń~go, Litościwego! Kiedy niebo rozdzieli się

- i. kiedy gwiazdy zostaną rozproszone, kiedy utofza się wzbmżą i kiedy groby zostaną wywrócone, wtedy każda dusza się dowie, co sobie przy-gotowała i ezegezianiedbała. O ezłowiekLc! Cóż cię zwiodło względem twego Pana Szlachetnego? Tego, który cię snvorzy,ł i ukształtował cię harmonijnie i wymierryl proporejonalnie, ułorył cię w takiej postaci, w jakiej chciał? Otóż wręcz przeciwnie! Za kłamtstwo uważają Sąd! Za-prawdę, nad wanti są stróże szlachetni, którzy zapisują, oni wiedzą, co wy crynicie! Zaprawdę, sprawiedliwi będą w szczęśliwości! Zaprawdę, gnesznicy będą w ogniu piekielnym! Oni będą się tam palić w DniLc Sądu i nie będą ntogli oddalić się od niego. A co cię poLrcry, co ro Dzień Sądu? Tego Dnia żadna dusza nie będzie w stanie nic pomóc innej duszy lZozkaz, tego Dnia, będzie należeć do Boga!

Dotarłem do końca i wyobrażam sobie, że niejedyn czytelnik chciałby dokładnych informacji co do poszczególnych osób, które 252 wzbudziły ich sympatię. Życzenie to mogę spełnić w zwięzłych słowach. Przy Bir Hilu pożegnał się z nami Abd el Darak, pożegnanie było bardzo serdeczne, ponieważ wiedzieliśmy, że jest to rozstanie na zawsze. Zabrał ze sobą połowę złota. Właściwie, zgodnie z prawem pustyni, mógł rościć pretensje do całego skarbu, ponieważ znaleziony został na obszarze władzy Beni Lamów. Ale rzekł słusznie, że nie ujrzałby ani jednego piastra, gdyby nie przyszło mu do głowy dać nam honorowej asysty. Drugą połowę obiecano Haddedihowi, a ta była tak wielka, że mogli się odtąd zaliczać do najbogatszych plemion. Askarów Persa szczerze wanagrodzono już w Mekce. W miejscu, gdzie mekkańczycy pozostawili na niechybną śmierć niewidomego Munedziego, Pers i hrabia pożegnali się z nami. Pers miał przede wszystkim towarzyszyć przyjacielowi do jego domu, a potem przez Bagdad i Kermanszah skierować się w stronę ‘Ii;heranu. Obaj szczęśliwie dotarli do celu. Jeśli idzie o Khutaba Agę, to mogę wyjawić, że prowadzimy ożywioną korespondencję. Jest bardzo szczę-śliwy i cieszy się w świętych miejscach Szia najwyższym szacunkiem. Swego wpływu używa, gdzie tylko może, by czynić dobro w duchu owej miłości, która objawiła mu się w godzii~ie śmiertelnego niebezpie-czeństwa i której apostołem stał się w słowie i dziele. Hrabia Werniłow został przez szacha przywrócony na wszystkie urzędy i godności, jakie piastował przed laty. Działał jeszcze kilka lat dla dobra narodu, który, po utracie swej ojczyzny, darzył miłością, a gdy umarł, był szczerze opłakiwany przez władcę i cały kraj. ‘Aun er Rafiq długo jeszcze panował, co, jako znawca historii Mekki, muszę odebrać jako wielką rzadkość. Panował na tronie sza-rifów dwadzieścia trzy lata i zmarł w roku 1905. Wydarzenia opisane w tej książce otworzyły mu oczy na pustkę i zepsucie społeczności mekkańskiej i dały mu broń do ręki, która umożliwiła mu skuteczne przeciwdziałanie ukrytym machinacjom przeciwników. ‘Pdkże wobec Porty okazał się zręcznym mężem stanu, który niby to godził się na wszystkie jej żądania, w istocie jednak nie dał sobie ani na jotę ukrócić 253 władzy. „Pdk jak kiedyś zwyciężył z paszą Othmanem, tak też zachował niezaprzeczną wyższość wobec jego następcy, którą jednak, jeśli wierzyć wiadomościom prasowym, wykorzystywał nie we własnym interesie, lecz dla dobra edży.

A Halef i jego Haddedihowie?

Kiedy dotarliśmy w pobliże Eufratu, wysłano jako gońców dwóch Haddedińców, mających oznajmić nasze przybycie. Przyjęto nas z radością i entuzjazmem. Teraz właściwie, zgodnie ze zwyczajami Be-duinów, należałoby uczcić nasz powrót szeregiem uctw i igrzyskami, ale należy stwierdzić z uznaniem, że tym razem Hadde-dińcowie nie uczynili tego. Miast tego, Halef zgromadził swoich Haddedińców i w swój niezwykły, jemu tylko właściwy sposób opowiedział o owym hadździe, który przyniósł ze sobą tyle dziwnych wydarzeń. I czy ktoś mógł mu mieć za złe, że opowieść o tym zajęła mu więcej niż jeden wieczór? Rzecz jasna, miał wdzięcznych i uważnych słuchaczy, którzy śledzili jego słowa z pełną napięciem uwagą. Niczym objawienie z innego świata wstrząsnęła nimi historia Mune-dziego. Ogarnęła ich fala nie znanych dotąd uczuć, które zmuszały do głębokich poważnych rozważań, kiedy stawały przed nimi wstrząsające obrazy i otwierały przed nimi mroczne, niezbadane obszary, których całkowite odsłonięcie i poznanie będzie naszym udziałem dopiero w godzinie śmierci, kiedy nasza dusza z wahaniem i drżeniem stanie u bram zaświatów.

KONIE~

Posłowie

Czytelnicy, którzy znają „Most śmierci” Karola Maya, przeczytali również - przynajmniej mam taką nadzieję

- posłowie, jakie napisałem do tej książki. Na ostatniej stronie zamieściłem prośbę o listy i podałem swój adres. Posypała się tych listów cała lawina. Jedni piszący mieli pretensje, że nie napisałem o życiu i twórczości autora, inni, że zamieściłem o nim kilka słów krytycznych, a wszyscy dopominali się o ciąg dalszy przygód Kara Ben Nem-ziego, Halefa i Miinedziego. Jest rzeczą oczywistą, że na omawianie pełnej biografii i twórczości pisarza nie ma miejsca w krótkim z konieczności posłowniu. Wszyscy, którzy chcą się zapoznać z tą tematyką, muszą poszukać w bibliotekach książki dwóch wrocławskich germanistów:

Norberta Honszy i Wojciecha Kunickiego „Karol May - anatomia sukcesu”. Dzieło to wydane było w 1986 roku 255 przez Wydawnictwo „Śląsk” w nakładzie 30 tys. egzemplarzy. Jeżeli zainteresowanie życiem i pisarstwem Karola Maya będzie nadal tak duże, to może uda się wznowić ten tytuł lub nakłonić autorów do napisania popularnej książki o pisarzu i jego dziele.

Ostatnie i powszechne żądania Czytelników, domagających się dalszych przygód Kara Ben Nem-ziego, Halefa, Munedziego i ich towarzyszy ze znanego z innych książek Maya plemienia Haddedińców w Świętym Mieście muzułmanów, niedostępnej dla chrześcijan Mekce, wydawnictwo spełnia teraz, oddając w ręce Czytelników powieść „W podziemiach Mekki”. Winni jednak jesteście Czytelnikom kilka słów wyjaśnienia.

W posłowniu do „Mostu śmierci” wspominałem, że May planował napisanie dalszego ciągu, ale nigdy nie zrealizował tych planów. Książka w trakcie powstawania rozrastała się coraz bardziej pod piórem pisarza, autor więc chcąc zmieścić powieść w jednym woluminie (do czego zmuszała go kolejna numeracja już wydanych i zaplanowanych tomów pełnej edycji jego dzieł)

- musiał zakończyć książkę w środku akcji, ku szczeremu niezadowoleniu wszystkich zagorzałych wielbieli jego książek. Czytelnikom, którzy w setkach listów pytali pisarza o dalsze losy bohaterów, odpowiadał, że napisze część drugą pt. „W zaświatach”. Zapowiedzi ~tych nigdy nie spełnił i chyba dobrze się stało. Dlaczego?

May napisał „Most śmierci” w 1899 roku. Był to ciężki i trudny okres w jego życiu.

Dziennikarz Rudolf Lebius chciał pożyczyć od Maya 10 tys. marek, co było w 1904 roku ogromną sumą. May nie zgodził się na udzielenie pożyczki. Mszcący się podle dziennikarz pisze od września 1904 roku artykuły, w których ujawnia, że pisarz rozpoczynał działalność literacką od pisania powieści zeszytowych niskiej wartości i rozgłasza o jego pobytach w więzieniu. Zaczyna się nagonka na Maya, który zostaje wplątany w serię procesów; różne pisma szerzą o nim kłamliwe plotki, traci wielu przyjaciół. Trzeba jednak wspomnieć, że autor miał też wielu obrońców i zawsze

wierną rzeszę czelni-ków. W roku 1903 pisarz rozwodzi się z żoną i żeni po raz drugi. Przeżycia związane z rozwodem również nie należały do przyjemnych. Zgnębiony tymi wszystkimi wydarzeniami sławny autor chce udowodnić wszystkim, że stać go na więcej niż pisanie powieści podróżniczych. Budzą się do życia jego dawne pragnienia, aby pisać dzieła, które zapewnią mu na zawsze miejsce w pamięci potomnych. W autobiografii „Moje życie i dążenia” May pisze tak:

Są prawdy ziemskie i prawdy niebiańskie. Ziemskie prawdy głosi nauka, niebiańskie daje Objawienie. Nauka dowodzi swych prawd. To natomiast co głosi Objawienie uczeni uznają za wiarygodne, lecz nie dowiedzione. Jedna z tych prawd niebiańskich zstępuje więc na promieniu gwiazdy na ziemię i chodzi z domu do domu, pukając i prosząc, by ją wpuszczono do środka. Wszędzie ją odtrącając, jako, że pragniecie posłuchu. Nie posiada jednak żadnego uzasadnienia naukowego. Chodzi więc od wsi do wsi,

17 - W podziemiach Mekki 257

z miasta do miasta, z kraju do kraju, a nikt nie chce jej przyjąć i wysłuchać. Wstępuje więc znowu na gwiazdny promień do nieba powracając do Tego, który ją przysłał. Płacząc wyznaje mu swą skargę. Lecz On uśmiecha się łagodnie i mówi: „Nie płacz. Idź znów na ziemię i zapukaj do drzwi tego, którego jeszcze nie odwiedziłaś, do pisarza. Proś go, by odział cię w szatę baśni i spróbuj jeszcze raz szczęścia”. Pośluca. Poeta ją przyjął i odział. Rozpoczyna więc wędrówkę od nowa - już jako baśń. Otworem stają przed nią drzwi i serca. Wszyscy słuchają chciwie jej słów i dają jej wiarę. Proszą, by pozostała, gdyż każdy znalazł w niej upodobani. Lecz ona musi iść dalej i spełnić swe posłannictwo. Tak więc Old Shatterhand ma się stać głosi-cielem prawd objawionych, nauczycielem prawd moralnych i siewcą ideałów. Znowu muszę powołać się na słowa Karola Maya z jego autobiografii:

Stworzyłem tego Old Shatterhanda i Kara Ben Nemzię jako ‘problem ludzkości’. Postawił go niegdyś Bóg, gdy poszedł do raju, by zapytać: ‘Adamie, tj. człowieku, gdzie jesteś? Gdzie jesteś szlachetny człowieku? Widzę jedynie ludzi małych i upadłych’... Old Shatterhand i Kara Ben Nemzi przemierza ją więc kruiny ziemskie w poszukiwaniu człowieka szlachetnego. A tam, gdziego nie odnajdą, ukazują swym zachowaniem jego wizję, noszoną we własnym wnętrzu. A wówczas imaginacyjny Old Shatterhand, imaginacyjny Kara Ben Nemzi, nie pozostaną fikcją, lecz urzeczywistnią się i zrealizują w czytelniku, który wewnętrznie wszystko współprzeżywa, wznosząc się i udoskonalając na podobieństwo moich postaci. W ten sposób wnoszą wkład do realizacji wielkiego zadania, polegającego na tym, by człowiek przemocy i człowiek niskich instynktów rozwinął się tworząc człowieka szlachetnego.

Początek tej przemiany pisarza widzimy już wyraźnie w „Moście śmierci”. W jego następnych dziełach przemiana ta jest już dokonana, to już inny pisarz, inny styl, inne problemy niż w książkach wcześniejszych. Autor w tym trudnym dla niego okresie postanawia wreszcie poznać z autopsji świat arabski, o którym tyle pisał, a który znał tylko z książek innych autorów, z dzieł geograficznych i licznych słowników. W 1899 roku Karol May wyrusza na Bliski Wschód w towarzystwie pierwszej, a zarazem przyszłej żony i z jej mężem, który zmarł w 1901 roku. Podróż była udana. Obcy, bajecznie kolorowy świat odurzył

P .. za. Hałas i zgiełk bazarów, intensywność zapachów

- to wszystko spowodowało, że Kara Ben Nemzi, tak swobodnie czujący się na pustyni w siodle wiatronożnego rumaka, czy też na grzbiecie wielbłądzicy biegnącej szybciej niż pustynny

samun, spędza większość czasu w wy-godnych hotelach lub odbywa krótkie wycieczki po naj-bliższej okolicy jak każdy przeciętny turysta. Wydawać by się mogło, że podróż Maya na Bliski Wschód nie przynios-ła mu żadnych korzyści. A jednak tak nie było. Pisarz w swoim dzienniku notował:

Nie mogę się napatrzeć na te cuda, a nie posiadam przecież odpowiedniego przygotowania w percepcji sztuki i jej piękna. Goethe widziałby wszystko inaczej, inaczej by 259 myślał i odczuwał. Niestety nie jestem już w stanie tego nadrobi~ Poczucie niedostatku wykształcenia i braku przygoto-wania literackiego do zawodu pisarza narastające w cza-sie podróży, spowodowało, że autor coraz bardziej pra-gnął tworzyć dzieła o większej niż dotąd wartości. Wspo-mniałem już, że pierwszą taką książką jest napisany jesz-cze przed podróżą na Bliski Wschód „Most śmierci”, będący nie tylko próbą realizacji zamiarów autora w tworze-niu wielkiej literatury, jest także przejściem do symboli-zmu i moralizatorstwa, których pełne są następne dzieła. May nigdy nie napisał dalszego ciągu „Mostu śmierci”. Jego plany udaremniła śmierć. W posłowniu do tej pow’ Y . ści pisałem tak:

May planował napisanie zakończenia „Mostu śmierci ale planu tego jak i wielu innych nigdy nie zrealizował. (...) Ale może to i lepiej. Musimy pamiętać, że May pisząc „Most śmierci” był już duchowa innym człowiekiem niż wtedy, gdy two~zyl „Wżnnetou”. (...) Kto wie, czy dalsza część~ przygód bohatera „Mostu śmierci” nie miałyby już miejsca za tym progiem (tytuł oryginału brzmi ‘ Am .lenseits” tzn. „Po tamtej stronie”) czyli w rajy - obojętnie, czy mahometańskim, cry chrześcijańskim. A gdyby trzeba było z autorem wstąpić do piekiet - mimo wszystko May to nie Dante - takie spra-wozdanie z podróży mogłoby być nie zamierzoną parodig lub straszliwyn~c nudziarstwem. Na szczęście znalaz~ się człowiek, któremu bliskie były dzieła Karola Maya i który zajmował się zawodowo jego twórczością. Właśnie on, 260 Franz Kandolf, napisał zakończenie „Mostu śyrციerci”. Autor wywiązał się z zadania, które sobie postawił, nad-spodziewanie dobrze. Przystwoił sobie styl Maya, potrafił nawet naśladować mayowskie moralizujące rozważania. Akcja powieści przebiega żywo i rozwija się logicznie. Ka-ra Ben Nemzi postępuje stanowczo i zdecydowanie kiedy sytuacja tego wymaga, a kiedy trzeba stosuje podchody, których uprawiania nauczył się od Indian w lasach i na preriach Amerykijako Old Shatterhand. Tej sztuki używa podsłuchując Ghaniego i Beduinów z wrogiego plemie-nia, knujących plany niebezpiecznej zasadzki; w tajemni-czych podziemiach wprowadza w pułapkę całą kohortę wrogów, słynnym piorunującym ciosem na moment przed zdemaskowaniem, ogłusza szejka zbojckiego plemienia, w domu Ghaniego daje dowody niezwyklej przenikliwości znajdując ukryty przez pod~tępnego łotra skarb Munedziego i ważne dokumenty. Na pustyni bezbłędnie odnajduje kryjówkę koni i wielbłądów, należących do schwytych w podziemiach starożytnej twierdzy Beni Se-bidów, dając jeszcze raz dowód niezwyklego mistrzostwa w tropieniu śladów. Sąd w pałacu wielkiego szarifa Mekki przypomina inne sceny z powieści Maya: rozprawę z „Lo-chów Babilonu”, przesłuchanie u mutasselima w Amadi-jah z „Przez dziki Kurdystan” czy spotkanie z szeryfem w Weston w Ameryce z „Bożego Narodzenia”. We wszystkich tych utarczkach z przedstawiciel~mi miejsco-wych władz autor - używając imienia Old Shatterhanda czy Kara Ben Nemziego zwycięża dzięki nieubłaganej 261 logice, lepszej znajomości prawa obowiązującego na da-nym terytorium i czystym intencjom swojego postępowa-nia.

W powieści Kandolfa odnajdujemy również Hadzi Ha-lefa Omara. Jest jak zawsze odważny, skory do sięgania po korbacz ze skóry hipopotama, który uważa często za najlepszy środek i najlepsze narzędzie do rozwiązywania niektórych problemów, obdarza swojego nauczyciela i mi-strza nieograniczonym zaufaniem i wielkim podziwem, jest zawsze wiernym i lojalnym towarzyszem w najbardziej nawet niebezpiecznych momentach licznych przygód. ‘ Warto też wspomnieć, że kiedy dziś, w pewnym kraju le-żącym pomiędzy morzem i górami zwykły szary człowiek nie może wieczorem spokojnie wyjść na ulicę - to poglą-dy Halefa stają mu się dziwnie bliskie i dochodzi do wnio-sku, że oprócz wszystkich dodatnich cech, Halef miał rów-nież bardzo rozsądne spojrzenie na zagadnienie logiczne-go związku skóry bandyty ze skórą hipopotama. Ten mały wzrostem, ale

posiadający wielkie serce szejk Haddedi-nów jest skory nie tylko do używania bata, kiedy trzeba poskromić opryszków, zagrażających spokojnym ludziom lub wymierzyć im karę za okrutne zbrodnie; jest także zdolny do chwili refleksji lub głębszej zadumy nad kondycją świata i jego mieszkańców gdy coś poruszy jego wrażliwe serce. A czyż nie jest godny naśladowania jego stosunek do żony, ukochanej Hanneh? (Z drugiej jednak strony, gdzie dziś szukać takich żon: kochających, wiernych, doradzających mężom dyskretnie a mądrze? Może 262 jeszcze uchowało się ich kilka w najgłębszej pustyni wśród Beduinów? Gdyby podobnych małżeństw była w tzw. cywilizowanym świecie większość - nie byłoby potrzebne prawo rozwodowe - ale iluż zawodowych nauczycieli moralności - nie znających zresztą instytucji małżeństwa z życiowej praktyki - straciłoby lukratywne zajęcie!) A przecież mały Hadzi przy wszystkich swoich zaletach i wadach jest postacią nie pozbawioną cech komicznych, potrafiącą rozbawić serdecznie czytelnika swoimi niespodziewanymi postępkami lub rozważaniami na różne tematy, by już nie wspomnieć o stylu jego przemówień. Takim go stworzył Karol May i taki sam jest Halef, Franza Kandolfa. A już jego przemowa do Kara Ben Nemziego w sprawie punktu ciężkości, który tenże, wedle Halefa, zgubił w podziemiach - jest nie do odróżnienia od podobnych peror Halefowych, pisanych przez Maya. Jednym słowem czytelnik, który czekał niecierpliwie by poznać dalsze losy bohaterów „Mostu śmierci” - dostał do rąk książkę, która jest napisana tak, jakby ją napisał sam autor „Winnetou” i to w swoim najlepszym okresie.

Nigdy nie byłem zwolennikiem dopisywania „dalszych ciągów” do powieści znanych pisarzy; proceder ten uprawiany był od dawna i trwa do dziś. W 1904 roku w Gródku wydano tłumaczenie powieścidełka J. Du Boys w czterech tomach pt. „Hrabia Monte Christo”. Przed wojną wyszedł w Poznaniu tom o 303 stronach „D’Artagnan” z nazwiskiem Aleksandra Dumasa na stronie tytułowej i z adnotacją drobnym drukiem; „według znalezionej rękopisu opracował Bedford Jones”. Oba te czytadła mają

chyba tyle wspólnego z Dumasem, że są nie zamierzoną przez autora parodią. Zupełnie niedawno ukazała się książka „Tajemnica Poodle Springs”, autorzy - Raymond Chandler i Robert B. Parker. Słynny autor czarnego kryminału zdążył przed śmiercią napisać 28 stron, a 248 dopisał Parker. Powieść jest niezła, ale widać, że to nie dzieło Chandlera. A zupełnie już niedawno czytałem „ciąg dalszy” powieści klasyka naszej literatury. Tu już brak słów - albo raczej zbyt wiele ciśnie się ich pod pióro.

Tylko dwie książki będące wstępem i zakończeniem dzieł znanych pisarzy dorównują swoim pierwowzorom „Złoto z Porto Bello” Artura Howdena Smitha i „W polach Mekki” Franza Kandolfa. Tę drugą wydawnictwo oddaje do rąk Czytelników z przekonaniem, że będą zadowoleni, mogąc poznać rozwiązanie zagadkowych wydarzeń, które nie zostały wyjaśnione w „Moście śmierci”

a także spotkać się z Kara Ben Nemzim i jego wiernym towarzyszem - Hadzi Halefem Omarem.

Aleksander Okrucieński

Wszystkich Czytelników, chcących podzielić się uwagami o tej książce proszę o listy na adres: ul. Gajowicka 140/7

53-322 WROCLAW

* cytowane za: „Karol May - anatomia sukcesu” N.Honszy i

W Kunickiego